

Sally Thorne

WRZĘDNE IGRASZKI

Nieprawdopodobnie zabawny i seksowny
romans biurowy



Sally Thorne

WREDNE IGRASZKI

Przełożyła
Katarzyna Karłowska



DOM WYDAWNICZY REBIS

Pamięci Ivy Stone

Podziękowania

Tą książką spełniłam swoje marzenie.

Bardzo dziękuję Kate Warnock, Gemmie Ruddick, Liz Kenneally i Katie Saarikko, moim entuzjastycznym przyjaciółkom, które gorąco mnie namawiały, abym to marzenie realizowała. Każda z nich na swój sposób mnie wspierała, nakłaniała i inspirowała. Jesteście wszystkie naprawdę wyjątkowe.

Dziękuję Christinie Hobbs i Lauren Billings za wspieranie moich wysiłków na niwie literackiej i za to, że przedstawiły mnie Taylor Haggerty, mojej cudownej agentce z Waxman Leavell Literary Agency. Taylor, dziękuję ci za to, że mi pomogłaś w osiągnięciu tego, czego tak bardzo pragnęłam.

Dziękuję także życzliwym i pomocnym ludziom z wydawnictwa HarperCollins, a zwłaszcza mojej redaktorce, Amandzie Bergeron, bo dzięki niej czułam się wśród nich jak członek rodziny.

A skoro już mowa o rodzinie, to chcę w tym miejscu przesłać ucałowania moim rodzicom, Sue i Davidowi, mojemu bratu Peterowi oraz mojemu mężowi Rolandowi. Rol, bardzo ci dziękuję za to, że we mnie wierzyłeś. Moja suczka Delia czytać wprawdzie nie potrafi, ale okazała się niesamowicie pomocna – nigdy nie przestanę jej kochać.

Carrie, kimkolwiek jesteś: to jedno słowo od ciebie – *nemesis* – okazało się bezcennym darem. To był impuls, od którego coś we mnie zaiskrzyło i ostatecznie napisałam tę powieść. Jestem ci za to bardzo wdzięczna.

Rozdział 1

Wymyśliłam teorię. Między nienawidzeniem kogoś a byciem w nim zakochaną istnieje mnóstwo łudzających podobieństw. Mam za sobą ogrom doświadczeń, na bazie których mogłam porównywać miłość z nienawiścią, i taki właśnie jest mój główny wniosek.

Miłość i nienawiść to uczucia fizjologiczne. Pomyślisz o tej osobie i od razu skręca cię w brzuchu. Serce łomocze ciężko i energicznie; dziwne, że nie prześwituje przez ciało i ubranie. A z apetytem i snem to jest tak, jakbyś przepuściła je przez niszczarkę. Byle interakcja i we krwi buzuje ci tyle adrenaliny, że potem to już nie pozostaje nic, tylko albo walczyć na noże, albo dać nogę. W ogóle całe ciało wymyka ci się spod kontroli. Jesteś tym wszystkim przezarta do kości, i to cię przeraża.

Miłość i nienawiść to lustrzane wersje jednej i tej samej gry – w której po prostu musisz wygrać i już. Bo? Bo masz serce i ego. Uwierzcie mi, znam się na tym.

Jest piątek. Wczesne popołudnie. Siedzę uwięziona przy swoim biurku, na wolność wyjdę dopiero za kilka godzin. Z całej duszy chciałabym mieć pojedynczą celę, ale niestety: jest ze mną drugi więzień. Każde tyknięcie jego zegarka jest dla mnie tym samym co kreska wydrapana na więziennym murze, oznaczająca kolejny dzień odsiadki.

Uprawiamy właśnie jedną z naszych dzieciennych gier, w której nie używa się słów. I która jak wszystko, co robimy, świadczy o naszej koszarnej niedojrzałości.

Najważniejsza rzecz, którą trzeba wiedzieć w związku ze mną: nazywam się Lucy Hutton. Jestem asystentką Helene Pascal, jednej z dwóch prezesów Bexley & Gamin.

Dawno, dawno temu nasze maleńkie wydawnictwo Gamin Publishing

o mały włos nie zbankrutowało. Rzeczywistość pod względem ekonomicznym stała się taka, że ludzie nie mieli na spłatę kredytu hipotecznego, a co dopiero mówić o książkach: książki były luksusem. Księgarnie w całym mieście padały jak muchy. Tak więc wszyscy uzbroiliśmy się wewnętrznie w oczekiwaniu na zasadniczo pewną likwidację.

A jednak tak wyszło, że za pięć dwunasta zawarty został układ z drugim wydawnictwem, też walczącym o życie: Gamin Publishing przymuszono do aranżowanego małżeństwa z rozpadającym się imperium zła o nazwie Bexley Books, którym władał wredny pan Bexley we własnej osobie.

Obie firmy, każda święcie przekonana, że to ona ratuje tę drugą, spakowały się i wprowadziły do nowego domu. Ale żadna ze stron nie była ani trochę szczęśliwa z powodu takiego obrotu spraw. Bexleye z nostalgią, z jaką ogląda się pożółkłe fotografie, wspominali stary stół do gry w piłkarzyki ustawiony w pomieszczeniu, w którym jadło się lunch. Nie potrafili uwierzyć, jakim cudem bujający w obłokach Gamini z tym swoim luzackim podejściem do targetów kluczowych wskaźników efektywności tudzież marzycielskim uporem w traktowaniu literatury jako sztuki utrzymali się na powierzchni tak długo. Bexleye wierzyli, że liczby są ważniejsze niż słowa. Książki to egzemplarze. Egzemplarze się sprzedaje. I tu przybijamy piątki! Zespołowo! I jeszcze raz!

Gamini dla odmiany cali się trzęśli ze śmiertelnego przerażenia, widząc, jak ich przebojowi nowi bracia przyrodni praktycznie masakrują ich wydania dzieł sióstr Brontë i Jane Austen. Jak temu Bexleyowi udało się zgromadzić aż tylu podobnie myślących bufonów, o wiele lepiej nadających się do księgowości albo prawa? Gamini nie traktowali książek jako egzemplarzy: takim podejściem się brzydzili. Dla nich książki były i zawsze miały pozostać czymś niemalże magicznym, czymś, co należy szanować.

Rok później nadal na podstawie samego tylko wyglądu można bez trudu stwierdzić, kto z której firmy przyszedł. Bexleye są sztywni i geometryczni, a Gamini przypominają artystyczne gryzmoły. Bexleye przemieszczają się jak stada rekinów, hałaśliwie rozmawiając o liczbach i nieustannie zagarniając salki konferencyjne na potrzeby swoich złowieszczych sesji

poświęconych planowaniu. Czy raczej knowaniu. A Gaminie kula się w swoich przegrodach niczym gołębki na wieżach zegarowych i przedzierają się przez manuskrypty w poszukiwaniu kolejnej sensacji literackiej. Otaczające ich powietrze wonieje herbatą jaśminową i papierem. Ich idol to Szekspir.

Przeprowadzka do nowego budynku okazała się nader traumatyczna, zwłaszcza dla Gaminów. No bo weźcie plan tego miasta, wyrysujcie prostą linię łączącą dawne siedziby każdej z firm, zaznaczcie czerwony punkt dokładnie pośrodku i oto mamy, co mamy. Nowy budynek zajmowany przez Bexley & Gamin to tandetna ropucha z szarego cementu, przycupnięta przy sporej arterii komunikacyjnej, w którą w godzinach popołudniowego szczytu nie wciśniesz nawet palca. O poranku budynek wionie arktycznym chłodem, pod koniec dnia ocieka potem. Ale owszem, posiada jedną zaletę: oferuje jakieś miejsca do parkowania w podziemiach – zazwyczaj zresztą anektowane przez ranne ptaszki, czy raczej powinnam rzec, przez Bexleye.

Helene Pascal oraz pan Bexley zwiedzili budynek przed przeprowadzką i zaszło wtedy coś osobliwego: ten jeden jedyny raz zgodzili się co do pewnej rzeczy, a mianowicie, że szczytowe piętro to obraza boska. Wspólny gabinet dla zarządu? Wspólny? Potrzebna była całkowita przebudowa.

Po godzinnej burzy mózgów, wypełnionej taką wrogością, że oczy dekoratorki wewnątrz zaszklily się niewylanymi łzami, Helene i pan Bexley zdołali uzgodnić tylko jedną wytyczną co do nowej estetyki: „ma się lśnić”. Była to również ostatnia rzecz, co do której się porozumieli.

Remont zdecydowanie spełnił założenia i cele projektu. Dziesiąte piętro to aktualnie prostopadłościan ze szkła, chromu i czarnych płytek. Można depilować sobie brwi, korzystając z dowolnej powierzchni jako lustro – ścian, posadzek, sufitu, obojętnie. Nawet blaty naszych biur wykonywane z dużych szklanych tafli.

Właśnie w skupieniu delektuję się swoim wspaniałym, okazałym odbiciem, które siedzi naprzeciwko mnie. Podnoszę rękę i oglądam sobie paznokcie. Odbicie posłusznie robi to samo. Przyglądam włosy, poprawiam kołnierzyk. Jestem w transie. Prawie zapomniałam, że to przecież ta gra,

którą od dłuższej chwili uprawiam z Joshua.

Siedzę tu z drugim więźniem, bo podczas wojny każdy opętany na punkcie władzy generał ma swego przybocznego, który odważa za niego brudną robotę. Dzielenie się asystentem nigdy nie wchodziło w rachubę, ponieważ dla jednego z prezesów oznaczałoby to pójście na ustępstwo. Oboje więc zostaliśmy podłączeni jak do gniazdek elektrycznych, pod dwojgiem drzwi do dwóch nowych gabinetów. I jakoś musimy sobie radzić.

Dla mnie to było tak, jakbym została przemocą wepchnięta na arenę Koloseum i odkryła, że bynajmniej nie jestem tam sama.

Jeszcze raz podnoszę prawą rękę. Odbicie jeszcze raz gładko robi to samo. Wspieram podbródek na dłoni i wzdycham głęboko; moje westchnienie wybrzmiewa i odbija się echem. Unoszę lewą brew, bo wiem, że on tego nie potrafi, i jak należało się spodziewać, jego czoło bezskutecznie się marszczy. Wygrywam. Przeszywa mnie dreszcz podniecenia, ale nie zdradzam tego wyrazem twarzy. Cały czas jestem pogodna i beznamiętna jak lalka. Siedzimy tu oboje, wspierając podbródki na dłoniach, i gapimy się sobie w oczy.

Nigdy nie jestem tu sama. Naprzeciwno mnie siedzi asystent pana Bexleya. Jego prawa ręka i przydupas. Druga, równie absolutnie zasadnicza rzecz, jaką każdy powinien znać w związku ze mną, jest następująca: nienawidzę Joshui Templemana.

Który obecnie małpuje każdy mój ruch. Bo na tym polega Gra w Lustra. Dla przypadkowego obserwatora nie byłoby to wcale takie oczywiste; Joshua Templeman jest subtelny jak cień. Ale nie dla mnie. Każdy mój ruch zostaje powielony po jego stronie naszego biura z nieznacznym tylko opóźnieniem. Odrywam podbródek od swojej dłoni i obracam się w stronę biurka, a on po krótkiej chwili robi to samo. Mam dwadzieścia osiem lat i wydaje się, że przeleciałam przez szczelinę między niebem i piekłem, trafiając prosto do czyśćca. Do zerówki. Do wariatkowa.

Wpisuję hasło: NIECIERPIEGOAMEN. Moje poprzednie hasła też zawsze stanowiły wariacje tego, jak ja nienawidzę Josha. Amen. A jego hasło to prawdopodobnie: NIECIERPIEJEJAMEN. Dzwoni mój telefon. Julie

Atkins, z działu praw autorskich i licencji, jeszcze jeden cierń w moim boku. Mam ochotę wyrwać kabel aparatu z gniazdka i wrzucić go do jakiegoś pieca.

– Cześć, co tam u ciebie? – Podczas rozmów telefonicznych zawsze wlewam dodatkową porcję ciepła do swojego głosu.

Po drugiej stronie pokoju Joshua przewraca oczami i zabiera się do karania swojej klawiatury.

– Mam do ciebie ogromną prośbę, Lucy.

Niemalże potrafię bezgłośnie wypowiedzieć jej dalsze słowa, zanim ona je wypowie.

– Potrzebuję więcej czasu na sprawozdanie miesięczne. Czuję, że bierze mnie migrenka. Nie dam rady gapić się dłużej na ten ekran.

Julie Atkins zalicza się do tych straszliwych ludzi, którzy lubią zdrobnienia, typu „migrenka” na przykład.

– Jasne, rozumiem. To na kiedy dasz radę je zrobić?

– Jesteś mega. Będzie gotowe w poniedziałek. Po południu. Coś mi wypadło, więc się spóźnię.

Jeżeli się teraz zgodzę, to w poniedziałek będę musiała zostać w pracy do późnego wieczora, żeby sprawozdanie było gotowe na dziewiątą rano we wtorek, kiedy jest posiedzenie zarządu. Następny tydzień jeszcze się nie zaczął, a już wiadomo, że będzie do dupy.

– OK. – Czuję ucisk w żołądku. – Ale błagam, spręż się.

– Aha, Brian też dzisiaj nie robi swojego. Jaka ty jesteś miła. Wierz mi, naprawdę doceniam twoją życzliwość. Wszyscy mówimy, że z całego działu zarządzania z tobą można się najlepiej dogadać. Z niektórymi ludźmi z ostatniego piętra za nic człowiek nie ujedzie, to potwory do kwadratu.

Tym słownym lukrem odrobinę osłabia moje rozżalenie.

– Nie ma problemu. Pogadamy w poniedziałek. – Odkładam słuchawkę i nawet nie muszę patrzeć na Joshuę. Wiem, że kręci głową.

Po kilku minutach zerkam na niego ukradkiem: wślepia się we mnie. Taka sytuacja: wyobraź sobie, że za dwie minuty wchodzisz na rozmowę kwalifikacyjną. Która ma zdecydować o całym twoim życiu. Patrzysz na

swoją białą bluzkę i widzisz, że z długopisu, który schowałeś do kieszonki na piersi, wyciekł cały tusz. W odblaskowo niebieskim kolorze. W głowie wykwita ci jakieś mocne przekleństwo, a w żołądku czujesz dżganie paniki, nie licząc oczywiście gotujących się nerwów. Jesteś kretynką: wszystko zepsułaś. Dokładnie taką samą barwę jak ten tusz mają oczy wpatrującego się we mnie Joshui.

Jak ja bym chciała powiedzieć, że jest brzydki. Że jest kurdupłowatym, tłustym trollem z zajęczą wargą i wiecznie załzawionymi oczami. Kulejącym garbusem. Obsypanym kurzajkami i pryszczami. Który ma zęby w odcieniu ementalera, a jak się spoci, to wali od niego cebulą. Niestety. Josh jest zupełnie inny. Kolejny dowód, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Brzdęka moja skrzynka odbiorcza. Gwałtownie odrywam wzrok od Josha z jego odwrotnością brzydoty i zauważam, że Helene przysłała mi maila z poleceniem sporządzenia planu finansowego. Otwieram plik ze sprawozdaniem z ubiegłego miesiąca, żeby mieć punkt odniesienia, i biorę się do roboty.

Wątpię, czy ten najbliższy miesiąc przyniesie jakąś poprawę. Branża wydawnicza obsuwa się coraz prędzej po równi pochyłej. Ileś razy wpadło mi do ucha słowo „restrukturyzacja”, odbijające się echem na tych korytarzach, i dobrze wiem, z czym się ono wiąże. Za każdym razem, kiedy wysiadam z windy i widzę Josha, zadaję sobie pytanie: „Czemu ja nie szukam nowej pracy?”.

Firmy wydawnicze fascynują mnie od czasu, kiedy jako jedenastolatki mieliśmy w szkole wycieczkę. Już wtedy byłam namiętną pożeraczką książek i moje życie obracało się wokół cotygodniowych odwiedzin w bibliotece miejskiej. Wypożyczałam maksymalną dozwoloną liczbę pozycji i potrafiłam zidentyfikować poszczególnych bibliotekarzy po odgłosach ich stóp w przejściach między regałami. Czułam, że dałabym się pokrajać, byle tylko zostać bibliotekarką, zaprowadziłam nawet system katalogowy w swoich prywatnych zbiorach. Byłam maleńkim molem książkowym.

Przed naszą wycieczką do wydawnictwa nigdy się nie zastanawiałam, w jaki sposób powstaje książka. I przeżyłam olśnienie. Naprawdę płacą ci za

to, że znajdujesz autorów, że czytasz książki i ostatecznie je wytwarzasz? Nowiuteńkie okładki i kartki w idealnym stanie, bez oślich rogów albo notatek zrobionych ołówkiem? W mojej głowie zapaliły się lampki. Uwielbiałam nowe książki. Pożyczałam je najchętniej. Dlatego po powrocie do domu oświadczyłam rodzicom: „Kiedy dorosnę, zostanę wydawcą”.

Jest w tym coś fantastycznego, że realizuję marzenie z dzieciństwa. Ale jeśli mam być szczerą, w tym momencie nie staram się o nową pracę przede wszystkim dlatego, że nie chcę, żeby Joshua ze mną wygrał.

A teraz pracuję jak mrówka, nie słysząc nic oprócz tego, jak on łomocze w klawiaturę, z siłą karabinu maszynowego, oraz cichutkiego poświstywania klimatyzatora. Z kolei Joshua co jakiś czas bierze do ręki kalkulator i na nim też coś głośno wystukuje. Mogłabym się założyć, że pan Bexley polecił również jemu sporządzenie planu finansowego. Dzięki temu dwoje asystentów może pomaszerować do bitwy, uzbrojonych w liczby, które być może wcale się z sobą nie zgadzają. Idealne paliwo do ogniska wzajemnej nienawiści ich szefów.

– Mogę ci przerwać, Joshua?

Przez dobrą minutę nie przyjmuje do wiadomości, że ja w ogóle istnieję. Uderzenia w klawiaturę nabierają natężenia. Beethoven przy pianinie to przy nim zero.

– O co chodzi, Lucindo?

Nawet rodzice nie mówią na mnie Lucinda. Zaciskam szczęki, ale zaraz z poczuciem winy rozluźniam mięśnie. Dentystka mnie błagała, żebym tego nie robiła, w miarę możliwości.

– Pracujesz nad planem finansowym na następny kwartał?

Odrywa dłoń od klawiatury i wgapia się we mnie.

– Nie.

Wypuszczam połowę powietrza z płuc i pochylam się z powrotem nad swoim biurkiem.

– Skończyłem je dwie godziny temu.

Wraca do łomotania w klawiaturę. A ja patrzę na swój otwarty arkusz kalkulacyjny i liczę do dziesięciu.

Oboje pracujemy szybko i uchodzimy za osoby, które są specami od kończenia – rozumiecie, pracownikami potrafiącymi dokończyć niewdzięczne, ciężkie zadania, których wszyscy inni unikają jak ognia.

Ja wolę usiąść z ludźmi i omówić sprawy twarzą w twarz. Josh jest maniakiem poczty elektronicznej. Na dole swoich maili pisze zawsze: „Pozdr. J.”. Czy to by go zabiło, gdyby napisał: „Pozdrowienia, Joshua”? Pewnie palce by mu się zmęczyły od tylu uderzeń w klawisze. Prawdopodobnie potrafi oszacować od ręki, ile minut rocznie oszczędza w ten sposób na rzecz B&G.

Dorównujemy sobie pod każdym względem, ale jesteśmy skrajnymi przeciwieństwami. Ja stoję na głowie, żeby było widać, że pracuję w korpo, ale niestety, wszystko, co posiadam, jest jakby lekko niedopasowane do B&G. Jestem Gaminem do szpiku kości. Używam pomadki w kolorze agresywnej czerwieni i mam wieczne kłopoty z ujarzmianiem włosów. Moje pantofle stukają zbyt głośno na posadzkach wyłożonych płytkami. Poza tym jakoś nie potrafię wysupłać tych paru groszy, żeby kupić wreszcie czarną garsonkę. Kiedy jeszcze pracowałam w Gamin Publishing, nie musiałam takiej nosić i teraz uparcie nie chcę się zasymilować z Bexleyami. Moja szafa jest pełna dzianin i innych ciuchów w stylu retro. Taki bibliotekarski szyk, bardzo cool, mam nadzieję.

Po czterdziestu pięciu minutach kończę zadanie. Ścigałam się z czasem, chociaż liczby to nie jest moja mocna strona, ponieważ oszacowałam, że Joshui zabrałoby to godzinę. Współzawodniczę z nim nawet w głowie.

– Dzięki, Lucy! – dobiega mnie daleki głos Helene zza lśniących drzwi jej gabinetu, kiedy wysyłam do niej dokument pocztą.

Jeszcze raz sprawdzam skrzynkę odbiorczą. Wszystko zaktualizowane. Sprawdzam godzinę. Piętnaście po trzeciej. Sprawdzam pomadkę w swoim odbiciu w lśniącej ścianie wyłożonej płytkami obok mojego monitora. Sprawdzam Joshuę, który piorunuje mnie pogardliwym wzrokiem. Odwzajemniam się tym samym. Bo teraz uprawiamy Grę w Spojrzenia.

Powinam wspomnieć, że ostatecznym celem wszystkich naszych gier jest przymuszenie tego drugiego do uśmiechu albo do płaczu. Tak to wygląda

w przybliżeniu. Od razu się zorientuję, jeśli wygram.

Kiedy poznałam Joshuę, popełniłam błąd: uśmiechnęłam się do niego. Moim najlepszym promiennym uśmiechem z użyciem pełnego garnituru zębów i oczami roziskrzonymi głupawym optymizmem, że fuzja obu wydawnictw bynajmniej nie była czymś najgorszym, co mi się mogło w życiu wydarzyć. A on zeskanował mnie wzrokiem od czubka głowy po podeszwy butów. Mam zaledwie metr pięćdziesiąt dwa wzrostu, dlatego nie trwało to długo. Po czym odwrócił wzrok w stronę okna i wyjrzał na zewnątrz. Nie odwzajemnił uśmiechu i z jakiegoś niezrozumiałego powodu czuję, że od tego czasu nosi ten mój uśmiech w kieszonce na piersi. Po prostu musi być zawsze górą. Po tak kiepskim starcie w zaledwie kilka tygodni wykwitła między nami wrogość. Która niczym woda kapiąca powolutku do wanny zaczęła w końcu wylewać się na boki.

Ukrywam ziewnięcie i patrzę na kieszonkę Joshui, na lewym mięśniu piersiowym. Codziennie ma na sobie identyczną biznesową koszulę, tyle że w innym kolorze. Białą, w złamanej bieli w prążek, kremową, jasnożółtą, musztardową, błękitną, turkusową, gołębioszara, granatową i czarną. Wkłada je w tej właśnie, niezmiennej kolejności.

Przypadkiem moją ulubioną wśród jego koszul jest turkusowa, a najmniej podoba mi się musztardowa, którą ma na sobie dzisiaj. Ale wszystkie koszule wyglądają na nim dobrze. We wszystkich kolorach mu do twarzy. Gdybym ja włożyła coś musztardowego, to upodobniłabym się do trupa. A tymczasem on tak tam sobie siedzi i z tą swoją złotawą karnacją jest kwitnący jak zawsze.

– Dzisiaj musztarda – zauważam na głos. No po co ten kij w mrowisko? – Już nie mogę się doczekać błękitnej w poniedziałek.

Spojrzenie, którym mnie obdarza, jest pełne samozadowolenia i jednocześnie irytacji.

– Jakaś ty spostrzegawcza, Babeczko. Pragnę jednak przypomnieć, że komentarze odnoszące się do wyglądu są niezgodne z polityką kadrową B&G.

Aha! Gra w HR. Nie graliśmy w nią od stuleci.

– Przestań mnie nazywać Babeczką, bo inaczej doniosę na ciebie do HR.

Każde z nas prowadzi księgę usterek tego drugiego. W każdym razie zakładam, że on taką prowadzi w związku ze mną, bo pamięta chyba wszystkie moje wykroczenia. Ja utworzyłam na swoim osobistym dysku dokument chroniony hasłem – dziennik wszystkich okropieństw, do jakich doszło między Joshuą Templemanem i mną. W ciągu tego roku cztery razy składaliśmy na siebie skargi w dziale HR.

On dostał słowne i pisemne ostrzeżenie w związku z przezwiskiem, które na mnie wymyślił. Ja otrzymałam dwa ostrzeżenia: jedno za zniewagę słowną, drugie za szczeniacki żart, który wymknął się spod kontroli. Nie jestem z tego dumna.

Joshua jakoś nie potrafi sformułować odpowiedzi i wracamy do Gry w Spojrzenia.

Zawsze czekam z utęsknieniem, kiedy koszule Joshui robią się ciemniejsze. Dzisiaj koszula jest granatowa, a stąd tylko krok do czerni. Cudownej czerni Dnia Wypłaty.

Może opowiem z grubsza, jak to wygląda z moimi finansami. Dzisiaj po wyjściu z B&G czeka mnie dwudziestopięciominutowy spacer, bo muszę odebrać samochód od Jerry’ego („Mechanika”) i nadgryźć kartę kredytową do tego miejsca, gdzie zostanie zaledwie cal do maksymalnego limitu. Ale jutro wypłata i wtedy spłacę debet. Z mojego samochodu przez weekend znowu wycieknie sporo tego tłustego, ciemnego świństwa, co zauważę w czasie, gdy koszule Joshui zrobią się białe jak zad jednorozca. Zadzwonię do Jerry’ego. Oddam mu samochód i będę żyła na głodowym budżecie. A koszule ściemnieją... Naprawdę muszę coś zrobić z tym rzęchem.

Joshua stoi teraz oparty o framugę drzwi pana Bexleya; jego ciało wypełnia większą część otworu wejściowego. Widzę to, ponieważ go szpieguję, wspomagając się jego odbiciem w ścianie obok monitora. Słyszę cichy, chrapliwy śmiech, zupełnie niepodobny do oślego ryku pana Bexleya. Pocieram dłońmi przedramiona, żeby przypłaszczyć sterczące tam maleńkie włoski. Nie obrócę głowy, żeby przyjrzeć się Joshui dokładnie. Przyłapie

mnie na tym. Zawsze mnie przyłapuje. Podkreśla to krzywą miną.

Zegar brnie boleśnie powoli w stronę piątej, a ja za zakurzonymi szybami widzę gromadzące się chmury burzowe. Helene wyszła godzinę temu – zaletą bycia jednym z dwojga prezesów jest między innymi to, że można pracować w tych samych godzinach, w jakich dzieci z podstawówki mają lekcje, i zwałać całą robotę na mnie. Pan Bexley spędza tu więcej godzin, ponieważ jego fotel jest o wiele za wygodny i kiedy do jego gabinetu zaczynają się wlewać popołudniowe promienie słońca, zazwyczaj ucina sobie drzemkę.

Nie chcę wcale powiedzieć, że to my z Joshuą sterujemy najwyższym piętrem, ale szczerze powiedziawszy, czasami można odnieść takie wrażenie. Ekipy z księgowości i sprzedaży podlegają bezpośrednio Joshui, który filtruje ogromne ilości danych, tworząc raporty wielkości małych kasków, a potem, łyżeczka po łyżeczce, karmi nimi opierającego się, czerwonego na twarzy pana Bexleya.

Mnie przypadają ludzie z działów redakcji, reklamy i marketingu i co miesiąc kondensuję ich sprawozdania w jeden zbiorczy raport, który przekazuję Helene i, zdaje się, ja również karmię ją nim łyżeczka po łyżeczce. Binduję ten raport na spirali, żeby mogła go sobie czytać, kiedy ćwiczy na stepperze, stosuję ponadto jej ulubioną czcionkę. Każdy dzień tutaj to wyzwanie, przywilej, poświęcenie i tony frustracji. Ale kiedy pomyślę o wszystkich maleńkich krokach, które wykonałam od jedenastego roku życia, żeby się znaleźć w tym miejscu, zmieniam nastawienie. Przypominam je sobie po kolei. I wytrzymuję Joshuę nieco dłużej.

Ja na zebrania z szefami działów przynoszę domowe ciasta i jestem przez nich uwielbiana. Mówią, że jestem „warta tyle, ile ważę, w złocie”. Joshua na swoje zebrania przynosi złe wieści i jego waga jest mierzona w innych substancjach.

Pan Bexley ciężkimi krokami człapie obok mojego biurka, z teczką w rękę. Zakupy to robi chyba w jakimś sklepie z odzieżą dla pisanek płci męskiej. No bo gdzie jeszcze znalazłby takie kuse a obszerne garnitury? Pan Bexley łysieje, jest cały usiany plamami wątrobowymi, a forsę ma jak lodu. To jego dziadek założył Bexley Books. Uwielbia przypominać Helene, że

ona została tylko „zatrudniona”. Jest starym zbokolem, co obie z Helene stwierdziłyśmy na podstawie naszych obserwacji. Zmuszam się, żeby się do niego uśmiechnąć. Na imię ma Richard. Mały Tłusty Rysio.

– Dobranoc, panie Bexley.

– Dobranoc, Lucy. – Zatrzymuje się przy moim biurku, żeby zapuścić żurawia za dekolt mojej czerwonej jedwabnej bluzki.

– Mam nadzieję, że Joshua przekazał egzemplarz *Mętnego szkła*, który przyniosłam dla pana? Pierwszy egzemplarz z pierwszego wydania.

Mały Tłusty Rysio ma ogromną biblioteczkę wypełnioną wszystkimi książkami wydanymi przez B&G. I każda taka książka to jest ta pierwsza, która wyszła z drukarni; taką tradycję zaczął jeszcze jego dziadek. Uwielbia się nimi chwalić przed swoimi gośćmi, ale któregoś dnia przyjrzałam się lepiej grzbietom i stwierdziłam, że nie są nawet popękane.

– Przyniosłaś dla mnie, powiadasz? – Pan Bexley toczy wzrokiem po wnętrzu, by spojrzeć na Joshuę. – Nic nie mówiłeś, doktorze Josh.

Mały Tłusty Rysio nazywa go „doktorem Joshem”, ponieważ Joshua jest taki kliniczny. Słyszałam, jak ktoś opowiadał, że kiedy w Bexley Books sprawy przybrały szczególnie zły obrót, Joshua kierował operacją usuwania jednej trzeciej ich personelu. Nie wiem, jak on w ogóle może spać.

– To nie ma znaczenia, ważne, żeby pan dostał egzemplarz – gładko odpowiada Joshua i jego szef przypomina sobie, że to on tu jest Szefem.

– Tak, tak – sapie i znowu zagląda w głąb mojej bluzki. – Dobra robota, moje ptaszki.

Wsiada do windy, a ja omiatam wzrokiem bluzkę. Wszystkie guziki zapięte. To co on tam widział? Zerkam ukradkiem na swoje lustrzane odbicie w płytkach sufitu i ledwie, ledwie, ale jednak widzę maleńki trójkącik ocienionego rowka między piersiami.

– Gdybyś zapięła tę bluzkę jeszcze wyżej, to nie widzielibyśmy twojej twarzy – mówi Joshua do ekranu swojego komputera, jednocześnie się wylogowując.

– Może zechcesz powiedzieć swojemu szefowi, żeby czasem popatrzył również na moją twarz. – I także się wylogowuję.

– On pewnie próbuje zobaczyć twoją płytę główną. Albo się zastanawia, na jakim ty paliwie jedziesz.

Narzucam płaszcz.

– Moim paliwem jest nienawiść do ciebie.

Usta Joshui podrygują raz i o mały włos go na tym dopadam. Ale ostatecznie widzę tylko, jak przybiera wyraz obojętności na twarzy.

– Jeśli to ci nie daje spokoju, sama powinnaś z nim porozmawiać. Broń się. No to jak, wieczór spędzasz na malowaniu paznokci, rozpaczliwie samotna?

Zgadywał czy wiedział?

– Owszem. A ty będziesz się dzisiaj masturbował i płakał w poduszkę, doktorze Josh?

Patrzy na najwyższy guzik przy mojej bluzce.

– Jasne. I nie nazywaj mnie tak.

Zaciskam zęby i nie wybucham śmiechem. Przepychamy się nieprzyjaźnie przy wsiadaniu do windy. On wciska „-1”, a ja „0”.

– Pieszko?

– Mój samochód jest w warsztacie. – Wkładam baleriny, a szpilki chowam do torby. Teraz jestem jeszcze niższa. W lśniących mętnie drzwiach windy widzę, że sięgam mu zaledwie do połowy bicepsa. Wyglądam jak chichuahua przy dogu argentyńskim.

Drzwi windy otwierają się na westybul. Świat na zewnątrz B&G osnuwa niebieska mgiełka; jest zimno jak w psiarni, wszędzie pełno gwałcicieli i morderców, a do tego jeszcze lekko siąpi. I jak na zawołanie wiatr przegania obok płachtę jakiejś gazety.

On tymczasem przytrzymuje drzwi windy jedną, ogromną dłonią i wychyla się na zewnątrz, sprawdzając pogodę. A potem wpija te swoje granatowe oczy w moje oczy, marszcząc przy tym czoło. W mojej głowie rodzi się znajomy dymek. „Szkoda, że nie jest moim przyjacielem”. Przebijam go szpilką.

– Podwiozę cię – wydusza z siebie.

– Blee, mowy nie ma – rzucam przez ramię i uciekam.

Rozdział 2

Dzisiaj jest Środa Kremowych Koszul. Joshua wyszedł na późny lunch. Ostatnio wygłosił kilka komentarzy na temat tego, co lubię i robię. Z całą pewnością bobrował w moich rzeczach, sądząc po tym, jak precyzyjne były to uwagi. Wiedza to władza, a tej nie posiadam zbyt wiele.

Zaczynam od przeprowadzenia kryminalistycznych oględzin swojego biurka. Zarówno Helene, jak i pan Bexley gardzą komputerowymi kalendarzami, dlatego wszyscy musimy prowadzić identyczne papierowe terminarze niczym Dickensowscy kanceliści. Ja w swoim zapisuję wyłącznie umówione spotkania Helene. Obsesyjnie zamykam swój komputer, nawet wtedy, gdy idę tylko do drukarki. Otwarty komputer w bliskości Josha? Równie dobrze mogłabym mu wręczyć kody nuklearne.

W Gamin Publishing moje biurko było fortem stworzonym z książek. Długopisy wtykałam w dziury między ich grzbietami. Tymczasem kiedy rozpakowywałam się w nowym biurze, spostrzegłam, jak sterylnie Joshua utrzymuje swoje miejsce pracy, i poczułam się zupełnie jak dziecko. Wyniosłam do domu swój kalendarz typu „Słowo Dnia”, a także figurki smerfów.

Przed fuzją miałam w pracy przyjaciółkę. Val Stone i ja siadywałyśmy na sfatygowanych skórzanych kanapach w pomieszczeniu socjalnym i uprawiałyśmy naszą ulubioną rozrywkę: systematycznie bezcześciłyśmy foty pięknych ludzi w czasopismach. Ja domalowywałam Naomi Campbell wąsy. Val zamalowywała jej jeden z zębów. A potem była nawałnica blizn, łątek na oko, oczu nabiegłych krwią i diabelskich rogów, aż wreszcie zdjęcie ulegało takiej dewastacji, że zaczynało nas nudzić, więc zabierałyśmy się do następnego.

Val była jedną z osób, które padły ofiarą redukcji personelu, i wkurzyła

się, że jakoś jej nie ostrzegłam. Co nie znaczy, że byłoby mi wolno, nawet gdybym wiedziała. Nie uwierzyła mi. Obracam się powoli i moje odbicie pojawia się kolejno na dwudziestu innych powierzchniach. Widzę siebie we wszelkich możliwych rozmiarach, jako laleczkę na wieku pozytywki i jako bohaterkę srebrnego ekranu. Moja wiśniowa spódniczka układa się w koło i jeszcze raz wykonuję piruet, ot tak sobie, próbując odepchnąć od siebie to mdlące, nieprzyjemne uczucie, które mnie nachodzi za każdym razem, kiedy myślę o Val.

Wracając do rzeczy – w wyniku swojego audytu stwierdzam, że na moim biurku leżą trzy długopisy, piszące na czerwono, czarno i niebiesko. Różowe post-ity. Jedna pomadka. Pudełko chusteczek higienicznych, którymi usuwam nadmiar pomadki oraz łyzy zdołowania. Mój terminarz. I nic więcej.

Wykonuję na marmurowej autostradzie kilka lekkich kroków typu *shuffle* przynależnych do techniki stepowania. I oto jestem teraz w Krainie Joshui. Zajmuję jego krzesło i patrzę na wszystko oczami Joshui. Siedzenie krzesła jest ustawione tak wysoko, że nie dotykam stopami podłogi. Wkręcam się tyłkiem głębiej w skórę obicia, z wrażeniem, że robię coś bardzo obscenicznego. Jednym okiem łypię na windę, drugim badam jego biurko w poszukiwaniu wskazówek.

To biurko to męska wersja mojego. Niebieskie post-ity. Trzy długopisy plus dobrze zaostrzony ołówek. Zamiast pomadki pudełko miętówek. Kradnę jedną i chowam ją do maleńkiej, zazwyczaj bezużytecznej kieszonki przy spódniczce. Wyobrażam sobie, że idę do apteki i szukam na półce ze środkami przeczyszczającymi tabletek wyglądających identycznie jak te miętówki, i chichoczę cichutko. Szarpnię za szufladę biurka. Zamknięta na zamek. Komputer też zabezpieczony. Fort Knox. Dobrze to rozegrałeś, Templeman. Kilka razy bezskutecznie próbuję odgadnąć jego hasło. Może jednak wcale nie jest tak, że mnie nie cierpi.

Na biurku brak ramki z fotografią partnerki albo ukochanej. Żadnego wyszczerzonego radośnie, szczęśliwego psa ani też pamiątki z plaży w tropikach. Wątpię zresztą, by cenił kogokolwiek aż tak bardzo, żeby miał ochotę oprawić jego podobiznę w ramkę. Podczas jednego z żarliwych

przemówionek Joshui, dotyczących wyników sprzedaży, Mały Tłusty Rysiu zagrział sarkastycznie: „Oj, trzeba ci załatwić jakąś babę, doktorze Josh!”.

A Joshua odparł na to: „Ma pan rację, szefie. Nie raz widziałem, co posucha w tych sprawach potrafi zrobić z człowiekiem”. Powiedział to, patrząc znacząco na mnie. Znam datę. Odnotowałam ją w swoim dokumencie z listą przewinień.

Coś mnie lekko świerzbi w nosie. Jego woda kolońska? Feromony, które sobie wypłukuje z porów w skórze? Oblecha. Przerzucam kartki jego terminarza i zauważam coś: znaczki wykonane ołówkiem przy kolejnych punktach każdego dnia. Czując się jak James Bond, ustawiam swoją komórkę i udaje mi się machnąć jedną fotkę.

Słyszę łomot kabli w szybie windy, więc podrywam się na równe nogi. Przeskakuję do drugiego boku biurka i jeszcze udaje mi się zatrzasnąć terminarz Joshui, po czym drzwi otwierają się energicznie i na progu staje on. Kątem oka widzę, że krzesło jeszcze się lekko obraca. Przyskrzypił mnie.

– Co ty wyprawiasz?

Komórka jest już bezpiecznie schowana za ściągaczem w majtkach. Notatka do samej siebie: zdezynfekować telefon.

– Nic. – Głos lekko mi drży, natychmiast mnie obciążając. – Chciałam sprawdzić, czy po południu będzie padało. Wpadłam niechcący na twoje krzesło. Przepraszam.

Zbliża się do mnie jak Dracula dryfujący przez powietrze. Groźbę niszczy torba ze sklepu sportowego, która obija się o jego nogę z towarzyszeniem głośnego szurania. W środku, sądząc po kształcie, znajduje się pudełko z butami.

Już sobie wyobrażam tę nieszczęsną pracownicę sklepu, która pomagała mu w wyborze butów. „Potrzebuję obuwia do skutecznego wdeptywania w ziemię obiektów, które zabijam za pieniądze w wolnym czasie. Domagam się więc najwyższej jakości. Noszę rozmiar jedenasty”.

Patrzy na swoje biurko, na niewinny ekran logowania na komputerze, na zamknięty terminarz. Wypuszczam oddech kontrolowanym sykiem. A on upuszcza torbę na podłogę. Podchodzi tak blisko, że swoim skórzanym

butem dotyka czubka moich czółenek.

– A może jednak zdradzisz, co tak naprawdę robiłaś przy moim biurku?

Nigdy w takiej bliskości nie uprawialiśmy Gry w Spojrzenia. Ja jestem krasnałem o wzroście metr pięćdziesiąt dwa. Przez całe życie dźwigam ten krzyż. Mój niski wzrost to bolesny temat rozmów. On tymczasem ma co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć. Albo dziewięćdziesiąt siedem. Dziewięćdziesiąt dziewięć. Albo i więcej. Ludzki gigant. I jest zbudowany z samych ciężkich materiałów.

Mężnie podtrzymuję kontakt wzrokowy. W tym pomieszczeniu mam prawo stać, gdzie mi się podoba. Pieprzyć go. Biorę się pod boki niczym zagrożone zwierzę, które udaje, że jest większe niż w istocie.

Joshua nie jest brzydki, jak już wspominałam, ale zawsze mam problem z tym, jak go opisać. Pamiętam, jak jakiś czas temu jadłam kolację na swojej kanapie i w telewizji leciały wiadomości z dziedziny kultury. Na aukcji sprzedano antykwaryczny egzemplarz komiksu o Supermanie. I kiedy na ekranie telewizora dłoń w białej rękawiczce przewracała kartki, staromodne rysunki przedstawiające Clarka Kenta przywiodły mi na myśl Josha.

Podobnie jak w przypadku Clarka Kenta, wzrost i siła Joshui są upchnięte pod ubraniem tak zaprojektowanym, by go maskowało i pomagało mu wtopić się w tłum. Nikt w redakcji fikcyjnej gazety „Daily Planet” nie wie nic o Clarku. Pod tymi koszulami zapinanymi na guziki Joshua może być albo pozbawiony cech szczególnych, albo równie niesamowicie muskularny jak Superman. Ot, zagadka.

Nie ma wprawdzie zakręconego kosmyka na czole ani też czarnych oprawek okularów typu nerdy, ale natura wyposażyła go w mocno zarysowaną, męską szczękę oraz pięknie wykrojone, jakby nadąsane usta. Dotąd zawsze uważałam, że on ma czarne włosy, ale teraz, kiedy stoję bliżej, widzę, że są ciemnobrązowe. Nie zaczesuje ich tak gładko jak Clark. Ale z całą pewnością ma oczy barwy niebieskiego atramentu, laserowe spojrzenie i prawdopodobnie posiada też parę innych supermocy.

Tyle że Clark Kent jest taki kochany, niewydarzony, miękki, podczas gdy Josh ani trochę nie przypomina łagodnego reportera. Jest złośliwą, cyniczną,

dziwolągowatą wersją Clarka Kenta, terroryzującą wszystkich w newsroomie i tak wkurzającą biedną, maleńką Lois Lane, że ta nocami wrzeszczy w poduszkę.

Nie lubię wielkich facetów. Za bardzo przypominają konie. Potrafią zdeptać, jak im się wejdzie pod nogi. Joshua przeprowadza właśnie lustrację mojego wyglądu, mrużąc oczy tak samo jak ja. Ciekawe, jak mu się podoba czubek mojej głowy. Jestem pewna, że on cudzołoży tylko z amazonkami. Nasze spojrzenia zderzają się i stwierdzam, że porównanie jego oczu do dwóch plam atramentu jest odrobinę zbyt ostre. To niesprawiedliwe, że on ma takie oczy – czyste marnotrawstwo.

Żeby uniknąć śmierci, niechętnie wdycham do płuc woń cedru. On pachnie jak świeżo naostrzony ołówek. Jak bożonarodzeniowa choinka w zimnym, ciemnym pokoju. Dostaję skurczów w ścięgnach karku, ale nie spuszczam wzroku. Dzięki temu mogę patrzeć na jego usta i to dokładnie wtedy, kiedy ciska w moją stronę zniewagi ze swojej połowy pomieszczenia. Czemu miałabym chcieć oglądać je z bliska? Wcale tego nie chcę.

Dźwięk windy jest jak odpowiedź na wszystkie moje modlitwy. Wchodzi kurier Andy.

Andy wygląda jak statysta filmowy, którego w obsadzie wymieniają jako „kuriera”. Pomarszczony jak stara skóra, po czterdziestce, odziany w odblaskową żółć. Okulary ma nasadzone na czubek głowy; przypominają tiarę. Podobnie jak większość kurierów, ubogaca godziny pracy w ten sposób, że flirtuje z wszystkimi osobami płci żeńskiej poniżej sześćdziesiątki, jakie napotyka na swej drodze.

– Piękna Luce! – wykrzykuje to tak głośno, że zaraz potem słyszę mokre kichnięcie Małego Tłustego Rysia, który budzi się zniecka w swoim gabinecie.

– Andy! – odwzajemniam się, płochliwie pierzchając w głąb pomieszczenia. Ale autentycznie mogłabym go uściskać za to, że przerwał tę zupełnie mi nieznaną dotąd grę. W ręku trzyma niewielką paczuszkę, nie większą od kostki Rubika. To na pewno moja Smerfetka z 1984, w przebraniu baseballistki. Bardzo rzadka figurka i na dodatek

w nieskazitelnym stanie. Pragnęłam ją mieć od stuleci i dlatego śledziłam jej trasę po numerze przesyłki.

– Wiem, że życzysz sobie, abym dzwonił z hallu, kiedy ci przynoszę twoje smerfy, ale nie odbierałaś.

Telefony na aparat stojący na moim biurku są przekierowywane do mojej komórki, która od jakiegoś czasu znajduje się w pobliżu mojej kości biodrowej, za ściągaczem majtek. A więc dlatego wibrowała. Fuj. A już myślałam, że powinnam iść przebadać sobie głowę.

– O co mu chodzi z tymi smerfami? – Joshua mruży oczy, jakbyśmy oboje z Andym byli psychicznie chorzy.

– Na pewno jesteś zajęty, Andy, więc cię puszczę. – Chwytam paczuszkę, ale jest za późno.

– To jej życiowa pasja. Ona żyje i oddycha smerfami. To te małe, niebieskie ludziki, naprawdę super. Noszą białe czapeczki. – Andy rozstawia dwa palce na odległość jakichś pięciu centymetrów.

– Wiem, co to są smerfy. – Josh jest wyraźnie zirytowany.

– Wcale nimi nie żyję ani nie oddycham. – Mój głos zdradza kłamstwo. Nagły kaszel Joshui podejrzenie przypomina śmiech.

– Mówisz, że smerfy? Więc to stąd te małe pudełeczka. A już myślałem, że są na te twoje maleńkie ciuszki, które kupujesz w sieci. Uważasz, że to stosowne kazać sobie dostarczać przedmioty osobistego użytku do miejsca pracy, Lucindo?

– Ona ma pełen regał smerfów. Ma... Co to jest, Luce? Smerf Thomas Edison? Ten to dopiero jest rzadki, Josh. Dostała go od rodziców na zakończenie studiów. – Andy ze skrajną niefrasobliwością nie przestaje mnie upokarzać.

– Ucisz się już, Andy! Co tam u ciebie? Jak ci dzisiaj leci? – Potwierdzam odbiór przesyłki, podpisując się na jego urządzeniu, które trzyma w spoczonej dłoni. On i ta jego niewyparzona gęba.

– Rodzice kupili ci smerfa, kiedy dostałaś dyplom?

Joshua rozsiada się wygodnie na krześle i przygląda mi się z cynicznym zainteresowaniem. Mam nadzieję, że moje ciało nie ogrzało skóry.

– A właśnie że tak. Ty pewnie dostałeś samochód albo coś w tym stylu. – Umieram z zażenowania.

– U mnie świetnie, kwiatuszku – wciska się do rozmowy Andy, wyjmując z moich dłoni swoje małe ustrojstwo; wdusza jakieś przyciski i chowa je do kieszeni. Teraz, kiedy składnik biznesowy naszej interakcji został zrealizowany, wykrzywia usta w czarujący uśmiech. – A już w ogóle zajebiście, bo cię widzę. Powiadam ci, Josh, mój przyjacielu, gdybym to ja siedział naprzeciwko tej cudownej istoty, to nigdy bym nie dokończył żadnej roboty.

Andy zatyka kciuki o kieszenie i uśmiecha się do mnie. Nie chcę ranić jego uczuć, więc tylko dobrodusznie przewracam oczami.

– To walka – odpowiada sarkastycznie Joshua. – Ty to się ciesz, że możesz stąd wyjść.

– Ten gość ma pewnie serce jak głąz.

– A żebyś wiedział. Jeśli uda mi się go powalić i wsadzić do paczki, to dasz radę dostarczyć go w jakieś oddalone miejsce? – Opieram się o biurko i oglądam swoją paczuszkę.

– Opłaty za przesyłki zagraniczne zdrożały – ostrzega Andy.

Joshua kręci głową, znudzony tą konwersacją, i zaczyna się logować.

– Mam jakieś oszczędności. Myślę, że Joshua byłby zachwycony wakacyjnymi przygodami w Zimbabwie.

– Łe, masz w sobie coś wrednego, sama przyznaj! – Kieszeń Andy’ego wydaje sygnał dźwiękowy; Andy grzebie w niej i wędruje w stronę windy. – No dobra, moja piękna Luce, było miło jak zawsze. Jak nic spotkamy się pewnie niedługo, gdy tylko wygrasz znowu jakąś aukcję.

– Pa!

Andy znika w windzie, a ja obracam się z powrotem w stronę biurka, z twarzą automatycznie neutralną.

– W życiu nie słyszałem czegoś tak żalosnego.

Wykonuję dzingiel z teleturnieju *Va banque*.

– Kto to jest Joshua Templeman?

– Lucinda flirtująca z kurierami. Żalosne.

Joshua łomocze w klawiaturę. Jako maszynista z pewnością robi wrażenie. Spacerowym krokiem mijam jego biurko i zostaję nagrodzona, ponieważ słyszę teraz wściekłe walenie w klawisz „backspace”.

– Jestem po prostu dla niego miła.

– Ty? Miła?

Robi mi się tak przykro, że aż jestem zdziwiona.

– Jestem przemiła. Spytaj, kogo chcesz.

– OK. Josh, czy ona jest przemiła? – pyta sam siebie głośno. – Hm. Niech się zastanowię.

Bierze do ręki pudełeczko z miętówkami, otwiera je, sprawdza zawartość, zamyka i patrzy na mnie. Otwieram usta jak pacjentka szpitala psychiatrycznego stojąca przed okienkiem, w którym wydają leki.

– Chyba rzeczywiście ma w sobie kilka uroczych cech.

Podnoszę palec wskazujący i bardzo wyraźnie wymawiam ten skrót:

– HR.

Joshua prostuje się, a kącik jego ust podryguje. Szkoda, że nie mogę wsadzić mu do ust kciuków i rozciągnąć ich w ogromny, obłąkańczy uśmiech. Potem policja wywlekłaby mnie w kajdankach, a ja skrzeczałabym: „Uśmiechnij się, do jasnej cholery!”.

Musimy wyrównać rachunki, bo to już jest nie fair. On został obdarzony jednym z moich uśmiechów i widział, jak się uśmiecham do niezliczonych ludzi. A ja nigdy nie widziałam, żeby on się uśmiechał, nie widziałam też ani razu, by jego twarz była inna niż tylko obojętna, znudzona, naburmuszona, czujna, pełna urazy. I co jakiś czas odmalowuje się na niej coś jeszcze innego, zawsze wtedy, kiedy się posprzeczamy. Jest to mina Seryjnego Zabójcy.

Znowu przestępuję przez niewidzialną linię dzielącą nasz pokój, czując szóstym zmysłem, że jego głowa obraca się w moją stronę.

– Nie żeby mnie obchodziło, co ty sobie myślisz, ale ja jestem tutaj bardzo lubiana. Ludzie nie mogą się już doczekać mojego klubu książki, choć ty dałeś do zrozumienia, że to nędzny pomysł, ale przecież klub książki przyda się w integrowaniu naszego zespołu, co jest niesłychanie ważne, biorąc pod

uwagę to, gdzie pracujemy.

– Jesteś prawdziwym rekinem naszej branży.

– Wysyłam dary do bibliotek. Planuję imprezę bożonarodzeniową. Pozwalam praktykantom, żeby mnie obserwowali przy pracy. – Odliczam to wszystko na palcach.

– Jakoś niewiele robisz, żeby mnie przekonać, że moje przemyślenia cię nie obchodzą. – Wbijają się jeszcze mocniej w oparcie krzesła i splata luźno swe długie palce na płaskim brzuchu. Guzik obok kciuka zaraz się rozepnie. Nie wiem, co robi moja twarz, ale w każdym razie sprawia, że Joshua zerka na guzik i dopina go.

– Nie obchodzi mnie, co ty sobie myślisz, ale chcę, żeby normalni ludzie mnie lubili.

– Ty nałogowo zmuszasz ludzi, żeby cię wielbili.

Mówi to takim tonem, że robi mi się odrobinę niedobrze.

– No cóż, wybacz, że robię, co mogę, żeby dbać o swoją reputację. Że staram się być pozytywnie nastawiona. Ty nałogowo zmuszasz ludzi, żeby cię nienawidzili, tak więc niezła z nas para.

Siadam i mniej więcej dziesięć razy trzaskam z całej siły myszą. Jego słowa dopiekły mi do żywego. Joshua jest jak lustro, które pokazuje to, co we mnie felerne. Wracamy do szkoły. Maleńka, najśłabsza z miotu Lucy wykorzystuje swój żaloszny wdzięk, żeby nie dać się zniszczyć przez większe dzieci. Zawsze byłam zwierzątkiem do głaskania, maskotką, kimś, kogo się popycha na huśtawce albo wozi w wózku. Noszona na rękach, przytulana – może naprawdę jestem trochę żaloszna.

– Czasami powinnaś spróbować i mieć jednak wszystko w dupie. Powiadam ci, to wyzwala. – Zaciska usta i na jego twarzy maluje się dziwny cień. Mruga okiem i cień znika.

– Nie prosiłam cię o radę, Joshua. A wkurzam się na siebie, bo ty mnie wiecznie ściągasz na swój poziom i ja ci na to pozwalam.

– A co to jest za poziom, na jaki niby cię ściągam? Jak ty go sobie wyobrażasz? – Mówi to dziwnie aksamitnym głosem i potem jeszcze zagryza dolną wargę. – Jakiś poziomy poziom?

W myślach wciskam klawisz Enter w swoim rejestrze przewinień i rozpoczynam nowy wiersz.

– Jesteś obrzydliwy. Spadaj na drzewo. – Zdaje się, że zrobię sobie tę przyjemność i pójdę powrzeszczyć w podziemiach budynku.

– No i proszę bardzo. Nie masz najmniejszego problemu z posłaniem mnie na drzewo. Dobry początek. I w jakiś sposób pasuje do ciebie. To teraz spróbuj tego z innymi ludźmi. Do ciebie w ogóle nie dociera, do jakiego stopnia ludzie włożą ci na głowę. Na jakiej podstawie się spodziewasz, że będą cię traktowali poważnie? Na przykład przestań przekładać terminy ostateczne ciągle tym samym osobom, miesiąc w miesiąc.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– O Julie.

– Wcale nie miesiąc w miesiąc. – Nienawidzę go, bo ma rację.

– Tak jest co miesiąc i potem musisz siedzieć na tyłku do późna, bo w końcu sama walczysz z terminem. Widzisz, żebym ja to robił? Nie. Te dupki z dołu dają mi wszystko w porę.

Dokopuję się w pamięci do formułki z poradnika asertywności, który trzymam na szafce przy łóżku.

– Nie mam ochoty kontynuować tej rozmowy.

– Ja ci tylko udzielam dobrej rady, więc powinnaś ją przyjąć. Przestań odwozić rzeczy Helene do pralni. Nie na tym polega twoja praca.

– Kończę tę rozmowę. – Wstaję. Może się pójdę zabić, to upuszczę z siebie trochę pary.

– I jeszcze ten kurier. Zostaw go. Ten podstarzały smutas myśli, że z nim flirtujesz.

– To właśnie ludzie mówią na twój temat. – Ta nieszczęsna riposta wyskakuje z moich ust, zanim zdążam pomyśleć. Próbuję przewinać czas wstecz. Bez skutku.

– Uważasz, że ja to właśnie robię? Że flirtuję z tobą?

Rozsiada się jeszcze wygodniej, w sposób, w jaki ja zupełnie nie potrafię. Oparcie mojego krzesła nie poddaje się, kiedy próbuję rozsiaść się wygodnie. Udaje mi się tylko sprawić, że krzesło jedzie na kółkach w tył i zderza się ze

ścianą.

– Babeczko, gdybyśmy z sobą flirtowali, tobyś o tym na pewno wiedziała.

Patrzymy sobie w oczy i czuję, że w moim wnętrzu coś się obsunęło. Osobliwe uczucie. Ta rozmowa za chwilę wypadnie z szyn.

– Bo przeżyłabym traumę?

– Bo rozmyślałabyś o tym później, leżąc w łóżku.

– Często wyobrażasz sobie moje łóżko, no powiedz? – udaje mi się wykrztusić.

Joshua mruga nerwowo, a na jego twarzy rozlewa się jakaś nowa, dziwna mina. Mam ochotę wymierzyć mu policzek i w ten sposób ją zetrzeć. Ta mina wydaje się wskazywać, że on wie coś, czego ja nie wiem. To mina demonstrująca samozadowolenie, bardzo męska, i ja jej nienawidzę.

– Założę się, że to nie łóżko, tylko maleńkie łóżeczko.

Już prawie zionę ogniem. Mam ochotę obejść jego biurko, kopnąć go w stopy, żeby rozstawił je szerzej, i stanąć między jego nogami. Ułożyłabym kolano na trójkątnym fragmencie krzesła tuż pod jego pachwiną, wspięłabym się odrobinę wyżej i sprawiła, że stęknąłby bardzo głośno z bólu.

Rozsupłałabym jego krawat i rozpięłabym guzik przy kołnierzyku. Oplotłabym dłońmi tę szeroką, opaloną szyję i potem ścisłałabym ją aż do skutku, czując pod palcami gorącą skórę, ciało miotające się pode mną, wszystko w oparach cedru i sosny, gryzących mnie w nosie jak dym.

– Co ty tam sobie roisz? Masz lubieżną minę.

– Że cię duszę. Gołymi dłońmi. – Ledwie potrafię wymówić te słowa. Jestem bardziej schrypnięta niż operatorka seks-telefonu po przepracowaniu dwóch zmian ciurkiem.

– Ach, więc takie masz zboczenie. – Jego oczy robią się ciemne.

– Tylko wtedy, gdy idzie o ciebie.

Jego brwi podskakują gwałtownie, oczy robią się czarne jak węgiel; otwiera usta, ale jakoś nie jest w stanie nic powiedzieć.

Czysta rozkosz.

Jest Dzień Błękitnej Koszuli, kiedy przypomina mi się, że zrobiłam zdjęcie

kartki z jego terminarza. Po przeczytaniu „Kwartalnego Zestawienia Zapowiedzi Wydawniczych” i po streszczeniu go na użytek Helene przesyłam zdjęcie z komórki do komputera. Rozglądam się przy tym dookoła jak jakaś kryminalistka.

Joshua od najwcześniejszej godziny siedzi w gabinecie Małego Tłustego Rysia i poranek z osobliwych powodów wlecze się niemiłosiernie. Tu jest tak letargicznie, kiedy brakuje kogoś, kogo można nienawidzić do woli.

Wciskam polecenie „drukuj”, zamykam komputer i postukując szpilkami, idę w głąb korytarza. Robię dwa ksera zdjęcia, za każdym razem poprawiając rozdzielczość, dzięki czemu znaczki wykonane ołówkiem stają się bardziej wyraźne. Nie trzeba chyba dodawać, że niepotrzebne dowody zbrodni przepuszczam przez niszczarkę. Żałuję, że nie mogę ich zniszczyć dwa razy.

Joshua zamyka teraz swój terminarz w szufladzie, na klucz.

Opieram się o ścianę i ustawiam kartkę do światła. Na zdjęciu jest poniedziałek i wtorek sprzed kilku tygodni. Bez trudu wyróżniam umówione spotkania pana Bexleya. Ale obok poniedziałku widzę literę „D”. A obok wtorku jest „S”. Od tego odchodzi wachlarz z cienkich kreseczek, w sumie ośmiu. I od tego odchodzą kropki do godzin w okolicach przerwy na lunch. Linia utworzona z czterech X i sześć małych ukośników.

Przez całe popołudnie potajemnie staram się rozgryźć zagadkę. Kusi mnie, żeby iść do ochrony i poprosić Scotta o nagrania z kamer z tego okresu, ale Helene mogłaby się dowiedzieć. Poza tym byłoby to marnowanie środków firmy, nie mówiąc już o nielegalnym kserowaniu i ogólnym olewactwie.

Długo nie znajduję rozwiązania. Jest późne popołudnie i Joshua już wrócił; siedzi na swoim miejscu naprzeciwko mnie. Jego niebieska koszula jarzy się jak góra lodowa. Kiedy wreszcie dochodzę do tego, jak zdeszyfrować te ołówkowe znaczki, uderzam się w czoło. Nie potrafię uwierzyć, że okazałam się taka opóźniona na umyśle.

– Dzięki. Przez całe popołudnie strasznie chciałem to zrobić – mówi Joshua, nie odrywając wzroku od monitora.

Nie wie, że widziałam jego terminarz i ołówkowe szyfry. I teraz wystarczy, że zauważę, kiedy używa ołówka, a dojdę do tego, jaka jest

korelacja.

No to w takim razie Gra w Szpiegowanie.

Rozdział 3

W Grze w Szpiegowanie jakoś nie odnoszę sukcesów i w dniu, w którym Joshua pojawia się w gołębiej szarości, praktycznie wychodzę z siebie. A on tymczasem wyczuł moje zwiększone zainteresowanie jego zajęciami i jest teraz jeszcze bardziej skryty i podejrzliwy niż normalnie. Będę musiała jakoś go wywabić z pokoju. Nigdy nie zobaczę ołówka w ruchu, jeśli on nie będzie robił nic oprócz tego wykrzywiania się do komputera.

Zaczynam grę, którą opatruję nazwą Jaki/Jaka Jesteś.

– Jaki Jesteś... A zresztą nieważne – zaczynam zgodnie z zasadami i głośno wzdycham. A on łapie przynętę.

– Przystojny. Inteligentny. Nie, czekaj. Lepszy od wszystkich. Widzę, że bierzesz się w garść, Lucindo.

Zamyka komputer i otwiera terminarz, wyciągając jedną rękę w stronę kubka z długopisami i ołówkami. Wstrzymuję oddech. Marszczy czoło i zatrząskuje terminarz. W tej szarej koszuli powinien wyglądać jak cyborg, ale niestety robi wrażenie przystojnego i inteligentnego. Jest ucieleśnieniem najgorszych koszmarów.

– Jesteś taki przewidywalny. – Skądś wiem, że to mu doje do żywego. I rzeczywiście: jego oczy przeobrażają się w dwie szparki, zza których wyziera czysta nienawiść.

– Powiadasz? A czemuż to?

Gra w Jaki/Jaka Jesteś zasadniczo polega na tym, że można sobie folgować i mówić przeciwnikowi, jak bardzo się go nienawidzi.

– Te koszule. Te nastroje. Nawyki. Ludzie tacy jak ty nie są w stanie odnieść sukcesu. Jeśli kiedykolwiek zrobisz coś wbrew swej naturze i zaskoczysz mnie, umrę z szoku.

– Mam to potraktować jako osobiste wyzwanie? – Patrzy na swoje biurko,

zdaje się, głęboko coś przemyśliwując.

– Chętnie bym zobaczyła, czy spróbujesz. Jesteś taki nieelastyczny.

– A ty taka elastyczna?

– I to bardzo. – To określenie doskonale do mnie pasuje. Dokładnie w tej chwili potrafiłabym pogłaskać się stopą po twarzy. Przytomnieję, unosząc jedną brew i patrząc na sufit z pogardliwym uśmieszkiem. Kiedy znowu patrzemy sobie w oczy, moje usta to obojętny różany pączek, odbity w stu lśniących powierzchniach.

Joshua powoli spuszcza wzrok ku podłodze, a ja krzyżuję nogi w kostkach, ponieważ przypominając sobie, że wcześniej zrzuciłam pantofle. Trudno skutecznie odgrywać rolę nemezis, kiedy widać, że paznokcie u stóp masz pomalowane jaskrawoczerwonym lakierem.

– Jeśli zrobisz coś wbrew swej naturze, umrzesz z szoku?

Widzę własną twarz odbitą w panelu tuż obok jego ramienia. To niby ja, ale w osobliwej wersji, bo z czarnymi oczami i dziką grzywą. Włosy opadają mi na ramiona strzępiastymi płomieniami.

– No to niewykluczone, że mi się opłaci.

On od poniedziałku do piątku zmienia mnie w straszdyło. Wyglądam jak Cyganka, która przepowiada przyszłość i pokrzykuje, że niebawem umrzesz. Wariatka w wariatkowie, która za kilka sekund wydrapie sobie oczy.

– Proszę, proszę. Lucinda Hutton. Mała, elastyczna dziewczynka. – Znowu rozpiiera się na krześle. Trzyma obie stopy płasko na podłodze; celują we mnie jak dwa rewolwery w strzelaninie na Dzikim Zachodzie.

– HR – przywalam mu.

W tej grze przegrywam i on o tym wie. Przywoływanie HR jest zasadniczo tym samym, co obstawienie ostatnich pieniędzy i splukanie się do zera. Joshua bierze do ręki ołówek i wbija zatemperowany koniec w opuszkę kciuka. Jeśli człowiek potrafi się uśmiechać, nie ruszając twarzą, to on właśnie to zrobił.

– Chciałem powiedzieć, że jesteś taka elastyczna w swoim podejściu do różnych rzeczy. To pewnie to twoje ekologiczne wychowanie, Babeczko. Zaraz, co robią twoi rodzice? Możesz mi przypomnieć?

– Doskonale wiesz, co robią. – Mam za dużo pracy, żeby się zabawić w te bzdury. Chwytam stosik starych post-itów i zaczynam je porządkować.

– Hodują... – Patrzy na sufit, udając, że łamie sobie głowę. – Hodują...

Zawiesza głos na całą wieczność. Męczarnia. Staram się nie przerywać tej ciszy, a jednak słowo, które go tak bawi, wyrywa się z moich ust jak przekleństwo.

– Truskawki. – Stąd moje przezwisko „Truskawkowa Babeczka”. Folguję sobie zgrzytaniem trzonowcami. Moja dentystka i tak się nigdy nie dowie.

– Farma Sky Diamond Strawberries. Jakież to urocze. Słuchaj, dodałem ten blog do zakładek. – Dwukrotnie klika myszą i obraca ekran komputera w moją stronę.

Wzdrygam się tak mocno, że sobie coś w środku nadwerężam. Jak on to znalazł? Moja mama prawdopodobnie krzyczy teraz do ojca: „Nigel, kotuś! Na naszym blogu jest jeden gość!”.

„Codziennik Farmy Sky Diamond”. Tak, nie przesłyszeliście się. Codziennik. Nie wchodziłam tam od jakiegoś czasu, bo nie nadałam. Mama była dziennikarką lokalnej gazety, kiedy poznała tatę, ale rzuciła pracę, żeby móc mnie urodzić, a potem założyli farmę. Jak się zna jej życiorys, to te codzienne wpisy mają sens o raczej smętnym wydźwięku. Zezuję w stronę ekranu Joshui. Dzisiejszy artykuł jest poświęcony nawadnianiu.

Nasza farma zaopatruje trzy lokalne targowiska oraz jedną sieć sklepów spożywczych. Jest także pole, na którym turyści mogą sami sobie zrywać truskawki, a mama sprzedaje też przetwory w słoikach. Rodzice dwa lata temu otrzymali certyfikat farmy organicznej, co dla nich znaczyło naprawdę wiele. Biznes to kuleje, to rozkwita, w zależności od pogody.

Podczas pobytów w domu nadal mam obowiązek stania przy frontowej bramie, gdzie tłumaczę gościom chcącym obejrzeć farmę, jakie są różnice smakowe między odmianą Earliglow i Diamonte. Między Camino Real i Everbearer. Wszystkie te nazwy brzmią jak marki fajnych, starych samochodów. Mało kto patrzy na moją plakietkę z imieniem i łączy ją z nazwą farmy. Fani Beatlesów, którzy kojarzą te dwa fakty, są zawsze

bardzo, ale to bardzo zadowoleni z siebie ¹.

Na pewno się domyślacie, co jem, kiedy ogarnia mnie tęsknota za domem.

– Nie. Nie zrobiłeś tego. Jakim sposobem...

– I wiesz, tu jest gdzieś najpiękniejsze zdjęcie rodzinne... o tutaj. – Znowu klika, prawie nie patrząc na ekran. Jego oczy rozjaśniają się chorym rozbawieniem, kiedy mi się przygląda. – Jakie to milusie. To twoi rodzice, prawda? A kim jest ta rozkoszna dziewczynka z czarnymi włosami? To jakaś twoja młodsza kuzynka? Nie... To dość stare zdjęcie. – Wybiera opcję „pełny ekran”.

Robię się czerwiejsza niż rozwścieczona truskawka. Ta „rozkoszna dziewczynka” to ja oczywiście. Tego zdjęcia chyba nigdy dotąd nie widziałam. Zamazana linia drzew w tle pomaga mi natychmiast się zorientować, gdzie zostało zrobione. Skończyłam akurat osiem lat, kiedy rodzice dodali te nowe zagony na zachodniej ćwierci areału. Biznes wtedy się rozwijał, co widać po ich dumnych uśmiechach. Nie wstydzę się swoich rodziców, ale ludzi, którzy wychowali się w mieście, moje pochodzenie zawsze śmieszy. Większość debilnych białych kołnierzyków jak Joshua uważa, że to takie staroświeckie i urocze. Wyobrażają sobie, że moja rodzina to jakieś prostaczki, buraki z pagórka porośniętego pnączami. Dla ludzi takich jak Josh truskawki biorą się ze sklepowych plastikowych pudełek.

Na tym zdjęciu leżę u stóp rodziców jak foka. Jestem ubrana w krótkie ogrodniczki, zaplamione i ubłocone, a moje kędzierzawe, ciemne włosy są pełne kołtunów. W pasie mam przywiązaną swoją patchworkową torbę, z którą zawsze chodziłam do biblioteki, bez wątpienia wypchaną książkami z serii Klub Opiekunki Dzieci i staromodnymi opowieściami o koniach. Jedną rękę trzymam w krzaku truskawek, w drugiej mam garść truskawek. Jestem zaczerwieniona od słońca i być może także przedawkowania witaminy C. Może właśnie dlatego jestem taka mała – truskawki ograniczyły mój wzrost.

– Bardzo jest do ciebie podobna, wiesz? Może powinienem wysłać maila z linkiem do całego personelu B&G, żeby się wypowiedzieli, kim ich

zdaniem jest to dzikie dziecko.

Trzęsie się, wyraźnie bliski wybuchu śmiechu.

– Zabiję cię.

Rzeczywiście wyglądam na kompletnie zdziczałą na tej fotce. Moje zmrużone oczy, oślepienie słońcem, są jaśniejsze od nieba, i uśmiecham się też swoim najpiękniejszym z uśmiechów. Od dziecka się tak uśmiecham. Ściska mnie już w gardle i świerzbi w zatokach.

Przyglądam się rodzicom: są tacy młodzi. Tato ma jeszcze proste plecy, tymczasem teraz, za każdym razem, kiedy jadę do domu, jest coraz bardziej przygarbiony. Przenoszę wzrok na Joshuę, który już nie ma takiej miny, jakby mu było do śmiechu. Łzy nachodzą mi do oczu, nim zdążam pomyśleć, gdzie jestem i kto siedzi naprzeciwko mnie.

Joshua powoli ustawia ekran do pierwotnej pozycji, niespiesznie zamyka przeglądarkę – typowy samiec, któremu robi się głupio na widok kobiecych łez. Okręcam się na krześle i wbijam spojrzenie w sufit, z nadzieją, że łzy spłyną z powrotem w to miejsce, z którego się wzięły.

– Przypominam, że rozmawialiśmy o mnie. O tym, co mógłbym zrobić, żeby być bardziej taki jak ty.

Gdyby ktoś nas podsłuchiwał, pomyślałby pewnie, że powiedział to życzliwym tonem.

– Mógłbyś się postarać nie być takim palantem. – Wychodzi mi z tego szept. Widzę w odbiciu w suficie, że na jego czole pojawiają się zmarszczki. O matko. Boska.

Z obu naszych komputerów dobiegają sygnały przypomnień: spotkanie całego personelu, za piętnaście minut. Przyglądam brwi i maluję usta, zamiast z lusterka korzystając ze ściany. Z niejakim trudem ściągam włosy w kok tuż nad karkiem, pomagając sobie gumką zdjętą z nadgarstka. Mnę chusteczkę w kulkę i wciskam ją do kącików oczu.

W piersi nadal kołaczą mi się te niewypowiedziane słowa – „tęsknota za domem”. „Samotna”. Kiedy otwieram oczy, widzę, że on wstał, widzę też swoje odbicie. Joshua trzyma w dłoni ołówek.

– No co jest? – warczę na niego. Wygrał. Przymusił mnie do płaczu.

Wstaję i chwytam papierową teczkę.

On też chwyta papierową teczkę i tak oto oboje gładko zaczynamy Grę w Lustra. Oboje lekko pukamy po dwa razy do drzwi naszych prezesów.

„Wejdz”, słyszymy jednocześnie.

Helene krzywi się do swojego komputera. Jest osobą z gatunku tych, które wolą raczej maszyny do pisania. Czasami nawet pisała na maszynie, zanim się tu przenieśliśmy: uwielbiałam rytmiczne postukiwanie klawiszy dobiegające z jej gabinetu. Maszyna jest teraz schowana w jednej z szafek. Helene bała się, że Mały Tłusty Rysio będzie się z niej nabijał.

– Cześć. O piętnastej mamy zebranie całego personelu, pamiętasz? Na dole, w głównej sali konferencyjnej.

Helene wzdycha ciężko i podnosi na mnie swoje srebrzące się odblaskiem ekranu oczy. Są wielkie, ciemne, pełne wyrazu i okolone rzadkimi rzęsami; brwi też ma cienkie. Nie dostrzegam na jej twarzy śladu makijażu, wyjąwszy różową szminkę.

Przeprowadziła się tutaj z Francji, razem z rodzicami, kiedy miała szesnaście lat, i jeszcze teraz, choć już stuknęła jej pięćdziesiątka, słysząc w jej głosie to gardłowe „r”.

Helene nie zauważa tego, że jest elegancka, przez co jest tym bardziej elegancka.

Włosy nosi krótkie, schludnie przystryżone. Paznokcie też ma krótkie i zawsze maluje je na kolor kremowego różu. W ubrania zaopatruje się w Paryżu, tuż przed złożeniem wizyty swoim podstarzałym rodzicom w Saint-Étienne. Szlachetnie prosty, wełniany sweter, który ma teraz na sobie, kosztował prawdopodobnie więcej niż zawartość trzech wózków z artykułami spożywczymi.

Jest moją idolką, dodam na wypadek, gdyby to nie było boleśnie oczywiste. To za jej przykładem przestałam tak mocno malować oczy. Bardzo chcę zostać nią, kiedy już dorosnę.

Jej ulubionym słowem jest „kotuś”.

– Lucy, kotuś – mówi teraz, wyciągając rękę.

Wkładam w nią teczkę.

- Co ci jest?
- Alergia. Oczy mnie pieką.
- Hmm, to niedobrze.

Przegląda plan zebrania. Do większych posiedzeń zawsze się trochę przygotowujemy, ale te z udziałem całego personelu są dość oczywiste, ponieważ wypowiadają się głównie szefowie działów. Prezesi w nich uczestniczą głównie po to, by odegrać spektakl, jacy to są zaangażowani.

– Alan skończył pięćdziesiąt lat?

– Zamówiłam tort. Podamy go na końcu.

– Dobrze dla morale... – odpowiada roztargnionym głosem Helene. Otwiera usta, ale wyraźnie się waha; widzę, że szuka właściwych słów. – Bexley i ja mamy coś do ogłoszenia. To będzie coś ważnego między innymi dla ciebie. Pogadamy o tym zaraz po zebraniu.

Skręca mi się w żołądku. Wylatuję, na bank.

– Nie, nie, to dobra wiadomość, kotuś.

Zebranie personelu przebiega zgodnie z harmonogramem. Nie siadam podczas tego typu spędów obok Helene, bo wolę towarzystwo innych ludzi, lubię wmieszać się między nich. W ten sposób przypominam im, że jestem częścią zespołu, ale i tak nadal czuję ich rezerwę w stosunku do mnie. Naprawdę wyobrażają sobie, że będę donosiła Helene, jeśli prześladowali cały dzień?

Joshua siedzi obok Małego Tłustego Rysia, u szczytu stołu. Obaj są niechętni i wyglądają, jakby siedzieli razem w jakiejś kapsule, która czyni ich niewidzialnymi.

Kiedy podaję tort, Alan różowieje na twarzy, wyraźnie zadowolony. Jest zrzędlwym, starym Bexleyem, zajmującym jakieś tam stanowisko w samych trzewiach działu księgowości, przez co czuję się tym lepiej, że się dla niego postarałam. Przekazuję pięknie polukrowaną gałązkę oliwną nad płotem dzielącym oba obozy. My, Gamini, tak właśnie postępujemy. Bexleye świętują urodziny zapewne w ten sposób, że dają sobie w prezencie nowe baterie do kalkulatorów.

W sali konferencyjnej jest mnóstwo spóźnialskich, którzy podpierają

ściany albo przycupnęli na niskim parapecie okiennym. Gwar rozmów tu naprawdę przytłacza, jeśli się go porówna z ciszą panującą na dziesiątym piętrze.

Joshua jeszcze nie tknął tortu, którego trójkątne kawałki znajdują się w zasięgu jego ręki. Nie ma zwyczaju ani niczego pogryzać, ani w ogóle jeść. Ja wypełniam przestrzeń naszej biurowej jaskini rytmicznym chrupaniem marchewki albo jabłka. W bezdennej jamie mojego brzucha stale znikają torebki popcornu oraz małe kubeczki jogurtu, często też demoluję mikroskopijne szwedzkie bufety. Natomiast Joshua krzepi się chyba wyłącznie miętówkami. Na litość boską, jest ode mnie dwa razy większy. To nie człowiek.

Jęknęłam na głos, kiedy sprawdziłam, jaki tort dostarczyli. Ze WSZYSTKICH możliwych dekoracji, jakich mogła użyć piekarnia... Tak, domyśliliście się.

Joshua, który doskonale potrafi czytać w cudzych myślach, pochyła się i bierze do ręki truskawkę. Zdrapuje lukier i przygląda się maleńkiej, białej grudce na swoim kciuku. I co teraz zrobi? Zliże ją? Wytrze kciuk chusteczką z monogramem? Pewnie wyczuwa moje napięcie, bo jego spojrzenie znieścacka przeszywa mnie na wylot. Twarz mi pała, więc odwracam głowę.

Prędko pytam Margery o postępy jej syna w nauce gry na trąbce (średnie), a potem pytam Deana o jego operację kolana (już niebawem). Jest im miło, że pamiętałam, i odwzajemniają się uśmiechami. Chyba rzeczywiście zawsze obserwuję, słucham i kolekcjonuję banalne drobiazgi. Ale nigdy w niecnym celu. Robię to głównie dlatego, że jestem samotną ofiarą losu.

Nadrabiam zaległości w związku z wnuczką Keitha (rośnie) i remontem kuchni Ellen (koszmar). I przez cały czas gdzieś w tyle mojej głowy słychać na okrągło: „Weź się ugryź w tyłek, Templeman. Jestem cudowna. Wszyscy mnie lubią. Jestem pełnoprawnym członkiem tego zespołu. A ty jesteś samusieńki jak ten palec”.

Siedzący po drugiej stronie stołu konferencyjnego Danny Fletcher, z działu grafiki, macha ręką, żeby przyciągnąć moją uwagę.

– Obejrzałem ten film dokumentalny, który mi poleciłaś.

Łamię sobie głowę, ale mam w niej tylko pustkę.

– Och, hm? Który?

– Rozmawialiśmy o nim kilka zebrań temu. Dokument o da Vinci na History Channel. Ściągnąłem go sobie.

Gadka-szmatka to moja domena; odbywam ich mnóstwo, żeby dobrze pełnić swoją rolę. Ale jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś mnie słucha. Na marginesie kartki w jego notatniku zauważam jakiś skomplikowany szkic, więc ukradkiem staram się obejrzeć go dokładnie.

– I podobał ci się?

– O tak. Da Vinci był naprawdę wzorem człowieka, sama powiedz.

– Bez dwóch zdań. Sama jestem chodzącą porażką, nigdy niczego nie wynalazłam.

Danny śmieje się, radośnie i głośno. Odrywam wzrok od jego notatnika i patrzę na jego twarz, prawdopodobnie po raz pierwszy jak należy. I czuję w brzuchu lekki kopniak zaskoczenia, bo wyłączyłam autopilota. Och. Przecież on jest boski.

– A tak nawiasem, słyszałaś, że niedługo stąd odchodzę?

– Nie. A dlaczego? – Banieczka ochoty na flirt w moim brzuchu pryska. Koniec zabawy.

– Razem z kumplem zakładamy nową platformę self-publishingu, dla autorów, którzy chcą się publikować samodzielnie. Za kilka tygodni przychodzę tu po raz ostatni. A to moje ostatnie zebranie.

– No co za szkoda. To znaczy nie mówię o sobie. O B&G. – Tłumaczę się równie subtelnie jak nastolatka, która umiera z miłości.

Cała ja, że nie zauważyłam fajnego faceta w swoim najbliższym otoczeniu. A on tu cały czas siedział dokładnie naprzeciwko mnie, na litość boską. Żenua. A teraz odchodzi. Ostatni dzwonek, żeby porządnie się przyjrzeć Danny'emu Fletcherowi. Przystojny, szczupły i wysportowany, krótkie blond loki przycięte przy skórze. I niewysoki, a więc tylko dobrze w moim przypadku. Jest Bexleyem, ale nie z tych typowych. Ma na sobie koszulę czystą i gładką jak kartka urodzinowa, ale podwinął rękawy do łokci. Ma też krawat w subtelny wzorek z maleńkich nożyczek i podkładek do

pisania.

– Ładny krawat.

Danny patrzy na krawat i uśmiecha się szeroko.

– Naprawdę MNÓSTWO wycinam i klejam.

Spoglądam z ukosa na ludzi od okładek, głównie Bexleyów, którzy wszyscy stroją się jak przedsiębiorcy pogrzebowi. Rozumiem jego decyzję odejścia z B&G, w którym zespół grafików jest najnudniejszy na tej planecie.

W następnej kolejności zerkam na lewą dłoń Danny'ego. Na tych palcach, którymi lekko bębni o blat stołu, nie ma nic, ale to nic.

– No cóż, jeśli kiedyś będziesz potrzebowała kogoś do współpracy przy jakimś wynalazku, to jestem do wzięcia. – I tu uśmiecha się psotnie.

– Czyli nie tylko zamierzasz robić w self-publishingu, ale będziesz też freelancerem robiącym wynalazki?

– Nie inaczej. – Najwyraźniej podoba mu się moja sprytna gra słów.

Nigdy dotąd nikt ze mną nie flirtował w pracy. Zerkam ukradkiem na Josha. Gada z panem Bexleyem.

– Będzie trudno wynaleźć coś, czego jeszcze nie wynaleźli Japończycy.

Danny zastanawia się przez chwilę.

– Jak te maciupcie mopy, które można zakładać na rączki i nóżki raczkujących niemowlaków?

– Na przykład. A widziałeś te jaśki w kształcie męskiego ramienia dla samotnych kobiet?

Jego szczęka jest kanciasta i ocieniona srebrzystą szczecina, a kiedy się nie uśmiecha, jego usta przybierają lekko okrutny wyraz. Teraz się uśmiecha, patrząc mi prosto w oczy.

– Ty raczej nie potrzebujesz takiego jaśka, no powiedz... – Zniża głos do poziomu znacznie cichszego od ogólnej paplaniny. Jego roziskrzone oczy dodają mi śmiałości.

– Może nie, może tak. – Robię płacziwą minkę.

– Na pewno bez trudu byś znalazła ochotnika z gatunku *Homo sapiens*.

Próbuję ściągnąć nas z powrotem na poprzedni tor rozmowy. Niestety, tak mi to wychodzi, jakbym składała mu propozycję.

– Może byłoby zabawnie coś razem wynaleźć.

Helene trzaska głośno swoimi papierami, żeby utworzyć z nich równy stos, a ja obracam się z niechęcią w jej stronę. Joshua zerka na mnie ponuro spod nastroszonych brwi. Z pomocą fal mózgowych transmituję zniewagę w jego stronę, a on ją chyba odbiera, bo natychmiast gwałtownie się prostuje.

– Jeszcze jedno, zanim się rozejdziemy – odzywa się pan Bexley.

Helene stara się ukryć grymas niezadowolenia. Nie znosi, kiedy pan Bexley zachowuje się tak, jakby wyłącznie on przewodniczył zebraniom.

– Niniejszym podajemy do wiadomości, że dział zarządzania ulegnie restrukturyzacji – gładko przejmuje pałeczkę i pan Bexley zaciska usta z irytacją, po czym natychmiast wchodzi jej w słowo.

– Powstanie trzecie stanowisko zarządcze: dyrektor do spraw operacyjnych.

Oboje z Joshuą podskakujemy, jakbyśmy siedzieli na krzesłach elektrycznych, a nie biurowych.

– Będzie to stanowisko trzecie pod względem ważności, zaraz po mnie i Helene. Chcemy mianować formalnie osobę, która będzie kierowała bieżącą działalnością wydawnictwa, dzięki czemu prezesi będą mogli skupić się na samej strategii wydawniczej.

Obrzuca skąpym uśmieszkiem Joshuę, który z wyraźnym przejęciem odpowiada mu skinieniem głowy. Helene łapie mój wzrok i znacząco unosi brwi. Ktoś trąca mnie pod bok.

– Jutro zostanie to ogłoszone oficjalnie: szczegóły na portalu rekrutacyjnym i w Internecie. – Pan Bexley mówi to takim tonem, jakby Internet był jakimś nowomodnym gadżetem.

– Stanowisko jest otwarte zarówno dla osób z naszej firmy, jak i spoza niej. – Helene składa papiery na jeden stos i wstaje.

Mały Tłusty Rysio też zbiera się do odejścia, ale najpierw nakłada sobie jeszcze jeden kawałek tortu. Helene idzie za nim, kręcąc głową. Wnętrze znowu eksploduje hałasem i pudełko z tortem krąży po stole. Joshua staje obok drzwi, a kiedy ja uparcie nie ruszam się ze swojego miejsca, wymyka się cichaczem.

– Wygląda na to, że masz coś do zrobienia – mówi do mnie Danny.

Przytakuję, przełykam ślinę i macham do wszystkich ogólnie, zbyt przytłoczona tym wszystkim, by wyjść z wdziękiem. Tuż za drzwiami podrywam się do biegu, biorąc po dwa stopnie za jednym zamachem. Widzę jeszcze, jak drzwi pana Bexleya się zamykają, dokładnie w momencie, gdy zatrzymuję się z poślizgiem przed drzwiami Helene, które otwieram z rozmachem i przymykam tyłkiem z głośnym hukem.

– Jakie to będzie miejsce w strukturze organizacyjnej?

– Będiesz szefową Josha, jeśli o to pytasz.

Tonę w poczuciu czystego uniesienia. SZEFOWA Joshui. Będzie musiał robić wszystko, co mu każę, łącznie z okazywaniem mi szacunku. Zaraz chyba posiusiam się w majtki.

– Dla mnie to dopraszanie się o katastrofę, ale i tak chcę, żebyś właśnie ty dostała to stanowisko.

– Katastrofa? – Osuwam się na jedno z krzeseł. – Dlaczego?

– Ty i Josh nie potraficie współpracować. Jesteście tak różni, jak dzień i noc. A jeśli jeszcze dojdzie kwestia dominacji... – Cmoka powątpiewająco.

– Kiedy ja się nadaję.

– Ależ oczywiście, kotuś. I dlatego chcę, żebyś to ty awansowała.

Moje podniecenie rośnie, kiedy rozgadujemy się na temat roli, jaką bym pełniła. Na horyzoncie kolejna restrukturyzacja, ale tym razem miałabym na nią bezpośredni wpływ. Mogłabym ratować stanowiska pracy, zamiast je likwidować. Odpowiedzialność większa, ale też podwyżka znaczna. Jeździłabym częściej do domu. Kupiłabym nowy samochód.

– Musisz zdawać sobie sprawę, że Bexley chce, by dyrektorem został Josh. Strasznie się o to pożarliśmy.

– Jeżeli Joshua zostanie moim szefem, to będę musiała odejść – wypalam bez namysłu. Brzmi to jak kwestia wypowiedziana na filmie.

– Tym więcej powodów, abyś to ty dostała tę posadę, kotuś. Gdyby to zależało tylko ode mnie, po prostu ogłosilibyśmy, że zostajesz awansowana.

Zaczynam skubać swój kciuk.

– Ale czy w takim razie konkurs będzie sprawiedliwy? Joshua do spółki

z panem Bexleyem będą mnie sabotowali.

– Pomyślałam o tym. Rozmowy kwalifikacyjne przeprowadzi komisja złożona z niezależnych konsultantów. Będziesz rywalizowała na równych zasadach. Będą też kandydaci spoza B&G. Prawdopodobnie z dużymi kompetencjami. Dlatego przygotuj się, bardzo cię proszę.

– Ależ oczywiście. – To znaczy mam taką nadzieję.

– Poza tym w ramach rozmowy kwalifikacyjnej będziesz musiała przedstawić prezentację. Musisz już zacząć nad nią pracować. Będą chcieli poznać twoje przemyślenia w związku z tym, jakie cele B&G powinno sobie postawić na przyszłość.

Aż mnie swędzi, tak już chcę wracać do swojego biurka. Muszę zaktualizować swoje CV.

– Będziesz miała coś przeciwko, jeśli popracuję nad swoim zgłoszeniem podczas przerw na lunch?

– Kotuś, nie obchodzi mnie, czy będziesz pracowała nad tym cały dzień, pod warunkiem że zdążysz na czas. Lucy Hutton, dyrektor do spraw operacyjnych, Bexley & Gamin. Brzmi ładnie, sama powiedz?

Uśmiecham się szeroko.

– Dostaniesz tę pracę. Czuję to. – Helene wykonuje ruch naśladujący zapinanie ust na zamek błyskawiczny. – No idź już. Do dzieła.

Siadam przy biurku i otwieram komputer, żeby poszukać swojego zenująco przedpotopowego CV. Ta nowa szansa sprawia, że cała promienieję od środka. Wszystko się dzisiaj zmieniło. Cóż, prawie wszystko.

Redaguję swój życiorys już od kilku minut, kiedy zauważam, że ktoś nade mną stoi. Pociągam nosem. Cedr z korzennymi przyprawami. Sprzączka jego paska mruga do mnie, ale nie przestaję uderzać w klawisze.

– To stanowisko jest moje, Babeczko – oświadcza mi jego głos.

Mam ochotę wstać i wałnąć go w brzuch. Na wszelki wypadek liczę do dziesięciu: jeden, dwa, trzy, cztery...

– To zabawne, ale Helene właśnie mi powiedziała, że jest moje. – Obserwuję jego plecy oddalające się od lśniącej powierzchni mojego biurka i przysięgam sobie w duchu, że tę najważniejszą z gier, w jakie do tej pory

graliśmy, Joshua Templeman przegra z kretelem.

1. Nazwa „Sky Diamond Strawberries” oraz imię bohaterki tworzą wspólną aluzję do znanego utworu Beatlesów *Lucy in the Sky with Diamonds* [Lucy w niebie z diamentami] (wszystkie przypisy tłumaczki). [\[wróć\]](#)

Rozdział 4

Dzisiaj prążki barwy złamanej bieli, a przy piątku w moim terminarzu jest wielki, czerwony krzyżyk. Postawiłabym sto dolarów, że w terminarzu Joshui też jest taki krzyżyk. Tego dnia składamy nasze podania.

Tyle razy czytałam już swoje podanie, że trochę mi odbija. Nabawiłam się takiej obsesji na punkcie tej prezentacji, że zaczęła mi się śnić. Urlop byłby nie od rzeczy. Gaszę ekran i przyglądam się z zainteresowaniem Joshui, który robi to samo. Robimy wszystko symetrycznie, jak para szachistów. Oboje splatamy ręce na piersiach. Ale nie zauważyłam dotąd, by jego ołówek był w ruchu.

– Co Tam U Ciebie, Mała Lucy? – Jego radosny ton i łagodny wyraz twarzy wskazują, że gramy aktualnie w jakąś wyjątkowo rzadką grę. To gra, która się nazywa Co Tam U Ciebie?, i zasadniczo jej początek wygląda tak, jakbyśmy wcale się nie nienawidzili. Zachowujemy się jak normalni koledzy z pracy, którzy bynajmniej nie chcieliby zanurzyć rąk we krwi tego drugiego. Co napawa niepokojem.

– Wszystko znakomicie, dzięki, Duży Joshu. A Co Tam U Ciebie?

– Jest super. Idę po kawę. Przynieść ci może herbaty? – Trzyma w ręku ciężki, czarny kubek. Nienawidzę jego kubka.

Spuszczam wzrok; już trzymam w ręku swój kubek w czerwone kropki. Gdyby mi zrobił herbatę albo kawę, to niewątpliwie by do niej potem napluł. Myśli, że jestem nienormalna, czy co?

– Chyba pójdę z tobą.

Maszerujemy zawzięcie w stronę kuchni, zrównując krok: lewa, prawa, lewa, prawa, jak prokuratorzy idący w stronę kamery w czołówce *Prawa i porządku*. Muszę wyciągać nogi niemal dwa razy dalej niż normalnie. Inni pracownicy przerywają rozmowy i patrzą na nas pytająco. A my z Joshuą

popatrujemy na siebie i obnażamy zęby. Czas zachowywać się cywilizowanie. Jak ludzie zasługujący na dyrektorskie stanowiska.

– Ha, ha, ha – pokrzykujemy do siebie sympatycznie, reagując niby na jakiś dowcip. – Ha, ha, ha.

Zamaszyście pokonujemy zakręt korytarza. Annabelle odwraca się od kserokopiarki i na nasz widok o mały włos wypuszcza kartki z rąk.

– Co jest grane?

Joshua i ja kiwamy głowami w jej stronę, nie przerywając marszu, zjednoczeni w naszej niekończącej się grze o to, które okaże się lepsze. Moja krótka sukienka w paski łopocze skutkiem przeciążenia.

– Mamusia i tatuś bardzo was kochają, dziecieczki – mówi Joshua tak cicho, że tylko ja go słyszę. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że prowadzi ze mną uprzejmą pogaduszkę i nic innego. Ponad ściankami przegród wyskakują na nas głowy surykatek. Zdaje się, że oboje urosiliśmy do rangi legendy. – Czasami się za bardzo zdenerwujemy i wszczynamy sprzeczkę. Ale nie bójcie się. To przecież nie wasza wina, jeśli się pokłócimy.

– To są sprawy dorosłych – wyjaśniam łagodnie załęknionym twarzom, które mijamy po drodze. – Tatuś czasami śpi na kanapie, ale nie dzieje się nic złego. Wciąż was kochamy.

W kuchni wkładam torebkę herbaty do kubka, kiedy ni z gruszki, ni z pietruszki, niczym fala oceanu, nieledwie powala mnie ochota na śmiech. Przytrzymuję się skraju blatu i trzęsę się bezdźwięcznie.

Joshua dziarsko robi sobie kawę, totalnie mnie lekceważąc. Podnoszę wzrok i widzę jego ręce otwierające szafkę na wysokości wielu kilometrów nad moją głową, i czuję ciepło jego ciała w odległości kilkunastu centymetrów od moich pleców. Jakbym się kąpała w blasku słońca. Zapomniałam, że inni ludzie są ciepli. Wdycham też zapach jego skóry. Ochota na śmiech słabnie.

Od czasu, gdy moja fryzjerka, Angela, jakieś osiem tygodni temu wymasowała mi głowę, nie miałam z nikim kontaktu cielesnego. A teraz w wyobraźni opieram się o niego i pozwalam swoim mięśniom zwiotczeć. Co

on by zrobił, gdybym zemdląła? Pewnie patrzyłby spokojnie, jak walę się na podłogę, a potem trąciłby mnie czubkiem buta.

W moim mózgu wykwita jeszcze jedna wizja. Joshua chwytą mnie, nie pozwala upaść. Obejmuje mnie w pasie, wbija czubki palców w ciało...

– Jesteś taki śmieszny – mówię, kiedy do mnie dociera, że od jakiegoś czasu nie powiedziałam ani słowa. – Taki strasznie śmieszny. – Głośno przełykam ślinę.

– Ty też. – Joshua podchodzi do lodówki.

W drzwiach materializuje się Jeanette z działu HR: tłustawy, umordowany upiór. To miła kobieta, ale mdli ją od naszych wygłupów.

– Co się dzieje? – pyta, biorąc się pod boki.

W każdym razie wydaje mi się, że bierze się pod boki. Pod tym pobrzękującym tybetańskim poncho, które pewnie wytargowała podczas swoich ostatnich duchowych poszukiwań, jej ciało ma kształt trójkąta. Oczywiście jest Gaminem.

– Jeanette! Robię kawę. Skusisz się? – Joshua macha w jej stronę kubkiem, a ona zbywa go gestem irytacji. Nienawidzi go do szpiku kości. Moja krew.

– Dostałam alarmowy telefon. Jestem tu w charakterze rozjemcy.

– Nie trzeba, Jeanette. Wszystko w jak najlepszym porządku. – Delikatnie moczę swoją torebkę, przyglądając się, jak woda zabarwia się na ceglasty kolor.

Joshua wrzuca pełną łyżeczkę cukru do mojego kubka.

– Za mało słodziutka, prawda?

Śmieję się fejkowym śmiechem do szafki wiszącej przed moim nosem i zastanawiam się, skąd on wie, jaką ja piję herbatę. Skąd on w ogóle cokolwiek o mnie wie? No skąd? Jeanette podejrzliwie wybałusza oczy.

Joshua przygląda się jej z dobrotliwą miną.

– Robimy sobie ciepłe napoje. A co tam nowego w świecie kadr?

– Nie wolno zostawiać bez dozoru dwojga przedmiotów najgorszych, seryjnych skarg w firmie. – Jeden róg jej poncha gestykuje w stronę kuchni.

– Cóż za paskudne posądzenie. Cały boży dzień siedzimy sami w jednym pomieszczeniu. Ja i ta wspaniała kobieta spędzamy wspólnie od czterdziestu do pięćdziesięciu godzin tygodniowo. Zupełnie sami. – Ton głosu zdaje się wskazywać, że jest z tego zadowolony, ale ukryty w jego wypowiedzi podtekst mówi: „Weź się odwal”.

– Przekazałam waszym szefom kilka zaleceń w związku z wami – dodaje ponuro Jeanette. Z podtekstem podobnie brzmiącym.

– No cóż, niebawem to ja będę szefem Lucindy – odpowiada jej Joshua, a ja błyskawicznie wbijam w niego spojrzenie. – Jestem profesjonalistą i poradzę sobie z każdym.

Tonem, jakim wymawia słowo „każdy”, daje do zrozumienia, że jego zdaniem jestem upośledzona na umyśle.

– Ależ co ty mówisz? To ja będę niedługo twoim szefem.

Mój głos jest słodki jak ulepek. Jeanette wysuwa swoje drobne łapki spod poncha. Przeciera oczy, tworząc błotniste obwódki z tuszu.

– Zajmuję się wami od rana do wieczora i niczym więcej – mówi cicho. Z rozpaczą.

Czuję, jak ogarnia mnie poczucie winy. Moje zachowanie zupełnie nie przystaje komuś, kto już niedługo obejmie dyrektorskie stanowisko. Czas to naprawić.

– Wiem, że w przeszłości relacje między mną a panem Templemanem były nieco... napięte. Postaram się rozwiązać problem i przyczynić się do budowania zespołu w wydawnictwie. – Mówię to bez zająknienia, swoim najbardziej profesjonalnym głosem, przyglądając się jednocześnie, jak jej twarz ściąga się z podejrzliwością. Spojrzenie Joshui przypomina dwa strumienie lasera przesywające mnie na wylot. – Przygotowałam na użytek Helene ramowy szkic zajęć integracyjnych po godzinach pracy dla działów grafiki, marketingu, księgowości i zarządzania. – Nazywamy je w skrócie GMZK. To efekt burzy, którą urządziłam sobie ostatnio w mózgu. Jak doskonale by to zabrzmiało podczas rozmowy kwalifikacyjnej? Bardzo doskonale.

– Ja też się pod tym podpiszę, żeby dowieść swojego zaangażowania –

mówi Joshua, zakichany złodziej pomysłów.

Aż mi nadgarstek podryguje, taką mam ochotę chlusnąć mu gorącą herbatą w twarz.

– Ty się niczym nie przejmuj – mówię do Jeanette. – Wszystko będzie dobrze.

Jeanette zostawia nas samych i oddala się, smętnie pobrzękując ponchem.

– Kiedy zostanę twoim szefem, to cię zajadę. – Głos Joshui brzmi wulgarnie i brutalnie.

Mam teraz kłopot z dotrzymaniem mu kroku, ale jakoś dam radę. Odrobinka herbaty wychlustuje mi na dywan.

– Kiedy zostanę twoją szefową, będziesz robił wszystko, co ci każę, i to z wieceelkim uśmiechem na twarzy. – Uprzejmie kłaniam się Marnie i Alanowi, których mijamy po drodze.

Zakręt korytarza pokonujemy niczym dwa konie wyścigowe.

– Kiedy zostanę twoim szefem, więcej niż trzy pomyłki w obliczeniach będą skutkowały oficjalnym ostrzeżeniem.

– Kiedy zostanę twoją szefową, skażą mnie za morderstwo – mruczę pod nosem, ale on i tak mnie słyszy.

– Kiedy zostanę twoim szefem, wprowadzę politykę ubraniową wzmacniającą wizerunek korporacji. Już nie będziesz nosiła tych dziwacznych kostiumików w stylu retro. Te wykluczyłem z pracowniczego katalogu strojów. Będzie obowiązywała szara szmizjerka. – Zawiesza głos dla lepszego efektu. – Z poliestru. Powinna sięgać kolan, więc w twoim przypadku będzie sięgała kostek.

Jestem opętańczo przewrażliwiona na punkcie swojego wzrostu i zdecydowanie nie trawię syntetycznych włókien. Otwieram usta, ale zamiast słów wyrywa mi się z nich słodki, zwierzęcy warkot. Pędzę przed siebie i uderzam biodrem o otwarte szklane drzwi prowadzące do gabinetów prezesów.

– Tego właśnie trzeba, żebyś przestał mnie pożądać? – odcinam się, a wtedy on wbija wzrok w sufit i potężnie wzdycha.

– Rozszyfrowałaś mnie, Babeczko.

– A żebyś wiedział.

Oboje oddychamy nieco mocniej, niż tego wymaga sytuacja. Oboje stawiamy swoje kubki na biurkach i wznawiamy starcie.

– Nigdy przenigdy nie będę pracowała pod tobą. Nie będzie poliestrowej sukienki. Odejdę stąd, jeśli ty awansujesz. To się chyba rozumie samo przez się.

Przez ułamek sekundy wygląda na autentycznie zdziwionego.

– No co ty powiesz.

– Bo niby ty byś nie oszedł, gdybym to ja awansowała?

– Nie jestem pewien. – Ma oczy jak dwa spodki od tego spekulowania.

– Joshua, musisz odejść, jeśli to ja dostanę to stanowisko.

– Ja nie porzucam spraw. – Jego głos nabiera żywszych barw; bierze się pod bok.

– Ja też nie. Ale jeśli jesteś taki pewien, że to ty je dostaniesz, to skąd ten problem ze zobowiązaniem się do odejścia? – Patrzę, jak on to przeżuwa.

Chcę, żeby został moim podwładnym, żeby stawał się kłębkim nerwów, kiedy będę oceniała jego sprawozdania, a potem je darła na strzępy. Chcę, żeby pełzał na czworakach u mych stóp, zbierając te strzępy, i mamrotał, usprawiedliwiając swoją niekompetencję. Chcę, żeby płakał w gabinecie Jeanette, składając samokrytykę za swoje niedociągnięcia. Chcę, żeby z tych nerwów plątał się i potykał.

– OK. Zgadzam się. Jeśli to ty awansujesz, obiecuję, że odejdę. A tak à propos, znowu widać po twoich oczach, jaka jesteś napalona – dodaje, odwracając się i siadając. Otwiera zamek w swojej szufladzie i wyciąga terminarz, po czym pracowicie przerzuca jego kartki.

– Znowu dusisz mnie w myślach?

Właśnie robi znaczek ołówkiem, prostą, pojedynczą kreskę, i nagle mnie zauważa.

– Skąd ten drwiący uśmieszek?

Myślę, że on robi te znaczki w terminarzu, kiedy się kłócimy.

– Chyba się położę. – Rozmawiam właśnie z rodzicami. I jednocześnie

delikatnie, dziecięcą szczoteczką do zębów czyszcę smerfa, którego kilka tygodni temu kupiłam na eBayu za całe dwa dolary. W tle leci *Prawo i porządek* i aktualnie idą fałszywym tropem. Na twarzy mam maseczkę z białej glinki, na paznokciach u stóp wysycha lakier.

– No dobrze, Smerfetko – świergołą moi rodzice jak jakiś dwugłowy potwór. Jeszcze nie doszli do tego, że nie muszą siedzieć przyklejeni do siebie policzkami, żeby się zmieścić na ekranie podczas rozmowy przez video-czat. Albo może nawet i doszli, ale za bardzo to lubią.

Tato jest groźnie opalony, pomijając białe plamy po okularach przeciwsłonecznych: wygląda jak negatyw szopa pracza. Dużo się śmieje i dużo gada, dlatego często widzę przelotnie wyszczerbiony ząb, który nadłamał mu się podczas jedzenia żeberek. Ma na sobie bluzę, którą nosił już wtedy, kiedy byłam mała, i ten widok sprawia, że idiotycznie tęsknię za domem.

Mama nigdy nie patrzy do kamery jak trzeba. Rozkojarza ją maleńkie okienko, w którym widzi, jak wygląda jej twarz na całym ekranie. Podejrzewam, że dokonuje inwentaryzacji swoich zmarszczek. Nasze rozmowy sprawiają przez to wrażenie chaotycznych, a mnie tym bardziej doskwiera jej brak.

Jej jasna cera nie radzi sobie ze słońcem, dlatego w odróżnieniu od ojca z jego opalenizną mama jest cała obsypana piegami. Odziedziczyłam po niej karnację, dlatego wiem, co się stanie, jeśli przestanę używać kremu z filtrem. Ona ma piegi na każdym centymetrze kwadratowym twarzy i ramion. Ma je nawet na powiekach. Dzięki jasnoniebieskim oczom i czarnym włosom, upiętym zawsze w kok na czubku głowy, gdziekolwiek pójdzie, wszyscy się za nią oglądają. Tato jest zniewolony jej urodą. Wiem o tym, bo powiedział to mniej więcej dziesięć minut temu.

– Słuchaj, ty się o nic nie martw. Jesteś tam najbardziej zdeterminowaną osobą. Chciałaś pracować w wydawnictwie i udało ci się. I wiesz co? Cokolwiek się stanie, zawsze będziesz szefową naszej farmy. – Tato właśnie podaje wszystkie powody, dla których powinnam dostać awans.

– Och, tato. – Śmieję się, żeby ukryć odpryskowe emocje, z którymi się

zmagam od czasu załamania na oczach Joshui. – Moje pierwsze polecenie, jakie wydam jako dyrektor, będzie takie, że każę wam iść wcześniej spać. Powodzenia z odmianą Lucy 42, mamó.

Przy kolacji nadgoniłam z dziesięcioma ostatnimi wpisami na blogu. Mama ma klarowny, rzeczowy styl pisania. Moim zdaniem pracowałaby teraz w jakimś liczącym się miejscu, gdyby nie odeszła z zawodu. Annie Hutton, dziennikarka śledcza. Zamiast tego po całych dniach wykopuje nadgniłe rośliny, szykuje skrzynki z towarem do wysyłki i tworzy frankensteinowe hybrydy odmian truskawek. Dla mnie fakt, że zrezygnowała z upragnionego zawodu, to tragedia, bez względu na to, jaki cudowny jest tato, i na to, że ja, owoc tej decyzji, siedzę tu teraz.

– Mam nadzieję, że nie wyjdzie z nich takie paskudztwo jak Lucy 41. W życiu czegoś takiego nie widziałam. Niby od zewnątrz wyglądały jak trzeba, a w środku były kompletnie puste. No powiedz, Nigel?

– Takie owocowe baloniki.

– Na tej rozmowie kwalifikacyjnej pójdzie ci świetnie, słoneczko. Po pięciu minutach będą wiedzieli, że żyjesz i oddychasz branżą wydawniczą. Do dziś pamiętam, jak się zachowywałaś po powrocie z tamtej wycieczki. Jakbyś się zakochała. – Po oczach mamy widać, że pograżyła się we wspomnieniach. – Doskonale wiem, jak się czułaś. Zresztą pamiętam, jak sama po raz pierwszy weszłam do hali druku w redakcji gazety. Ten zapach, ach!, działał na mnie narkotycznie.

– Wciąż masz w pracy kłopoty z tym całym Jeremym? – Tato wie, że Joshua to Joshua, ale i tak woli nie wymawiać jego imienia.

– Z Joshua. Owszem mam. Znienawidził mnie i nie potrafi przestać. – Biorę garść orzeszków cashew i zaczynam je pożerać, chyba trochę za dużo agresywnie.

Tato wypytuje mnie dalej, wyraźnie chcąc jednocześnie się podliznąć.

– No coś niesamowitego. Jak można ciebie nienawidzić?

– Jak można? – powtarza mama jak echo, jeżdżąc opuszką dookoła oka. – Jak można nienawidzić takiej słodkiej kruszynki? Naprawdę nie można.

Tato natychmiast się z nią zgadza i oboje zaczynają z sobą paplać, jakby

mnie tu w ogóle nie było.

– Ona jest najśłodsza istotką na świecie. Ten Julian ma pewnie jakiś kompleks niższości. Albo to jakiś, no ten, seksista czy jak im tam. Poniżej każdego, byle samemu poczuć się lepiej. Kompleks Napoleona. Kompleks Hitlera. Coś z nim mocno nie tak. – Tato odlicza to wszystko na palcach.

– Sama bym lepiej tego nie ujęła. Tato, zaklej post-item prawy dolny róg ekranu, żeby przestała się oglądać. Nie patrzy na mnie, jak powinna.

– Może beznadziejnie się w niej zakochał – zmyśla optymistycznie mama, po raz pierwszy spoglądając do kamery właściwie.

A mój żołądek wykonuje salto. Bo widzę przelotnie także własną twarz: glinianą maskę zastygłą w grymasie przerażenia i zdumienia.

Tato wciąż cały się jeży.

– W takim razie debilnie to okazuje, nie uważasz? Ona przez niego przechodzi piekło w robocie. Niech ja go tylko spotkam, będzie musiał czołgać się u jej stóp, powiadam ci. Słyszysz, Luce? Poradź mu, żeby się opamiętał, bo inaczej twój tato wsiądzie do samolotu i zamieni z nim kilka słów.

Wizja ich dwóch stojących twarzą w twarz jest doprawdy dziwaczna.

– Nie zawracaj sobie tym głowy, tato.

Mama natychmiast korzysta z tej bocznej furtki.

– A skoro już mowa o samolotach, moglibyśmy podesłać ci trochę pieniędzy na konto, tobyś sobie zarezerwowała bilet i wreszcie nas odwiedziła. Nie widzieliśmy się od tak dawna. Szmata czasu, Lucy.

– Tu nie chodzi o pieniądze, tylko o zdobycie tego czasu – staram się powiedzieć, ale oboje znowu mnie zagadują, tworząc niezrozumiałą kakofonię błagania, apelowania i wyklócania się. – Przylecę, jak tylko wskrobie trochę czasu, ale możliwe, że to się nie stanie tak prędko. Jeśli awansuję, będę dość mocno zajęta. Ale jeśli nie... – Przyglądam się uważnie klawiaturze.

– Tak? – pyta ostrym tonem tato.

– Wtedy będę musiała poszukać innej pracy – przyznaję. Podnoszę wzrok.

– To się rozumie samo przez się. Nie będziesz przecież pracowała dla tego

osła Justina. Ale byłoby rzeczywiście miło, gdyby przyjechała do domu. –

Tato zwraca się teraz do mamy: – Księgowość nam się nie zgadza. Potrzebujemy dodatkowych mocy intelektualnych.

Widzę, że mama nadal się zamartwia moją sytuacją zawodową. Jest bardzo oszczędna i mieszka na farmie od bardzo dawna, dlatego wyobraża sobie, że wielkie miasta są obrzydliwie drogie i hałaśliwe. I raczej się nie myli. Zarabiam nie najgorzej, ale po opłaceniu czynszu mój budżet robi się nieźle napięty. A sama myśl o poszukaniu sublokatora napawa mnie dreszczem zgrozy.

– Jak ona...

Tato ją ucisza i macha ręką, jakby wizja porażki była kłębem dymu, który można odegnąć.

– Nie przejmuj się tak. To Johnnie wylądował na bezrobociu i to on będzie spał pod mostem, nie ona.

– Ależ mowy nie ma, żeby ona miała spać pod mostem! – wykrzykuje mama, wyraźnie już przerażona.

– A pogodziłaś się już z tą przyjaciółką, z którą kiedyś pracowałaś? Z Valerie czy jak jej tam było?

– Nie pytaj jej o to, to ją denerwuje – strofuje go mama.

Tato unosi ręce na znak, że się poddaje, i wbija wzrok w sufit.

Fakt, to pytanie rzeczywiście mnie denerwuje, ale odpowiadam mu spokojnym tonem:

– Po fuzji udało mi się spotkać z nią na kawie i wytłumaczyć jej, jaka była moja rola, ale ona straciła pracę, a ja nie. I nie potrafiła mi wybaczyć. Powiedziała, że prawdziwa przyjaciółka by ją ostrzegła.

– Ale przecież ty nic nie wiedziałaś... – zaczyna tato.

Kiwam głową. To prawda. Ale do dzisiaj zmagam się wiecznie z tą myślą, czy jednak nie należało spróbować jakoś ją wybronić.

– Zaczęłam się nawet zaprzyjaźniać z jej znajomymi... ale nic, jest, jak jest. Znowu znalazłam się w punkcie wyjścia. – Smutna, samotna ofiara losu.

– Ale przecież w wydawnictwie na pewno są inni ludzie, z którymi mogłabyś się zaprzyjaźnić – mówi mama.

– Nikt nie chce się ze mną zaprzyjaźnić, mamó. Pewnie myślą, że wypaplam ich sekrety szefowej. Czy możemy już zmienić temat? W tym tygodniu ucięłam sobie pogawędkę z takim jednym. – Natychmiast gorzko żałuję, że to powiedziałam.

– Oooch – wykrzykują unisono. – Oooch! – I wymieniają znaczące spojrzenia.

– Miły jest?

O to zawsze pytają na pierwszym miejscu.

– O tak. Jest bardzo miły.

– Jak ma na imię?

– Danny. Pracuje w dziale grafiki. Nie umówiliśmy się czy coś, ale...

– Jak cudownie! – zachwyca się mama w tym samym momencie, w którym tato wykrzykuje: – Nareszcie!

Zasłania kciukiem mikrofon i zaczynają swoje spekulacje, brzęcząc jak rój szerszeni.

– Jak już powiedziałam, nie umówiliśmy się na randkę. Nawet nie wiem, czy on tego chce. – Myślę o Dannym, o tym spojrzeniu, którym obrzucił mnie z ukosa, wyginając usta w uśmiechu. On tego chce.

Tato mówi tak głośno, że mikrofon chwilami zniekształca jego głos.

– Ty go powinnaś zaprosić. Takie siedzenie w biurze przez bite dziesięć godzin i obrzucanie błotem Jamesa musi wykańczać. Wyjdź na miasto, ciesz się życiem choć trochę. Włóż swoją czerwoną sukienkę imprezową. Jak się następnym razem spotkamy na Skypie, chcę usłyszeć, że to zrobiłaś.

– A czy tobie wolno umawiać się na randki z kolegami z pracy? – pyta mama i tato spogląda na nią krzywo. Negatywne wizje i najgorsze scenariusze go nie interesują. Niemniej jej uwaga jest całkiem sensowna.

– Nie wolno, ale on odchodzi od nas. Będzie freelancerem.

– Miły chłopiec – mówi mama do taty. – Mam dobre przeczucia.

– Naprawdę powinnam już iść spać – przypominam im. Ziewam ostentacyjnie, powodując, że moja maseczka z glinki zaczyna pękać.

– Dobranoc, pa, pa, koteczku – ćwierkają melodyjnie. Słyszę jeszcze, jak mama mówi ze smutkiem: „Dlaczego ona nie przyjedzie do domu...”, gdy

tymczasem tato wciska klawisz „End”.

Prawda? Oboje traktują mnie jak celebrytkę czy też po prostu ucieleśnienie skończonego sukcesu, które od czasu do czasu raczy ich odwiedzić. Chwalą się mną przed znajomymi, co – powiem uczciwie – jest idiotyczne. Kiedy jadę do domu, czuję się jak krętaczka.

Podczas zmywania twarzy staram się ignorować Poczucie Winy Złej Córki, decydując, jakie przedmioty zabiorę z sobą, jeśli przyjdzie mi zamieszkać pod mostem. Śpiwór, nóż, parasolka, mata do jogi. Mogę na niej spać ORAZ ćwiczyć jogę, żeby zachować formę. A najcenniejsze smerfy będę trzymała w pudle po sprzęcie wędkarskim.

Na moim łóżku leży ksero z terminarza Joshui. Czas się zabawić w Nancy Drew. Niepokojące, że jakaś częśćka Joshui Templemana dokonała inwazji na moją sypialnię. Mózg podpowiada mi scenicznym szeptem: „Zaprzęgnij do pracy wyobraźnię!”. Gilotynuję tę myśl.

Oglądam dokładnie ksero. Pięć kresek przekreślonych szóstą – moim zdaniem to są klótnie. Odnotowuję to na marginesie. Sześć klótni tego szczególnego dnia. Całkiem prawdopodobne. Co do tych małych ukośników, to nie mam pojęcia. A te X? Myślę o kartkach walentynkowych i pocałunkach. Nic takiego nie dzieje się w naszym biurze. Pewnie tak podlicza te moje uchybienia, o których mógłby donieść do działu HR.

Zamykam laptop i odkładam go, szoruję zęby i kładę się do łóżka.

Szydercza uwaga Joshui na temat ubrań, w których przychodzę do pracy – moich „dziwacznym kostiumików w stylu retro” – skłoniła mnie do odszukania małej czarnej na tyłach szafy, z zamiarem włożenia jej jutro. Ta sukienka to całkowite przeciwieństwo szarej szmizjerki sięgającej kostek. Moja talia w niej wydaje się naprawdę wąska, a tyłek jest niesamowity. Skrzyżowanie Calineczki z Jessicą Rabbit. On uważa, że widział w życiu małe ubrania? To jeszcze nic nie widział.

Takie chuchra jak ja sprawiają zazwyczaj wrażenie uroczych, a nie władczych, dlatego idę na całość. Moje kabaretki są takie cieniusieńkie, że w dotyku przypominają drobną kaszkę. Z kolei czerwone pantofle wydłużają mnie do niebotycznego metra sześćdziesiąt cztery.

Jutro nie będzie ani jednej wzmianki o truskawkach. Joshua Templeman opluje się kawą, kiedy wejdę. Nie wiem, dlaczego tego chcę – ale chcę.

Oj, nie powinno się myśleć o takich rzeczach przy zasypianiu, bo można się nieźle zakałapuścić.

Rozdział 5

To mi się śni prawdopodobnie dlatego, że jego imię chodziło mi po głowie, kiedy zasypiałam. Jest sam środek nocy, a ja leżę na brzuchu, z policzkiem wciśniętym w poduszkę. A on obejmuje mnie ramionami od tyłu, wciśnięty w moje plecy, ciepły jak światło słońca. Mówi mi coś do ucha, gorącym szeptem, jednocześnie napierając biodrami na mój tyłek.

„Już ja cię zajadę. Już. Ja. Cię. Zajadę”.

Wiem teraz bardzo dokładnie, jaki on jest ciężki i potężny. Próbuję wcisnąć się w niego, żeby jeszcze raz poczuć jego masywny kształt, ale on wymawia pomrukiem moje imię takim tonem, jakby udzielał mi reprimendy, i przesuwa się w górę, opasując kolanami moje biodra. Jego palce gładzą z boku moje piersi. Czuję jego oddech na karku, a sama oddycham z wielkim trudem. On jest zbyt ciężki, a ja zanadto podniecona. Wrażliwe na dotyk, zapomniane części mojego ciała płoną na powrót życiem. Drapię opuszkami palców o prześcieradło, od tego tarcia zaczyna mnie w nich piec jak od oparzenia.

Nagle dociera do mnie, że mam mokry sen z udziałem Josha, i chwilę kolebię się na progu przebudzenia, a jednak nie otwieram oczu. Muszę sprawdzić, co z tym wszystkim zrobi mój umysł. I po kilku minutach znowu zapadam w sen.

„Zrobię, co tylko zechcesz, Lucindo. Ale będziesz musiała poprosić”.

Przemawia teraz flegmatycznym tonem, którego czasem używa w stosunku do mnie z towarzyszeniem dziwnego wyrazu twarzy. Jakby patrzył na mnie przez otwór w ścianie i wiedział, jak wyglądam, nawet rozebrana do naga.

Obracam głowę i widzę jego nadgarstek, widzę rozpięty mankiet jego biznesowej koszuli, bez spinki. Widzę niewielki fragment jego nadgarstka:

włosy, żyły, ścięgną. Dłoń się zaciska, a ja czuję w środku rozkoszny spazm na samą myśl, że go sobie podporządkowałam.

Nie widzę jego twarzy. I mimo że mogę tym wszystko zepsuć, przewracam się na plecy, zaplątując w pościel. I staję się też więźniem jego rąk i nóg. Dociera do mnie, że jestem podniecona, i kiedy tak patrzę w te jego cudowne granatowe oczy, czuję, że zwilgotniałam. Wydaję z siebie teatralny okrzyk przestrawu. Odpowiada mi ochrypli śmiech.

„Tak bardzo się boję”. Nie widać, by było mu przykro z tego powodu.

Tyle tego rozkosznego ciężaru wbijającego mnie w łóżko. Te biodra i te ręce. Poruszam się jak wąż pod Joshuą ze snu, wiem, że on zagryza wargi, byle nie jęknąć głośno, i nagle uświadamiam sobie coś szokującego.

„Ty mnie przecież rozpaczliwie pożadasz”.

Te słowa wypadają z moich ust: jest w nich sama prawda, nie da się im zaprzeczyć. Pocałunek w miejsce na mojej szyi, gdzie pulsuje tętno, potwierdza tylko to, co już wiem. To coś silniejszego niż zwykle zauroczenie; to coś mroczniejszego niż pożądanie. To jest ta nerwowość między nami, która nigdy nie znajdowała prawdziwego ujścia, aż do teraz. Moja kremowa pościel staje w płomieniach.

„Zapętliliś się dookoła mnie”. Czuję dłonie sunące po moim ciele, dłonie, które gładzą badawczo krągłości. Guziki odskakują, szwy puszczają. Obiera mnie z kolejnych warstw, staję się przedmiotem gruntownej inspekcji. Jego zęby mnie gryzą, pożerają. Nigdy jeszcze nie doprowadziłam nikogo do takiego stanu, żeby z mojego powodu płonął. Jestem bezwstydnie podniecona i mimo że leżę na plecach, to, co widzę w jego oczach, potwierdza, że ja wygrywam w tej grze. Próbuję przyciągnąć go do siebie, przymusić, by mnie pocałował, ale on odpowiada unikiem i droczy się ze mną.

„Wiedziałaś od zawsze”, mówi mi i jego gorący uśmiech doprowadza mnie na sam skraj. Przytomnieję cała rozdygotana. Odrywam dłoń od szwu w mojej przepeconej piżamie, z twarzą rozgrzaną do czerwoności. Nie mam pojęcia, co teraz robić. Dokończyć to czy raczej wziąć zimny prysznic? Ostatecznie nie robię nic, tylko leżę.

Od mojej małej czarnej ułożonej w stopach łóżka, w mroku podobnej do

plamy, emanuje groźbą: wpatruję się w nią bardzo długo, aż wreszcie mój oddech spowalnia. A potem patrzę na tarczę mojego cyfrowego budzika. Mam cztery godziny na wyparcie tego wspomnienia.

Jest siódma trzydzieści, Dzień Kremowej Koszuli. Odbicie w drzwiach windy poświadcza, że mój prochowiec jest jednak dłuższy od ukrytej pod nim kusej sukienki; wyglądam jak call girl z najwyższej półki w drodze do hotelowego penthouse'u, ubrana w samą bieliznę i płaszcz dla niepoznaki.

Musiałam dzisiaj przyjechać autobusem. Ledwie udało mi się wsiąść bez pokazania majtek i w momencie, gdy drzwi zamknęły się za mną, wiedziałam, że z tą sukienką to katastrofalny błąd. Entuzjastyczna seria klaksonów z mijającej mnie po drodze ciężarówki, kiedy chwiejnymi krokami szłam po chodniku w stronę B&G, tylko to potwierdziła. Gdyby sklepy odzieżowe były otwarte o tak wczesnej porze, weszłabym do któregoś ukradkiem i kupiłabym jakieś spodnie.

Dam radę. Muszę tylko usiąść i już nie wstawać aż do końca dnia. Drzwi windy się rozsuwają i oczywiście widzę Josha siedzącego za biurkiem. Dlaczego przychodzi do pracy tak cholernie wcześnie? On w ogóle wraca do domu na noc? Czy raczej sypia w kotłowni, w jakiejś szufladzie przytarganej z kostnicy? Pewnie mógłby zapytać mnie o to samo.

Liczyłam, że będę miała parę minut w samotności, żeby jakoś sobie zorganizować długi dzień na krześle. A tymczasem on już tu jest. Ukrywam się za wieszakiem na płaszcze i udaję, że szukam czegoś w torebce, żeby zyskać trochę czasu.

Jeśli skupię się na sukience, traktując ją jako najważniejszy problem, to wtedy uda mi się ignorować atakujące mnie wspomnienia po dzisiejszym śnie. Joshua odrywa wzrok od swojego terminarza, nie wypuszczając ołówka z ręki. Mimo że się na mnie gapi, zaczynam rozplątywać pasek płaszcza, ale nie jestem w stanie zrobić tego do końca. Błękit jego oczu jest jeszcze żywszy niż w moim śnie. Patrzy na mnie, jakby był zajęty czytaniem mi w myślach.

– Coś zimno tu, prawda?

Wydymając usta z irytacją, robi ręką kilka kółek w powietrzu, jakby chciał powiedzieć: „Dobra, dobra, do roboty!”. Biorę głęboki wdech, zbrojąc się wewnątrz, zdejmuję w końcu płaszcz i wieszam go na moim specjalnym, wyściełanym wieszaku. Czuję tarcie drobniutkich oczek w kabaretkach, kiedy idę w stronę biurka. Można rzec, że jestem ubrana w kostium pływacki.

Widzę, jak wbija wzrok w terminarz; jego ciemne rzęsy tworzą półksiężycowe cienie na policzkach. Wygląda tak bardzo młodo, to znaczy do momentu, gdy zadziera głowę i jego oczy robią się oczami mężczyzny, badawczymi i twardymi. Czuję, że dygoczą mi kostki.

– O ja cię – cedzi, a ja zauważam, że jego ołówek robi jakiś znaczek w terminarzu. – Masz dzisiaj gorącą randkę, Babeczko?

– Owszem – kłamię z automatu, na co on z cyniczną miną zakłada ołówek za ucho.

– Ależ opowiedz.

Usiłuję posadzić tyłek na skraju biurka, w taki sposób, by to wyszło nonszalancko. Czuję pod udami, jakie to szkło jest zimne. Straszny błąd, ale nie mogę wstać, wyszłabym na idiotkę. Oboje gapimy się na moje nogi.

Patrzę na swoje pantofle barwy jaskrawej czerwieni i widzę niewyraźnie to, co mam pod sukienką, bo te płytki na podłodze tak lśnią. Pasemko włosów opada mi na jedno oko. Jeśli się skupię na tej durnej kiecce, to uda mi się zapomnieć, jak bardzo mój mózg pragnie, żeby on mnie lizał, gryzł, rozbierał...

– Co jest? – Chociaż tym razem jego głos brzmi normalnie. – Co się stało?

Z roztargnieniem skubię nieregularne oczko w swoich kabaretkach. Bez wątplenia na twarzy mam wymalowane to, co mi się śniło. Moje policzki robią się ciepłe. A on jest ubrany w kremową koszulę, miękką i jedwabistą jak pościel w tym śnie. Mam zdecydowanie zбочoną podświadomość. Próbuję nawiązać z nim kontakt wzrokowy, ale tchórzę i ostatecznie udaje mi się przemaszerować do krzesła, o dziwo pewnym krokiem. Szkoda, że nie mogę wymaszerować stąd, w stronę swojego domu.

– Hej. – To mówi już ostrzejszym tonem. – Co jest? No powiedz mi.

– Miałam... miałam sen. – Mówię to takim tonem jak ktoś, kto oznajmia, że babcia nie żyje. Siadam na krześle, zaciskając kolana tak mocno, że słyszę odgłos mielenia kości.

– Opisz ten sen. – Znowu trzyma ołówek w ręku, a ja przypominam teraz teriera, który przysiadł na zadzie i jak zahipnotyzowany przygląda się ruchom noża i widelca. Zaczynamy uprawiać Słowny Ping-Pong. Przegrywa ten, kto pierwszy nie zdoła wymyślić odpowiedzi. – Jesteś cała czerwona na twarzy. I na szyi też.

– Przestań się na mnie gapić. – Oczywiście ma rację. Lustrzane wnętrze to potwierdza.

– Nie mogę. Znajdujesz się na linii mojego wzroku.

– A jednak spróbuj.

– Rzadko się widuje taki interesujący dobór stroju do miejsca pracy. To znaczy tak odsłaniającego uda. W podręczniku HR dotyczącym stosownego ubioru biznesowego w...

– Nie jesteś w stanie oderwać oczu od moich ud na dostatecznie długi czas, by zajrzeć do poradnika. – To prawda. Niby spojrzenie ma wbite w podłogę, ale sekundę później ono się przenosi na moją kostkę i zaczyna wolno sunąć w górę. Mam wrażenie, że po mojej nodze przemieszcza się czerwona plamka z celownika snajpera.

– Nauczyłem się go na pamięć.

– To w takim razie wiesz, że uda nie stanowią stosownego tematu do rozmowy. Ale jeżeli dostanę swoją szmizjerkę, to pewnie będziesz je żegnał z wielką czułością.

– Już się nie mogę doczekać. To znaczy dnia awansu. Nie twoich ud... Nieważne zresztą.

– Możesz sobie dalej marzyć, zboczeńcu. – Wpisuję hasło. Poprzednie się przedawniło. Teraźniejsze brzmi: ZDYCHAJ-JOSH-ZDYCHAJ! – Ja dostanę to stanowisko, nie ty.

– No to z kim idziesz na randkę?

– Z facetem. – I znajdę go, mam czas do końca godzin pracy. Wynajmę go za pieniądze, jeśli będę musiała. Zadzwońię do agencji oferującej męskich

modeli i poproszę o towar dnia. Przyjedzie po mnie limuzyną i Joshua wyjdzie na skończonego debila.

– Na którą się umówiłaś?

– Na siódmą – strzelam.

– A gdzie się umówiłaś? – Powoli rysuje ołówkiem jakiś znaczek. X? Ukośnik? Nie widzę.

– Jesteś bardzo zainteresowany. A czemuż to?

– Badania wykazały, że jeśli menedżerowie okazują zainteresowanie życiem osobistym swoich pracowników, to przyczyniają się do podwyższenia ich morale i sprawiają, że ci czują się docenieni. Jak widzisz, wprawiam się, żeby potem jak najlepiej pełnić rolę twojego szefa. – Jego tyradzie na temat profesjonalizmu przeczy dziwnie intensywny wyraz oczu. Naprawdę go to wszystko wessało.

Obdarzam go miną omdlewającego łabędzia.

– Umówiłam się z nim na drinka w barze dla kibiców przy Federal Avenue. I ty nigdy nie zostaniesz moim szefem.

– Cóż za kapitalny zbieg okoliczności. Wybieram się tam dzisiaj oglądać mecz. O siódmej.

Moja sprytna bajeczka okazała się taktycznym błędem. Przyglądam mu się uważnie, ale nie potrafię określić, gdzie kończy się jego twarz, a zaczyna kłamstwo.

– Więc może się tam zobaczymy – ciągnie. W twarzy ma coś szatańskiego.

– Jasne, może – mówię znudzonym głosem, żeby się nie zorientował, że w istocie gotuję się i panikuję wewnątrz.

– A wracając do tego snu. Był w nim jakiś mężczyzna, prawda?

– Rzeczywiście był. – Moje oczy bez zezwolenia wyruszają na wycieczkę po jego ciele. Chyba dostrzegam zarys obojczyka. – To był bardzo erotyczny sen.

– Powinienem napisać maila do Jeanette – mówi po chwili przerwy słabym głosem. I dziwnie schrypniętym. Bardzo nieskutecznie udaje, że coś pisze, ale nawet nie patrzy na ekran.

– Powiedziałaś „erotyczny”? Chciałam powiedzieć ezoteryczny. Zawsze myślę jedno z drugim.

Joshua mruży jedno oko.

– Twój sen był... tajemniczy?

Na to nie mam odpowiedzi. Najwyższy czas zaryzykować przejście przez ludzki wykrywacz kłamstw.

– Był pełen symboli i ukrytych znaczeń. Zagubiłam się w jakimś ogrodzie i spotkałam tam mężczyznę. Kogoś, z kim spędzam wiele czasu, ale tym razem sprawiał wrażenie obcej osoby.

– Mów dalej – zachęca mnie Joshua.

Jak dziwnie się z nim rozmawia, kiedy na twarzy nie ma tej maski znudzenia.

Zakładam nogę na nogę, najbardziej elegancko, jak potrafię; jego oczy błyskawicznie zaglądają pod moje biurko, a potem przenoszą się z powrotem na twarz.

– Leżałam opatulona w swoją pościel, ale pod spodem byłam zupełnie naga – mówię ufnym tonem, po czym na moment zawieszam głos. – To pozostanie między nami, prawda?

Joshua kiwa głową jak zahipnotyzowany, a ja w myślach przybijam piątkę z samą sobą za wygranie Słownego Ping-Ponga.

Muszę przedłużyć ten moment; nieczęsto zdobywam taką przewagę. Powoli maluję usta, przeglądając się w ścianie jak w lustrze. Używam zawsze pomadki w odcieniu, który nazywa się Miotacz Ognia, i to mój znak firmowy. Podstępna, gwałtowna, trująca czerwień. Czerwień poderżniętych nadgarstków. „Kolor majtek diabła”, zdaniem taty. Mam tych pomadek taki zapas, że zawsze w promieniu metra znajduję przynajmniej jedną. Jestem zasadniczo czarno-biała, ale dzięki Miotaczowi Ognia potrafię się jawić w technikolorze. Żyję w strachu, że producent przestanie ją wytwarzać, stąd to obsesyjne chomikowanie.

– No więc idę przez ten ogród, a ten mężczyzna mnie ściga. – Dzisiaj jestem patologiczną kłamczuchą. Oto co ze mną robi Joshua Templeman. – Jest tuż za mną. Tak jakby przylega do mnie. Wręcz przyciska się do mojego

tyłka.

Wstaję i uderzam się głośno w pośladek, żeby udramatyzować opowieść. Te słowa brzmią tak wiarygodnie, bo zasadniczo są prawdziwe. Joshua powoli kiwa głową i widzę po ruchach jego grdyki, że przełyka ślinę, jednocześnie wodząc wzrokiem po mojej sukience.

– Tak jakby rozpoznaję jego głos. – Milknę na pół minuty, żeby przycisnąć chusteczkę do ust i usunąć z nich nadmiar pomadki, po czym podnoszę tę chusteczkę i przez chwilę podziwiam czerwone serduszko, a dopiero potem ją mnę i wyrzucam do kosza stojącego przy moich nogach. Jeszcze raz maluję usta.

– Zawsze musisz to robić dwa razy? – Joshua jest wyraźnie zirytowany tym męczącym stylem opowiadania. Ze zniecierpliwieniem bębni palcami o blat biurka.

Mrugam.

– No przecież nie chcę, żeby zostawiała ślady, kiedy będę się całowała, nie rozumiesz?

– A dokładnie z kim się umówiłaś? Jak on się nazywa?

– Taki jeden. Zmieniasz temat, ale nie ma sprawy. Przepraszam, że cię nudzę. – Siadam i klikam myszą, budząc komputer do życia.

– Ależ skąd – zapewnia mnie głosem tak zduszonym, jakby uszło z niego całe powietrze. – Wcale się nie nudzę.

– OK. No więc jestem w ogrodzie i ten ogród... wszystko się w nim odbija. Jakby był wyłożony lustrami.

Joshua przytakuje, sunąc łokciem po biurku, z podbródkiem wspartym na dłoni. Centymetr po centymetrze przesuwam krzesło w tył.

– A ja... – Urywam i zerkam na niego. – Nie, to nieważne.

– A ty co? – wykrzykuje to tak głośno, że prawie spadam z krzesła.

– „Kto ty jesteś?”, pytam. „Dlaczego mnie tak bardzo pożądasz?”. A kiedy mi mówi, jak ma na imię... przeżyłam niesamowity szok...

Joshua dynda na mojej wędce – naprawdę jest jak ryba, która połknęła haczyk i teraz się na nim miota. Czuję, że dzielące nas powietrze wibruje od napięcia.

– Podejź tu, muszę ci to powiedzieć na ucho – mruczę, oglądając się w lewo i prawo, choć oboje wiemy, że w promieniu wielu mil od nas nie ma żywej duszy.

Joshua odruchowo kręci głową, a ja zerkam na jego kolana. Nie tylko on może zaglądać pod biurko.

– Ho-ho – próbuję strugać cwaniaczkę, ale ku mojemu zdumieniu jego policzki zaczynają płonąć. Joshua Templeman jest napalony w mojej obecności. Dlaczego to sprawia, że mam ochotę dręczyć go jeszcze bardziej? – No to ja podejść i ci powiem. – Wyłączam ekran komputera.

– Nie musisz.

– Muszę. Muszę koniecznie się zwierzyć. – Podchodzę powoli i układam dłonie na skraju jego biurka. A on patrzy na moje nogi w kabaretkach z wyrazem takiej udręki, że prawie mi go żal.

– To zupełny brak profesjonalizmu. – Zerka na sufit w poszukiwaniu natchnienia, aż wreszcie je znajduje. – HR.

– HR to twoje bezpieczne słowo? OK. – W świetle jarzeniówek sprawia wrażenie irytująco zdrowego i złotego, jego cera jest gładka, pozbawiona jakichkolwiek niedoskonałości. A jednak widzę cieniutką powłoczkę potu. – Spociałeś się. – Biorę post-ity z jego biurka i powoli składam na pierwszym wielki pocałunek. Odrywam karteczkę i przyklejam ją na środku jego ekranu. – Mam nadzieję, że to nie z powodu jakiejś choroby. – Oddalam się w stronę kuchni. Słyszę ciche zgrzytanie kółek jego krzesła.

„Ciesz się życiem choć trochę”.

W przegrodzie Danny’ego trwa sprzątanie i panuje lekki chaos. Wszędzie stoją kartony, stosy papieru i różne dokumenty.

– Cześć!

Podrywa się nerwowo i robi nierówną, szarą smugę na fotografii autora, którą właśnie obrabiał w Photoshopie. Masz wdzięk słonicy, Lucy.

– Przepraszam. Powinnam nosić przy sobie dzwonek.

– Nie, nie ma sprawy. Cześć. – Wcisną „cofnij”, „zapisz” i potem obraca się na krzesło, omiatając mnie wzrokiem od głowy do stóp, prędko jak

błyskawica, po czym na dodatkowe kilka sekund zahacza o rąbek mojej sukienki.

– Cześć. Chciałam spytać, czy masz już jakieś pomysły na wynalazki, nad którymi moglibyśmy popracować?

Nie wierzę własnym uszom, że jestem taka bezpośrednia, ale znalazłam się przecież w rozpaczliwej sytuacji. Tu stawką jest moja duma. Ktoś musi usiąść obok mnie przy barze dziś wieczorem albo Joshua zdechnie ze śmiechu.

Na twarzy Danny'ego wykwita szeroki uśmiech.

– Mam do połowy skończony wehikuł czasu, mogłabyś na niego spojrzeć.

– Wehikuły czasu to zasadniczo proste urządzenia. Chętnie pomogę.

– Podaj czas i miejsce.

– Bar dla kibiców przy Federal? Dzisiaj o siódmej?

– Fantastycznie. Czekał, dam ci wizytówkę z moim numerem.

Nasze palce ocierają się o siebie, kiedy podaje mi wizytówkę. Proszę, proszę. Jaki miły chłopiec. Gdzie on się ukrywał przez cały ten czas?

– Do zobaczenia wieczorem. Przynieś, hm, projekt. – Lawiruję między przegrodami i wspinam się z powrotem na najwyższe piętro, mentalnie otrzępując ręce.

Czas zabrać się do pracy. Zasiadam na krześle i zaczynam pracować nad ramową propozycją naszej gotowości do zorganizowania imprezy na rzecz budowania zespołu. Na samym dole zamieszczam dwa miejsca na podpisy, podpisuję się i wrzucam wydruk do koszyka Josha na korespondencję przychodzącą. A on jest taki łaskawy, że bierze go do ręki dopiero po dwóch godzinach. I czyta przez mniej więcej cztery sekundy. Podpisuje się i wrzuca dokument do koszyka na pocztę wychodzącą, nawet nie patrząc, co robi. Przez całe to popołudnie jest w dziwnym nastroju.

Składam palce w wieżyczkę i zaczynam Grę w Spojrzenia. Mijają jakieś trzy minuty, ale w końcu wzdycha i wyłącza ekran. Wpatrujemy się sobie w oczy tak głęboko, że w końcu sprawia to wrażenie spotkania w jakimś mrocznym komputerowym królestwie 3-D, gdzie nie ma nic oprócz zielonych linii siatki i milczenia.

– No to jak jest? Zdenerwowana?

– A niby czemu miałabym być zdenerwowana?

– Twoja wielka randka, Babeczko. Bo dawno nie byłaś na randce. Wydaje mi się, że odkąd cię poznałem. – Przy słowach „wielka randka” pokazuje palcami znak cudzysłowu. Jest absolutnie przekonany, że to jedna wielka bujda z chrzanem.

– Jestem szalenie wybredna.

Splata palce z taką siłą, że chyba musi go to boleć.

– Powiadasz.

– Straszna tu posucha, jeśli idzie o mężczyzn do wzięcia.

– To nieprawda.

– Czyżbyś sam szukał dla siebie kawalera?

– Ja... nie... och, zamknij się.

– Masz rację. – Na ułamek sekundy patrzę na jego usta. – Wreszcie kogoś znalazłam w tym przeklętym miejscu. Mężczyznę moich marzeń. – Znacząco unoszę brew.

Josh gładko znajduje związek z naszą poranną rozmową.

– Wynika z tego jednoznacznie, że przyśnił ci się ktoś z pracy.

– Tak. Niebawem odchodzi z B&G, więc chyba będę musiała wykazać się inicjatywą.

– Jesteś tego pewna.

– Jestem. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz mrugał. Jego oczy zrobiły się czarne i przerażające. – Znowu masz te oczy seryjnego mordercy. – Wstaję i wydaję z koszyka swój projekt. – Zrobię ci kopię dla Małego Tłustego Rysia. Nie spieprz mojego dzieła, Joshua. Ty się nie znasz na budowaniu zespołu. Pozostaw to ekspertowi.

Kiedy wracam, Joshua już nie jest taki pochmurny, ale ma potargane włosy. Odbiera ode mnie dokument, na którym przybiłam stempel z napisem KOPIA.

Przygląda się dokumentowi, a ja rejestruję dokładnie ten moment, kiedy wpada na pomysł; w podobnym bezruchu zastyga zniecka lis, kiedy wałęsa się obok kurnika i zauważa, że ktoś nie domknął furtki. A teraz patrzy na

mnie roziskrzonym wzrokiem. Zagryza dolną wargę i wyraźnie się waha.

– Cokolwiek sobie myślisz, nie rób tego.

Bierze do ręki długopis i pisze coś na samym dole. Próbuje dojrzeć co, ale on wstaje i podnosi kartkę tak wysoko, że dotyka nią sufitu. Nie stanę na palcach, w tej sukience nie zaryzykuję.

– Jak mógłbym się oprzeć? – Okrąża swoje biurko i przechodząc obok mnie, gładzi kciukiem mój podbródek.

– Coś ty zrobił? – rzucam w stronę jego pleców, kiedy wchodzi do gabinetu pana Bexleya. Natychmiast gnam do gabinetu Helene, pocierając podbródek.

– Zgadza się – mówi Helene, kładąc dokument na boku. – To dobry pomysł. Zauważyłaś, że Gamini i Bexleye siedzieli osobno podczas zebrania? Jestem już tym zmęczona. Od dnia zaplanowania fuzji do niczego zespołowo nie doszliśmy. Jestem zachwycona, że chociaż ty i Josh doszliście razem.

Mam nadzieję, że mój walnięty mózg nie zarejestruje tego ostatniego zdania, brzmiącego jakże dwuznacznie.

– Pracujemy nad naszymi różnicami. – Mówię to takim głosem, że ani trochę nie słyhać w tym kłamstwa.

– Porozmawiam o tym z Bexleyem o czwartej, podczas naszej codziennej naparzanki. Jakie masz pomysły?

– Znalazłam ośrodek korporacyjny, tylko piętnaście minut od autostrady. Miejsce tego typu, gdzie wszystkie ściany są obwieszane białymi tablicami.

– Boję się kosztów. – Helene wykrzywia się, jak to zresztą przewidziałam.

– Panuję nad liczbami. Nie wykorzystaliśmy budżetu na szkolenia w bieżącym roku finansowym.

– Więc co będziemy robić w tym korporacyjnym gniazdku miłosnym?

– Już wymyśliłam kilka zajęć na rzecz pogłębiania integracji. Z udziałem na zasadzie karuzeli, dzięki czemu oba zespoły będą się z sobą rotacyjnie mieszały. Chętnie zostanę mediatorką w tym dniu. Chcę, żeby ta wojna między Bexleyami i Gaminami wreszcie się skończyła.

– Ludzie nie cierpią zajęć zespołowych – wskazuje Helene.

Ma rację. Jeśli idzie o korporacje, jest to powszechnie znany fakt, że

pracownicy woleliby jeść szkielety szczurów, niż uczestniczyć w zajęciach zespołowych. Wiem, bo sama bym jadła. Ale dopóki modele budowania zespołu w biznesie przyczyniają się do znacznego postępu, będę z nich korzystać.

– Na samym końcu dla uczestników, którzy się najbardziej przyłożą i wniosą największy wkład, jest przewidziana nagroda. – Na chwilę zawieszam głos dla lepszego efektu. – Płatny dzień wolny.

– To mi się podoba – chichocze Helene.

– Ale niestety Joshua coś knuje – ostrzegam, a ona kiwa głową.

O czwartej Helene jak co dnia wchodzi na arenę Koloseum. I jak co dnia słyszę, jak na siebie pokrzykują.

O piątej Helene wyłania się z gabinetu pana Bexleya i zirytowana podchodzi do mojego biurka.

– Josh – rzuca przez ramię głosem zabarwionym nie-chęcią.

– Pani Pascal, jak się pani miewa? – Nad głową Joshui unosi się dziwna poświata.

Helene ignoruje go.

– Kotuś, tak mi przykro. Rzucaliśmy monetami i przegrałam. Wykorzystamy pomysł Josha na budowanie zespołu. Jak to się nazywa? Paintball?

O słodki Jezuniu, tylko nie to!

– Tego nie było w zaleceniach. Wiem to doskonale, bo to ja je napisałam.

Joshua uśmiecha się, choć nie wiem, czy to właściwe określenie. Ten niby-uśmiech iskrzy mu się na twarzy jak hologram. Wybija z niego falami, które dziwnie wibrują.

– Pozwoliłem sobie przedstawić panu Bexleyowi alternatywne rozwiązanie. Paintball. Dowiedziono, że jest to bardzo skuteczny sposób na budowanie zespołu. Świeże powietrze, ćwiczenia fizyczne...

– Obrażenia cielesne i potem roszczenia od ubezpieczyciela – naskakuje na niego Helene. – Koszty.

– Ludzie zapłacą dwadzieścia dolarów z własnych pieniędzy, żeby postrzelać do kolegów kulkami z farbą – zapewnia ją Joshua, gapiąc się przy

tym na mnie. – Firma nie zapłaci ani grosza. Będą podpisywali zobowiązania. Podzielimy się na drużyny.

– Kochany, w jaki sposób ma się to przyczyniać do budowania zespołu, jeśli dzielimy ludzi i dajemy im broń do strzelania farbą?

W trakcie gdy oni kłócą się z udawaną uprzejmością, ja cała się gotuję. Joshua ukradł moją inicjatywę i sprowadził ją na infantylny, prymitywny poziom. Jak przystało na Bexleya.

– Może będziemy świadkami powstawania nieprawdopodobnych sojuszy – mówi Joshua.

– W takim razie chcę, abyście wy dwoje tworzyli parę – mówi wyniośle Helene, a ja jestem gotowa ją uściskać. Nie będzie mógł strzelać do członka swojej drużyny.

– Jak powiedziałem, nieprawdopodobne sojusze. Ale nie wytrącajmy Lucindy z równowagi przed jej gorącą randką.

– To prawda, Lucy? – Helene uderza otwartą dłonią w moje biurko. – Randka? Rano czekam na szczegółowe sprawozdanie, kotuś. I możesz przyjść później, jeśli chcesz. Przepracowujesz się. Skorzystaj choć trochę z życia.

Rozdział 6

O szóstej trzydzięci zaczynają mi podrygiwać kolana.

– Ty się chyba spóźnisz?

– Nie twój zakichany interes. – Cholera jasna, czy ten Joshua kiedykolwiek stąd wyjdzie? Pracuje już jedenastą godzinę, a jest świeży jak ten pączek różany. Chętnie bym się uwalila na własne łóżko. Twarzą w dół.

– Nie mówiłaś przypadkiem, że jesteś umówiona na siódmą? Jak tam dojedziesz?

– Taksówką.

– Też jadę w tamtą stronę. Podwiozę cię. Nalegam. – Podczas całej tej rozmowy twarz Joshui stanowi obraz skrajnego rozbawienia. Czekał, aż się przyznam do kłamstwa. Przyjemnie jest wiedzieć, że mam asa w rękawie w postaci Danny’ego.

– Świetnie. Jak sobie życzysz. – Moja furia wywołana pirackim przejęciem pomysłu na budowanie zespołu już się wypaliła; pozostała po niej tylko pusta skorupa. Wszystko powoli wymyka się spiralnym ruchem spod kontroli.

Idę do toalety z kosmetyczką w ręku. Moje kroki rozchodzą się echem po puściuteńkim korytarzu. Od bardzo dawna nie byłam na randce. Za dużo pracuję. Między pracą, nienawidzeniem Joshui Templemana a snem nie mam czasu na nic innego.

Joshua nie potrafi uwierzyć, że ktoś chciałby spędzić czas w moim towarzystwie. Dla niego jestem odstręczającą, małą złością. Starannie obrysowuję oczy kredką w taki sposób, by przypominały kocie. Ścieram nadmiar pomadki, aż pozostaje tylko cień koloru. Spryskuję biustonosz perfumami, mrugam do siebie i wygłaszam w duchu przemowę zagrzewającą do wysiłku.

W bocznej kieszonce kosmetyczki mam parę wiszących kolczyków, wkładam je. Z biura prosto na wieczorne wyjście, dokładnie jak w scenariuszach opisywanych w czasopiśmie. Wychodząc z toalety, obciążam jeszcze biustonosz, i zderzam się czołowo z Joshem, który trzyma mój płaszcz i torebkę. Szok wywołany kontaktem z jego ciałem, zdaje się, można przyrównać do odczuć doświadczanych przy trzęsieniu ziemi.

Patrzy na mnie dziwnym wzrokiem.

– Po co to wszystko?

– Jezu, dzięki. – Wyciągam rękę, a on zawiesza na niej torebkę. Płaszcz jednak nie oddaje, tylko wciska przycisk windy. – No to nareszcie zobaczę twój samochód – mówię, starając się przerwać to milczenie, zwłaszcza że myśl o wspólnej jeździe bardziej działa mi na nerwy niż perspektywa spotkania z Dannym. Ta klaustrofobiczna przestrzeń. Czy Joshua i ja kiedykolwiek siedzieliśmy obok siebie? Wątpię. – Od dawna go sobie wyobrażałam. Stwierdziłam, że to pewnie garbus. Taki biały, zardzewiały, no, wiesz, garbi superbryka.

– Zgaduj dalej. – Joshua ściska mój płaszcz, mnąc w dłoniach mankiet. W zestawieniu z jego sylwetką ten płaszcz wygląda jak dziecięca kurteczka. Robi mi się żal własnego płaszcza. Wyciągam rękę, ale Josh nie reaguje.

– Albo mini cooper z początku lat osiemdziesiątych. Zielony jak Kermit. Nie da się odsunąć siedzenia, więc jesteś zmuszony opasywać kolanami kierownicę.

– Masz wyjątkowo bujną wyobraźnię. Ty jeździsz hondą accord rocznik 2003. W środku burdel i brudno. Nieustanne kłopoty ze skrzynią biegów. Gdyby był koniem, tobyś go zastrzeliła.

Przyjeżdża winda, wsiadam do niej ostrożnie.

– W śledzeniu jesteś znacznie lepszy ode mnie. – Robi mi się zimno ze strachu, kiedy patrzę na jego wielki kciuk wciskający przycisk „-1”.

Josh patrzy na mnie z góry ciemnymi i pałającymi oczami. Zastanawia się nad czymś intensywnie.

Może mnie tu zamorduje i wyląduję już jako trup w kubie na śmieci. Detektywi zobaczą moje kabaretki, mocno umalowane oczy i stwierdzą, że

pewnie byłam zwykłą dziwką. I pójdą zupełnie niewłaściwym tropem. A tymczasem Joshua spokojnie pozbędzie się mojego DNA za pomocą na przykład domestosu, a potem zrobi sobie kanapkę.

– Oczy seryjnego mordercy. – Nie podoba mi się, że w moim głosie słychać, jaka jestem przestraszona.

Joshua przegląda się w lśniącej ścianie windy nad moim ramieniem.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć. A ty masz te swoje oczy napalonej kobiety. – Wystawia palec i robi nim kilka dramatycznych kółek przed panelem przycisków.

– Ależ skąd, ja też mam oczy seryjnego mordercy.

Joshua oddycha głęboko, wciska alarm i winda zatrzymuje się z towarzyszeniem gwałtownych podrygów.

– Bardzo cię proszę, nie zabijaj mnie. Tu prawdopodobnie jest kamera. – Zdjęta paniką robię krok w tył.

– Wątpię. – Teraz majaczy nade mną niczym jakaś straszna góra. Podnosi rękę, a wtedy ja też zaczynam podnosić swoje, chcąc osłonić twarz jak bohaterka tandetnego horroru. Już wszystko wiem. On mnie zaraz udusi. Odbiło mu do końca.

A on tymczasem opasuje mnie ręką w pasie, podrywa z podłogi i sadza mój tyłek na poręczu, której istnienia wcześniej jakoś nie zauważyłam. Moje ramiona jakby samorzutnie opasują jego barki, a dół sukienki podjeżdża w górę ud. Joshua to zauważa i wypuszcza oddech tak chrapliwy, jakbym to ja jego dusiła.

– Zdejmij mnie z tego. To nie jest śmieszne. – Moje stopy wykonują drobne, nieskuteczne spiralne ruchy. To nie jest pierwszy taki raz, kiedy jakiś duży chłopak wykorzystuje przeciwko mnie swoje gabaryty. Marcus DuShay w trzeciej klasie podstawówki wrzucił mnie na maskę samochodu dyrektora szkoły i uciekł, rycząc ze śmiechu. Ot, ciężki los ludzików. Ten przerośnięty świat odbiera nam wszelkie prawo do godności.

– Odwiedź mnie tu w górze na sekundę.

– Na litość boską, po co? – Próbuję się ześlizgnąć z poręczu, ale on opasuje mnie dłońmi i przyciska do ściany. Ja z kolei ściskam jego ramiona,

ale ostatecznie dochodzę tylko do oczywistego wniosku, że jego ciało to jeden gigantyczny mięsień ukryty pod tymi koszulami w stylu Clarka Kenta. – Ożeż jasna cholera. – Niby dotykam tylko jego obojczyka, ale mam wrażenie, że to nie obojczyk, lecz łom. Wypowiadam na głos ten jedyny idiotyzm, jaki przychodzi mi do głowy zamiast jakiejś normalnej myśli. – Mięśnie. Kości.

– Dzięki.

Oboje rozpaczliwie łapiemy oddech. Kiedy przyciskam do niego nogę w poszukiwaniu równowagi, jego dłoń natychmiast oplata się wokół mojej kostki.

A potem przyciska drugą dłoń do mojej szczęki i odchyła moją głowę; czekam, kiedy zacznie się duszenie. Jego ciepłe palce lada chwila się naprężą i wtedy zacznę umierać. Nos w nos. Oddech za oddech. Czuję, że za uchem dotyka mnie opuszka jego palca i że ta opuszka zaczyna sunąć w dół. Przeszywa mnie dreszcz.

– Babeczko.

To słodkie słówko rozwiewa się w eterze, a ja z trudem przełykam ślinę.

– Nie mam zamiaru cię zabijać. Nie dramatyzuj tak.

I powiedziawszy to, przyciska lekko wargi do moich warg.

Żadne z nas nie zamyka oczu. Wślepiamy się w siebie jak zawsze, ale stoimy bliżej niż kiedykolwiek. Widzę w jego tęczówkach niebieskoczarne obwódki. A potem przesłaniają je rzęsy i pojawia się coś bliskiego niechęci.

Jego zęby zahaczają o moją dolną wargę i gryzą ją leciutko; czuję, że gęsia skórka opanowuje coraz większą powierzchnię mojego ciała. I czuję szczypanie w sutkach. Podwijam palce u stóp. Przypadkiem dotykam go językiem, sprawdzając rozmiary katastrofy, mimo że nic nie bolało: ugryzienie było zbyt delikatne, zbyt ostrożne. Mózg mi bezradnie wiruje w poszukiwaniu wytłumaczenia, co się właściwie dzieje, a ciało zaczyna pracować nad poprawieniem swojej pozycji.

Kiedy jeszcze raz się nachyla i przesuwa ustami po moich wargach, delikatnie je rozwierając, słyszę wreszcie dzwonek alarmowy.

Joshua. Templeman. Mnie. Całuje.

Przez kilka sekund trwam jak słupek soli. Wydaje się, że zapomniałam, na czym polega całowanie się; już tak dawno temu przestało być czynnością, którą uprawiałam na co dzień. On tymczasem, jakby mu to wcale nie przeszkadzało, tłumaczy ustami zasady.

„Gra w Całowanie, Babeczko, polega na tym, że: atakujesz, cofasz się, odchylasz głowę, bierzesz oddech i jeszcze raz to samo od początku. Użyj dłoni, żeby ustawić się pod właściwym kątem. Rozluźnij się, niech to się przemieni w powolny, wilgotny ślizg. Słyszysz łomot krwi w uszach? Trwaj dzięki małym podmuchom powietrza. Nie przestawaj. Nawet o tym nie myśl. Westchnij spazmatycznie, odsuń się, pozwól, żeby przeciwnik pochwycił cię ustami albo zębami i wypuścił, wrzucając w jeszcze głębszą otchłań. Bardziej wilgotną. Poczuj, jak twoje zakończenia nerwowe skwierczą życiem wraz z każdym dotknięciem języka. Poczuj dziwną ociążałość między nogami.

Celem gry jest robienie tego już do końca życia. Pieprzyć ludzką cywilizację i wszystko, z czym się wiąże. Ta winda to teraz twój dom. Właśnie to teraz robimy.

Do jasnej cholery, nie przestawaj”.

Joshua sprawdza mnie, odsuwa się na milimetr. Łamię w ten sposób najważniejszą zasadę. Przyciągam z powrotem jego usta do swoich, ściskając go za kark. Szybko się uczę, a on jest znakomitym nauczycielem.

Jego usta smakują jak te miętówki, które wiecznie chrupie. Kto gryzie miętówki? Raz próbowałam i wypaliły mi wnętrze ust. On to robi, żeby mnie wkurzyć, widzę błysk rozbawienia w jego oczach, kiedy fukam z irytacją. A teraz w odwecie ja go gryzę, ale osiągam tylko tyle, że z jeszcze większą siłą przyciska się do mnie swoim twardym ciałem, rozgrzewającym mnie w tych wszystkich miejscach, w których się dotykamy. Nasze zęby dzwonią, zderzając się z sobą.

„Rany boskie, co się tu dzieje?”, pytam bezgłośnie ustami, które go całują.

„Zamknij się, Babeczko. Nienawidzę cię”.

Gdybyśmy byli aktorami grającymi w filmie, to teraz objalibyśmy się o ściany wśród fruujących w powietrzu guzików, strzępów kabaretek

i pantofli lecących łukiem w różne strony. Tymczasem ten pocałunek jest dekadenski. Opieramy się o zalaną słonecznym blaskiem ścianę, w rozmarzeniu lizając lody w rożkach, z całą mocą poddając się uderzeniom żaru i bzdurnym halucynacjom.

„No dalej, podejdź tu bliżej, wszystko się topi. Poliz mojego loda, a potem ja polizę twojego”.

Grawitacja szarpie mnie za kostkę i powoli ściąga z poręczy. Josh usadza mnie wyżej, opasawszy od tyłu moje udo. Oburzona i zawiedziona reaguję warknięciem na tę króciuteńką utratę jego ust. „Wracaj tu natychmiast, ty łamaczu zasad!” Ma dość oleju w głowie, by usłuchać.

A potem wydaje odgłos brzmiący podobnie do tego rozbawionego „Ha!”, używanego przez ludzi, kiedy odkryją coś nieoczekiwanego, a jednak miłego. Odgłos typu „Że też się nie domyśliłem”. Jego wargi wyginają się, a ja dotykam jego twarzy. Ten pierwszy uśmiech, na jaki Joshua zdobywa się w mojej obecności, zostaje mi wciśnięty w usta. Odsuwam się ze zdumieniem i w ułamku sekundy jego twarz znowu robi się poważna jak grób, tyle że zaczerwieniona.

Nagle z głośnika zamontowanego w windzie odzywa się surowy warkot i oboje podrygujemy nerwowo, a zaraz potem słyszymy blaszane chrząknięcie.

– Co tam się dzieje?

Zastygamy niczym żywy obraz zatytułowany „Przyłapani na gorącym uczynku”. Joshua reaguje pierwszy, nachylając się w stronę przycisku interkomu.

– Niechcący zderzyłem się z przyciskiem. – Powoli zestawia mnie na podłogę i daje kilka kroków w tył.

Zahaczam łokciem o poręcz, bo moje nogi ślizgają się jak na rolkach.

– Co to było? – rżęzę resztkami powietrza.

– Parking, proszę.

– Już się robi.

Winda sunie w dół jeszcze jakiś metr i drzwi się rozsuwają. Gdyby odczekał pół sekundy, to by do tego nie doszło. Mój płaszcz leży jak zmięta

szmata na podłodze; podnosi go i otrzepuje z zaskakującą troskliwością.

– Chodź.

Wychodzi z windy, nie oglądając się za siebie. Kolczyki uwięzły mi we włosach, wplątane tam przez jego dłonie. Rozglądam się w poszukiwaniu wyjścia z parkingu, ale nigdzie go nie widzę. Drzwi windy zatrzaszczają się głośno za moimi plecami. Joshua otwiera swój arogancko sportowy, czarny samochód i kiedy docieram do drzwi od strony pasażera, patrzymy na siebie. Moje oczy zapewne przypominają teraz dwa ogromne sadzone jajka. Joshua odwraca się, ukrywając roześmianą minę. Ja jednak łapię przelotnie błysk jego białych zębów we wstecznym lusterku stojącego obok vana.

– No nieźle – cedzi, odwracając się znowu w moją stronę i przeciągając dłonią po twarzy, by zetrzeć z niej uśmiech. – Zafundowałem ci traumę.

– C-co... c-co...

– Jedźmy już.

Mam ochotę rzucić się do ucieczki, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

– Nawet o tym nie myśl – upomina mnie.

Wślizguję się do jego auta; na fotel osuwam się niemalże bez przytomności. Jego zapach jest tutaj cudownie intensywny, spieczony przez lato, zakonserwowany przez śnieg, zapieczętowany i zamknięty próżniowo we wnętrzu ze szkła i metalu. Wdycham go jak profesjonalny perfumiarz. Nuty głowy to mięta, gorzka kawa i bawełna. Nuty serca to czarny pieprz i sosna. I nuty głębi to skóra i cedr. Zapach równie luksusowy jak kaszmir. Jeżeli tak pachnie jego samochód, to ciekawe jak pachnie jego łóżko. Znakomity pomysł. Wyobrażać sobie jego łóżko.

Joshua wsiada, rzuca mój płaszcz na tylne siedzenie. Zerkam z ukosa na jego rozporek. Rany boskie. Odwracam wzrok. To, co tam ma, jest tak imponujące, że moje oczy same z siebie zawracają.

– Połknęłaś język czy co? – drwi ze mnie jak nauczyciel.

Oddech wycieka ze mnie spazmatycznie, a on obraca się do mnie i patrzy tymi oczami barwy trującej czerni. Podnosi rękę, a ja odruchowo się uchylam. Marszczy czoło, zastyga w bezruchu, a potem poprawia ten kolczyk, który jest od jego strony.

– Myślałam, że chcesz mnie zabić.

– I nadal chcę. – Sięga do drugiego kolczyka; jego nadgarstek jest dostatecznie blisko, by dało się go ugryźć. Boleśnie wolno wyszarpuje uwięzione pasemka włosów, aż wreszcie kolczyk wisi, jak powinien. – Chcę. Tak bardzo, że nie masz pojęcia.

Uruchamia silnik, wrzuca wsteczny bieg i po chwili rusza przed siebie, jak gdyby nigdy nic.

– Musimy o tym porozmawiać.

Mój głos jest schrypnięty i wulgarny. Jego palce naprężają się na kierownicy.

– Wydawało się, że to właściwy moment.

– Ale ty mnie pocałowałaś. Dlaczego to zrobiłaś?

– Musiałem przetestować teorię, która od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie. I ty też mnie całowałaś. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Zaczynam się wiercić i widzę, że zapalają się czerwone światła. Josh zwalnia, przystaje, patrzy na moje usta i nogi.

– Wymyśliłaś teorię? A może raczej próbowałaś mnie rozwalić przed moją randką. – Oglądam się przez ramię, bo samochody za nami zaczynają trąbić. – Jedź już.

– No właśnie. Twoja randka. Twoja iluzoryczna, fejkowa randka.

– Wcale nie jest iluzoryczna. Spotykam się z Dannym Fletcherem z działu grafiki.

Jego mina, wyrażająca skrajne zdumienie, jest precudowna. Chętnie zamówiłabym jej olejne wyobrażenie u jakiegoś portrecisty, by móc ją pokazywać przyszłym pokoleniom. Jest po prostu bezcenna.

Samochody zaczynają nas teraz wymijać z obu stron, klaksony pobekują i wyją. Z tego ogłupienia wyrrywają go wreszcie strumienie drogowych bluzgów.

– Co? – Zauważa wreszcie zielone światło i ostro przyspiesza, po czym zaraz hamuje, żeby się nie zderzyć z samochodem, który wjechał nam właśnie przed maskę. Wyciera dłonią usta. Nigdy nie widziałam Joshui podobnie wytrąconego z równowagi.

– Danny Fletcher. Spotykam się z nim za dziesięć minut. Tam, gdzie mnie teraz wiesz. Co ci jest? Rozchorowałeś się czy co?

Pokonuje kilka przecznic, nic nie mówiąc. Ja z kolei gapię się uparcie na swoje dłonie i myślę tylko o jego języku w moich ustach. W moich ustach. Oceniam tak z grubsza, że w całej historii ludzkości doszło do jakichś dziesięciu miliardów pocałunków w windzie. Nienawidzę nas dwojga, że jesteśmy tacy stereotypowi.

– Myślałeś, że kłamię? – Cóż, technicznie kłamałam, ale tylko na początku.

– Zawsze zakładam, że kłamiesz. – Zmienia pasy gniewnymi zakosami, spowity w złowieszczą chmurę burzową nastroju.

Fakty są takie: nienawidzenie kogoś jest wyczerpujące. Każde uderzenie krwi w żyłach coraz bardziej przybliża do śmierci. Marnuję te ostatnie minuty z kimś, kto mną autentycznie gardzi.

Spuszczam powieki, żeby znowu to sobie przypomnieć.

„Cała dygoczę z nerwów, z wysiłkiem stawiam pudło na swoim biurku na dziesiątym piętrze świeżo odnowionego budynku B&G. Obok okna stoi mężczyzna, spogląda na poranny ruch na drodze. Obraca się i po raz pierwszy nawiązujemy kontakt wzrokowy”.

Już nigdy więcej, do końca życia, nie zaznam takiego pocałunku.

– Szkoda, że nie możemy być przyjaciółmi – wyrywa mi się zupełnym przypadkiem. Od tak dawna dusiłam w sobie te słowa, że sprawia to wrażenie, jakbym odpaliła bombę. Ale on chyba mnie nie słyszał, bo jest taki milczący. Po czym obdarza mnie spojrzeniem tak pogardliwym, że czuję, jak mnie coś boleśnie skręca w środku.

– Nigdy nie będziemy przyjaciółmi. Mowy nie ma. – Słowo „przyjaciółmi” wypowiada takim tonem, jakby chciał powiedzieć „dno”.

Kiedy zwalnia przed barem, wysiadam i rzucam się do biegu, choć jeszcze nie zdążył całkiem przystanąć. Słyszę go, jak wykrzykuje moje imię. Ze złością. Zauważam, że nazwał mnie „Lucy”.

W środku widzę Danny’ego z butelką piwa; przedzieram się przez tłum i wpadam mu w objęcia. Biedny, stary, poczciwy Danny, który jak przystało

na dżentelmena przyszedł wcześniej, nie mając pojęcia, z jaką wariatką zgodził się spędzić wieczór.

– Cześć! – Jest wyraźnie zadowolony. – Dotarłaś.

– No przecież. – Zdobywam się na niepewny śmiech. – Po całym dniu przyda mi się drink.

Dosiadam stołek przy barze jak profesjonalny dżokej. Danny daje sygnał barmanowi. Na ogromnych ekranach zawieszonych nad barem śmigają identyczne pałki baseballowe. Nachodzi mnie wspomnienie warg Josha na moich wargach i przyciskam drżące palce do ust.

– Wielki dżin z tonikiem. Największy, jak się da, jeśli można prosić.

Barman jest posłuszny i po chwili wlewam połowę zawartości szklanki do ust i trochę na dekolt. Oblizuję kąciki warg, a jednak wciąż czuję smak Josha. Danny chwyta moje spojrzenie, kiedy odstawiam szklankę.

– Dobrze się czujesz? Zdaje się, że coś ci się dzisiaj przytrafiło. Musisz koniecznie opowiedzieć.

Przyglądam mu się dokładnie. Przebrał się w czarne dżinsy i ładną kraciastą koszulę. Podoba mi się, że zdobył się dla mnie na ten wysiłek i pojechał do domu się przebrać.

– Dobrze wyglądasz – mówię mu otwarcie i widzę błysk w jego oczach.

– A ty wyglądasz pięknie – mówi to z poufałością. Opiera się łokciem o bar, ze szczerą, pozbawioną złośliwości twarzą.

Czuję w klatce piersiowej dziwaczną bańkę emocji.

– Co? – Wycieram sobie podbródek. Ten mężczyzna patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby mnie wcale nie nienawidził. Dziwne. Bardzo dziwne.

– W wydawnictwie raczej nie mogłem ci tego powiedzieć. Ale zawsze cię uważałem za najpiękniejszą z dziewczyn, które u nas pracują.

– Och. No. Tego. – Prawdopodobnie jestem czerwona jak burak i oprócz tego czuję ucisk w gardle.

– Widzę, że komplementy źle na ciebie działają.

– Rzadko je słyszę – wyznaję uczciwie, na co on reaguje śmiechem.

– Już ci wierzę.

– Ja nie kłamię. Pomijając oczywiście moją mamę i tatę, kiedy

rozmawiamy przez Skype'a.

– No to będę musiał coś z tym zrobić. A teraz opowiedz mi wszystko o sobie.

– Pracuję dla Helene, jak wiesz – zaczynam niepewnym głosem.

Kiwa głową, dziwnie wyginając usta.

– I to już mniej więcej wszystko.

Danny uśmiecha się, a ja prawie spadam ze stołka. Jestem tak nietowarzyska, że ledwie potrafię rozmawiać z istotami ludzkimi. Wolałabym się znaleźć z powrotem w domu, na kanapie, z wszystkimi poduszkami spiętrzonymi na głowie.

– Niby tak, ale ja chciałbym wiedzieć o tobie wszystko. Co lubisz? Skąd jest twoja rodzina?

Jest otwarty i prostoliniowy, przynajmniej taki wydaje się z twarzy. Przywodzi mi na myśl dziecko, zanim zniszczy je świat.

– A mogłabym iść najpierw się odświeżyć? Przyjechałam prosto z biura. – Wypijam do końca zawartość swojej szklanki. Ślad mięty na moim języku zabija cały smak.

Danny kiwa głową, a ja idę w stronę toalety, starając się obrać jak najkrótszą drogę. Staję na korytarzu przed wejściem, wyjmuję chusteczkę z biustonosza i przyciskam ją do kącików oczu. No ślicznie.

W korytarzu pojawia się czyjaś sylwetka. Robi się ciemniej i wiem, że to Joshua. Jego sylwetkę rozpoznałabym lepiej niż własny cień. W rękach trzyma płaszcz, który zostawiłam na tylnym siedzeniu jego auta.

Wybucham śmiechem: śmieję się i śmieję, aż w końcu łzy zaczynają mi płynąć po twarzy, niemal z całą pewnością rujnując mój makijaż.

– Odwal się – mówię mu, ale on, zamiast odejść, podchodzi bliżej. Ujmuje mnie za podbródek i przygląda się uważnie mojej twarzy.

Między nami dryfuje wspomnienie pocałunku, a ja nie potrafię spojrzeć mu w oczy. Pamiętam jeszcze, jak jęknęłam mu prosto w usta. Nachodzi mnie uczucie upokorzenia.

– Przestań. – Uderzam go po rękę.

– Ty płaczesz.

Obejmuję się ramionami.

– Wcale nie. A właściwie to czemu tu jesteś?

– Parkowanie w tym miejscu to koszmar. Twój płaszcz.

– O, mój płaszcz. Jasne. Niech ci będzie. Jestem zbyt zmęczona, żeby się z tobą kłócić. Wygrałeś.

Patrzy na mnie nierozumiejącym spojrzeniem, więc wyjaśniam:

– Widziałeś, jak się śmieję i jak płaczę. Zmusiłeś mnie, żebym się z tobą całowała, chociaż należało cię obić po tej zadowolonej z siebie gębie. Masz za sobą udany dzień. Idź sobie oglądać mecz i jeść precle.

– Myślisz, że gram po to, by zdobyć taką nagrodę? Żeby widzieć, jak płaczesz? – Kręci głową. – Naprawdę tak nie jest.

– Na pewno tak jest. A teraz idź sobie – mówię z większym naciskiem.

Robi krok w tył i opiera się plecami o przeciwległą ścianę.

– A dlaczego się tu ukrywasz? Nie powinnaś tam być i tak go oczarowywać swoim wdziękiem, żeby narobił w gacie? – Patrzy w stronę baru i przeciera dłonią twarz.

– Potrzebowałam chwili spokoju. I to nie zawsze jest aż takie łatwe, uwierz mi.

– Jestem pewien, że nie będziesz miała żadnych problemów.

Wcale nie mówi tego złośliwym tonem. Wycieram łzy i oglądam chusteczkę. Ta k, całkiem sporo na niej tuszu. Wzdycham spazmatycznie.

– Wyglądasz ładnie.

To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedział.

Zaczynam poklepywać dłonią ścianę, w poszukiwaniu portalu do innego wymiaru albo chociaż drzwi do damskiej toalety. Wszystko, byle tylko uciec od niego. A on tymczasem wsuwa sobie palce we włosy, z twarzą wykrzywioną zdenerwowaniem.

– Nie należało cię całować. OK. Debilny ruch z mojej strony. Jeśli chcesz na mnie donieść do HR...

– Taki masz problem? Boisz się, że na ciebie doniosę? – Mówię teraz tak głośno, że goście przy barze odwracają się w naszą stronę. Robię głęboki wdech, a potem mówię już ciszej: – Tak mnie dobiłeś, że nie potrafię sobie

poradzić nawet wtedy, kiedy facet mi mówi, że jestem piękna.

Na jego twarzy rozlewa się wyraz konsternacji.

– Właśnie dlatego się rozplakałam. Bo Danny mi powiedział, że jestem piękną dziewczyną, a ja omal nie spadłam ze stołka. Zdewastowałeś mnie.

– Ja... – zaczyna mówić, ale nic mu nie przychodzi do głowy. – Lucy, ja...

– Już mi nic więcej zrobić nie możesz. Dzisiaj ty jesteś zwycięzcą.

Jakbym walnęła go pięścią w brzuch, taką ma teraz minę. Jego cień sunie po podłodze, cofając się przede mną, a potem znika.

Rozdział 7

Ranek dzwonię do Helene, żeby przekazać, że kaca wprawdzie nie mam, ale trochę się spóźnię, bo muszę załatwić kilka osobistych spraw. Traktuje mnie życzliwie – każe odpocząć i wziąć dzień wolnego.

„Odpocznij i dokończ aplikację, kotuś, bo jutro ostatni dzień”.

Tęsknię dzisiaj za bladożółtą koszulą. To kolor, na jaki maluje się ściany pokoju dziecięcego, kiedy nikt jeszcze nie wie, jaka jest płeć dziecka. I kolor mojej tchórzliwej duszy.

Poprzedniego wieczoru, po tym, jak Josh uciekł ode mnie, z twarzą wykrzywioną poczuciem winy i żalem, doprowadziłam się do porządku, usiadłam z Dannym i ratowałam wieczór. Danny’ego i mnie wiele łączy. Jego rodzice prowadzą małą farmę na własne potrzeby, dlatego na moje wyznanie, że wychowałam się na truskawkowym polu, nie zareagował typowym rozbawieniem ani protekcyjnymi czy nawet pogardliwymi uwagami.

To mi dodało odwagi, żeby opowiedzieć więcej niż zazwyczaj. I oboje wymienialiśmy się historyjkami o wiejskim życiu. Przyglądałam się jego twarzy, która co chwilę zmieniała wyraz, przywodząc na myśl niebo, to czyste, to zasnuwane chmurami. Przesiedzieliśmy razem kilka godzin, zaśmiewając się jak para starych kumpli, czując się tak swobodnie, jakbyśmy na nogach mieli stare, rozdeptane kapcie.

Powinnam być szczęśliwa i podekscytowana. Powinnam cyzelować swoje podanie. Powinnam myśleć o drugiej randce. A tymczasem robię tę jedną, jedyną rzecz, której robić nie powinnam. Leżę w łóżku z zamkniętymi oczami i odtwarzam od nowa tamten pocałunek.

„Babeczko, gdybyśmy z sobą flirtowali, tobyś na pewno o tym wiedziała”.

Może zapomniał, że ja to przecież Lucinda Hutton, Truskawkowa

Babeczka, zawsze dla wszystkich milutka, i przeobraziłam się w jego oczach w kogoś innego. Zamknięta przestrzeń, inny makijaż, miniówka i perfumy. W przepływie szaleństwa, na ten krótki czas, jakiego trzeba, by zjechać windą z dziesiątego piętra do podziemi, stałam się przedmiotem jego pożądania. Z wzajemnością.

„Musiałem przetestować teorię, która od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie”. Jaką znowu teorię? Od jakiegoś czasu, czyli od kiedy? Jeśli stałam się obiektem jakiegoś eksperymentu na ludziach, to mógłby mieć choć tyle przyzwoitości i podzielić się swymi wnioskami.

Kiedy myślę o jego zębach delikatnie kęsających moją dolną wargę, czuję dziwne trzepotanie między nogami, powodujące, że je mimowolnie zaciskam. Kiedy myślę o jego dłoni podtrzymującej moje udo, muszę sięgnąć tam ręką i poczuć to miejsce, gdzie przyłożył rozcapierzone palce. A to, że ma ciało jak z żelaza? A co tam, nic mi nie będzie, jeśli na chwilę przestanę oddychać. Ciekawe też, jak ja dla niego smakowałam. Jaka byłam w dotyku.

Snuję się w pizamie do trzeciej, sparaliżowana świadomością, że za kilkanaście godzin upływa termin zgłaszania podań, kiedy znienacka ktoś dzwoni do drzwi. Od razu nachodzi mnie myśl, że to on, że przyszedł zawlec mnie siłą do pracy. Tymczasem to jest posłaniec z kwiatami. Z olbrzymim bukietem róż w kolorze pomadki do ust. Otwieram maleńką kopertkę i czytam trzy słowa:

„Jesteś zawsze piękna”.

Nie ma podpisu, ale go nie potrzebuję. Potrafię sobie wyobrazić Jeanette, jak ze złagodniałą twarzą wręcza Danny’emu karteczkę z moim adresem i mruży: „Nie dostałeś tego ode mnie”. Nawet ci z HR łamią zasady w imię miłości.

Piszę esemesa: „Bardzo ci dziękuję!!”.

Odpowiada niemalże natychmiast: „Było super. Koniecznie chciałbym się z tobą spotkać jeszcze raz”.

Odpowiadam: „Załatwione!”.

Wstaję i wsparta pod boki patrzę na kwiaty. Utrafił tip-top z tym podbudowaniem mojego ego. Wracam do komputera. Zdobędę to

stanowisko. A Joshua zginie i przepadnie.

– No to kończymy sprawę.

Kiedy wkraczam w piątek do biura, widzę go kątem oka w postaci wielkiej, musztardowej plamy. Wieszam płaszcz i idę prosto do gabinetu Helene. Chociaż raz przysłała wcześniej. Mam ochotę wziąć ją w ramiona i uściskać.

– Jestem – oznajmiam.

Helene wskazuje machnięciem ręki, że mam wejść do środka, a ja zamykam za sobą drzwi.

– Złożyłaś?

Kiwam głową.

– Josh też. I na tę chwilę jest jeszcze dwóch kandydatów z zewnątrz. Jak tam twoja randka? Wyszłaś z niej cało?

Helene zawsze jest ucieleśnieniem opanowania. Dzisiaj ma na sobie blezer, pod nim T-shirt, prawdopodobnie z czystego jedwabiu, i do tego wełnianą spódniczkę. Helene nie nosi tak pospolitych tkanin jak bawełna. Mam nadzieję, że zapisze mi w testamencie swoją garderobę.

Siadam na fotelu.

– Było miło. Spotkałam się z Dannym Fletcherem z grafiki. Mam nadzieję, że nic w tym złego; w przyszłym tygodniu odchodzi, będzie pracował jako freelancer.

– Szkoda, bo jest niezły. Możesz się z nim umawiać, żaden problem.

Mój umysł przeskakuje do pocałunku z Joshuą w windzie. To akurat jest problem. I to jeszcze jaki!

– Ale coś się stało – spekuluje Helene.

– Przed randką strasznie się pokłóciłam z Joshuą i się rozsypałam. Wczoraj obudziłam się z poczuciem, że nie mogę się ogarnąć. Miałam wrażenie, że jak tu przyjdę, to sanitariusze wyniosą nas na noszach, całych skąpanych we krwi.

Helene przygląda mi się badawczo.

– A o co poszło?

Może nie jest to najlepszy pomysł, żeby się tak wywnętrzać przed

szefową. Jestem do bólu nieprofesjonalna. Moje policzki robią się gorące, a ponieważ nie przychodzi mi do głowy żadne dobre kłamstwo, podaję skróconą wersję.

– Uważał, że kłamię z tą randką. I że w związku z tym jestem beznadziejna.

– Interesujące – mówi wolno Helene. – Zastanowiłaś się nad tym, tak naprawdę porządnie?

Wzruszam ramionami. Zastanawiałam się, ale nie porządnie, tylko obsesyjnie. Nie mogłam przez to zasnąć.

– Nie podoba mi się to, że mu pozwalam sobą sterować. Nie masz pojęcia, jakie to trudne: siedzieć naprzeciwko niego i odpierać te nieustające ataki.

– Mam jakiś obraz. Gra na przetrzymanie, tak to się nazywa, kotuś. – Wskazuje kciukiem ścianę.

Jest idealną osobą do zwierzeń. Po drugiej stronie ściany jej gabinetu znajduje się pan Bexley, który knuje, jak tu ją skrytobójczo unicestwić. Wędruje śladem mojego spojrzenia. Słyszymy daleki odgłos potężnego kichnięcia, potem pierdnięcia i na koniec jakieś gderanie.

– Dlaczego uznał, że kłamiesz? I dlaczego tak się zdenerwowałaś, że to sobie pomyślał?

Helene rysuje spirale w swoim notesie, a ja mam wrażenie, że tak jakby hipnotyzuje mnie tym. Ano tak... Przeobraziła się w moją terapeutkę.

– On uważa, że jestem śmieszna. Wiecznie się nabija z tego, co robią moi rodzice. Jestem przekonana, że wyśmiewa się też ze szkoły, do której chodziłam. Z mojego wzrostu. Z mojej twarzy.

Helene przytakuje mi cierpliwie, przyglądając się, jak próbuję uporządkować ten umysłowy bajzel.

– Nie mogę tego znieść, że on tak o mnie myśli. Naprawdę mnie to dobija. Nie mam nic do niego, ale chcę, żeby mnie szanował.

– Ty dbasz o swój wizerunek osoby sympatycznej i życzliwej – dopowiada Helene. – Wszyscy cię lubią. On jest jedyny, który uparcie odstaje.

– On żyje tylko po to, żeby mnie zniszczyć. – Zdaje się, że trochę

przesadzam z tym dramatyzowaniem.

– A ty jego – wskazuje Helene.

– Owszem. A nie chcę być kimś takim.

– Nie wdawaj się z nim dzisiaj w żadne rozmowy. Możesz na kilka następnych dni zająć to puste pomieszczenie na czwartym piętrze. Będziemy tam przełączali telefony w razie czego.

Potrząsam przecząco głową.

– Kuszące, ale nie, dam sobie radę. Zrobię sprawozdanie kwartalne i nie będę się w nic wdawała. Zapomnę, że on istnieje.

Wciąż pamiętam, jak smakowały jego wargi. Wdychałam jego gorący oddech, aż w końcu całe moje usta się nim wypełniły. Całe ciało wypełniło się jego powietrzem. W ciągu dwóch minut nauczył mnie rzeczy, których nigdy dotąd nie poznałam. Zapomnienie o jego istnieniu będzie wyzwaniem, ale ostatecznie praca w tej firmie składa się z samych wyzwań.

Delikatnie przymykam drzwi do gabinetu Helene i zbieram się w sobie. Odwracam się i widzę go: siedzi w niedbałej pozie za swoim biurkiem.

– Hej – słyszę spłaszczoną wersję Co Tam U Ciebie?

– Cześć – odpowiadam sztywno i podchodzę do biurka, z wrażeniem, że idę na maleńkich szcudłach.

A potem on mówi coś, czym mnie zupełnie zdumiewa.

– Przepraszam. Bardzo, bardzo cię przepraszam, Lucy.

Wierzę mu. Przez to wspomnienie jego zbolącej twarzy, kiedy na chwiejnych nogach oddalał się ode mnie w barze, prawie nie mogłam normalnie spać przez dwie noce z rzędu. I teraz nadszedł ten moment. Mogłabym sprowadzić nas dwoje do zwyczajnego status quo. Mogłabym na niego warknąć, on by mi coś odwarknął. Ale ja nie chcę być taką osobą.

– Wiem, że jest ci przykro. – Oboje prawie się uśmiechamy i każde z nas patrzy na usta tego drugiego: widmo pocałunku wciąż unosi się między nami.

Joshua nie jest dziś tym samym nieskazitelnym sobą co zawsze. Wygląda wręcz niechlujnie, prawdopodobnie po tych paru dniach niewysypiania się. I w życiu nie widziałam równie ohydneho koloru jak ten musztardowy. Poza tym krzywo zawiązał krawat, a na szczęce widzę cień szczeciny. Włosy ma

w nieładzie, z boku mu sterczą. Praktycznie jest dzisiaj Gaminem. Wygląda bosko i widzę w jego oczach ślad wspomnienia.

Chętnie bym teraz rzuciła się do biegu i biegła tak długo, aż nogi by mi odmówiły posłuszeństwa. Mam ochotę zmieść wszystko z jego biurka. Czuję, jak własne ubranie dotyka mojej gołej skóry. Takie właśnie odczucia wywołuje we mnie jego spojrzenie.

– Zróbmy sobie zawieszenie broni, co? – Podnosi ręce, pokazując, że jest nieuzbrojony. Ma dłonie dostatecznie wielkie, by dały radę opasać moje kostki.

Przełykam ślinę.

Żeby ukryć skrępowanie, udaję, że wydaję z kieszeni pistolet i odrzucam go na bok. On z kolei sięga do wyimaginowanej kabury na ramieniu i też wydaję pistolet, a potem układa go na swoim terminarzu. Ja wyciągam niewidzialny nóż zza podwiązki.

– Wszystko. – Wskazuję miejsce pod biurkiem.

Sięga do swojej łydki i udaje, że wysuwa stamtąd kolejny rewolwer.

– Tak lepiej. – Padam na krzesło i zamykam oczy.

– Jesteś niesamowicie popaprana, Babeczko.

Nie mówi tego niezyczliwym głosem. Zmuszam się do otworzenia oczu i w tym momencie omal nie zostaję zabita w Grze w Spojrzenia. Bo on ma oczy tak niebieskie jak pierś pawia. Wszystko się zmienia.

– Doniesiesz na mnie do HR?

Coś w mojej piersi skręca się boleśnie. A więc to dlatego wygląda jak śmierć na urlopie. Wczoraj przeżywał piekło, bo się spodziewał, że po moim powrocie ochrona wyprowadzi go z budynku. Moje puste biurko go przerażało. Siedział tu, wyobrażając sobie ten moment, jak go zamykają w celi za to, że molestuje maleńkie kobietki. Już wszystko rozumiem. Ależ ja jestem durna.

– Nie. Ale czy możemy już nigdy więcej... tego... nie wspominać? –

Wychodzi mi to nieco chrapliwie. To nowość: wyciągam go z tarapatów, zamiast go nękać perspektywą kłopotów. Kolejny krok w stronę stania się tą osobą, którą chcę być. Tymczasem on krzywi się mimo wszystko, jakbym go

jakoś niesamowicie obraziła.

– Tego właśnie chcesz?

Kiwam głową, choć jestem kłamczuszką. „Chcę całować się z tobą tak długo, aż zasnę. Chcę wślizgnąć się pod twoją kołdrę, dowiedzieć się, co ty masz w głowie i pod ubraniem. Dla ciebie jestem gotowa zrobić z siebie idiotkę”.

Drzwi do gabinetu pana Bexleya są otwarte, dlatego mówię najciszej, jak potrafię:

– Dostaję od tego na głowę.

On widzi, że mówię prawdę. Mam zdesperowane, oszalałe oczy. Kiwa głową i sytuacja ot, tak sprowadza się do tego: Control, A, Delete. Tego pocałunku nigdy nie było.

Modłę się, żeby coś nam teraz przeszkodziło. Na przykład ćwiczenia przeciwpożarowe. Telefon od Julie, która powie, że już nigdy nie wykona niczego w wyznaczonym terminie. Nie ja jedyna się modłę, żeby zapadła się podłoga.

– Ja ci się udała... randka?

Słaby głos, zbielejące kłykcie. Bycie dla mnie miłym kosztuje go mnóstwo wysiłku.

– Świetnie. Mamy z sobą mnóstwo wspólnego. – Na próżno staram się obudzić swój komputer.

– Oboje jesteście niesamowicie mali. – Krzywi się do swojego komputera, jakby to była najgorsza z wszystkich rozmów, w jakich kiedykolwiek uczestniczył. Przyjaźnienie się ze mną nie jest dla niego czymś naturalnym.

– Nawet mi nie dokuczał w związku z truskawkami. Danny jest... miły. Jest w moim typie. – Tylko tyle przychodzi mi do głowy.

– Czyli chcesz mieć kogoś miłego.

– Każda kobieta kogoś takiego chce. Rodzice błagają mnie od stuleci, żebym znalazła sobie miłego mężczyznę. – Staram się mówić beztróskim głosem, ale w środku czuję, że rośnie mi bańka nadziei. Rozmawiamy jak przyjaciele.

– A ten Miły Facet odwiózł cię do domu?

Wiem, o co mnie pyta.

– Nie. Wzięłam taksówkę. I wsiadłam do niej sama.

Joshua oddycha ciężko. Przeciera twarz zmęczonym gestem, a potem zerka na mnie pomiędzy palcami.

– W co teraz zagramy?

– A może tak w Normalnych Kolegów? Albo w Grę w Przyjaźń? Zawsze strasznie chciałam spróbować którejś z nich. – Podnoszę wzrok i wstrzymuję oddech.

Joshua prostuje się i patrzy na mnie pochmurnie.

– Szkoda marnować na nie czas, nie uważasz?

– No cóż, buu. – Staram się nie być zbyt ironiczna, żeby jednak wiedział, że z tymi grami to mówiłam na poważnie.

Joshua otwiera terminarz, z ołówkiem w rękę, i zaczyna w nim robić tyle notatek, że mrugam i wracam do swojego komputera. Nic mnie już nie obchodzi jego durny terminarz. Jego ołówek, mój eksperyment szpiegowski. Wszystko się kończy, dokładnie teraz. Wszystko jest marnowaniem czasu.

Powtarzam sobie, że powinnam być zadowolona.

Dzisiaj jest dzień wspaniałego czarnego T-shirtu. T-shirtu, który należałoby opisać w annałach. O którym trzeba będzie opowiadać wnukom. Odrywam oczy, ale i tak kilka chwil później ukradkiem wracają. Pod tym T-shirtem jest ukryte ciało, od którego okulary podstarzałej bibliotekarki zaszczyły mgłą. Mam wrażenie, że moja bielizna skręca się na mnie i odpada jak tłący się papier.

Minął tydzień od naszego pocałunku, o którym w ogóle nie myślę. Księgowość, marketing, grafika i dział zarządzania wydawnictwa Bexley & Gamin są zaganiane do wnętrza autobusu jak stado krów.

– Oświadczenia dla ubezpieczyciela – powtarza bez końca Joshua, a ludzie wciskają mu te oświadczenia w dłoń. – Oświadczenia do mnie. Kasa do Lucindy. Hej, nie ma podpisu. Podpisz się. Oświadczenia.

– Kto to jest Lucinda? – pyta ktoś z dalszego miejsca w kolejce.

– Kasa do Lucy. Ta idiotycznie mała osoba obok mnie. Włosy. Pomadka.

Lucy.

Już wiem, kto na pewno będzie oblany farbą, i to już niedługo. Kolejka pomyka do przodu, a ja omal nie zostaję rozplaszczona na karoserii autobusu.

– Ej, nie mówiłem, że macie ją zadeptać.

Joshua przegania ich wszystkich i ustawia mnie do pionu obok siebie jak kręgiel; czuję, jak ciepło jego dłoni przepala mój rękaw. Zaraz potem Julie dotyka mojego drugiego łokcia i w tym momencie omal nie wyskakuję ze skóry.

– Przepraszam, że wtedy nie wywiązałam się z terminu. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie porządnie się wyśpię. Jestem jak zombi.

Wręcza mi swoje dwadzieścia dolarów i wtedy zauważam, że ma francuski manikiur. Ukrywam swoje paznokcie, żeby nie było widać poszczerbionego lakieru.

– Liczyłam na przysługę – dodaje i widzę wtedy ponad jej ramieniem, że Joshua nadstawia ucho w naszą stronę jak satelita. Podśluchiwanie jest nietwarzowe.

Odciągam Julie kawałek dalej, z wciąż wyciągniętą dłonią, w którą ludzie wciskają banknoty dwudziestodolarowe.

– OK, a o co chodzi? – Już czuję, że zapada mi się żołądek.

– Moja siostrzenica ma szesnaście lat i musi koniecznie zrobić jakiś staż. Zdaniem szkolnego pedagoga to by jej pozwoliło spojrzeć na sprawy perspektywicznie. Nie może opuszczać lekcji i spać po całych dniach, rozumiesz? Nastolatki nie mają pojęcia, na czym polega praca.

– Mogłabyś pogadać z Jeanette, na pewno coś załatwi. – Odbieram gotówkę od kolejnej osoby. – Nastolatki zawsze chcą pracować w dziale grafiki.

– Nie, chciałabym, żeby przyszła na staż do ciebie.

– Do mnie? A to czemu? – Mam ogromną ochotę rzucić się do ucieczki.

– Jesteś tu jedyną osobą, która okazałaby jej cierpliwość. Jest trochę przemądrzała.

Niby świat jest ważniejszy, ale naprawdę chciałabym interwencji Joshui. Niech się coś stanie. Błagam. Wysyłam wiadomości do jego satelitarnego

ucha, ale on ich nie przyjmuje. Joshua, ratunku, ratunku, zrobię dla ciebie wszystko, tylko błagam, wtrąć się.

– Same z nią kłopoty. Narkotyki i co tylko. Proszę, mogłabyś to zrobić? To by wiele znaczyło dla jej matki i przede wszystkim pomogłoby naprostować tę dziewczynę.

– A mogę się zastanowić? – Umykam wzrokiem od Joshui, który przestał podsłuchiwać i teraz otwarcie obraca się w naszą stronę, z dłonią na biodrze.

– Muszę wiedzieć teraz. Za pół godziny spotyka się z pedagogiem. Powinna mieć coś w pogotowiu. – Julie patrzy na mnie, z ustami wygiętymi w wyczekującym uśmiechu.

– Jak długo by to potrwało? Jeden dzień na przykład?

Julie przysuwa się do mnie i boleśnie ściska moje ramię swą piękną dłonią.

– To byłyby dwa tygodnie podczas najbliższych ferii szkolnych. Jesteś taka kochana. Dziękuję ci, zaraz wyślę do niej esemesa. Nie będzie zadowolona, ale ty ją zmienisz.

– Czekaj... – zaczynam, ale ona już wsiada do autobusu.

– No, no. Dobrze ci poszło. Wiesz, co ja bym jej powiedział? – mówi Josh.

Wsuwam dłoń we włosy. Moja czaszka jest gorąca i swędzi.

– Zamknij się.

– Powiedziałbym jej jedno krótkie słowo. To proste słowo, powinnaś je kiedyś wypróbować. Powtórz je za mną: Nie.

– Hej – mówi Danny z uśmiechem, ustawiając się w kolejce.

– Nie. Cześć. – Prezentuję swój najśłodszy z uśmiechów. Mam nadzieję, że Danny posmarował swoją piękną, srebrzystą skórę kremem z filtrem. – Dotarłeś. Wydaje mi się, że paintball to dobry sposób na uczczenie ostatniego dnia.

– O tak, będzie super. Mitchell powiedział, że nie muszę przychodzić, ale chciałem. Zresztą ekipa zabrała mnie też na pożegnalny lunch.

Ja to prawie wszystko już wiem; przez cały tydzień pisaliśmy do siebie maile, pomogłam mu też zanieść kilka kartonów do samochodu. Mała ikonka

z kopertą na moim pasku narzędziowym stale mrugała do mnie z podnieceniem. Przez cały ranek byłam rozgorączkowana i nie potrafiłam usiedzieć na miejscu. Kręciło mi się w głowie. Zakochałam się, na bank.

– Oświadczenie – wtrąca się Joshua.

Danny wręcza mu dokument, nie odrywając ode mnie oczu.

– Strasznie mi się dzisiaj podobają twoje włosy – mówi mi Danny, a ja pochylam głowę, zadowolona z komplementu. Właśnie coś takiego trzeba mi mówić. Jestem idiotycznie próżna, jeśli idzie o włosy. Kilka mililitrów odżywki, którą stosuję, kosztuje prawdopodobnie więcej niż gram kokainy. – Dzięki, trochę zwariowały. Pewnie od tej wilgoci czy co.

– No cóż, podobają mi się, że są trochę zwariowane. – Danny dotyka splecionych loków na moim ramieniu. Patrzymy sobie w oczy i zaczynamy się śmiać.

– Pewnie, muszą ci się podobać, ty lubieżniku. – Potrząsam głową.

– Daj jej pieniądze i wsiadaj do autobusu – mówi powoli Joshua, jakby Danny był opóźniony w rozwoju. Wymieniają się wrogimi spojrzeniami.

Biorę od niego banknot i w zamian obdarzam go uśmiechem zabarwionym Miotaczem Ognia.

– Będziemy w jednej drużynie?

– Tak – mówię w tym samym momencie, w którym Josh odwarkuje:

– Nie.

Zaiste dobry jest w posługiwaniu się tym słowem.

– Składy drużyn są już ustalone – dodaje z niechęcią i wtedy Danny patrzy na mnie wzrokiem, w którym widać wyraźnie pytanie: „A ten co tu właściwie odwała?”.

– Miałem nadzieję... – zaczyna Danny, ale Joshua strzela w niego spojrzeniem: „Cokolwiek próbujesz osiągnąć, odradzam”.

Ostatnia osoba w kolejce wręcza mi pieniądze i wszyscy troje pozostajemy sami, spowici w mgłę osobliwego napięcia.

Rozdział 8

Pogadamy za chwilę – obiecuje mi Danny i wsiada do autobusu.

Nie winię go. Joshua stoi z rękami skrzyżowanymi na piersiach jak bramkarz w nocnym klubie.

– Co to było, do jasnej cholery? – pytam go, a on w odpowiedzi tylko potrząsa głową.

Helene i pan Bexley odjeżdżają rajdowym pędem, ona swoim porsche, on swoim rollsem, żeby spotkać się z nami na miejscu. Oczywiście nie będą uczestniczyli w budowaniu zespołu. Będą siedzieli na tarasie z widokiem na park paintballowy, popijali kawę i nienawidzili siebie wzajem do bólu.

– Chodźmy – mówi Joshua i wpycha mnie do autobusu.

Zostały tylko dwa wolne miejsca, dokładnie na samym przedzie. Josh zarezerwował je stosami podkładek. Zasmucony Danny ze wzruszeniem ramion wciska się w przejście między rzędami.

Josh rozesłał do wszystkich maila z instrukcją, że podczas lunchu mamy się przebrać w codzienne ubrania. W takie, które możemy bez żalu zniszczyć. Jestem ubrana w dżinsowe rurki i stary, rozwleczone T-shirt z Elvisem, który kiedyś należał do mojego taty. Tłusty Elvis w kombinezonie, z mikrofonem uniesionym do ust. Zsuwa mi się z ramienia. Skombinowałam ten strój, wzorując się na zdjęciu Kate Moss z jakiegoś festiwalu muzycznego. Sądząc po minie Joshui, wyglądam jak skończona oferma. Ale skądinąd zauważył szmaragdowy pasek od mojego sportowego biustonosza. Wiem to z całą pewnością.

Joshua też się przebrał. Kiedy bardzo sprawnie, jak doświadczony sprzedawca w sklepie odzieżowym, składał swoją czarną, biznesową koszulę, na moment pochwyciłam własne odbicie na ścianie na ukos od niego: maska idiotycznego pożądania z obwisłą szczęką. Po pierwsze Joshua jest ubrany

w dzinsy. Są bardzo wytarte, pełne plamek od błękitnej farby i napinają mi się na udach, kiedy siada. To są dzinsy absolutnie bez wad. Poza tym ma na sobie T-shirt. Mięka, miejscami przetarta bawełna stapia się z jego torsem, kiedy się garbi. Kształty ukryte pod tym T-shirtem są... Rękawy wcinają się delikatnie w bicepsy, które sprawiają, że... Nie, to przez ten płaski brzuch tak mi się... A tę skórę to on ma całą złotą, zupełnie jak...

– Mogę ci w czymś pomóc? – Obciąga T-shirt, a mój wzrok mimo woli pomyka śladem jego ręki. Mam ochotę zmiąć ten T-shirt na kształt miseczki i wyjadać z niego łyżeczką.

– W życiu bym nie powiedziała, że włożysz... – Niejasno macham w stronę jego bajecznego torsu.

– Myślałaś, że będę paintballować w Hugo Bossie?

– W Hugo Bossie? To ten, co projektował hitlerowskie mundury?

– Lucinda, słowo daję. – Zamyka oczy na prawie całą minutę. I szczypie się w nos. Przysięgłabym, że robi wszystko, byle nie zacząć się śmiać albo krzyczeć.

Robię zeza, wystawiam język i mówię:

– Ba!

Nie pęka. Pokonana wyginam się i omiatam wzrokiem pozostałe siedzenia, aż wreszcie widzę potarganą czuprynę Danny'ego. Machamy do siebie i robimy identyczne miny, wskazując, jacy jesteśmy nieszczęśliwi z powodu tego, kto obok nas siedzi. Ale zaraz dociera do mnie, że moje piersi znajdują się prawdopodobnie w odległości kilkunastu centymetrów od głowy Joshua, więc natychmiast osuwam się z powrotem na fotel.

– Ty i on? Żałosne to trochę. – Joshua jest wyraźnie zirytowany.

Tym słowem dojada mi do żywego. Żałosne. Wcześniej nazywał także mnie żalosną. I tak oto zatoczyliśmy koło i wróciliśmy do miejsca, gdzie jest nam najwygodniej. Zastanawiałam się wcześniej, jak się wszystko będzie rozgrywało po tamtym pocałunku, po tym, jak się rozplakałam, po tym, jak zobaczyłam ból i smutek w jego spojrzeniu. Po tym, jak mnie przeprosił. Po tych dniach pełnych przeciągającego się milczenia.

Zdaniem Joshui znowu się nienawidzimy, ale ja już tak dłużej nie mogę.

Nie jestem w stanie trwać w tej nienawiści. Za dużo mnie kosztuje. To, co dawniej było równie łatwe jak oddychanie, stało się bitwą toczoną w górę z boku. Jestem taka zmęczona, że wszystko mnie boli.

– Tak, wiem. Jestem żałosna. – Wpatruję się w drogę przed nami i Gra w Spojrzenia toczy się dalej, tyle że jednostronnie. Nikt tego nie zobaczy oprócz kobiety, która prowadzi nasz autobus, ale ta woli patrzeć na inne pojazdy zamiast na nas.

– Babeczko.

Ignoruję go.

– Babeczko.

– Nie znam nikogo o tym imieniu.

– Pograj ze mną przez minutę – mówi cicho, prosto do mojego ucha.

Obracam się twarzą w jego stronę i staram się zapanować nad oddechem.

– HR – wyduszam z siebie.

Jego twarz jest tak blisko mojej, że czuję smak jego oddechu, gorącą, miętową słodycz. Widzę drobniutkie paseczki jego tęczy, maleńkie, nieoczekiwane iskierki, żółte i zielone. A tego błękitu jest tyle, że kojarzy mi się z galaktykami. Galaktykami utworzonymi z mikroskopijnych gwiazd.

– Twoje róże żyją jeszcze?

Czy jest coś, czego ten mężczyzna nie wie? Staram się nie zauważać, że nasze łokcie lekko się dotykają. W łokciach nie ma stref erogennych. A w każdym razie nie sądzę.

– Kto ci o nich powiedział?

– Cóż, wszyscy wiedzą, że Danny Fletcher to twój facet ze snów. Róże i co tylko. Lunche dla dwojga przy świecach w pracowniczej kuchni.

Patrzy na moje usta. Oblizuję je. Patrzy na ramię mojego biustonosza. Zaciskam kolana.

– Kto jest twoim źródłem?

Jego oczy robią się ciemniejsze. Źrenica wyżera błękit, a ja myślę o jego oczach w windzie. Morderczych oczach. Namiętnych oczach. Oczach szaleńca.

– Moim wewnętrznym źródłem? Jak w czasopiśmie dla celebrytów?

Jesteś celebrytką, Lucindo?

– Nie wiem, skąd ty tak dużo wiesz.

– Jestem spostrzegawczy. Wiem wszystko.

– Ale skąd wiesz, że mam róże w sypialni? Bo znasz język ciała? Czytasz w myślach? Pieprzysz głupoty. Podejrzewam, że zaglądasz mi do okna przez teleskop.

– A może moje mieszkanie sąsiaduje z twoim.

– Chciałbyś, zboczeńcu. – Zaczynam czuć pierwsze ukłucia potu na kręgosłupie. Gdyby rzeczywiście był moim sąsiadem, to prawdopodobnie ja wysiadywałabym w mroku z lornetką.

– No to jak z nimi? Żyją jeszcze?

– Zwiędły. Dzisiaj rano musiałam je wyrzucić.

Jego dłoń sunie po mojej ręce, powoli, delikatnie, rozplaszczając gęsią skórę. Jest taka zimna, że zerkam na jego twarz. Która jest jak zawsze wykrzywiona.

– Jaka ty jesteś gorąca.

– Tak, ale to powszechnie znany fakt – mówię sarkastycznym tonem i odsuwam się.

Autobus pokonuje gwałtownie zakręt i fala zawrotów głowy sprawia, że mętnieje mi wzrok, a żołądek skręcają mdłości. Nie dlatego, że jestem na coś chora. Moje ciało prawdopodobnie reaguje na stres związany z aplikacją, z pocałunkiem i z morderczym błyskiem w oczach Joshui.

– Nie możesz się już doczekać, kiedy zostaniesz zanihilowana?

Zdobywam się na najlepszą ripostę, na jaką mnie stać.

– Ja cię zniszczę. W Grze w Nienawiść. Ty kontra ja. To jedyny sposób, w jaki to się potencjalnie może skończyć.

– Zgoda – odwarkuje nagle Joshua, a potem wstaje i odwróciwszy się, klęka na swoim fotelu, aby przemówić do naszych kolegów z pracy.

Wszyscy z niechęcią przerywają rozmowy; wyczuwam, że lada moment dojdzie do buntu.

Ja też klękam i macham do wszystkich. A oni się uśmiechają. Malutki dobry glina oraz wielki gliniarz, którym wszyscy gardzą. Zauważam, że

Gamini siedzą po lewej, a Bexleye po prawej.

– Dzisiaj staniecie przed sześcioma wyzwaniem – zaczyna Joshua.

– Przed siedmioma, jeśli liczyć jego – dodaję i kilka osób reaguje prymitywnym rechotem.

Joshua obrzuca mnie z ukosa krzywym spojrzeniem.

– Utworzycie sześć czteroosobowych drużyn i potem przy kolejnych bitwach będziecie przechodzili do nowej grupy. Celem jest poznanie kolegów na świeżym powietrzu, w otoczeniu skłaniającym do aktywności. W ramach swoich drużyn będziecie obmyślali strategię, żeby zdobyć flagę przeciwnika.

– Wzdycha głęboko, bo ma przed sobą kompletnie puste twarze. – Poważnie? Nikt tu nigdy nie uprawiał paintballa? Celem gry jest zdobycie flagi przeciwnika. A główna zasada jest taka, że nie strzela się do dowódców pilnujących flagi. I nie strzela się też w twarze ani w krocza.

Cholera jasna, a ja o tym właśnie marzyłam.

– Marion, Tim, Fiona, Carey: wy zostaniecie opiekunami flag i będziecie ze swojego punktu obserwacyjnego oceniali uczestnictwo drużyny. Zostaniecie ludźmi od punktacji, jeśli wolicie.

Nawet robi na mnie jakieś wrażenie. Trochę się martwiłam, wyobrażając sobie tych czworo, jak dźwigają swe obolałe, starzejące się ciała po terenie wyznaczonym do bitwy. Carey i Marion kiwają do siebie z wyniosłymi minami, gdy tymczasem Joshua podaje im cztery podkładki do pisania. Nie podoba mi się, że nie przedyskutował tego ze mną. Panuje teraz nad wszystkim i to też mi się nie podoba.

– Po zakończeniu bitwy zbierzemy się razem na tarasie widokowym i przy kawie podyskutujemy o tym, czego dzisiaj dowiedzieliśmy się o sobie nawzajem. – Wślizguje się z powrotem na swój fotel.

– Jakież pytania? – Rozglądam się i widzę kilka uniesionych rąk.

– Dostaniemy kombinezony?

Joshua mruczy pod nosem coś, co brzmi jak „zasrane debile”. Postanawiam odpowiedzieć na pytanie.

– Każdy z was dostanie strój ochronny oraz maskę na oczy i twarz. – Czuję obok łokcia westchnienie Joshui przesączające mi się przez T-shirt. –

Tak? – Wskazuję Andy’ego, który opuszcza rękę.

– A trafienie kulą bardzo boli?

– Bardzo – odpowiada mu Joshua.

– Pamiętajcie, ludzie, celem nie jest robienie sobie nawzajem krzywdy. – Zerkam z góry na Joshuę. – Niezależnie od tego, jak bardzo wam na tym zależy!

– Wy dwoje jesteście po przeciwnych stronach? – krzyczy ktoś z tylnych siedzeń, wywołując ogólny śmiech.

Sława naszej nienawiści wyrwała się trochę spod kontroli i jest to zasadniczo moja wina. Muszę się opamiętać z tymi dowcipami o tym, jak to ja nienawidzę Joshui.

– Cała impreza została tak zaplanowana, żeby nas zbliżyć do siebie. W którymś momencie każdy z nas będzie miał za sobą udział w kilku różnych drużynach, co przypomina sytuację w pracy. Nawet Joshua i ja znajdziemy dzisiaj jakąś płaszczyznę porozumienia. To tyle. A teraz o głównej nagrodzie!

Wszyscy jak jeden mąż siadają prosto.

– Nagroda – wtrąca się donośnym głosem Joshua – to dodatkowy dzień płatnego urlopu. Zgadza się: jeden wolny dzień. Ale musicie na niego zarobić, wykazując się bezprzykładnym zaangażowaniem na rzecz swojej drużyny.

W autobusie rozlega się donośny szmer. Dzień wolnego. Jeden dzień poza więzieniem. Ta wizja dynda przed nimi jak jakiś Święty Graal na sznurku.

Paintballowe pole zostało zorganizowane na niewielkiej plantacji sosen. Teren jest pylisty i zasadniczo pusty, a drzewa wyglądają tak, jakby zaraz miały umrzeć. W górze kołuje wrona, wydając złowieszcze, chrapliwe okrzyki. Uczestnicy bitwy złążą się w jedno miejsce, tworząc nierówny okrąg w pobliżu bramy wejściowej.

Obok Joshui staje facet w kombinezonie moro pozujący na prawdziwego sierżanta. Obaj mają podobne sylwetki: wysokie, muskularne, w typie komandosa. Niewykluczone, że Joshua spędza w tym miejscu wszystkie wolne chwile. Obaj są towarzyszami broni. Towarzyszami, którzy byli

świadkami niejednego poważnego rozlewu farby na tej ziemi jałowej. Kiedy obaj wyczekująco wbijają we mnie spojrzenia, przypominam sobie, że ja też powinnam wystąpić naprzód.

Joshua demonstruje, jak włożyć kombinezon i sprzęt ochronny, co wszyscy chłoną z ogromnym zainteresowaniem. Sierżant Paintball odpowiada na masę głupich pytań z wyćwiczoną cierpliwością. Wszyscy dostajemy nasze stroje, maski i ochraniacze na kolana. A potem zbroimy się w markery, czyli karabinki na kulki z farbą.

Jesteśmy dorosłymi ludźmi, którzy uczestniczą w zajęciach integracyjnych zorganizowanych w ramach obowiązków zawodowych, dlatego oczywiście przez kilka kolejnych minut się wydurniamy, przybierając różne pozy z karabinkami, i tworzymy rozmaite efekty dźwiękowe. Joshua i sierżant Paintball obserwują nas niczym sanitariusze w domu bez klamek. Alan, niedawny jubilat, udaje, że nas wszystkich kosi.

– Pach, pach, pach – intonuje swoim poważnym barytonem. – Pach, pach.

Umykam ze ścieżki jednej z takich udawanych potyczek, powoli sobie uzmysławiając, że jestem niewyrośnięta i słaba. Patrzę na te wszystkie długie nogi i oczy rozjaśnione żądzą farby. Może właśnie tutaj wszystkie napięcia wygotują się i zanikną. Tymczasem przeobrażamy się w bandytów, Gamini kontra Bexleye, udając, że nie trzymamy w rękach markerów, z których strzela się farbą, tylko AK-47.

Na moim czole i nad górną wargą perli się pot i coś też jest nie tak z żołądkiem – nie wiem co, ale to na pewno nic dobrego. Moje usta już nie wyglądają jak umalowane pomadką, tylko jak umazane różowym lodem na patyku; no i musiałam upchnąć włosy pod ciężki kask. Najmniejszy kombinezon, jaki mieli, jest tak duży, że wszyscy się śmieją na mój widok. Cóż za elegancja. Cóż za gracia. Będę się musiała mocno spinać, żeby jakoś przetrwać to popołudnie.

Widzę, że macha na mnie Helene. Stoi na tarasie widokowym, w białym daszku, bluzce z kremowego lnu i białych rurkach, popijając dietetyczną colę przez słomkę. Tylko Helene mogła się ubrać na biało na pole paintballowe. Pan Bexley stroi fochy z jakiegoś powodu; siedzi na krzeselku z ramionami

skrzyżowanymi na piersi, podobny do wielkiej ropuchy w tym ubraniu koloru khaki.

– Życzę wszystkim znakomitej zabawy – woła Helene. – I pamiętajcie, widzimy was!

I z tym jej upiornym komentarzem, jakby żywcem wziętym z Big Brothera, dźwięczącym nam w uszach, zaczynamy bitwę.

Joshua wyczytuje pierwsze składy i okazuje się, że jestem w jego drużynie. Wychodzimy na pole w towarzystwie pozostałych członków naszej grupy, z Andym i Annabelle. Dwoje Gaminów i dwoje Bexleyów. Naprzeciwko nas wybiega gęsiego drużyna przeciwników, w tej samej liczbie. Prawdopodobnie wszystkich podzielił w taki sposób.

Należało odezwać się do niego w minionym tygodniu i zapytać, jak to wszystko będzie wyglądało, ale skrępowanie między nami okazało się nieprzewidywane. A poza tym, odkąd mój pomysł z korporacyjnym ośrodkiem wypoczynkowym został całkowicie unicestwiony, straciłam zapał do czegokolwiek i narzekałam też na wszystko. Skoro on mi ukradł pomysł, to niech go sobie teraz realizuje.

Kiedy jednak zauważam, że w powietrzu unosi się niemal namacalne podniecenie, trafia do mnie, że mój wspaniały pomysł przeobraził się w jego wielkie osiągnięcie. No tak, idiotka ze mnie i to do kwadratu.

Widzę Marion z flagą. Macha do mnie wesoło: w zębach trzyma długopis, w dłoni podkładkę do pisania, a na jej piersi wisi lornetka. Traktuje swoje pseudodniosłe zadanie z ogromną powagą.

– Jaki mamy plan? – zwracam się do naszej drużyny. Nasi przeciwnicy gdzieś już zniknęli, nie widzę ich.

– Trzymamy się razem czy się rozproszymy? – Annabelle nie jest pewna.

– Hmm, powiedziałabym, że prawdopodobnie powinniśmy trzymać się razem, biorąc pod uwagę nadrzędny cel, czyli integrację. – Opieram się o pień rachitycznej sosny i bardzo żałuję, że nie mogę obetrzeć twarzy. W tym kombinezonie jest mi tak gorąco, wręcz mam wrażenie, że zaraz zemdleję.

– Powinniśmy wybrać jedną osobę, która będzie się starała zdobyć flagę,

pozostali będą tę osobę osłaniać – mówi Andy.

Dobry pomysł.

– Kupuję to. Kto to będzie?

Oboje zerkają ukradkiem na Joshuę, wyraźnie się go bojąc. Z jakiegoś niedocieczonego powodu wcale nie wygląda głupio w masce. Jego dłoń w rękawicy jest tak ogromna, że chyba dałaby radę przebić się przez ceglany mur. Powinni go zminiaturyzować i sprzedawać w sklepie z zabawkami dla małych chłopców, którzy lubią bić innych.

– Annabelle – podejmuje decyzję Joshua. – I jeśli zostanie trafiona, to będziemy atakowali flagę w porządku alfabetycznym.

Świetnie. A zatem Andy, Josh i na końcu Lucy. Kiedy zasadniczo nie będzie już nikogo, kto by osłaniał. Zostanę mięsem armatnim. Wyruszamy gęsiego i się ukrywamy. Andy zauważa moją rosnącą panikę i uśmiecha się życzliwie.

– Będziemy się tobą opiekowali, Luce, nie przejmuj się.

Skądś wiedziałam, że Josh znajdzie sposób, żeby mnie udupić. Wyjdę z tego cała posiniaczona, obita i jeszcze ochlapana farbą. I nawet nie będę mogła do niego strzelać, dopóki nie przejdę do innej drużyny.

Słysząc sygnał wygrany na rogu i pełzną niezdarnie na czworakach w górę jakiegoś zbocza, stale się osuwając na sypkiej ziemi. Przemieszczam się jako pierwsza. Ma to sens, biorąc pod uwagę naszą strategię. Będę zwiadowcą, bo jestem spisana na straty.

Ręce jakoś nie chcą utrzymać mojego ciężaru i w końcu padam bezradnie na brzuch. Annabelle wybiega przede mnie, wymachując kończynami we wszystkie strony, zupełnie bez żadnego planu i nie zachowując ostrożności. Podnoszę się na klęczki i próbuję ją zawołać. Czyjaś dłoń zaciska się na mojej łydce i ciągnie mnie w tył, aż w końcu Joshua przypada do ziemi obok mnie, z bronią w ręku. Gestem daje do zrozumienia, że mam leżeć i się nie podnosić.

– Nie rób tego – syczę.

– Postrzelą cię w twarz, jeśli będziesz wystawiała głowę.

– No to się dziwię, że im nie pozwolił.

W odpowiedzi przykładła dłoń do moich pleców, przyszpilając mnie do ziemi. W prywatności swojego umysłu potrafię przyznać, że jest coś rozkosznego w ciężarze jego ręki. Po fragmentach tkanin dzielących naszą skórę rozchodzi się ciepło.

– A tak w ogóle to co ci jest?

– Nic. – Usiłuję się wyslizgnąć spod jego ręki.

– Wyglądasz strasznie.

– Dzięki. Muszę osłaniać Annabelle. – Ostrożnie unoszę głowę i widzę ją, jak truchta niezdarnie wśród chudych pni, całkowicie odsłonięta. Andy rycersko sady susy jej śladem. W oddali powiewa flaga, to znaczy jakaś pomarańczowa szmata.

Wstaję i biegnę, Joshua biegnie za mną. Padam za jakimś głazem i zauważam Marnie z drużyny przeciwnej. Unoszę karabin i odpalam kilka serii, trafiając ją w ramię.

– Auć – mówi z rozczarowaniem w głosie Marnie i odchodzi.

Patrzę na Joshuę i widzę, że troszkę mu zaimponowałam.

– Twardzielka.

Annabelle ani widu, ani słyhu. A dokoła nas rozlegają się tajemnicze trzaski, wystrzały podobne do pukania korków od szampana i okrzyki bólu. Po przebiegnięciu kilku krótkich odcinków znajduję Andy'ego, który klęczy na ziemi i próbuje zawiązać sznurowadło; na piersi ma wielką plamę rozbryzniętej farby.

– Och, Andy!

Andy podnosi na mnie umęczone spojrzenie weterana wojny w Wietnamie, który wie, że zaraz umrze, bo z bagnistej rany w brzuchu tryska mu gejzer krwi. Chwyta mnie za kolano.

– Biegnij jej na ratunek.

Obejrzał w życiu za wiele filmów akcji, ale ja, zdaje się, też, sądząc po tym, jak prędko nachodzi mnie poczucie, że muszę natychmiast biec z pomocą człowiekowi w opresji. Że muszę uratować Annabelle.

– Idę po colę – mówi Andy i czar pryska.

Znowu biegnę. Ledwie zipię i niewiele widzę, bo zaparowały mi gogle.

Słyszę za sobą trzask i uskakuję za piramidę z beczek; teraz słyszę, jak bębnią o te beczki kulki z farbą. Spoglądam po sobie – jeszcze nie zostałam trafiona. Zakładam, że poczułabym. Sprawdzam nogi od tyłu.

– Jesteś czysta – woła Joshua.

Oglądam się na niego i widzę, że przyczaił się nieopodal za potężnym pniakiem. Trzyma swój marker w jakiś taki fajny sposób, celując nim w niebo. Staram się go naśladować, ale natychmiast upuszczam swój karabinek.

– Niezguła – komentuje niepotrzebnie Joshua. Ma pewnie silne nadgarstki.

– Zamknij się.

Annabelle przyczaiła się za jakimś nieszczęśliwym młodym drzewkiem, które wygląda, jakby chciało popełnić samobójstwo. Przyglądam jej się, jak podnosi marker i trafia Matta z opozycji. Z ust wyrzywa mi się okrzyk zachwytu i Annabelle obraca się, unosi kciuk i uśmiechając się od ucha do ucha, daje znak, że mam biec naprzód. Flaga łopocze jakieś dziesięć metrów przede mną. Znienacka zostaje postrzelona w sam środek pleców i skowyczy z bólu. Nawet nie muszę patrzeć na Joshuę, by wiedzieć, że kręci głową.

– No to biegnij. Będę cię osłaniała. Zostaliśmy tylko ty i ja, koleś. Wiek wygrywa z urodą.

– Świetnie. Już jestem trupem. – Podbiega do mojej kryjówki za beczką i sprawdza swoją amunicję, oglądając się przez ramię.

– Twoi starzy byli w wojsku? – To by wiele tłumaczyło. Sztywniactwo, obcesowe i bezosobowe podejście do innych ludzi. Uzależnienie od zasad i ciągów liczbowych. Pedanteria i ekonomia we wszystkim, co robi. I doigrał się: nie ma przyjaciół i nie jest w stanie nawiązać z nikim więzi. Założę się, że rodzice często przebywali na placówkach zagranicznych. Łóżko to pewnie ścieli tak równo, że jak mucha na nim siądzie, to sobie nogi połamie.

– Nie – mówi Joshua, sprawdzając mój karabin. – Są lekarzami. Chirurgami. To znaczy byli.

– A co, nie żyją? Jesteś... sierotą?

– Kim? Nie, przeszli na emeryturę. Żyją i mają się świetnie.

– Aha. A skąd pochodzisz? – Czubek lufy mam wbity w ziemię. Jestem za bardzo zmęczona. Mam nadzieję, że ktoś mnie zastrzeli. Muszę odpocząć.

– Tylko ja i brat mieszkamy w mieście. – Patrzy na mnie krzywo i stuka swoim karabinkiem o mój. – Podnieś broń.

– To was jest dwóch? Boże, dopomóż. – Staram się go usłuchać, ale ręce mam jak z waty.

– Mam przyjemność cię poinformować, że jesteśmy zupełnie do siebie niepodobni.

– Często się z nim spotykasz?

– Nie. – Sprawdza trasę przed nami.

– Czemu nie?

– Nie twoja sprawa.

A niech to.

Widzę w oddali Danny’ego; przekrada się między drzewami, w samym środku potyczki między dwoma nowymi drużynami powstałymi w wyniku rotacji. Dzieli nas od nich rozciągnięta lina. Macham do niego, a on podnosi rękę w odpowiedzi; na jego twarzy rozlewa się uśmiech. Joshua podnosi karabinek i dwukrotnie trafia go w udo ze snajperską dokładnością, po czym z pogardą pociąga nosem.

– Co jest? Z tobą teraz nie walczę! – krzyczy Danny. Woła do opiekuna swojej flagi i podejmuje bieg, tym razem lekko utykając.

– To było niepotrzebne, Joshua. Bardzo, bardzo niesportowe.

Zaczynamy posuwać się do przodu; Joshua ma przyczajoną sylwetkę i stąpa z zaskakującą lekkością, kiedy okrąża salwę strzałów i wpycha mnie za drzewo. Flaga powiewa tuż przed nami, ale broni jej wciąż dwóch członków drużyny przeciwnej.

– Cicho – syczymy unisono i patrzymy na siebie. Najgorsze miejsce do uprawiania Gry w Spojrzenia to sam środek sesji paintballa na żywo.

Przyciskam tył głowy do drzewa, przez co moja maska się lekko przekrzywia i mogę przyjrzeć mu się właściwie. Ma oczy barwy, jakiej nigdy w życiu nie widziałam. Ten dreszcz towarzyszący walce na żywo go elektryzuje. Odwraca wzrok, żeby sprawdzić, co się dzieje za nami, i jego

twarz zaciemnia ponury grymas. I jak mam być opanowana, kiedy on ma takie gorejące spojrzenie? To w ogóle możliwe?

Przywieramy do siebie. Moja skóra natychmiast robi się wrażliwa, a kiedy zerkam w bok, widzę przelotnie jego zaokrąglony, ciężki biceps. Serce zaczyna spazmatycznie się jąkać, kiedy sobie przypominam, co czułam, kiedy ujmował dłonią mój podbródek, kiedy odchyłał mi głowę, żeby móc przycisnąć wargi do moich warg. Kiedy mnie smakował jak coś słodkiego. Patrzy teraz na moje usta i wiem, że przypomina sobie dokładnie to samo.

Rozdział 9

Cała jesteś spocona. – Joshua marszczy brwi. A więc chyba jednak nie.

Za mną rozlega się trzask łamanej gałązki, znak, że ktoś się zbliża. Na moje pytające uniesienie brwi Josh odpowiada skinieniem głowy. To jest chwila, na którą czekałam, Joshua musi zdobyć flagę. Chwytam go za kombinezon i szarpnięciem wciskam w drzewo za moimi plecami.

– Co ty... – dobiega mnie z tyłu jego stęknienie, ale ja mam w głowie tylko zasadzkę, która może gdzieś na nas czyhać. I jest we mnie już tylko Lara Croft: uniesione pistolety, oczy płonące żądzą zemsty. W końcu widzę łokieć wroga wystający zza barykady z beczek.

– Dawaj! – krzyczę, starając się równocześnie namacać spust palcem w grubej rękawicy. – Będę cię osłaniać!

I wtedy to się staje. *Paf, paf, paf*. Ból przeszywa mnie na wskroś – ręce, nogi, brzuch, cycek. Drę się z całych sił, ale tamci nie przestają strzelać i po chwili cała jestem już pokryta białymi bryzgami. Kompletny *overkill*. Wreszcie Joshua staje przede mną i bierze resztę pocisków na plecy. Czuję, jak jego ciało drży od kolejnych trafień, jak chroni w ramionach moją głowę. Może dałoby się jakoś zatrzymać czas i roztopić się tutaj tak, i zasnąć?

Joshua odwraca głowę i drze się wściekle na naszego napastnika. Strzały milkną, niedaleko rozlega się triumfalny krzyk Simona, który stoi na szczycie pagórka i wymachuje flagą. Cholera. Jedną robotę miałam do zrobienia i przez niego nawet z niej się nie wywiązałam.

– Trzeba było biec. Osłaniałam cię. A tak to przegraliśmy. – Kolejna fala mdłości omalże nie zwała mnie z nóg.

– No bardzo cię przepraszam – sarkastycznie rzuca Joshua.

Rob podchodzi do nas z opuszczoną bronią. W moim gardle rodzą się niepoahamowane jękliwe odgłosy. Na całym ciele mam mnóstwo bolesnych

punktów.

– Przepraszam, Lucy. Naprawdę przepraszam. Trochę... trochę mnie poniosło. Dużo gram na komputerze. – Na widok wyrazu twarzy Joshui Rob aż cofa się o kilka kroków.

– Potraktowałeś ją naprawdę brutalnie – warczy na niego Joshua, a ja czuję jego dłoń na swojej głowie.

Wciąż wciska mnie w drzewo, jego kolano jest między moimi nogami, a kiedy zerkam w lewo, widzę Marion obserwującą nas przez lornetkę. Po chwili lornetka kołysze się na jej piersiach, ona oznacza coś na podkładce, kącik jej ust wygina się w uśmiešku.

– Złaź. – Odpycham go z całej siły. Jest wielki i ciężki, a ja tak rozpalona, że mam ochotę zedrzeć z siebie kostium i naga położyć się w kałuży zimnej farby.

Podczas powrotu na miejsce startu pod tarasem widokowym oboje ciężko dyszymy. Kuleję, więc Joshua obcesowo bierze mnie pod rękę, zapewne po to, żebym szybciej wyciągała nogi. W miejscu, do którego zmierzamy, stoi Helene, na nasz widok opuszcza okulary na nos. Macham do niej jak smutny kociak z kreskówki: *bieda, bieda*.

Wokół trup ściele się gęsto. Ludzie delikatnie obmacują naznaczone farbą miejsca na ciele i wydają odpowiednie jęki. Odgrywają się niezliczone powtórki z rozrywki. Spuszczam wzrok i widzę, że przód mojego kombinezonu jest właściwie jedną krzepnącą farbą. Joshua z przodu wygląda w porządku, ale plecy ma w ruinie. Jak zawsze – przeciwieństwa doskonałe.

Kiedy wreszcie pozbywam się rękawic i maski, Joshua podaje mi podkładkę i butelkę wody. Ledwie zdążę ją podnieść do ust, butelka jest już pusta. Dziwnie się jakoś świat układa. Joshua pyta sierżanta Paintballa, czy nie ma aspiryny.

Danny idzie w moją stronę, lawirując między poległymi towarzyszami broni. Znienacka dociera do mnie, jak upiorny widok muszę stanąć. Zgodnie z moimi przewidywaniami on obrzuca mnie spojrzeniem i mówi tylko:

– Auć.

– Cała jestem jednym wielkim siniakiem.

– Potrzebujesz mściciela?

– Jasne, przydałby się. Temu Robowi z PR coś za łatwo przychodzi strzelanie do ludzi.

– Dobra, zajmę się nim, właściwie możesz uznać, że sprawa załatwiona. A z tobą coś nie tak, Josh? Postrzeliłeś mnie w nogę, choć brałem udział w zupełnie innej potyczce.

– Sorry, wszystko mi się pomieszało – mówi Joshua, ale jego głos wręcz ocieka fałszem.

Danny nasuwa okulary na oczy, a Josh ze złośliwym uśmieszkiem patrzy w przestrzeń gdzieś nad jego głową. Nasi koledzy łażą chwiejnie dookoła, wymachując ramionami, umazani farbą, obolali, ewidentnie nie wiedząc, co dalej ze sobą robić. Wszystko szybko ogarnia chaos. Spuszczam wzrok, szukając natchnienia w dokumentach na podkładce. Zaraz rzuca mi się w oczy, że na wszystkie kolejne tury wpisał mnie w poczet swojej drużyny, pewnie na żądanie Helene. Jeżeli teraz to zmienię, nigdy się nie połapie. Dla niej jest to tylko zwykłe sudoku. Za pomocą ołówka natychmiast wprowadzam zamiar w czyn i dopiero wtedy ogłaszam wszem i wobec skład kolejnych drużyn. Wśród głośnych narzekań ludzie łączą się w zespoły.

– Czekaj, zaraz ktoś przyniesie apteczkę. W ogóle lepiej, żebyś sobie odpuściła na resztę popołudnia. Z tobą jest coś nie tak – mówi Joshua.

Znowu zerkam w stronę Helene, a potem ogarniam spojrzeniem pozostałych. Niewykluczone, że wkrótce będę szefową całej tej gromadki. Nie ulega wątpliwości, że to popołudnie to jakiś etap konkursu. I ja nie mam najmniejszego zamiaru go przegrać.

– Powtarzasz mi to od dnia, kiedy się poznaliśmy. Miłego popołudnia życzę. – I nie oglądając się za siebie, idę w stronę mojej nowej drużyny.

Popołudnie ciągnie się jak żadne inne w moim dotychczasowym życiu, a równocześnie czas gna naprzód jak szalony. Wrażenie bycia obserwowanym i śledzonym jest mocno denerwujące, więc nic dziwnego, że z naszych małych drużyn rodzą się spontaniczne wspólnoty. Szybko popycham Quintusa z księgowości do bunkra, a tymczasem sypie się na nas

grad różowych pocisków.

– Dawaj! Dawaj! – drę się jak dowódca prawdziwego oddziału SWAT, a tymczasem Bridget defiladowym krokiem podchodzi do flagi, nadaremno ścigana rozbryzgami farby.

To, jak źle się czuję, dociera do mnie podczas trzeciej tury, już po tym, gdy udało mi się zdobyć flagę. Doskonale zdawałam sobie sprawę, jak rozpaczliwe było to szaleńcze poczucie triumfu, które mnie opanowało, ale szczerze mówiąc, naprawdę zdawało mi się, że zdobyłam Everest. Moi towarzysze krzyczeli z radości, a wysoka koszykarka Samantha – z Bexleyów – porwała mnie na ręce i zakręciła dookoła, przez co soki żołądkowe podeszły mi do gardła.

Ręce mi drżą zmęczone ciężarem broni. Świat dookoła nabiera z lekka surrealistycznych wymiarów, jakbym zaraz miała się ocknąć z męczącej popołudniowej drzemki. Niebo nad moją głową zamyka srebrnobiała kopuła.

Rozglądam się po otaczających mnie, zlanych potem twarzach. Nieomal namacalnie czuję związki łączące mnie z tymi ludźmi. Przyglądam się, jak jeden z Gaminów przybija piątkę z Bexleyem i oboje wybuchają śmiechem. Razem w tym wszystkim jesteśmy. Może pomysł Joshui wcale nie był taki zły. Może jedynym sposobem na połączenie ludzi jest wojna i ból. Walka i rywalizacja. Może chodzi tylko o to, żeby coś przeżyć.

A tak w ogóle to gdzie jest Joshua? Przez resztę popołudnia widywałam go tylko w przerwach między turami, gdy zmienialiśmy drużyny. Ale na widok każdego skradającego się przez las człowieka mój wzrok wyprawiał najdziwniejsze sztuczki. Widziałam go klęczącego, przeładowującego broń, strzelającego. We wszystkich widziałam kształt jego ramion i krzywiznę pleców. Ale potem wystarczyło, żebym zamrugała, i Josh zaraz zmieniał się w kogoś zupełnie innego.

Pozostaje mi chyba czekać już tylko na ten ostatni, śmiertelny strzał. Na wielki czerwony rozbryzg prosto w serce.

– Gdzie jest Joshua? – pytam kolejnych opiekunów flag, ale oni tylko wzruszają ramionami. – Gdzie jest Joshua? – pytam wszystkich, których spotykam na swojej drodze. – Gdzie jest Joshua? – Odpowiedzi są coraz

bardziej zdawkowe i coraz bardziej pobrzmiewają irytacją.

Szarpię za swój kombinezon, mimo że nadal otaczają mnie rytmiczne pukanie i trzaski fruwających w powietrzu pocisków. Niezbyt skutecznie pociągam w dół kołnierz, wystawiając niewielki, może centymetrowy pasek gołej skóry na chłodne powietrze. A potem zaczynam wymiotować. Nie bardzo zresztą mam czym, pomijając wodę i herbatę. Nie miałam dzisiaj ochoty na lunch. Ani śniadanie. Zасыpuję rzygowiny piaskiem i ocieram usta wierzchem dłoni. Ta planeta krąży doprawdy za szybko, muszę przytrzymać się drzewa.

Powietrze zaczyna się wychładzać, kiedy słyhać ostatnie brzmienie rogu i wszyscy się wlecemy do kwatery głównej. Po każdym widać wyczerpanie, słyhać też chór skarg, gdy zdieramy z siebie kombinezony. I w ogóle wszyscy marudzą. Sierżant Paintball ma taką minę, jakby się zastanawiał, czy rzeczywiście wybrał dobry sposób na życie. Joshua stoi z jedną ręką na biodrze, a ja instynktownie podnoszę karabinek. Najwyższy czas.

Lucy kontra Joshua. Totalna anihilacja.

Podchodzi do mnie, kompletnie nie zwracając uwagi na moją pozę człowieka czynu, i odbiera mi broń. Ściągam maskę. A on staje za mną i czuję, jak jego dłonie ślizgają się w pocie na moim karku. Jest tak, jakby dotykał przewodu pod napięciem, co sprawia, że z gardła wyrywa mi się dziwaczny bulgot. Chwyta za suwak mojego kombinezonu i energicznie go rozpiną na plecach. Podskakuję w miejscu, żeby go z siebie zrzucić, jednocześnie odtrącając jego ręce.

– Jesteś chora – mówi oskarżycielsko.

Beztrósko wzruszam ramionami i chwiejąc się, wspinam się na taras, gdzie czekają Helene z Małym Tłustym Rysiem.

– Wygląda na to, że patrzyliśmy na doskonałą pracę zespołową – stwierdza Helene.

Wiwatujemy słabymi głosami, wspierając się wzajemnie. Unoszę rąbek swojego T-shirta: fioletowe siniaki. Czuję zapach kawy i robi mi się niedobrze. Przedzieram się na czoło grupy. Josh dyrygował imprezą odrobinę za długo. Ale jeszcze mogę coś uratować.

– Czy wolno mi wywołać czterech opiekunów flag, żeby opowiedzieli o aktach pracy zespołowej i męstwa, których byli świadkami?

Tamci wygłaszają swe spostrzeżenia, a ja staram się pozbierać wszystko do kupy. Ponoć Suzie spowodowała niezłe zamieszanie, podkładając nogę członkowi swojej drużyny i sama zdobywając flagę.

– Oberwałam za to cztery razy – krzyczy Suzie, klepiąc się po udzie i krzywiąc.

– Ale zostałam postrzelona dla dobra swojej drużyny – zauważa pan Bexley, wybudzając się z ogłupienia wywołanego, jak mi się zaczyna wydawać, jakimiś lekami. – Dobra robota, młoda damo.

– A mówiąc o odwadze – odzywa się Marion, sprawiając, że skręca mnie w żołądku. – Mała Lucy dokonała czegoś naprawdę niezwykłego.

Podnoszą się wiwaty, ale zbywam to machnięciem ręki. Jeżeli jeszcze ktoś nazwie mnie niewyrośniętą, małą albo idiotycznie małą, to powalę go ciosami karate.

– Dała się postrzelić co najmniej dziesięć razy, bo chroniła kolegę przed kimś, kogo chyba trochę poniosło. Ta osoba pozostanie nienazwana. – Patrzy ostentacyjnie na Roba, który kuli się jak zbity pies. Inni ludzie patrzą na niego krzywo. – Stała przed swoim kolegą z drużyny, z szeroko rozpostartymi ramionami, i własną pierś chroniła go przed śmiercią! – Marion naśladuje mnie, wyciągając ramiona jak strach na wróble, i udaje, że jej ciałem wstrząsają trafienia. Jest dobrą aktorką. – Ja patrzę i widzę, że osobą, której broni Lucy, jest sam Josh Templeman!

Słychać wybuch gromkiego śmiechu. Ludzie wymieniają się rozbawionymi spojrzeniami, a dwie dziewczyny z HR trącają się łokciami.

– Ale co było potem! Przerzucił Lucy za siebie, żeby sam ją osłonić własną pierś, i przy okazji dał się postrzelić w plecy! Osłaniał ją! To był dopiero widok.

Kolejny zabawny fakt: Marion zaczytuje się romansami w kuchni podczas lunchu. Łapię wzrok Joshui i widzę, że ociera sobie czoło przedramieniem.

– Więc chyba paintball zbliżył nas wszystkich do siebie – udaje mi się wykrztusić, co zostaje skwitowane oklaskami. Gdyby to był odcinek jakiegoś

serialu telewizyjnego, to wszyscy wyciągnęlibyśmy z tego skromny moralny wniosek: należy przestać się wzajem nienawidzić.

Helene jest zadowolona; wargi ma wykrzywione we wszechwiedzącym uśmiechu.

Nagroda w postaci wolnego dnia zostaje przyznana Suzie, która przyjmuje mały, komiczny dyplom z głębokim ukłonem. Deborah, jak się okazuje, porobiła kilka niezłych zdjęć, więc proszę ją, żeby mi je przesłała mailem, to je potem przekażę do naszego wewnętrznego biuletynu.

Helene ujmuje mnie pod łokieć.

– Pamiętaj, w poniedziałek mnie nie będzie. Zamierzam medytować pod drzewami.

Wszyscy wracają już do autobusu i z zadowoleniem stwierdzam, że trudno teraz orzec, kto jest Gaminem, a kto Bexleyem. Każdy bez wyjątku wygląda jak ofiara katastrofy kolejowej; ubrania w strzępach, czerwone i spocone czoła. Większość kobiet ma makijaż jak oczy pandy. Ale mimo fizycznych niedomagań czuć, że się do siebie zbliżyliśmy.

Helene i pan Bexley znowu się od nas odłączają swoimi superbrykami niczym bohaterowie *Odlotowych wyścigów*. Po kilka osób przyjeżdżają współmałżonkowie i powstaje chaotyczna gmatwanina samochodów i pyłu. Kobieta prowadząca autobus odkłada gazetę na nasz widok i otwiera drzwi.

– Proszę zaczekać kilka minut – mówię jej i biegnę z powrotem do głównego budynku. Wpadam do toalety w ostatniej chwili, po czym zaczynam gwałtownie rzygać. Jeszcze nie czuję, że pozbyłam się wszystkiego z żołądka, kiedy słyszę ostre pukanie do drzwi. Znam tylko jednego człowieka, który pukałby z takim zniecierpliwieniem i wkładał w to tyle irytacji.

– Odejdź – mówię mu.

– To ja, Joshua.

– Wiem. – Kolejny raz spuszczam wodę.

– Jesteś chora. Mówiłem ci. – Lekko szarpie za klamkę.

– Dotrę sama do domu. Odejdź.

Zapada cisza, więc wyobrażam sobie, że wrócił do autobusu. Znowu

wymiotuję. Znowu spuszcza wodę. Myję ręce, opierając uda o umywalkę, przez co rozbryzgi wody przemaczają mi dzinsy. Elvis jest już tak mokry, że zupełnie mnie oblepia.

– Jestem chora – zwieram się swojemu odbiciu w lustrze. Mam wysoką gorączkę, błyszczą mi oczy. I jestem niebiesko-szaro-biała. Wydaję z siebie przerażony pisk, bo słyszę skrzypienie otwieranych drzwi.

– O cholera. – Joshua z zaniepokojeniem ściąga brwi. – Źle wyglądasz.

Ledwie jestem w stanie skupić wzrok. Podłoga pode mną wiruje.

– Nie dam rady. Nie dam rady jechać autobusem. Po prostu nie.

– Zadzwoń do Helene. Mogłaby zawrócić, na pewno nie odjechała jeszcze za daleko.

– Nie, nie. Nic mi nie będzie. Ona jedzie do jakiegoś spa. Sama się sobą zajmę.

Joshua stoi oparty o framugę drzwi, ze zmarszczonym czołem.

Zbroję się wewnętrznie, nabierając w garść odrobinę zimnej wody i oblewając nią kark. Włosy, dotąd ściągnięte w kok, rozsypały się i przywarły do szyi. Płuczę usta.

– OK, już nic mi nie jest.

Kiedy idziemy z powrotem do autobusu, Joshua trzyma dwoma palcami mój staw łokciowy, jakby to była torba ze śmieciami. Czuję, że za przyciemnianymi szybami autobusu kryją się wygłodniałe oczy, pożerające nas spojrzeniami. Przypominają mi się tamte dwie dziewczyny trącające się łokciami i wrywam mu się.

– Mógłbym cię tu zostawić, wrócić samochodem i potem odwieźć, ale to by potrwało co najmniej godzinę.

– Ty? Mówisz, że przyjechałbyś po mnie? Pewnie czekałabym całą noc.

– Hej. Przestań tak gadać, dobrze? – Jest wyraźnie zły.

– Tak, tak. HR. – Wchodzę na chwiejnych nogach do autobusu.

– O matko! – woła głośno Marion. – Lucy, wyglądasz strasznie.

– Lucy! – krzyczy Danny z tyłu autobusu. – Zająłem ci miejsce!

Siedzi tak daleko, że jego sylwetka jawi mi się jak w obiektywie teleskopu. Jeśli pójdę tam usiąść, to z całą pewnością wszystkich zarzycam.

Bezgłośnie przeproszam Danny'ego, zajmuję miejsce na przodzie i zamykam oczy.

Joshua przyciska dłoń do mojego spoconego czoła, na co reaguję syknięciem.

– Masz zimną rękę.

– Nie, ty jesteś strasznie gorąca. Musimy cię zawieźć do lekarza.

– Jest już prawie wieczór, i to piątkowy. Jaka szansa, że dostaniemy się do lekarza? Muszę się po prostu położyć do łóżka.

Powrót do domu jest raczej nieprzyjemny. Tkwię w klatce przez niekończący się czas. Jestem żukiem zamkniętym w słoju potrząsanym przez małe dziecko. Autobus kołysze się, jest w nim gorąco, duszno, czuję każdy wybój i zakręt. Skupiam się na oddychaniu, myślę też o ręce Joshui przyciśniętej do mojej ręki. Przy którymś szczególnie ostrym zakręcie wspiera mnie ramieniem.

– Dlaczego? – pytam bezsensownie. Czuję, że wzrusza ramionami.

Zostajemy wysadzeni przed B&G. Kilka kobiet zbija się w gromadkę dookoła mnie, próbuję zrozumieć, co mówią. Joshua trzyma mnie za tę szmatę, w którą przemienił się mój przeupocony T-shirt, i mówi im, że nic mi nie będzie.

Wdaje się w ożywioną dyskusję z Dannym, który do znudzenia mnie pyta:

– Jesteś pewna?

– Jasne, że jest pewna – grzmi Joshua.

W końcu zostajemy sami.

– Przyjechałaś samochodem?

– Jerry potrzebuje jeszcze jednego tygodnia. Mój mechanik. Pojadę autobusem.

Prowadzi mnie do przodu: czkającą, spoconą marionetkę. Usta wypełnia mi kwas. Jego dłoń, trzymająca mnie żelaznym uściskiem za kark, opada na siedzenie dżinsów i zahacza o pętlę do paska; druga dłoń trzyma mnie za łokieć. Czuję staw tej jednej dłoni uciskający mnie w miejscu tuż nad rowkiem między pośladkami i wybucham głośnym śmiechem.

Schody wiodące na podziemny parking są strome, więc się płoszę, ale on

mnie popycha do przodu, zaciskając dłonie. Używa karty magnetycznej, żeby wprowadzić nas do środka, i stanowczymi ruchami kieruje mnie w stronę swojego czarnego auta. Czuję zapach spalin i oleju samochodowego. W ogóle czuję wszystkie zapachy. Wymiotuję na sucho za jednym ze wsporników, a wtedy on z wahaniem układa dłoń między moimi łopatkami i lekko mnie tam masuje okrężnymi ruchami. A mną wstrząsa kolejny atak mdłości.

Potem pomaga mi usiąść na fotelu pasażera, po czym wrzuca moją torbę, o której na śmierć zapomniałam, na tył. Uruchamia silnik, a ja widzę przelotnie swoje odbicie w bocznym lusterku, z głową zwisającą bezwładnie na bok, z ciemnym rumieńcem na policzkach, lśniąca od potu i usmarowaną tuszem do rzęs.

– No dobrze. Będziesz rzygała w samochodzie, Babeczko? – Nie mówi tego ze zniecierpliwieniem czy irytacją. Uchyła szybę po mojej stronie na kilka centymetrów.

– Nie. Może. Niewykluczone.

– Weź to, jeśli będziesz musiała. – Wręcza mi pusty kubek po kawie na wynos. Wrzuca wsteczny bieg. – No to mów, dokąd jedziemy.

– Do piekła. – Znowu zaczynam się śmiać.

– Piekło to miejsce, z którego się wzięłaś.

– Zamknij się. Jedź w lewo.

Podaję mu wskazówki, jak ma dojechać do mojego bloku. Nie otwieram oczu, liczę oddechy, nie rzygam. Spore osiągnięcie.

– To tu. Możesz zaparkować od frontu.

Kręci głową i wtedy potulnie kieruję go w stronę mojego pustego miejsca na parkingu. Musi pomóc mi wysiąść, a potem opieram się o niego jak szmaciana lalka. Policzkami przez chwilę dotykam chyba jego piersi. A ręką przytrzymuję się chyba jego pasa.

Wciska guzik; wsiadamy do windy i stajemy naprzeciwko siebie: na Grę w Spojrzenia nakładają się gorące, spocone wspomnienia tamtego ostatniego razu, kiedy w nią graliśmy.

– Tamtego dnia miałeś oczy seryjnego mordercy. – Zdaje się, że

wyrzygałam filtr, przez który normalnie przepuszczam to, co mówię.

– Ty też.

– Podoba mi się twój T-shirt. I to bardzo. Wspaniale w nim wyglądasz.

Patrzy po sobie ze zdziwieniem.

– Nie ma w nim nic niesamowitego. Twój też... mi się podoba. Jest taki duży jak sukienka.

Drzwi windy rozsuwają się. Wytaczam się na zewnątrz. A on niestety idzie za mną.

– Tu mieszkam. – Opieram się o swoje drzwi.

Joshua wyławia klucze w mojej torebce i otwiera zamek.

W życiu nie widziałam, by ktoś tak rozpaczliwie chciał być zaproszony. Wsuwa głowę za drzwi, a dłońmi klei się do framugi, jakby groziło mu, że zaraz wpadnie do środka.

– Spodziewałem się czegoś innego. Nie jest tu zbyt... kolorowo.

– Dziękuję ci, do widzenia. – Gnam do kuchni i chwytam szklankę. A potem piję wodę prosto z kranu.

– Wydaje mi się, że moglibyśmy poszukać jakiejś całodobowej kliniki – odzywa się za moimi plecami, po czym odbiera mi szklankę, zanim ją zdążę upuścić. Przesuwa toster do ściany i żeby jakoś wypełnić niezręczne milczenie, składa ścierkę do naczyń. Potem jego paznokcie odrywa okruch chleba, który przywarł do blatu. Jezu, to jeden z tych ludzi, którzy uwielbiają sprzątać. Widzę, że ma ochotę zakasać rękawy, wziąć proszek i zacząć szorować.

– Straszny burdel, prawda? – Wskazuję kubek ze śladami szminki, a on patrzy na niego tęsknie i oboje jednocześnie próbujemy jakoś się wyminąć w tej ciasnej przestrzeni.

– Pozwól, że cię zawiozę do jakiegoś lekarza.

– Wystarczy, że się położę.

– Chcesz może, żebym do kogoś zadzwonił w twoim imieniu?

– Nikogo nie potrzebuję – oznajmiam z dumą. Wyciągam rękę w stronę kluczy, ale on trzyma je poza moim zasięgiem. „Nikt nie musi się mną zajmować. Sama przez to przejdę. Jestem samiuteńka jak ten palec”.

– Samiuteńka jak ten palec? Jakież to dramatyczne. Pójdę do apteki i może coś ci przyniosę.

– Oczywiście, oczywiście. Miłego weekendu.

Kiedy drzwi się zatrząskują, utwierdzam się, że moje mieszkanie to strefa klęski żywiołowej, że jest bardzo zagrożone i owszem, bezbarwne. Tato mówi, że to igloo. Brakowało mi dotąd czasu, żeby odcisnąć na nim swoje piętno, jestem za bardzo zapracowana. Regał ze smerfami wypełnia sporą część ściany w dużym pokoju i jest teraz ciemny, bo zamontowane w nim światła nie są zapalone. Dzięki Bogu, że Josh sobie poszedł.

Moje łóżko wygląda tak, jakbym miała niepokojące, erotyczne sny, co zresztą jest zgodne z prawdą. Pościel jest zmięta i poskręcana, a na jednej połowie zamiast mężczyzny leżą książki. Z szuflad niczym sałata z hamburgera wystają paski od biustonoszy i bielizna we wzorek ze smerfów. Leżącą na widoku kserokopię z terminarza Josha ukrywam.

Biorę prysznic, cudowny i bolesny, biorę go i biorę bez końca. Puszczam zimną wodę i zamarzam na kość. Puszczam wrzątek i płonę. Spijam krople rozbryzgującej się nade mną fontanny. Nakładam sporą ilość szamponu na włosy i czekam, aż sam spłynie. Odżywki nie chce mi się stosować – dowód na to, że jestem bliska śmierci.

W głowie wirują mi jakieś bezsensowne obrazy; opieram się o płytki na ścianie i przypomina mi się, jakie to było uczucie, kiedy opierałam się o pień drzewa, a Joshua Templeman osłaniał mnie ciałem.

W prywatności swojego umysłu mogę sobie wyobrażać, co tylko zechcę, i bynajmniej nie są to postępowe myśli charakterystyczne dla dwudziestego pierwszego wieku.

To są myśli zdeprawowanej, zdziczałej kobiety-jaskiniowca. W mojej wyobraźni nakręca go zwierzęcy instynkt, żeby mnie ochraniać, jego ciężkie ramiona opasują moje ciało. Amortyzuje sobą każde uderzenie i to jest jego przywilej. Otrzymał od natury bolesny i potężny zastrzyk z tego najwspanialszego narkotyku, jakim jest testosteron.

Jestem w niego wtulona, osłonięta nim jak tarczą przed wszystkim, w czym chce we mnie rzucać świat. Każdy ból albo okrucieństwo będą

musiały najpierw przejść przez niego, zanim mnie dotkną. I dlatego nigdy mnie nie dotkną.

– Żyjesz?

Wrzeszczę, kiedy do mnie dociera, że ten dudniący głos to nie moja wyobraźnia, i odruchowo przywieram do ściany.

– Nie wchodź tu! – Na szczęście zamknęłam drzwi. O dzięki wam, aniołowie, którzy nade mną czuwacie. Osłaniam rękami wszystkie moje strefy dozwolone od lat osiemnastu.

– Nie mam takiego zamiaru! – odwarkuje.

– Jestem zupełnie naga. Siniaki... – Wyglądam jak akwarela autorstwa Moneta: fioletowe lilie unoszące się na zielonej wodzie.

Joshua nic nie mówi.

– No idź już sobie. Idź do dużego pokoju.

Boli mnie skóra, kiedy wycieram się ręcznikiem. Uchylam odrobinę drzwi łazienki, ale wita mnie cisza. Wymykam się na zewnątrz, po czym znajduję bieliznę, to znaczy ohydny beżowy biustonosz i majtki, oraz starą, zniszczoną górę od piżamy z wizerunkiem uroczego dinozaura, który sennie przymyka powieki. Pod spodem widnieje napis: ŚPIOZAUROS.

Jestem naga, ale już się ubieram, odseparowana od Joshui jedynie ścianą. Kocham cię, ściano. Jaka dobra ściana. Padam na łóżko z taką siłą, że aż skrzypi materac, i to skrzypienie jest ostatnim dźwiękiem, jaki słyszę.

Budzę się w samym środku wulkanu.

– Nie! Nie!

– Ja cię nie truję. Przestań się tak miotać. – Joshua jedną dłonią podtrzymuje mi kark, drugą wciska mi do ust dwie tabletki.

Popijam je wodą, a potem on układa mnie na płask.

– Matka zawsze dawała mi lemoniadę. I siedziała przy mnie. Zawsze przy mnie była, kiedy się budziłam. Twoja też tak robiła? – Mam głos pięciolatki.

– Moi rodzice byli za bardzo zajęci pracą na trzy zmiany, polegającą na zajmowaniu się innymi chorymi ludźmi, żeby jeszcze zrobić coś dla mnie.

– Ach, ci lekarze.

– Tak, wszyscy, tylko nie ja. – Uraza w jego głosie wskazuje, że to bolesny temat.

Czuję jego dłoń na czole, jego palce lekkie i sztywne.

– Sprawdzimy temperaturę.

– Tak mi koszmarnie głupio. – Mój głos jest zniekształcony, bo wsadził mi do ust termometr. Pewnie go kupił, bo nie mam termometru. Przeżywam właśnie ten moment, który zapewne do końca życia będę wspominała z największym uczuciem wstydu.

– Zrobisz wszystko, żebym tego nigdy nie zapomniała. – To właśnie staram się powiedzieć. Przez termometr brzmi to tak, jakbym doznała urazu głowy.

– Jasne, że nie. Nie gryź termometru – odpowiada cicho, a potem wyjmuje mi go z ust. – Nie chcemy, żebyś miała więcej niż czterdzieści. –

W stonowanym wieczornym świetle jego oczy są granatowe, kiedy ocenia mnie niemalże klinicznie, a potem jeszcze raz przejeżdża dłonią po czole, bardzo delikatnie. Wcale nie sprawdza mi temperatury. Ma oczy człowieka, którego nie znam.

– OK. Proszę, zostań na minutę. Ale możesz iść, jeśli chcesz.

– Lucy. Zostanę.

W końcu coś mi się śni i to jest sen o tym, że Joshua siedzi na skraju mojego materaca i przygląda mi się, jak śpię.

Rozdział 10

Rzygam jak kot. Joshua Templeman trzyma przed moją twarzą wielki pojemnik tupperware – ten sam, w którym zazwyczaj zanoszę do pracy ciastka. Czuję nawet zapach plastikowo-słodkawych pozostałości lukru i jajek. I znowu rzygam. Robi z nadgarstka podpórkę dla mojej bezwładnej głowy, zaciskając w garści włosy.

– Ohyda – jęcę między kolejnymi spazmami. – Jestem taka... jestem taka...

– Ciii – odpowiada na to i wtedy zasypiam, dygocząc i łapczywie chwytając powietrze, gdy tymczasem on wyciera mi twarz czymś zimnym i mokrym.

Na zegarze jest pierwsza zero osiem, kiedy znowu siadam prosto. Mokry kompres spada mi na kolana. Wzdrygam się gwałtownie ze strachu, bo obok mnie na łóżku siedzi coś strasznie ciężkiego.

– To ja – słyszę głos Joshui. Opiera się o wezglowie, trzyma kciuk w katalogu smerfów. Zdjął buty i swobodnie krzyżuje nogi w skarpetkach. Pozostałe książki leżą ułożone na równym stosie na moim nocnym stoliku.

– Strasznie mi zimno – mówię, szcękając zębami. Przykładam dłoń do włosów; jeszcze są wilgotne po prysznicu.

– Masz gorączkę – stwierdza, kręcąc głową. – I dalej rośnie.

– Nie, zimno mi – sprzeczam się. Zataczając się, idę do łazienki. Nie zamknąwszy drzwi, siusiam, spuszczam wodę i wtedy do mnie dociera, jaka ja jestem nieelegancka. A co tam. Widział już i słyszał niemal wszystko. Nie pozostało mi nic więcej do zrobienia, jak tylko udać, że umarłam, i zacząć nowe życie.

Rozprowadzam palcem odrobinę pasty do zębów na języku. Dławię się. Powtarzam proces.

Słyszę szelest bawełnianej tkaniny, trzask czegoś elastycznego i skrzywienie materaca, a potem przez szczelinę w drzwiach przyglądam się, jak rozkłada świeżą pościel na łóżku. Jestem cała upocona i ogólnie obrzydliwa, ale i tak udaje mi się popatrzeć na jego wypięty tyłek.

– Co Tam U Ciebie? – Patrzy na mnie pod ramieniem i układa na miejscu ostatni róg prześcieradła. Mój szczęśliwy materac jest pod opieką męskiej ręki.

– Och, wszystko znakomicie. A Co Tam U Ciebie? – Padam na łóżko i histerycznymi ruchami naciągam na siebie kołdrę. Materac ugina się ciężko pode mną i czuję dłoń Josha na czole. – Ach, jakie to miłe.

Jego dłoń przekazuje dotykiem, do jakiej temperatury powinnam dążyć. Wszystko, co teraz robimy, to klasyczne pięknym za nadobne, dlatego więc podnoszę ręce i przykładam je do jego czoła.

– OK. – Jest wyraźnie rozbawiony.

Dotykam twarzy Joshui, mojego kolegi z pracy. Coś mi się śni. Zaraz obudzę się w autobusie i zobaczę, jak śmieje się szyderczo ze strużki śliny ściekającej mi po podbródku. Ale mija minuta i nie budzę się w żadnym autobusie.

Zsuwam dłonie niżej, po jego podbródku jakby oklejonym papierem ściernym, przypominając sobie tamto w windzie, kiedy ujął moją twarz dłonią. Nikt dotąd nie robił ze mną czegoś takiego. Otwieram oczy i mogłabym przysiąc, że on drży. Dotykam tego miejsca, gdzie mogę wyczuć jego puls. A on robi to samo ze mną.

Trzymam teraz dłonie na jego gardle i przypominam sobie, jak bardzo chciałam go raz udusić. Lekko nasuwam dłonie na jego kark, żeby tylko sprawdzić taki układ, a on wtedy mruży jedno oko.

– No dalej – mówi. – Zrób to.

Jego szyja jest dużo za duża jak na moje dłonie. Czuję emanujące z niego napięcie, czuję, że jego ciało tężeje. Z gardła wydobywa się jakiś dziwny odgłos.

Zadaję mu ból. Może zaraz uduszę go, tu i teraz. Skóra na jego szyi ciemnieje. Kiedy przeszywa mnie na wylot spojrzeniem, wiem, że na coś się

zanosi. Nie jestem na to przygotowana.

Cały świat eksploduje, eksploduje jego śmiechem.

Jest tą samą osobą, na którą gapię się od poniedziałku do piątku, a jednak pojaśniała. Jest podpięty do prądu. Cały promienieje rozbawieniem i światłem, a poszczególne fragmenty jego ciała jarzą się jak szkiełka w witrażu. Brąz, złoto, błękit, biel. To zbrodnia, że nigdy wcześniej nie zauważyłam tych zmarszczek od uśmiechu. Jego usta wyginają się tak swobodnie, ukazując idealne zęby i tworząc maleńkie dołki po obu stronach.

Każdy wybuch śmiechu wylatuje z niego chrapliwym, zdławionym strumieniem, jest czymś, czego on nie może powstrzymać, i jest dla mnie równie uzależniający jak smak jego ust czy zapach skóry. Ten zdumiewający śmiech jest czymś, czego teraz potrzebuję.

Jeśli nawet kiedykolwiek pomyślało mi się, że on jest przystojny, czy to mimochodem, czy to w chwilach, kiedy patrzyłam na niego z irytacją, to jednak nigdy nie ogarnęłam pełnego obrazu. Kiedy on się uśmiecha, jest oślepiający. Serce mi łomocze i jak oszalała kataloguję ten moment w półświatle. Bo tylko ten jeden zarejestruję podczas majaczenia w gorączce.

Gdybym tak mogła przyłgnąć na zawsze do tej chwili. Już czuję ten smutek, który mnie spustoszy, kiedy ona się skończy. Pragnę mu powiedzieć: „Nie odchodź jeszcze”. Moje palce pewnie się naprężają, bo on śmieje się tak mocno, że aż trzęsie się pod nami materac. Mokra, romboidalna iskierka w kąciku jego oka jest jak kula w moje serce. Będę mogła odgrywać ten piękny, nierealny epizod w pamięci, kiedy skończę sto lat.

– No dalej, zabij mnie, Babeczko – mówi bez tchu, ocierając oko. – Wiem, że tego chcesz.

– I to strasznie – mówię mu to samo, co on kiedyś powiedział mi. W gardle mnie ściska i ledwie jestem w stanie wymawiać słowa. – Tak strasznie, że nie masz pojęcia.

Moja piżama jest przesiąknięta potem, kiedy budzę się znienacka i widzę w sypialni trzecią osobę. Mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Zaczynam się wydzierać jak zraniona małpa.

– Uspokój się – mówi mi do ucha Josh.

Pakuję się na jego kolana i przyciskam twarz do obojczyka, wdychając cedrowy zapach z taką siłą, że prawdopodobnie wysysam z Joshui jego ducha. Zaraz mnie wywiozą do jakiegoś szpitala rodem z horroru, z dala od bezpieczeństwa mojego łóżka i tych ramion.

– Nie pozwól im, Josh! Ja wyzdrowieję!

– Jestem lekarzem, Lucy. Od jak dawna i jakie ma objawy? – Mężczyzna wkłada rękawiczki.

– Nie była sobą już rano. Zarumieniona, rozkojarzona i w ciągu dnia robiło się z nią coraz gorzej. Podczas lunchu wyraźnie się pociła i nic nie zjadła. O piątej wymiotowała.

– A potem? – Lekarz nadal wyjmuje jakieś przedmioty ze swojej torby, układając je na końcu łóżka. Przyglądam się temu z podejrzliwością.

– O ósmej zaczęła majaczyć. O pierwszej trzydziści próbowała mnie udusić gołymi dłońmi. Temperatura podskoczyła jej do czterdziestu stopni, a teraz ma czterdzieści i osiem kresiek.

Zaciskam powieki, kiedy obce gumowe dłonie obmacują moje węzły chłonne. Josh pocieszająco masuje mi ramiona. Siedzę teraz między jego udami, czując jego twarde ciężar za łopatkami. Mój własny, ludzki fotel. Lekarz przyciska palce do mojego brzucha, a ja pokrzykuję. Koszulkę mam zadartą o kilkanaście centymetrów.

– Co się tu stało, do diabła? – Obaj wydają z siebie współczujące syknięcie.

– Dzisiaj w godzinach pracy uprawialiśmy paintball. Nawet moje plecy nie są w takim fatalnym stanie. – Palce Josha gładzą moją skórę i zaczynam się jeszcze bardziej pocić. – Biedna Babeczka – mówi mi do ucha. Nie słyszę tu żadnej ironii.

– Czy jadłaś coś w jakiejś restauracji?

Próbuję sobie przypomnieć.

– Jadłam na kolację tajskie jedzenie. Nie dzisiaj. Może wczoraj.

Kiedy ten mężczyzna się krzywi, wydaje się taki znajomy.

– Niewykluczone, że to zatrucie pokarmowe.

- To może być wirus – stwierdza Josh. – Trochę za dużo czasu upłynęło.
- Skoro potrafisz ją zdiagnozować, to po co mnie wezwałeś?

Zaczynają się spierać na temat moich objawów. Dla mnie brzmi to jak rozmowa facetów na temat sportu: drużynami są wirusy aktualnie szalejące na mieście. Przyglądam im się zmrużonymi oczami. Nawet nie wiedziałam, że lekarze składają wizyty domowe, zwłaszcza o drugiej trzydziści w nocy. Ten lekarz ma trzydziści parę lat, jest wysoki, ciemnowłosy, niebieskooki. Zauważam, że narzucił kurtkę na piżamę.

– Jaki pan przystojny – mówię mu. Przestałam pilnować swoich słów: tak chyba powinna brzmieć moja druga diagnoza.

– Pięknie, ona naprawdę majaczy – stwierdza kwaśnym tonem Josh, otulając dłońmi moje obojczyki. Ściska tak mocno, że mnie zupełnie unieruchamia.

– Zabawne, bo na ogół to o nim mówią, że jest przystojny – rzuca lekarz lekko drwiąco, przeszukując swoją torbę, która stoi u stóp łóżka. – Weź ty się uspokój, Josh.

– Jesteś jego BRATEM – mówię z dziecięcym zachwytem, kiedy zardzewiałe trybiki w moim mózgu wskazują na swoje miejsce. – A ja myślałam, że on to taki eksperyment, który się nie udał.

Obaj patrzą na siebie i brat Josha zaczyna się śmiać.

– Ona jest urocza.

– Ona... – Czuję, że Josh kręci głową. Przesuwa mnie trochę, nadal przyciskając do swojej piersi, co mój rozgorączkowany mózg interpretuje jako przytulanie.

– Jestem żałosna. On mi to ciągle mówi. A jak ty się nazywasz?

– Patrick.

– Patrick Templeman. Cholerka. Jesteś prawdziwym doktorem Templemanem.

Nadal siedzę na kolanach Josha, z głową wtuloną w jego szyję, prawdopodobnie pokrywając go potem. Próbuję się szamotać, ale trzyma mnie bardzo mocno.

– Faktycznie jestem doktorem Templemanem. A w każdym razie jednym

z kilku. – Jego rozbawienie gdzieś się ulatnia, potem kaszle i zaczyna się odwracać. Chwytam go za rękaw, żeby sprawdzić, ile w jego twarzy jest z Josha. Posłusznie nieruchomieje, ale przenosi spojrzenie na brata, który jest równie stężyły jak ta ściana za naszymi plecami.

– Niestety to prawda. Josh jest bardziej przystojny.

Zapada chwilowe milczenie, po czym obaj bracia ryczą ze śmiechu. Patrick nie jest w najmniejszym stopniu obrażony, a ja czuję odprężenie w ręce Josha.

– Możesz mi opowiedzieć o nim coś żenującego?

– Nie ma sprawy, ale dopiero gdy poczujesz się lepiej. Pamiętaj, żeby uzupełniała płyny, Josh. Jest mała, więc o odwodnienie nietrudno.

– Wiem.

Razem usilnie mnie namawiają, żebym połknęła jakieś kwaśne lekarstwo. Leżę płasko na łóżku, a oni wychodzą z mojej sypialni; zamykają za sobą drzwi, ale i tak słyszę ich głosy.

– Byłbyś w tym dobry – mówi Patrick, potrząsając torbą z przyrządami lekarskimi. – Zrobiłeś z nią wszystko, co należy.

Josh wzdycha ciężko. Jestem pewna, że właśnie skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie bądź taki defensywny. No to następny trudny temat. Zamierzałeś odpowiedzieć na moje zaproszenie? Jakoś?

– Zamierzałem.

Kłamie.

– Cóż, to może odpowiesz teraz? I nie udawaj, że nie znasz daty. Wiem z całą pewnością, że mama wręczyła ci zaproszenie osobiście. Nie chcieliśmy, żeby zaginęło, w cudzysłowie, tak jak to było z zaproszeniem na imprezę zaręczynową.

„Josh, ty kłamczuszkę”.

Patrick, zdaje się, myśli podobnie.

– To odpowiedz mi teraz. Mindy musi to wiedzieć. Żeby móc załatwiać różne drobiazgi, jak catering. Albo zaplanować, kto gdzie będzie siedział.

– Jestem aktualnie zajęty – próbuje powiedzieć Josh, ale Patrick wchodzi

mu w słowo.

– Wyobraź sobie, jak to będzie wyglądało, jeżeli się nie pojawisz.

Josh nie odpowiada, więc Patrick upiera się dalej przy swoim.

– Wiem, że to będzie trudne.

– Myślisz, że mogę tak sobie tam wejść, jak gdyby nigdy nic?

Patrick wyraźnie go nie rozumie.

– Ale przecież przywiózłbyś Lucy, prawda?

Roztrząsam to w ciemnościach. Czemu, na litość boską, udział w ślubie brata miałby być taki trudny dla Joshui?

– Lucy nie jest moją dziewczyną. My tylko razem pracujemy. – Josh jest wyraźnie zirytowany, a ja wolałabym nie odbierać tego jak kopniaka w brzuch, a jednak tak to odbieram.

– Mogłeś mnie w tej sprawie zrobić w konia.

– No niby tak, ale ona jest raczej amatorką miłych facetów. Jak wszystkie zresztą.

Zapada brzemiennie milczenie.

– Ile jeszcze razy mam ci powtarzać...

– Już ani razu więcej.

Josh jest mistrzem kończenia rozmów. I znowu zapada milczenie. Niemalże słyszę, jak obaj patrzą na drzwi do mojej sypialni.

Patrick mówi teraz cicho i nie słyszę dokładnie, tylko wiem, że się kłóca nabzdyczonymi głosami. Nienawidząc samej siebie do głębi, wstaję po cichu z łóżka i staram się stąpać tylko tam, gdzie jest ciemno. Jestem odrażająca, że tak wtykam nos w nie swoje sprawy.

– Proszę cię, żebyś przyjechał na mój ślub i uszczęśliwił matkę. Uszczęśliwił mnie. Mindy jest cholernie zestresowana, bo myśli, że tu się toczy jakaś rodzinna waśń.

Josh wzdycha, ciężko, z przygnębieniem.

– Niech ci będzie.

– To znaczy tak? Tak, proszę, Patrick, bardzo bym chciał przyjechać na twój ślub? Przyjmuję twoje łaskawe zaproszenie?

– Tak. Jest dokładnie, jak mówisz.

– W takim razie wpisuję cię na listę razem z osobą towarzyszącą. O ile ona przeżyje tę noc.

Z przerażenia chwytam się ściany, ale zaraz potem słyszę, jak Josh sarkastycznym tonem mówi:

– Ha, ha.

Do świtu jeszcze trochę czasu, a w mojej sypialni unosi się lodowatoniebieska aura. Siedzę wsparta poduszkami i wielkimi haustami pijam jakiś napój, nie dbając o to, że się nim przy okazji zalewam. To chyba lemoniada. Poszedł do sklepu spożywczego po drugiej stronie ulicy? Słodko-kwaśny posmak nostalgicznych wspomnień z dzieciństwa i tęsknoty za domem sprawia, że niemal się dławię.

Odbiera szklankę i układa mnie z powrotem na poduszkach. Wczoraj w jego dotyku wyczuwałam niepewność, ale teraz przesuwając dłońmi po moim ciele bez śladu wahania. Jest taki zmęczony, że wygląda jak wrak.

– Josh.

W jego oczach błyska zaskoczenie.

– Lucy.

– Lucinda – szepczę, poprawiając go przekornie. Odwraca się, starając się ukryć uśmiech, ale chwytam go za rękaw. – Nie odwracaj się. I tak widziałam. – Nigdy nie mam dość jego uśmiechu.

– OK. – Widzę, że jest zdezorientowany. I nie tylko on. Patrzę na niego od tak dawna, że stał się sam w sobie wachlarzem kolorów. Jest moimi dniami tygodnia. Jest moimi kwadracikami w kalendarzu.

– Biała, w prążek w złamanej bieli, kremowa, beżowo-żółta, ohydna musztarda, dziecięcy błękit, turkus, gołębioszara, granatowa i czarna. – Odliczam je wszystkie na palcach.

Josh jest wyraźnie przestraszony.

– Ty ciągle majaczysz.

– A gdzie tam. To są kolory twoich koszul. Hugo Boss. Nigdy w życiu nie byłeś w zwykłym sklepie odzieżowym? W takiej sieciówce jak Target?

– A jaka to, do cholery, różnica: biel i złamana biel?

– Écru. Beżowy. Są inne. Był taki jeden raz, kiedy mnie zaskoczyłeś.

– A kiedy to było?

Zadaje to pytanie z taką pobłażliwością w głosie jak opiekunka do dziecka. Na co ja kopię ze złością materac.

Dlaczego chociaż nie jestem ubrana w czarną bieliznę erotyczną? W życiu nie byłam równie nieatrakcyjna. Mam na sobie piżamę z napisem ŚPIOZAUROS. Patrzę w dół. Pod górą od piżamy mam czerwoną koszulkę na ramiączkach. O ja cię! On mnie przebrał.

– Winda – wypluwam z siebie. Chciałabym jakoś przekierować ten moment do tamtego dnia, kiedy byłam przynajmniej w połowie atrakcyjna. – Zaskoczyłeś mnie wtedy.

Przygląda mi się uważnie.

– Co sobie pomyślałaś?

– Pomyślałam, że chcesz mi coś zrobić.

– No świetnie. – Odsuwa się i widzę, że jest zażenowany. – Najwyraźniej moja technika jest nieco przestarzała.

Ciągnę go za rękaw z nadludzką siłą i trochę się unoszę do pozycji siedzącej.

– Ale potem do mnie dotarło, co ty tak naprawdę robisz. Że mnie całujesz. No przecież. Nie całowałam się od stuleci.

Josh krzywi się.

– Co ty powiesz. – Gapi się na mnie z góry.

– To było strasznie namiętne – dopowiadam z takim wysiłkiem, że aż mi się głos załamuje.

– Nie odezwali się do mnie ani z HR-u, ani z policji, więc...

Zawiesza głos, patrząc na moje wargi. A ja wkładam dłonie w jego T-shirt, oplatając go sobie na nadgarstkach. Jest taki miękki, miałabym ochotę cała się nim otulić.

– Moje łóżko jest takie, jak sobie wyobrażałeś?

– Nie spodziewałem się aż tylu książek. I jest trochę większe, niż przypuszczałem.

– A co z mieszkaniem?

– Taki maleńki chlewik.

Nie mówi tego złośliwie. Prawda, to jest chlewik.

– Myślisz, że pan Bexley i Helene obmacują się w windzie? – Dopóki odpowiada na moje pytania, dopóty będę je zadawała.

– Murowane. A po każdym sprawozdaniu kwartalnym odbywają ponury seks podszyty nienawiścią.

Jego oczy powoli robią się zupełnie czarne, a potem wywleka T-shirt z moich dłoni, a ja przy okazji widzę fragment brzucha – twardego i owłosionego. Pocę się jeszcze mocniej.

– Założę się, że kiedy bierzesz prysznic, woda się zbiera... o tutaj. – Przykładam palec do jego obojczyka. – Pić mi się chce. Będę odwodniona.

A on robi wydech i czuję, jak podmuch powietrza z jego ust przenika mnie na wskroś.

– Bądźmy tacy jak oni, kiedy dorośniemy, Josh. Moglibyśmy zacząć nową grę. Wyobraź to sobie. Moglibyśmy grać całą wieczność.

– Porozmawiamy o tym, kiedy nie będziesz wariowała z gorączki.

– Tak, masz rację. Kiedy już nie będę chora, znowu mnie zaczniesz nienawidzić, ale na razie jest między nami pokój. – Biorę jego dłoń i przykładam ją sobie do czoła, żeby ukryć nagłą rozpacz.

– Nie będę cię nienawidził – obiecuje. Zabiera rękę, przy okazji przejeżdżając nią po moich włosach.

– Ty mnie tak strasznie nienawidzisz, a ja już tego nie mogę znieść. – Jestem żalosna. Słyszę to w swoim głosie.

– Babeczko.

– Przestań mnie nazywać Babeczką. – Próbuję przekręcić się na bok, ale on lekko przyciska dłoń do moich ramion. Przestaję oddychać.

– Przyglądanie się, jak udajesz, że nienawidzisz tego przezwiska, to moje najprzyjemniejsze chwile w pracy. – Kiedy nie odpowiadam, prawie się uśmiecha i puszcza mnie. – Najwyższy czas, żebyś mi opowiedziała o tej truskawkowej farmie.

To czuły punkt – zresztą nie po raz pierwszy zapytał. Niewykluczone, że dostarczę mu karmę, dzięki której będzie mi mógł w nieskończoność

dokuczać.

– Dlaczego?

– Zawsze chciałem wiedzieć. Opowiedz mi wszystko o truskawkach. – Ten jego miękki, delikatny szept zaraz mnie zabije.

W myślach znowu tam jestem, pod wielką, płócienną markizą z rozdartym rogiem, i rozmawiam z turystami, podczas gdy ich dzieci biegną przed siebie, poszczękując wiaderkami. W powietrzu unosi się granie cykad, odgłos jak nie z tej planety. Tam nigdy nie jest cicho.

– No dobra. Najmniejsze to poziomki, które rosną także na dziko, na przykład we Francji, na zboczach gór, i są wielkości paznokcia. Jak na swoje rozmiary są niesamowicie aromatyczne.

– Opowiadaj dalej.

Uchylam szparki powiek.

– Truskawki to nie żart. Tymczasem każdy, z kim na ich temat rozmawiałam, nabijał się ze mnie.

– To jest w tobie takie urocze.

Słowo „urocze” rozbłyskuje jak neon w mojej mrocznej sypialni i jestem tak wstrząśnięta, że zaczynam paplać, co mi ślina na język przyniesie.

– Proszę cię bardzo. Odmiana Earliglow. Rosną niesamowicie szybko. Jednego dnia idziesz przez pole o zachodzie słońca i jest tylko zielono... a następnego ranka one już tam są. Małe czerwone kulki, które z każdą chwilą stają się jeszcze mocniej zabarwione. W porze kolacji są gotowe, jak czerwone lampki na choince.

Josh wzdycha i na sekundę przymyka oczy. Jest naprawdę wyczerpany.

– Które są twoje ulubione?

– Red Gauntlet. Rosną w rzędkach najbliższej kuchni, byłam zbyt leniwa, żeby wyprawiać się dalej. Co rano piłam wielkie różowe smoothie.

Josh siedzi w milczeniu, a jego oczy zdecydowanie nie należą do mężczyzny, którego znam. Są tęskne, samotne i takie piękne, że muszę sama zamknąć oczy.

– Przysięgam, nadal czuję pestki między zębami. Z kolei Chandlers są ulubionymi truskawkami mojego taty. Twierdził, że z nich opłacał moje

czesne na studiach.

– Jaki jest twój tato? Ma na imię Nigel, zgadza się?

– Ty i tamten blog. On harował, żeby mnie wykształcić. Nawet nie wiem, jak ci to opowiedzieć. Płakał na tylnej werandzie w dniu, kiedy wyjeżdżałam na studia. Powiedział...

Zawieszam głos. Ucisk w gardle uniemożliwia mi dalsze słowa.

– Co? Co powiedział?

Obchodzę temat.

– Od tak dawna o tym nie myślałam. Nie byłam w domu od osiemnastu miesięcy. Nie byłam na Boże Narodzenie, bo Helene pojechała do Francji do rodziny i musiałam ją zastępować.

– Ja też nie byłem w domu.

– Fakt. Rodzice przysłali mi kurierem wielką paczkę. Jadłam ciasteczka i otwierałam prezenty na podłodze w dużym pokoju. I oglądałam reklamy. A ty co robiłeś?

– Mniej więcej to samo. Co on ci wtedy powiedział? Twój tato, na werandzie?

Jest uparty jak muł.

Nie potrafię odtworzyć całej rozmowy, zaczynam płakać. Może nigdy nie przestanę. Mój tato, z łokciami wspartymi na kolanach, a łzy tworzą czyste kreski na jego opalonej, zapyłonej twarzy. Podaję więc okrojoną wersję tego, co mi wtedy powiedział.

– Że to, co on traci, będzie zyskiem dla świata. A mama z kolei nie mogła przestać się chwalić, opowiadała wszem i wobec, że jej córka idzie na studia... Próbuje wyhodować nową odmianę truskawek i wszystkie jej kolejne twory nazywają się Lucy.

– Zgodnie z blogiem Lucy Dwanaście była całkiem niezła. Opowiedz mi jeszcze coś.

– Nie rozumiem twojej fascynacji tym blogiem. Mama pisała do gazety, ale musiała ze wszystkiego zrezygnować.

– Na rzecz czego?

– Dla taty. Pisała artykuł o skutkach ulew w rolnictwie i dlatego wybrała

się do lokalnego sadu. Znalazła tatę na drzewie. Jego marzeniem była własna farma truskawkowa, ale sam tego zrobić nie mógł.

– Uważasz, że podjęła złą decyzję?

– Tato zawsze powtarza: „Ona mnie sobie zerwała”. Jak jabłko z drzewa. Kocham ich, ale czasami myślę, że to smutna historia.

– Mogłabyś ją kiedyś zapytać. Prawdopodobnie absolutnie niczego nie żałuje. Wciąż są razem, a poza tym mają ciebie.

– Tato nazywa cię różnymi imionami zaczynającymi się na J, ale nigdy twoim prawdziwym.

– Co? – Wygląda na przerażonego. – Opowiadałaś mu o mnie?

– Jest wkurzony na ciebie, że taki z ciebie drań. Dlatego Julian, Jasper, John. Któregoś razu nazwał cię Jebediah i wtedy omal się nie posikałam. Musiałbyś się korzyć na kolanach przed tatą, to jasne.

Josh wygląda na tak zaniepokojonego, że postanawiam mu odpuścić i zmieniam temat.

– Kiedy tęsknię za domem, czuję zapach ciepłych truskawek. Czyli zasadniczo cały czas. – Widzę, jak łamie sobie głowę, usiłując rozplątać te bzdurne stwierdzenia.

– Bawiłaś się tam na polach? Jak byłaś mała?

– Widziałeś zdjęcie na blogu. To chyba jasne, że tak. – Odwracam twarz. Ja, z kolanami zaplamionymi na różowo od truskawkowego soku, ze skołtunioną burzą włosów, z oczami bardziej niebieskimi od nieba. Dzikie farmerskie dziecko.

– Nie wstydź się tego. – Delikatnie podkłada mi dłoń pod szczękę i obraca moją twarz ku sobie. – Ty w tych szortach na szelkach. Jakbyś całymi dniami przebywała na dworze. Brudna i szalona. Ale twój uśmiech się nie zmienił.

– Ty w ogóle nie dostrzegasz moich uśmiechów.

– Założę się, że miałaś domek na drzewie.

– A rzeczywiście. Właściwie to w nim mieszkałam, a nie w domu.

Jego oczy jaśnieją, mają wyraz, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam. Na sekundę przymykam powieki, żeby dać odpocząć swoim oczom. On sprawdza, czy mam gorączkę, a kiedy odejmuje dłoń od mojego czoła,

protestuję. Dotyka mojej ręki.

– Nigdy nie pomyślałem, że masz gorsze pochodzenie.

– O pewnie. Ha, ha. Truskawkowa Babeczka.

– Moim zdaniem trudno wyobrazić sobie lepsze miejsce niż to, z którego pochodzisz, farma Sky Diamond. Bardzo bym chciał tam pojechać. Sprawdzałem na mapach Google'a. Sprawdzałem nawet przeloty i wynajem samochodów.

– A lubisz truskawki? – Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

– Kocham truskawki. Tak bardzo, że nie masz pojęcia.

Mówi to tak łagodnie, że nachodzi mnie fala emocji. Nie mogę otworzyć oczu. Zobaczy, że mam w nich łzy.

– No to one tam są, czekają na ciebie. Zapłać pani siedzącej pod parasolem, weź wiaderko. Powołaj się na mnie, żeby dostać rabat, ale zostaniesz przesłuchany i będziesz musiał opowiedzieć, co u mnie słyszałeś. Co naprawdę się ze mną dzieje. Czy jestem samotna, czy się dobrze odżywiam. Dlaczego nie wezmę urlopu, żeby przyjechać do domu.

Myślę o naszych aplikacjach spoczywających obok siebie w jasnobrażowej teczce. Nachodzi mnie fala zmęczenia i zawrotów głowy. Pragnę spać, zamknąć się w tym cudownym, mrocznym miejscu, gdzie lęki i smutek mnie nie dościgną. Mam dziwne wrażenie, że wykonuję bardzo powolny piruet.

– I co miałbym jej powiedzieć?

– Że się strasznie boję. Że to wszystko niedługo się zmieni, w taki czy inny sposób. Że cały czas lawiruję. Że nie mam pojęcia, czy ich inwestycja we mnie kiedykolwiek się zwróci. I że czasami jestem taka samotna, że aż zbiera mi się na płacz. Straciłam najlepszą przyjaciółkę. Spędzam cały czas w towarzystwie ogromnego mężczyzny, który chce mnie zabić i prawdopodobnie jest teraz moim jedynym przyjacielem, mimo że wcale nie chce nim być. I od tego pęka mi serce.

I on wtedy przyciska usta do mojego policzka. Pocałunek. Cud. Ciepły oddech Josha, wachlujący mój policzek. Jego palce wsuwają się w moje dłonie i ja je ujmuję swoimi palcami.

– Babeczko. Nie.

Przeciskam się przez nieskończone pętle i zaciskam dłonie na jego dłoniach.

– Okropnie mi się kręci w głowie... – To prawda, ale muszę też zakończyć tę rozmowę.

Jakiś czas później jego głos przebija się przez mgłę mroku.

– Muszę cię o coś zapytać... To nie fair pytać o to teraz, ale i tak zapytam. Gdybym wymyślił sposób, żeby nas wyciągnąć z tego pomieszania z poplątaniem, to czy byś tego chciała?

Nadal wczepiam się w niego, jakby tylko on jeden mógł mnie ochronić, żebym nie odpadła od tej planety.

– Na przykład co?

– Cokolwiek będę w stanie. Chciałabyś tego?

Wystarczyłoby, gdyby został już na zawsze moim przyjacielem. Bo wtedy całe zło by się wypaliło w obliczu takiego cudu.

Wystarczyłby ten uśmiech.

– Śni mi się, że się uśmiechasz, Josh.

A on wtedy wzdycha z przygnębieniem. Podtrzymuje mnie i kiedy odlatuję w sen, szepczę do niego przez mgłę zasypiania:

– Oczywiście, że chciałabym tego.

Rozdział 11

Siadam czujnie w sypialni całej rozświetlonej słońcem. Wszędzie walają się artefakty choroby. Ręczniki, myjki, pojemnik tupperware wymyty do czysta. Szklanki, lekarstwa i termometr. Z wieszaka zwisa góra od piżamy z napisem ŚPIOZAURUS. I czerwona koszulka. Ciuchy, w których uprawiałam paintball, leżą na podłodze; chyba trzeba je będzie spalić czy co?

Wkładam termometr do ust, żeby potwierdzić to, co już wiem: gorączka spadła.

Mam na sobie niebieską koszulkę. Trzymam się kurczowo materaca, bo pojawia się mocno spóźnione osłabienie. Obmacuję ramię i stwierdzam, że nadal mam na sobie biustonosz sportowy. Dziękuję wszystkim bogom na podorędziu. Ale fakt. Joshua Templeman widział całą resztę mojego nagiego torsu.

Ostrożnie zaglądam do salonu. On jest tam jeszcze, leży na kanapie; jedna z jego wielkich stóp w skarpetce wystaje poza jej kraniec.

Chwytam czyste ubranie i wtarabiam się do łazienki. Boże wielki! Nie zmyłam do końca tuszu pod prysznicem i ściekł mi po twarzy, tworząc coś w rodzaju maski halloweenowej wzorującej się na obliczu Alice Coopera. Mam też włosy Alice Coopera, które teraz ściągam w kok. Przebieram się, myję twarz najszybciej jak potrafię i wlewam do gardła płyn do płukania jamy ustnej. W każdej chwili spodziewam się pukania do drzwi.

Jest gorzej niż na kacu. Gorzej niż gdybym się obudziła po występie nago w karaoke na biurowym przyjęciu bożonarodzeniowym. Ubiegłego wieczoru za dużo mi się wypsnęło. Opowiedziałam mu o swoim dzieciństwie. Wie, jaka jestem samotna. Zobaczył, co posiadam. Zyskał tyle wiedzy, że władza będzie się z niego wylewała toksycznymi oparami. Muszę go jakoś wykopsać z mojego mieszkania.

Podchodzę do kanapy. Jest niby trzyosobowa, ale on i tak się na niej nie mieści. Podrywa się nerwowo, zanim udaje mi się chociaż ten jeden raz obejrzeć go sobie, jak śpi.

– Chyba dochodzę już do siebie.

Moje czasopisma są ułożone na równym stosie. Pod ławą już nie walają się pantofle. On mi tu posprzątał! A teraz leży w odległości jakiegoś metra od ogromnego regału wypełnionego w całości smerfami, ustawionymi w czterech albo i pięciu rzędach na każdej półce. Pozapalał światła i oto mamy niezbity dowód na to, że jednak jestem walnięta. Wstaje z kanapy i pokój robi się jakby dużo, dużo mniejszy.

– Bardzo ci dziękuję, że poświęciłeś dla mnie piątkowy wieczór. Nie pogniewam się, jeśli będziesz chciał wyjść.

– Jesteś pewna?

Przyciska skrupulatnie dłonie do mojego czoła, policzka, szyi. Chyba rzeczywiście czuję się lepiej, bo kiedy dotyka mojej szyi, zaczyna mnie świerzbić w sutkach. Krzyżuję ręce na piersi.

– Tak. Już mi nic nie będzie. Idź do domu, proszę.

Spogląda na mnie z góry tymi granatowymi oczami, a na jego poważnej twarzy pojawia się coś, jakby wspomnienie po tamtym uśmiechu. A potem patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym była po prostu jego pacjentką. Już nie jestem warta pocałunku w windzie. Odrobinka rzygów i całą chemię diabli wzięli.

– Mogę zostać. Więc może tak przestaniesz dziczeć? – Na jego twarzy maluje się teraz coś w rodzaju litości i wiem dlaczego.

Sytuacja wcale nie jest taka jednostronna – podczas tej niekończącej się nocy dostrzegłam choć część tego, co głęboko w sobie skrywa. I wiem teraz, że pod fasadą drania jest cierpliwość i dobro. Ludzka przyzwoitość. Poczucie humoru. Ten uśmiech.

W głębinach jego oczu widzę plamki światła, a jego rzęsy wyglądają tak, jakby mogły się zawinąć na opuszcze mojego małego palca. Kości policzkowe znakomicie by się wpasowały w moją zagiętą dłoń. Jego usta, cóż... Dopasowałyby się do mnie w dowolnym miejscu.

– O, odzyskałaś to spojrzenie napalonej – mówi mi, a ja czuję, że moje policzki robią się gorące. – Chyba rzeczywiście czujesz się lepiej, skoro tak na mnie patrzysz.

– Mdli mnie – mówię wyniośle i słyszę jego gardłowy śmiech, kiedy się odwracam.

Idzie do mojej sypialni, a ja biorę kilka haustów powietrza.

– Jak przystało na takiego małego rzygacza. – Kiedy pojawia się z powrotem, trzyma w ręku kurtkę i dociera do mnie, że spędził całą noc w ubraniu, w którym uprawiał paintball. I nawet nie śmierdzi. To się nazywa sprawiedliwość?

– Muszę... – Zaczynam szaleć. Chwytam go za łokieć, kiedy wsuwa stopy w swoje buty stojące obok drzwi.

– Tak, tak, już wychodzę. Nie musisz stosować przemocy. Do zobaczenia w pracy, Lucindo. – Potrząsa znacząco fiolką z tabletkami. – Wracaj do łóżka. Kiedy się obudzisz, weź jeszcze dwie. – Znowu się waha, z niechęcią na twarzy. – Jesteś pewna, że nic ci nie będzie? – Znowu dotyka mojego czoła, ponownie sprawdzając, czy nie mam gorączki, choć oczywiście to nie mogło się zmienić w ciągu trzydziestu sekund.

– Nie waż się ze mnie wyśmiewać w poniedziałek.

Słowo „poniedziałek” dudni między nami, a potem on odejmuje dłoń od mojego czoła. Pewnie „poniedziałek” to nasze nowe bezpieczne słowo.

– Będę udawał, że do niczego nie doszło, jeśli tego chcesz – mówi sztywno, a ja czuję dziwną pustkę w brzuchu. Ostatnim razem prosiłam go o coś takiego w związku z pocałunkiem; zasadniczo dotrzymał obietnicy.

– Nie próbuj wykorzystywać tego przeciwko mnie. To znaczy podczas rozmów kwalifikacyjnych.

Jego spojrzenie prawdopodobnie roztapia farbę na ścianie za moimi plecami.

– Znając twoje skłonności do rzygania, prawdopodobnie i tak zdobędę przewagę. Weź wyluzuj, Lucindo.

Kiedy drzwi zamykają się za nim z trzaskiem i moje mieszkanie zaczyna wypełniać cisza, żałuję, że zabrakło mi odwagi, żeby go przywołać

z powrotem. Żeby mu podziękować i przeprosić, bo to jest fakt – on jak zawsze ma rację.

Dziczeję z kretesem. Idę spać, żeby już o tym nie myśleć.

Kiedy ponownie otwieram oczy, mam przed sobą nową perspektywę. Jest sobotni wieczór i zachód słońca pokrywa ścianę u stóp mojego łóżka cudowną, miodowo-brzoskwiniową łuną. Kolorem jego skóry. Sypialnia wręcz płonie siłą tego, co mi się objawia.

Gapię się na sufit i stwierdzam ze zdumieniem, jak to naprawdę jest.

Wcale nie nienawidzę Joshui Templemana.

Jest Poniedziałek Białej Koszuli, szósta trzydzieści rano. Czuję się tak okropnie zmęczona, że powinnam zadzwonić i powiedzieć, że jestem chora, zwłaszcza że Helene i tak dzisiaj nie będzie w pracy, ale koniecznie chcę zobaczyć Joshuę.

Zapewniam, że dokonałam drobiazgowej analizy wszystkich chwil, kiedy przebywał w moim mieszkaniu, i wiem, że muszę go przeprosić za to, że go obrzygałam. A on potraktował mnie przyzwoicie i życzliwie. Byliśmy o krok od zawarcia przyjaźni, tymczasem ja wszystko zepsułam tym gadaniem głupot. Kiedy przypominam sobie, jak podsłuchiwałam rozmowę Josha z Patrickiem, z poczucia winy robi mi się mdło. Nie miałam prawa tego wszystkiego słuchać.

Jak się dziękuje koledze za to, że mi pomagał przy wymiotowaniu? Staroświeckie poradniki savoir-vivre'u mojej babci na nic się tu nie przydadzą. Liścik z podziękowaniami albo babka piaskowa też raczej nie załatwią sprawy.

Gapię się na siebie w lustrze w łazience. Weekendowy festiwal wymiotów tak jakby wyprał mnie z kolorów. Oczy mam podpuchnięte i nabiegłe krwią. Usta blade i spierzchnięte. Wyglądam, jakbym uwięzła w kopalnianym szybie.

Moja kuchnia jest teraz taka czysta, że można w niej chyba lizać z podłogi. Poczte ułożył na równej kupce na blacie. Rozrywam kopertę leżącą na samym wierzchu jedną ręką, a drugą wrzucam do wody torebkę

z herbatą ziołową. To przyjazny liścik informujący, że mój czynsz zostanie podwyższony. Patrzę zezem na nową comiesięczną stawkę i biorę wdech tak potężny, że prawdopodobnie urządzam swoim smerfom trzęsienie ziemi. Moje pochopne oświadczenie, że jestem gotowa odejść z B&G, sprawia teraz wrażenie nieskończenie bardziej przerażającego.

Jak mogłabym stanąć przed komisją kwalifikacyjną w innej firmie i próbować ich dobitnie przekonać, że jestem naprawdę świetna? Staram się przypomnieć sobie, co ja takiego robię dobrze, ale do głowy przychodzą mi tylko głupie kawały, które robiłam Joshui. Jestem infantylna i okropnie nieprofesjonalna.

Siadam ciężko na krześle i staram się zjeść garść płatków prosto z pudełka. A potem taplam się w podłym nastroju i jeszcze trochę bardziej w siebie wątpię.

Wchodzę do przeglądarki i zaczynam się przedzierać przez przygnębiająco jałową stronę z ofertami pracy. Czuję ulgę, kiedy przerywa mi brzęk telefonu i widzę na wyświetlaczu, że dzwoni Danny. Dziwne. Może złapał gumę albo co.

– Halo?

– Cześć. Jak się czujesz? – pyta ciepłym głosem.

– Żyję. Ale co to za życie...

– W piątek wieczór ileś razy dzwoniłem, ale stale odbierał Josh. Boże, co za palant!

– Wyratował mnie z opresji. – Słyszę, jaki mam sztywny głos, i dociera do mnie, że cała się zjeżyłam. Co jest, do diabła?

„Trzymał mnie, kiedy wymiotowałam. I w samym środku nocy zadzwonił do swojego brata. Pozmywał mi naczynia. I jestem raczej pewna, że przyglądał mi się, kiedy spałam”.

– Och, sorry. Myślałem, że go nienawidzimy. Pracujesz dzisiaj?

– Owszem, wybieram się.

– Czekam na dole w holu, jeśli, hm, chcesz, żebym cię podwiózł.

– Naprawdę? A czy dzisiaj nie jest twój pierwszy dzień wolności?

– No niby tak. Ale Mitchell napisał mi list referencyjny i muszę go

odebrać. Podwiozę cię, zero problemu.

– Zejdę za pięć minut. – Upewniam się, czy suwak przy mojej sukience z szarej wełny jest dopięty. Ale ust nie maluję, z tak wynędzniałą twarzą zrobiłabym z siebie jakąś zmoreę.

– Cześć! – woła do mnie Danny, kiedy wysiadam z windy. Trzyma w dłoni bukiet białych stokrotek.

Moje emocje balansują na napiętej linii między zachwytem a zawstydzeniem.

Wydaje się, że on też balansuje na tej linii, tuż obok mnie. Musiałabym być ślepa, żeby nie dostrzec zdumienia, które na ułamek sekundy pojawia się w jego oczach. Nawet taka spocona i brudna wyglądałam w piątek lepiej niż dzisiaj.

Mruga, żeby ukryć swoją reakcję, i wręcza mi kwiaty.

– Jesteś pewna, że nie powinnaś zostać w domu?

– Wyglądam gorzej, niż się czuję. Może powinnam... – Wskazuję gestem windę. Jeszcze raz mu się przyglądam. Ma na sobie T-shirt z koncertu Matchbox Twenty, a okulary słoneczne nasadzone na czubek głowy są w brzydkich białych oprawkach. Skrępowani sterczymy idiotycznie i gapimy się na siebie.

– Możesz je zawsze postawić w pracy, na swoim biurku.

– OK, tak zrobię. – Wygląda to na zły pomysł, ale jestem zupełnie skołowana. Jeśli odniosę kwiaty na górę, to będę musiała go zaprosić. Wychodzimy na chodnik i po raz pierwszy od dawna oddycham świeżym powietrzem.

Muszę się otrząsnąć. Danny jest po prostu życzliwy i to wszystko. Oslaniam oczy przed słońcem. Może ja też spróbuję być życzliwa. Może w sklepie spożywczym sprzedają gałązki oliwne?

– Chciałabym coś kupić. Zaraz będę z powrotem.

Kiedy płacę za prezent dla Joshui i przedrozoną czerwoną kokardkę, widzę, że Danny stoi cierpliwie oparty o maskę samochodu. Wpycham prezent do torebki i przebiegam na drugą stronę ulicy.

Otwiera drzwi swojego czerwonego SUV-a i pomaga mi wsiąść.

Przyglądam mu się. W tym niezobowiązującym stroju sprawia wrażenie młodszego. Szczuplejszego. Bledszego. Kiedy zapina pas i uruchamia silnik, przypomina mi się, że nie podziękowałam mu jak należy za tamte czerwone róże. Jestem zwyczajną chamką.

– Zachwyciły mnie te róże. – Spoglądam na bukiet leżący na moich kolanach.

– Chyba stokrotki? – Wyjeżdża na środek jezdni.

– Tak, to są stokrotki. Dobry wybór dla kogoś, kto przez cały weekend legendarnie wymiotował i teraz zdrowieje.

Od razu żałuję, że powiedziałam coś tak ohydneho, ale Danny się śmieje.

– No dobra. Josh Templeman. W co on gra?

– Diabeł zesłał swego jedynego syna na ziemię. – O dziwo, czuję się winna, że to powiedziałam.

– Udaje opiekuńczego starszego brata. – Danny zarzucił wędkę i ja o tym wiem.

– Powiadasz? – mówię niezobowiązująco.

– A tak. Ale nie martw się. Zapewnię go, że mam czyste intencje. – Obrzuca mnie uśmiechem z ukosa, ale w moim wnętrzu zaczyna narastać poczucie głębokiego rozczarowania. Ochota na flirt, która mnie tak elektryzowała, właśnie zamiera.

Czy ja dla Joshui jestem kimś w rodzaju młodszej siostry? Nie po raz pierwszy jakiś facet mi to powiedział. Pradawne zawstydzenie dźwięczy we mnie jak echo. Pocałował mnie w windzie; to jest sprzeczne z teorią. Ale potem więcej tego nie próbował, więc może to prawda. Przypominam sobie, jak mu powiedziałam, że ten pocałunek był taki namiętny, i krzywię się.

– Nic nie mówił, że próbowałeś się dodzwonić. Dziękuję, że sprawdzałeś, co u mnie.

– Bynajmniej się nie spodziewałem, że będzie przekazywał moje wiadomości. Zresztą mniejsza z tym. Chciałbym znowu się z tobą umówić. Tym razem na kolację. Sprawiasz wrażenie niesamowicie wygłodzonej.

Powinłam docenić jego upór w obliczu mojego dziwaczego zachowania i obecnego wyglądu. To, że wyhodowałam w sobie zauroczenie Joshuą,

jeszcze nie oznacza, że powinnam odmówić. Patrzę na Danny'ego. Gdybym wrzuciła do kominka postrzępioną listę życzeń, to on jest tym facetem, którego dostarczyłaby mi Mary Poppins.

– Tak, byłoby miło, gdybyśmy kiedyś zjedli razem kolację.

Zostawia samochód w strefie dwudziestominutowego parkowania, a ja wpisuję go jako gościa. Kiedy drzwi windy się otwierają, ponieważ w tym momencie uświadamiam sobie, że dowiózł mnie aż na dziesiąte piętro.

– Dzięki.

Wysiada razem ze mną i chwyta za rękę, żeby mnie zatrzymać.

– Tylko nie przeszarżuj dzisiaj.

Poprawia kołnierzyk mojego płaszcza, przy okazji dotykając szyi. Zwalczam chęć spojrzenia w lewo. Josh albo siedzi już za biurkiem i jest świadkiem tej scenki rodzajowej, albo jeszcze nie dotarł. Napięcie spowodowane niewiedzą jest nieznośne.

– No to jak? A może dzisiaj jakaś mała kolacyjka? No przecież ci nie zaszkodzi?

– Jasne – zgadzam się, żeby tylko skłonić go do odejścia.

Podaje mi stokrotki z nieznacznym ukłonem, a ja zdobywam się na uśmiech. Powoli obracam się na pięcie.

Dawno, dawno temu ta chwila byłaby prawdziwym triumfem. Marzyłam wręcz o czymś takim. Ale kiedy widzę Joshuę za biurkiem, energicznie układającego papiery na równych stosach, żałuję, że nie mogę cofnąć czasu.

Gramy w nową grę. Nie znam wprawdzie zasad, a jednak wiem z całą pewnością, że popełniłam już jeden duży błąd. Kładę stokrotki na skraju swojego biurka i zrzucam z siebie płaszcz.

– Cześć, koleś – mówi Danny do Josha, który rozpiera się niedbale na swoim krześle. To dyrektorska poza, którą opanował do poziomu maestrii.

– Już tu nie pracujesz. – Josh nie jest z tych, którzy wymieniają się uprzejmościami.

– Podwiozłem Lucy i postanowiłem wpaść, żeby się upewnić, że ci nie nadepnałem na odcisk.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Spojrzenie Joshui jest teraz ostre jak

nóż.

– No bo wiem, że jesteś dla niej niesamowicie opiekuńczy. Ale zachowuję się wobec ciebie przyzwoicie, co nie?

Wiję się pod ich kolektywnym spojrzeniem.

– Jasne, oczywiście.

Jak na faceta, który przystąpił do konfrontacji z kimś rozmiarów Joshui, Danny z pewnością ma mnóstwo odwagi. Próbuje jeszcze raz.

– Bo ty najwyraźniej masz jakiś problem. Przez telefon w piątek robiłeś z siebie kawał dupka.

– Zarzygała sobie koszulkę. Miałem dość na głowie, żeby jeszcze bawić się w jej sekretarkę.

– Musimy koniecznie pogadać o tym twoim robieniu za opiekuńczego starszego brata.

– Ciszej – syczę. Drzwi do gabinetu pana Bexleya są otwarte.

– No to ci powiem, że nikt nie jest dostatecznie dobry dla mojej małej siostrzyczki.

Głos Joshui ocieka sarkazmem, ale i tak jestem nadal przygnębiona. Ten poranek to jakiś nieopisany koszmar.

– I masz rację. Ja tu już nie pracuję, dlatego mam prawo umawiać się z Lucy, jeśli mi się zachce. – Danny patrzy na moje biurko i unosi brwi. – No, no. Kto by się spodziewał. Romantyzm jeszcze nie zginął w narodzie.

Joshua zachmurza się i zaczyna skubać sobie kciuk.

– Wynoś się, zanim cię wyrzucę.

Danny całuje mnie w policzek i jestem niemal pewna, że robi to, bo Joshua na nas patrzy. Było to małostkowe z jego strony.

– Zadzwońę później w sprawie kolacji, Luce. I pewnie będziemy musieli jeszcze sobie pogadać, Josh.

– Żegnaj, człowieku – mówi Joshua udawanie spokojnym głosem.

Oboje przyglądamy się Danny'emu, jak wsiada do windy.

Z gabinetu pana Bexleya dobiega nas jego cielecy ryk, a ja wreszcie zauważam czerwoną różę leżącą na mojej klawiaturze.

– Och. – Jestem totalną, skończoną debilką.

– Była tu, kiedy przyszedłem.

Mam za sobą ponad tysiąc godzin spędzonych z Joshua w jednym pomieszczeniu i to, że teraz kłamię, jest dla mnie krystalicznie jasne. Róża jest aksamitnoczerwoną doskonałością. Stokrotki w porównaniu z nią wyglądają jak kępa chwastów wyrastająca z rynsztoka.

– To ty je przysłałeś? Dlaczego się nie przyznałeś?

Pan Bexley znowu ryczy, jeszcze bardziej wkurzony. Josh, wciąż go ignorując, nabija mnie na pal swojego gniewnego spojrzenia.

– Trzeba było kazać Danny’emu, żeby został z tobą. Nie mnie.

– On jest... My tylko... To... Nie wiem. On jest miły. – Kluczenie na olimpijskim poziomie.

– Jasne, jasne. Miły. Najważniejsza cecha u mężczyzny.

– Sam popatrz. Byłeś dla mnie miły w weekend. Byłeś dla mnie miły, bo przysłałeś mi róże. A dzisiaj na powrót masz nasrane w głowie. – W tym momencie syczę już jak gęś.

– Doktorze Josh – przerywa nam stojący w drzwiach pan Bexley. – Do mojego gabinetu, jeśli zechce mi pan poświęcić chwilkę. I proszę uważać na swój język, panno Hutton. – Sapiąc, chowa się do środka.

– Sorry, szefie, zaraz przyjdę – rzuca Joshua przez zaciśnięte zęby.

Oboje jesteśmy potwornie zdenerwowani i dzieli nas zaledwie kilka sekund od momentu, kiedy zaczniemy się nawzajem dusić. Przechodzi zamaszyście obok mojego biurka i zmiata z niego róże.

– O co ci chodzi?! – Chwytam różę i cierń rozcina wnętrze mojej dłoni.

– Posłałem ci te zasrane róże tylko dlatego, że wydawałaś się taka zdołowana po naszej kłótni. A teraz już chyba rozumiesz, dlaczego nie jestem miły dla ludzi.

– Auć! – Patrzę na swoją dłoń. Tworzy się na niej piekąca, czerwona kreska. Tamuję krople krwi. – Skaleczyłeś mnie! – Chwytam go za mankiet i biorę jego nadgarstek w śmiertelny uścisk. – Dziękuję, sanitariuszko, cudownie się mną opiekowałaś. I podziękuj też swemu wspaniałemu bratu lekarzowi.

Joshua nagle coś sobie przypomina.

– To twoja wina, że teraz muszę jechać na jego ślub. A już prawie mi się udało wymówić. To twoja wina.

– Moja wina?

– Gdybyś nie była chora, nigdy w życiu nie zobaczyłbym się z Patrickiem.

– To jest kompletnie bez sensu. Ja cię w ogóle nie prosiłam, żebyś do niego dzwonił.

Joshua przygląda się krwawej smudze, którą pozostawiłam na jego mankiecie, z wyrazem skrajnego obrzydzenia. Wciska w moją dłoń chusteczkę.

– No to pięknie – mówi mi, wrzucając zniszczoną różę do kubła na śmieci.

– Zdezynfekuj to. – I znika w gabinecie pana Bexleya.

Sprawdzam pocztę i widzę, że nasze rozmowy kwalifikacyjne zostały wyznaczone na czwartek. Żołądek mi lekko podskakuje. Myślę o swoim czynszu. Patrzę na puste biurko naprzeciwko mnie.

A potem podnoszę podkładkę pod mysz, pod którą ukryłam karteczkę dołączoną do róż. Zerkalam na nią cały zeszły tydzień, kiedy Joshua nie patrzył.

Gapię się na nią teraz i zastanawiam, jak mogłam pomyśleć, że jest od Danny'ego. To pismo Josha, ale ja nie zauważyłam, że te litery są takie kanciaste i pochyłe.

„Jesteś zawsze piękna”.

Na moim biurku leży czerwony płatek; przyciskam go kciukiem do podkładki i wdycham głęboko jego zapach, podczas gdy stokrotki, widziane kątem oka, zamieniają się w plamę. Dłoń mnie piecze i swędzi. Josh ma absolutną rację. W jakiś sposób sama się skaleczyłam przez swoją lekkomyślność.

Siedzę i wdycham zapach róż i truskawek, tak długo, aż w końcu jestem pewna, że się nie rozplączę.

Rozdział 12

Z uczuciem, że jestem infantylna, gapię się na jego podwinięte białe mankiety; na jednym z nich jest teraz moje DNA. Patrzy chmurnie na ekran komputera i od wielu godzin nie odezwał się do mnie ani słowem. Mam gruntownie przerąbane.

– Zaniosę twoją koszulę do pralni – proponuję, ale nawet nie daje do zrozumienia, że mnie usłyszał. – Kupię ci nową. Strasznie cię przepraszam, Josh...

Wchodzi mi w słowo.

– Myślałaś, że dzisiaj będzie inaczej?

Czuję, że coś mnie dławi w gardle.

– Miałam taką nadzieję. Nie wściekaj się tak na mnie.

– Nie jestem wściekły. – Jego szyja na tle białej koszuli jest czerwona.

– Staram się powiedzieć, że jest mi głupio. I że chcę ci podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

– To w takim razie te piękne stokrotki są dla mnie?

Nagle wraca mi pamięć. Tym może wszystko naprawię.

– Czekał, przyniosłam ci przecież prezent.

Wyciągam z torebki mały, plastikowy sześcian z doczepioną kokardką. Wręczam mu go jak rolexa w pudełku. Oczy mu się iskrzą od nieokreślonych emocji, po czym na jego czole znowu pojawiają się zmarszczki.

– Truskawki.

– Sam powiedziałeś, że je kochasz. – Słowo „kochać” prawdopodobnie nigdy nie padło w tym biurze i mój głos lekko drży, kiedy je wypowiadam. A on patrzy na mnie ostro.

– Jestem zdumiony, że w ogóle coś pamiętasz. – Kładzie truskawki na swojej tacy z pocztą wychodzącą i loguje się z powrotem w swoim

komputerze.

Po kilku minutach milczenia próbuję jeszcze raz.

– Jak mogę ci się odwdziaczyć za... za wszystko? – Równowaga sił między nami zachwiała się dramatycznie. Jestem teraz jego dłużniczką. Powinnam mu się odwzajemnić. – Powiedz, co mogę zrobić. Zrobię wszystko, co zechcesz.

Tak naprawdę chcę powiedzieć: „Odezwij się do mnie. Nawiąż kontakt. Nie naprawię niczego, jeżeli będziesz mnie ignorował”.

Tymczasem on nie przestaje łomotać w klawiaturę, z twarzą równie pozbawioną wyrazu jak te manekiny używane do testów wypadkowych. Po prawej stronie ma kolumny z wynikami sprzedaży; odhacza je zielonym markerem. Ja z kolei nie wiem, co z sobą począć, bo nie ma Helene.

– Posprzątam ci mieszkanie. Będę twoją niewolnicą przez cały dzień. Albo... upiekę ci ciasto.

Jest tak, jakby ktoś wstawił dźwiękoszczelną szybę między nas dwoje. Albo może zostałam wymazana z istnienia. Nie powinnam mu przeszkadzać, a jednak gadam i gadam. On mnie i tak nie usłyszy, więc to nie będzie miało znaczenia, jeśli powiem tę kolejną rzecz na głos.

– Pojadę z tobą na ten ślub.

– Cicho bądź, Lucinda. – A więc jednak mnie słyszy.

– Będę przypisana do ciebie jako kierowca. Będziesz mógł się schlać. Schlejesz się i świetnie zabawisz. Będę twoim szoferem.

Bierze do ręki kalkulator i zaczyna coś na nim wystukiwać. Nie odpuszczam.

– Odwiozę cię do domu i położę do łóżka, tak jak ty to zrobiłeś ze mną. Będziesz mógł się wyrzygać do pojemnika, a ja go potem umyję. I wtedy będziemy kwita.

Układa dłonie na klawiaturze i przymyka oczy. Sprawia takie wrażenie, jakby deklamował w duchu strumień bluzgów.

– Nawet nie wiesz, gdzie jest ten ślub – mówi nagle.

– Pojadę dokądkolwiek, byle nie do Korei Północnej. A kiedy to jest?

– W tę sobotę.

– Jestem wolna. Umowa stoi. Podaj mi swój adres, to podjadę po ciebie i w ogóle wszystko. Podaj godzinę.

– Jesteś dość arogancka, zakładając, że z nikim nie jestem już umówiony.

Właśnie mam otworzyć usta i odparować, że z całą pewnością to ja będę jego osobą towarzyszącą, ale w samą porę odzywa się moja komórka. Danny. Obracam się na krzesło o całe sto osiemdziesiąt stopni. On nie wie, co to są esemesy?

– Cześć, Lucy. Czujesz się już lepiej? Jesteśmy dalej umówieni na tę kolację?

Zniżam głos do szeptu.

– Nie jestem pewna. Muszę odebrać samochód i w ogóle czuję się dość podle.

– Dużo się nasłuchałem o tym twoim samochodzie.

– Wydaje mi się, że to jakiś metalik... w każdym razie tyle tylko pamiętam w związku z nim.

– Zarezerwowałem stolik na siódmą. W Bonito Brothers. Zdaje się, mówiłaś, że lubisz tę knajpkę?

No to już nie bardzo mam wybór. Tam naprawdę trudno zdobyć rezerwację. Staram się powstrzymać i nie westchnąć.

– Bonito Brothers mi odpowiada. Dzięki. Raczej nie mam apetytu, ale zrobię, co mogę. Spotkamy się na miejscu.

– To do wieczora.

Rozłączam się i przez chwilę nic nie robię, tylko siedzę i gapię się na ścianę.

– Danny Fletcher szykuje dla ciebie wieczorowy banan. Włoska knajpka, obrusik w kratkę. I pewnie świeca. Popchnie nosem ostatniego klopsika w twoją stronę. To już druga randka, zgadza się?

– Zmieńmy temat. – Udaję, że zabieram się do pisania. Mój ekran wypełnia się komunikatami o błędach.

– Większość facetów chce się całować przy drugiej randce.

To sprawia, że kamienieję i pewnie w moich oczach pojawia się szaleństwo. Wizja Joshui dokonującego takich wysiłków przy drugiej randce

jest niewyobrażalna. W ogóle Josha na jakiegokolwiek randce.

Wyobrażam go sobie, jak siedzi vis-à-vis jakiejś pięknej kobiety, jak się śmieje i uśmiecha do niej. Takim samym uśmiechem, jakim kiedyś obdarzył mnie. Jego oczy jaśnieją w oczekiwaniu na pocałunek na dobranoc. W mojej piersi wykwita czarna kula, która mnie tam dławi i parzy. Próbuję odkaszlnąć, ale mi nie wychodzi.

Nie jestem jedyną osobą, która sprawia wrażenie lekko opętanej.

– No po prostu powiedz to. Wyglądasz, jakbyś zaraz miał wybuchnąć.

– Wyświadcz sobie tę przysługę i zostań dziś wieczorem w domu.

Wyglądasz strasznie.

– Dziękuję panu, doktorze Josh. A tak w ogóle to czemu Mały Tłusty Rysio tak cię nazywa?

– Bo moi rodzice i brat są lekarzami. On mi w ten sposób przypomina, że nie wykorzystuję własnego potencjału. – Swoim tonem wskazuje, że jestem małomiasteczkową prostaczką. I po chwili wstaje z krzesła.

Wlokę się za nim przez korytarz do pomieszczenia z kopiarkami. Nie zwalnia, więc chwytam go za ramię.

– Czekaj no chwilę. Ja staram się wszystko naprawić. Masz rację, wiesz? Naprawdę przyszedłem tu dzisiaj z nadzieją, że te ostatnie dni coś między nami zmieniły.

Otwiera usta, ale ja nacieram dalej. Pozwala mi przyprzeć się do ściany, choć oboje wiemy, że podniósłby mnie jak figurkę szachową, gdyby zechciał.

Słysząc, że w naszą stronę zbliża się ktoś w pantoflach na obcasach; te pantofle łomoczą ospale jak kopyta konia pociągowego, a moja frustracja rośnie. Ja to muszę wyjaśnić, teraz, albo inaczej coś mnie strzeli.

Będzie musiała wystarczyć kanciapa sprzątaczek. Na całe szczęście nie jest zamknięta na zamek, więc wchodzę do środka i staję wśród środków czystości i odkurzaczy.

– Wejdz tu.

Wchodzi niechętnie, a wtedy zatrząskuję drzwi i opieram się o nie. Nic nie mówimy, gdy tymczasem obcasy pokonują zakręt i przechodzą obok nas.

– Przytulnie tu. – Josh trąca butem ogromną stertę papieru toaletowego. –
No więc co?

– Spieprzyłam sprawę. Wiem, że tak.

– Tu nie było czego spieprzać. Wkurzyłaś mnie. Status quo zostaje
w mocy.

Wspiera się łokciem o jedną z półek, po czym przeciąga dłonią po
włosach i jego koszula wysuwa się o jakieś trzy centymetry zza paska.
Stoimy tak blisko siebie, że słyszę, jak tkanina napręża się i ślizga po jego
skórze.

– Myślałam, że może da się skończyć tę wojnę. Myślałam, że możemy
zostać przyjaciółmi.

W jego oczach błyska obrzydzenie, więc równie dobrze mogłabym już
teraz to zakończyć.

– Josh, ja chcę się z tobą zaprzyjaźnić. Czy coś. Nie mam pojęcia
dlaczego, bo jesteś okropny.

Josh unosi palec.

– W tym wszystkim, co powiedziałaś, znalazło się kilka ciekawych
sformułowań.

– Często wygłaszam różne interesujące sformułowania. Ale ty ich nigdy
nie słyszysz. – Zaciskam dłonie z taką siłą, że słychać trzaskanie stawów,
i nagle pukam się w głowę.

Powodem mojego rosnącego zdenerwowania jest to, że już nigdy więcej
nie zobaczę jego ukrytej delikatności. Myślę o jego dłoniach ujmujących
moją poduszkę, o tym, jak przemawiał do mnie, kiedy miałam gorączkę.
O jego dłoniach gładzących moją skórę.

A teraz patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby chciał mnie spalić na
stosie. Był już raz moim przyjacielem, podczas jednej delirycznej nocy,
i niczego więcej nie mogę się spodziewać.

– Czy coś – mówi i wykonuje palcami gest naśladujący znaki cudzysłowu.

– Powiedziałaś, że chcesz się zaprzyjaźnić czy coś. Z czym dokładnie
wiązałoby się „czy coś”? Chciałbym znać swoje opcje.

– Wiąże się prawdopodobnie z nienienawidzeniem się tak doszczętnie.

Nie wiem. – Próbuję przysiąść na stosie pudeł, ale one zapadają się pod mną, więc wstaję.

– No więc jaki on jest, ten twój chłopak? – Bierze się pod boki i to niewielkie wnętrze kurczy się do mikroskopijnych rozmiarów.

Stoi teraz blisko mnie. Muszę koniecznie zdobyć takie boskie mydło. Będę trzymała je w szufladzie z bielizną. Czuję, że zaczynają mi płońc policzki.

– Masz gdzieś to, że spotykam się z Dannym. Ty nie wierzysz, żeby jakiś facet mógł chcieć być ze mną.

Zamiast odpowiedzieć, wyciąga dłoń, spodem do góry. Nadal ma podwinięte rękawy koszuli, dzięki czemu widzę te mocne ścięgna i żyły jego nadgarstków. Po raz pierwszy zauważam, że po wewnętrznej stronie rąk ma wydadne żyły umięśnionego faceta.

– Dotykanie się w pracy jest sprzeczne z polityką HR. – Gardło mi wyschło na kość. „Niedotykanie mnie powinno być nielegalne”.

A on patrzy na mnie wyczekująco, aż wreszcie wsuwam dłoń w jego dłoń. Trudno się oprzeć komuś, kto wyciąga rękę w taki sposób, a już jest to zupełnie niemożliwe, jeśli to on. Zauważam, jakie jego palce są ciepłe i wielkie, zanim on przekręca moją rękę, żeby zbadać zadrapanie, trzymając moją dłoń jak rannego gołębia.

– Ale tak już poważnie, czy ty to zdezynfekowałaś? Na cierniach róż mogą być różne grzyby. Od takiego zadrapania można się nabawić zakażenia. – Naciska ranę, wydziwiając nad nią ze zmarszczonym czołem. Jak on to robi, że potrafi być dwoma różnymi ludźmi jednocześnie? I nagle dociera do mnie druga rzecz. Może to ja jestem czynnikiem determinującym. Straszna wizja. Jedyne sposob, by się odsłonił, to sama się odsłonić. Może uda mi się wszystko zmienić.

– Josh.

Kiedy słyszy, jak wymawiam jego imię, zawija moje palce i uwalnia moją dłoń. Tym razem próbuję czegoś innego. I modłę się, żebym się nie pomyliła.

– Pragnęłam cię w tamtą piątkową noc. Ciebie i tylko ciebie. I jeśli nie będziesz chciał się ze mną zaprzyjaźnić, to będę próbowała grać z tobą w Czy

Coś.

Następuje długa chwila zawieszenia, podczas której on nijak nie reaguje. Jeżeli to błędnie oceniłam, to tego nie przeżyję. Serce cwałuje mi nieprzyjemnie prędko.

– Naprawdę? – pyta sceptycznie.

Popycham go na drzwi i czuję rozkoszny dreszcz, kiedy słyszę łomot jego ciężaru.

– Pocałuj mnie – szepczę i w powietrzu robi się cieplej.

– A zatem gra w Czy Coś wiąże się z całowaniem. Jakież to interesujące, Lucindo. – Przejeżdża palcami po moich włosach, odgarniając mi je delikatnie z twarzy.

– Jeszcze nie znam zasad. To dość nowa gra.

– Jesteś tego pewna? – Spogląda na moją dłoń ułożoną na jego brzuchu.

Uderzam w to twarde ciało. A ono ani trochę się nie poddaje.

– Czy ty masz na sobie kamizelkę kuloodporną?

– W tej pracy muszę.

– Naprawdę przepraszam, że zraniłam twoje uczucia i że wyrzuciłam cię z mojego mieszkania. Josh. – Kiedy mówię do niego Josh, zamiast Joshua, to jest tak, jakbym proponowała pokój. To są przeprosiny.

Szczerze powiedziawszy, to przyjemność. To mi pozwala sobie wyobrazić, że on jednak jest moim przyjacielem. Moim przyjacielem, który pozwala mi gładzić swój tors w kanciapie sprzątaczek. Jaka szkoda, że on nie robi tego samego ze mną.

– Przyjmuję przeprosiny. Ale nie możesz oczekiwać, że będę miły, kiedy inny facet wchodzi do naszego pokoju, całuje cię i daje ci kwiaty. Ta gra między tobą i mną nie na tym polega.

– Nigdy przez moment nie miałam zielonego pojęcia, na czym ona polega.

– Z trudem przetykam ślinę, a on ujmuje palcami mój podbródek i unosi moją twarz ku swojej.

– A ja myślałem, że jesteś taka bystra, Lucindo. Pewnie się myliłem.

Staję na palcach i moje dłonie opadają na jego ramiona, ściskając je. Kiedy wbijam w nie paznokcie, gardło mu się zaciska i udaje mi się złożyć

na nim jeden ukośny pocałunek otwartymi ustami. Czuję, jaki to ma skutek; jego dłonie się naprężają, a biodra wykrzywiają w moją stronę. Coś ciężkiego wbija się w mój brzuch.

To najlepsza z wszystkich gier, w jakie kiedykolwiek grałam.

Jego dłoń opada na dolną część moich pleców, a wtedy przylegam do niego i udaje mi się położyć swoją dłoń na jego karku.

– Czy jest jakiś powód, dla którego jeszcze się nie całujemy?

– Głównie różnica wzrostu. – Próbuje ukryć fakt, że ma erekcję, tak twardą, że mogłaby zgnieść puszkę. Mission impossible.

Uśmiecham się i próbuję przyciągnąć go do swoich ust.

– No, nie każ mi się tam wspinać.

Jego usta dotykają już moich, ale i tak nie posuwa się dalej. Twarz ma stężałą z niezdecydowania i hamowanej żądz. Wyobrażam sobie, że przeżuwa konsekwencje, jakie to by dla nas miało w pracy.

– Będziemy pracowali razem jeszcze tylko dwa tygodnie, najwyżej. Więc jakie to ma znaczenie? – Gratuluję sobie, że mówię to tak zdawkowo.

– Cóż za romantyczna propozycja. – Oblizuje językiem kącik ust. On tego chce. To oczywiste, że chce. A jednak wciąż się opiera.

– Obejmij mnie.

Zamiast mnie schwycić, wyciąga ręce, podając mi je dokładnie tak samo, jak ja podałam mu swoje. A potem po prostu stoi. Jego pierś unosi się i zapada.

– Sama się nimi obejmij.

Nic nigdy nie dzieje się tak, jak tego oczekuję. Ujmuję jedną z jego rąk i przykładam ją sobie do boku. Tę drugą postanawiam nasunąć na pośladek. Obie dłonie mnie ściskają, ale się nie ruszają. Zasadniczo obmacuję się sama, ledwie przez niego wspomagana.

– Czy robisz to, żeby obejść zasady HR? Dość tego grożenia HR-em. W tym momencie to naprawdę psucie powietrza. – Sama psuję powietrze, mówiąc to. A potrzebuję każdej odrobiny tlenu. Ciepło jego dłoni przenika przez moje ubranie.

Pociągam jego dłoń do tego miejsca, gdzie pośladek łączy się z udem.

Musi się mocno zgiąć i dzięki temu jego usta się przybliżają. A teraz przekładam drugą dłoń z żeber na pierś. Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby zaraz miał zemdleć. A moje ego rozdyma się już do takich rozmiarów, że ledwie się mieści w tym wnętrzu.

– A więc tak wyglądałby seks z tobą. – Nie mogę się powstrzymać i przygaduję mu. – Miałam nadzieję, że będziesz bardziej aktywny.

Na co on wreszcie coś mówi.

– Byłbym aktywny. I to tak bardzo, że następnego dnia nie mogłabyś chodzić.

Za drzwiami znowu słycać czyjeś kroki. Znajduję się w pomieszczeniu mniejszym od więziennej celi i mam na sobie dłonie Josha. Zbyt śmiało unoszę jego dłoń i przyciskam jego palce do rowka między piersiami, żeby tylko sprawdzić, co się stanie.

– I dobrze, chodzenie jest zdecydowanie przereklamowane.

Wyraźnie traci sporą część swego dotychczasowego opanowania, bo zezwala swej ręce na sporą autonomię. Podkłada dłoń pod moje kolano i unosi nogę. Jego palce gładzą mnie pod rąbkiem sukienki, jadąc prostą linią od uda po brzeg majtek. A kiedy czubek palca dotyka gumki, przeszywa mnie dreszcz. Z kolei palce między piersiami wnikają głębiej i pieszczą mnie tam. Potem jednak stawia moją stopę na podłodze i wkłada obie dłonie do kieszeni.

– Chcę, żebyś zrobiła coś dla mnie. Chcę, żebyś poszła na swoją uroczą randkę z Dannym, i chcę, żebyś go pocałowała.

Kiedy to mówi, jego usta krzywią się z niesmakiem. Opadam do swojego zwyczajnego wzrostu. Dopiero co powiedzieliśmy sobie kilka niesłychanych rzeczy, ale to palnął jak gołąb o beton.

– Co? Dlaczego? – Zdejmuję ręce z jego ramion.

Zaczynają mnie dopadać mdłości. On przez cały czas robił mnie w konia. Widzi przerażenie w moich oczach i powstrzymuje mnie przed ucieczką, chwytając za łokieć.

– Jeśli okaże się lepszy niż tamten pocałunek w windzie, sprawa zamknięta. Umawiaj się z nim. Zaplanuj ślub na wiosnę, w altance na

truskawkowym polu. – Zaczynam protestować, ale wchodzi mi w słowo. – Jeśli nie okaże się dobry, to będziesz musiała mi się przyznać. W twarz. Słownie. Uczciwie. Bez ironii. – Wszystkie furtki zostają porządnie zamknięte.

– Dziwne, że tego właśnie chcesz. – Robię krok w tył i zderzam się ze szczotką na kiju.

– Gra w Czy Coś nie zostanie wznowiona, dopóki mi nie powiesz, że nikt cię tak nie całował jak ja.

– A mogę ci powiedzieć to już teraz? – Znowu staję na palcach, ale on nie chce o niczym słyszeć.

– Mowy nie ma, żebym miał się stać przedmiotem twojego eksperymenciku, zanim wybierzesz Miłego Faceta. A zatem tak, chcę, żebyś dziś wieczorem całowała się z Dannym Fletcherem i doniosła mi potem o rezultatach. Jeśli pójdzie świetnie, to będę życzył ci szczęścia.

– Z pewnością masz uprzedzenia do miłych facetów.

Na co on dodaje kolejne zastrzeżenie:

– I jeszcze jedno. Jeśli całowanie się z nim nie będzie tak dobre, jak całowanie się ze mną, to już więcej nie będziesz mogła się z nim całować. –

Otwiera drzwi i wypycha mnie na korytarz. Po którym z ponurą miną człapie pan Bexley, więc prędko zamykam za sobą drzwi. A pan Bexley zawraca, kiedy zauważa, że wyłamiam się zza drzwi pomieszczenia dla sprzątaczek.

– Szukałam czegoś do mycia szyb. W moim gabinecie jest pełno śladów palców.

– Widziała gdzieś pani Josha? Nigdzie go nie ma. Bałagan się robi, a on sobie gdzieś zniknął.

– Zniknął, bo poszedł po kawę i pączki dla pana. Był pan taki zapracowany. Proszę obiecać, że będzie pan udawał zaskoczonego.

Pan Bexley stroszy się, nadyma i mamrocze: wszystko w ramach jednego gardłowego odgłosu. Potem patrzy na moją sukienkę i jej zawartość z tak nonszalanckim zainteresowaniem, że aż biorę się pod boki z irytacją. Czego on nie zauważa.

– Wygląda pani na wytrąconą z równowagi, panno Hutton. Ja nie mam nic

przeciwno, jak młoda dama ma trochę zaróżowione policzki. Ale powinna się pani częściej uśmiechać.

– Ups, mój telefon dzwoni – mówię, mimo że wcale nie dzwoni. – Proszę pamiętać, że ma pan udawać zdziwionego, kiedy Josh wróci.

– Potrafię się dziwić – zapewnia mnie i udaje się do męskiej toalety. W jednej ręce trzyma gazetę, czyli Josh może sobie spokojnym krokiem zejść na dół.

Nie tracę opanowania, dopóki nie wracam do biurka, ale wtedy pozwalam sobie na to, czego rozpaczliwie łaknę: dyszę łapczywie. Sapię, jakbym wzięła udział w półmaratonie. Na szyi zbierają mi się paciorki potu i mam zroszoną twarz. Pokrywam mgłą połowę lśniących powierzchni dziesiątego piętra, zanim wreszcie jestem na tyle opanowana, żeby bodaj usiąść.

Czuję się taka nakręcona, że najchętniej walnęłabym się w głowę i pozbawiła przytomności.

Joshua wraca dwadzieścia minut później, z pączkami i kawą. I tak jest pierwszy, bo pan Bexley nadal siedzi w toalecie.

– Ładnie, że mnie uratowałaś – mówi, stawiając gorącą czekoladę i pączka w truskawkowej polewie obok mojej podkładki pod mysz. – Myślenie godne pochwały.

Gapię się na przepięknego, różowego pączka, jakby to był tunel czasoprzestrzenny, przez który oboje właśnie przelecieliśmy, gdy tymczasem Joshua znika w gabinecie swojego szefa. Podczas dwudziestu minut zwątpienie zaczęło przeżerać pewność, że z grą w Czy Coś pójdzie mi świetnie. On jest za duży, za mądry i moje ciało za bardzo go lubi. Rozpaczliwie chciałabym opracować jakieś główne zasady. Ale kiedy on siada za biurkiem i upija łyk kawy, wypluwam z siebie jakieś wulgarne pomysły.

– Jeżeli gra w Czy Coś wiąże się z seksem, to będzie to jednorazowy numerek. Tylko jeden numerek. Jeden pozbawiony znaczenia numerek. – Przykładam dłoń do ust.

On w odpowiedzi cynicznie mruży oczy i zaczyna jeść te truskawki, które mu przyniosłam. Wrażenie jest hipnotyczne. Nigdy wcześniej nie widziałam,

żeby coś jadł.

– Jeden. – Unoszę palec.

– Numerek? Jesteś pewna? A nie postawiłabyś mi najpierw kolacji? – Rozsiada się wygodnie, doskonale się bawiąc tą rozmową. Gryzie, żuje, połyka, a ja muszę odwrócić wzrok, bo to, co on robi, jest piekielnie seksowne.

– Jasne, możemy się kopnąć do jakiegoś driver-thru na Happy Meal.

– Jezu, dzięki. Burger i zabawka, zanim pojedziemy to zrobić. Tylko raz.

– Upija kolejny łyk kawy i patrzy na sufit. – A nie szarpnęłabyś się na jakąś fajną włoską knajpkę? Czy raczej wolisz, żebym się poczuł tandetnie?

– Jeden raz. – Wkładam dłoń do ust i gryzę stawy aż do bólu. „Zamknij dziób, Lucy”.

– Czy jesteś w stanie określić, z czym by się wiązał ten jeden raz? – Opiera podbródek na dłoni i przymyka oczy, ziewając jednocześnie. Można wręcz pomyśleć, że rozmawiamy o jakiejś prezentacji, a nie o igraszkach nago w moim łóżku.

– Rodzice nigdy z tobą nie rozmawiali o ptaszkach i pszczołkach? – Upijam łyk czekolady.

– Staram się zrozumieć zasady z góry. Bardzo ich wiele wymyślasz na bieżąco. Mogłabyś podesłać mi je mailem?

Pan Bexley przechodzi między nami, niszcząc wszystko, i wydaje nieprzekonujący odgłos zdziwienia na widok kawy i pączków na swoim biurku.

– Przyjdę za minutę – woła za nim Josh. A do mnie mówi: – Naprawdę tylko raz? A pohamujesz się potem? – Widzę kącik jego ust unoszący się w skąpym uśmiechu i po chwili zaczyna klikać.

– Nie bądź taki z siebie zadowolony – syczę najciszej jak potrafię. – Nie ma gwarancji, że kiedykolwiek do tego dojdzie.

– Nie zachowuj się, jakbym tylko ja tego chciał. Nie robisz mi żadnej łaski. To raczej wielka łaska, którą robisz samej sobie.

Najwyraźniej nie jest to żadna brudna aluzja do tego, co się kryje w jego rozporoku, ale i tak patrzę w tamtą stronę. I jakoś nie potrafię się zamknąć.

– Żeby zabić to dziwaczne, seksualne napięcie między nami, powiem, że tak, będzie tylko raz. Jak już powiedziałam, jakie to ma znaczenie?

Mruga z całej siły i otwiera usta, chcąc coś powiedzieć, po czym jakby zmienia zdanie. Jak na faceta, któremu właśnie kobieta powiedziała, że myśli o seksie z nim, wygląda na trochę rozczarowanego.

– No to chyba postaram się, żeby to się liczyło, Babeczko.

Obietnica i ostrzeżenie. Odgryzam prawie połowę swojego pączka, więc nie muszę odpowiadać.

Mam przewagę, dzięki temu, że nieco zdefiniowałam zasady. On tymczasem wstaje i bierze do ręki kubek z kawą. To sygnał odwrotu. Ale potem przerzuca piłkę na moją połowę kortu, wymuszając decyzję na mnie tak stanowczo, że jestem pod wrażeniem – muszę to przyznać.

Pisze coś na niebieskim post-icie. Jego kolczaste litery pochylają się i siekają: atrament wlewa się w żyłki papieru.

Nigdy mi się nawet nie śniło, że będę znała to, co on teraz pisze. Nie mam pojęcia, czy to jest po to, żebym pod niego podjechała w dniu ślubu. Czy coś. A spytać nie mogę, bo mam pełne usta.

Przykleja karteczkę na ekranie mojego komputera. Jest na niej jego adres domowy.

Rozdział 13

Cały czas nachodzi mnie takie dziwne przeczucie, że zaraz tu wparuje twój starszy brat i cię stąd wywlecze. Wyszłaś wieczorem na miasto, mimo że rano musisz iść do pracy i w ogóle – mówi Danny, gdy tymczasem ja gmeram bez przekonania łyżeczką w cytrynowym gelato.

– Na pewno siedzi w samochodzie z zapuszczonym silnikiem i jak stąd wyjdziemy, to cię rozjedzie.

Średnio udany dowcip. Pojawia się kelnerka, żeby spytać, czy chcemy coś jeszcze i czy nam smakowało. Zapewniamy ją po raz kolejny, że wszystko jest przepyszne. To prawda: w tej knajpce trudno się czegokolwiek czepiać. Jest obrusik w kratkę i są świece. Gra romantyczna muzyka, a ja doprowadziłam się do porządku: włożyłam czerwoną kieckę i pomalowałam usta na czerwono. Jediną rzeczą niepozwalającą mi zapaść w drzemkę są te ostre ukłucia w żołądku na myśl o pocałunku, od którego nie będę mogła się wymigać.

– Muszę cię o coś spytać. Czy ty... jesteś singielką? Jesteś wolna? Bo ja czuję jakieś dziwne fluidy. Ty i on nie jesteście chyba...?

– Tak. To znaczy nie. Nie! Absolutnie mylisz się z tymi fluidami. Jestem singielką. – Po czym powtarzam to wszystko jeszcze kilka razy, ale widzę po twarzy Danny’ego, że ma wątpliwości. „Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka za wiele”¹, jak powiedziała matka Hamleta.

Mój żołądek to teraz wylęgarnia paniki. Gdyby ktoś nabrał podejrzeń, że my z Joshem jesteśmy w coś zaangażowani, to nie obyłoby się bez reperkusji. Oddziałujących na reputację. I ci z HR na pewno by się czepiali. A co z godnością? Przypominają mi się te uchachane twarze i trącanie się łokciami tuż po paintballowej bitwie i aż się wzdragam wewnątrz ze strachu, że mleko już mogło się rozlać.

– No bo zdarzały się już u nas biurowe romanse. Na przykład Samantha i Glen. Fiu, ależ to była katastrofa.

Danny uśmiecha się od ucha do ucha. Widzę teraz, że to plotkarz. Unosi brwi, wyraźnie licząc, że podzielę się z nim wiedzą o jakimś pikantnym skandalu, ale kręcę głową.

– Nikt ze mną nie rozmawia w pracy. Myślą, że jestem donosicielką.

– To prawda, że Josh ma za sobą rok na medycynie?

– Nic o tym nie wiem. Ale jego rodzice i brat są lekarzami.

– Wszyscy zawsze żyliśmy nadzieją, że odejdzie z Bexley Books i zostanie proktologiem czy kim tam.

Mimo woli wybucham śmiechem.

– A z tobą jak było? Masz za sobą złe rozstanie czy coś? – Danny jest wyraźnie tego ciekaw. – No tak, chyba próbuję ustalić, dlaczego jesteś singielką.

– Brakuje mi czasu na związek, a poza tym po fuzji straciłam kontakt z ludźmi z Gamin Publishing i bardzo niewiele zrobiłam, żeby kogoś poznać bliżej. Praca ukradła mi życie. Asystentka prezesa nie pracuje od dziewiątej do piątej jak normalni ludzie.

– A w takim razie od kogo była ta róża na twoim biurku? – Wyczekująco unosi brwi.

– Taki tam żart.

Czeka, aż powiem coś więcej, ale ponieważ tego nie robię, poddaje się i zmienia temat.

– Złożyłaś aplikację o to nowe stanowisko w dziale zarządzania?

– Złożyłam. W przyszłym tygodniu idę na rozmowę kwalifikacyjną.

– Duża konkurencja?

– Po przepuszczeniu przez sito na rozmowę idę tylko ja, dwóch ludzi spoza oraz mój serdeczny stary kumpel Joshua Templeman. Razem czworo.

– Podejrzewam, że od dawna czekałaś na taką okazję – snuje przypuszczenia Danny.

Może znowu mam to oszalałe, roznamiętnione spojrzenie.

– Helene zawsze robiła wiele, żebym się rozwijała. Kiedy się zatrudniałam

w firmie, wtedy jeszcze Gamin Publishing, miałam obiecane, że po roku pracy dla niej przejdę do zespołu redakcyjnego. – Słyszę teraz gorycz w swoim głosie.

Danny zastanawia się chwilę.

– Do branży wydawniczej wchodzisz najrozmaitszymi drogami. Nawet jeśli to się sprowadza do zadań administracyjnych. Połowa ludzi tutaj jeszcze się nie doczekała wymarzonej pracy. Dlatego wykonałaś sprytny ruch, łapiąc okazję, jakakolwiek by ona była.

– Ale ja nie z tym mam problem. Naprawdę jestem zadowolona, że weszłam do działu zarządzania.

– Ale potem doszło do fuzji.

– Tak. Tylu ludzi musiało odejść. Miałam wielkie szczęście, że w ogóle zachowałam pracę. Nawet jeśli to oznacza wypełnianie wciąż tej samej roli. Straciłam najbliższą przyjaciółkę. – Mówię o tym takim tonem, jakby ona już nie żyła.

– Twoje CV będzie wyglądało imponująco z tym dyrektorem do spraw operacyjnych. Zwłaszcza w twoim wieku.

– Owszem – mówię bez tchu, wyobrażając to sobie napisane czcionką Arial. A potem wyobrażam sobie to samo na CV Joshui i rozkoszne marzenia na jawie robią się nieprzyjemne.

– Przygotowuję prezentację na tę rozmowę. Coś, o czym od dawna myślę. Do tej pory moja pozycja nie była dostatecznie ważna, żeby ktoś się ze mną liczył. I zawsze było nie w porę. A chciałabym pokierować formalnym projektem przetworzenia listy publikacji, których nakłady się wyczerpały, na format e-booków. Mówię o nowych edycjach, wliczając okładki i w ogóle wszystko, co się wiąże z danym tytułem. Myślę, że wejście w tę nową rolę miałyby dla mnie konkretne przełożenie, którego do tej pory mi brakowało.

– Czyli potrzebowałabyś dużego wsparcia w kwestiach graficznych. Pamiętaj o mnie – mówi Danny. Szpera w kieszeni i po chwili wręcza mi swoją nową wizytówkę.

Kobieta siedząca przy stoliku obok patrzy na niego z ukosa, jakby chciała powiedzieć: „Co za cymbał”.

Danny daje znać, żeby przynieśli nam rachunek, i wręcza kelnerowi kartę kredytową.

– Och, dziękuję – piszczę skrzepowanym głosem, na co on reaguje uśmiechem.

Idziemy do mojego samochodu.

– Przepraszam, że tyle gadałam o pracy.

– Nie ma problemu. Ja też tam pracowałem, pamiętaj. No dobrze. To by było na tyle. O, twój samochód! – Danny przystaje, a potem macha rękami, udając, że obejmuje auto. – Co za cud techniki.

– Prawda? – Opieram się o drzwi. – Nareszcie wolny, nareszcie wolny.

– Zacytowałaś właśnie Martina Luthera Kinga² w odniesieniu do swojego samochodu?

– Eee. Tak, chyba tak...

Danny wybucha śmiechem.

– O ja cię, jesteś obłądna.

– Żadna tam obłądna. Jestem idiotką.

– Nie mów tak. Chciałbym cię pocałować. Pozwolisz mi? – dodaje dworsko.

– OK.

Patrzemy sobie w oczy. Oboje wiemy, że to jest ta chwila. Chwila prawdy. Albo Danny zawróci mi w głowie, albo będę musiała napompować ego Josha.

Wyglądamy jak parka ze ślicznej kartki walentynkowej. Jezdnia jest śliska od deszczu; światło padające z latarni otacza nas białą poświatą. Moja czerwona imprezowa sukienka stanowi tu główny element i męczyzna o anielskich lokach koloru srebrzysty blond wygina mnie lekko w tył, spuszczaając spojrzenie swych bladoniebieskich oczu na moje usta. Jest takiego wzrostu, że z całą pewnością w objęciach będziemy do siebie przylegali idealnie.

Dopiero co jadł deser, więc oddech ma lekki i słodki; dłonie układa z szacunkiem na mojej talii. Kiedy jego wargi dotykają moich, błagam siebie

w duchu: „No poczuj coś, poczuj”. Bezgłośnie ślę do nieba życzenie o chociaż jedną spadającą gwiazdę. Modlę się o ten pierwszy zawrotny kopniak pożądania. Całuję się z Dannym Fletcherem i całuję, aż wreszcie dociera do mnie, że z pożądania nici, nie poczuję go i już.

Danny rozchyła lekko moje wargi swoimi wargami, aczkolwiek nie wysuwa języka z ust, jak przystało na dżentelmena. Kładę dłoń na jego ramieniu. Jego ciało, na pierwszy rzut oka wysportowane i muskularne, wydaje się lekkie i niematerialne, jakby miało w sobie kostki kurczaka. Założę się, że nie dałby nawet rady wziąć mnie na ręce.

Oboje odsuwamy się od siebie.

– To tego... – Moje nadzieje zupełnie legły w gruzach i on chyba o tym wie. Przygląda się badawczo mojej twarzy. Wszystko przypominało pocałunek kuzynki z kuzynem. Wszystko poszło źle. Chciałabym powtórzyć zabieg, dla zyskania pewności, ale kiedy daję krok do przodu, on robi krok w tył i zabiera ręce z mojej talii.

– Lubię twoje towarzystwo – zaczyna. – Jesteś wspaniałą dziewczyną...

Kończę za niego:

– Ale możemy zostać przyjaciółmi? Przepraszam.

Jego twarz zdradza rozczarowanie, że nie on pierwszy to powiedział, a także ulgę z domieszką irytacji, która sprawia, że teraz już lubię go trochę mniej.

– Jasne. Oczywiście. Przyjaciółmi. Czemu nie?

Wyjmuję kluczyki od samochodu.

– No to bardzo dziękuję za kolację. Dobranoc.

Patrzę, jak odchodzi, z ręką uniesioną w pożegnalnym geście. W dłoni zaciska kluczyki do swojego samochodu, a kroki stawia dziwnie powolne. Kiepski pocałunek nagrodą za kosztowny posiłek.

„No niestety, laureatem konkursu «Na najlepszy pocałunek» zostaje Joshua Templeman. Tego się właśnie obawiałam”.

W moim wnętrzu kotłuje się maleńka chmura burzowa. Mam za sobą rozlazły, nudny wieczór. Stracony wieczór.

A co w tym wszystkim jest najgorsze? Ano to, że gdyby Joshua nie istniał,

byłaby to całkiem niezła randka, zgodnie z moimi standardami. Naprawdę całkiem sympatyczna. Mam za sobą gorsze randki i o wiele gorsze pocałunki. Nawet jeśli chemia była taka sobie, to jednak była i pewnie dałoby się coś na niej zbudować. Jedyna taka sposobność w ostatnim czasie, a ja ją zniszczyłam.

Tak to wyglądało, jakby przy naszym małym, romantycznym stoliku siedział na trzeciego Joshua, przyglądając się nam i osądzając. Przypominając mi o tych wszystkich rzeczach, których mi brakuje. Patrzyłam na usta Danny'ego i usiłowałam wymusić na sobie jakiegokolwiek odczucia.

Kiedy ulice zaczynają wyglądać zbyt nieznajomo, zatrzymuję się i spędzam niezliczone minuty na walce z ustawieniami mojego GPS-u, wciskaniu zupełnie niewłaściwych przycisków niezdarnymi paluchami, cały czas trzymając w zębach niebieską karteczkę.

Obrzucam tę kobietę od GPS-u najgorszymi wyzwiskami, jakie przychodzą mi do głowy. Błagam ją, żeby zamilkła. Ale ona nie milknie. Jak najgorsza suka kieruje mnie w końcu do apartamentowca, w którym mieszka Josh.

Mowy nie ma, żebym weszła do tego budynku. Jestem może żałosna, ale nie aż tak. Parkuję w bocznej uliczce i patrzę na fasadę, zastanawiając się, który z rozjarzonych prostokątów należy do niego.

„Josh, dlaczego ty mnie niszczysz?”

Mój telefon brzęczy. To nazwisko widuję nadzwyczaj rzadko na swoim wyświetlaczu.

Joshua Templeman: No i co? Napięcie rośnie itd.

Zamykam samochód i idę, zaciskając poły płaszcza. Staram się wymyślić jakąś odpowiedź, ale uczciwie mówiąc, nic mi nie przychodzi do głowy. Moja duma została idiotycznie zraniona. Należało się dziś wieczorem bardziej postarać. Nabrać trochę większego przekonania. Ale już jestem strasznie zmęczona tym próbowaniem.

Układam odpowiedź. Emotikon złożony z uśmiechniętego bobka, czyli

doskonałe podsumowanie wszystkiego.

Postanawiam obejść raz jego dom, modląc się w międzyczasie, żeby mnie ktoś nie porwał. Ale specjalnie bać się nie muszę. Deszcz przegnał z ulic wszystkich z wyjątkiem najzagorzalszych amatorów spacerowania. Moje czerwone obcasy postukują głośno, kiedy kończę ten rekonesans.

To takie dziwne, tak iść i starać się patrzeć na wszystko cudzymi oczami, choćby nawet oczami zaprzysięgłego wroga. Patrząc na pęknięcia w chodniku i zastanawiam się, czy on na nie nadeptuje, kiedy idzie do tego sklepiku ze zdrową żywnością. Bardzo żałuję, że sama nie mieszkam obok takiego sklepiku; może wtedy nie jadłabym tyle makaronu z serem.

Przypuszczam, że ludzie po to pojawiają się w naszym życiu, żeby udzielać nam różnych lekcji. Jestem przekonana, że Josh postawił sobie za cel poddanie mnie sprawdzianowi. Żeby dodać mi bodźca. Uczynić mnie twardszą. I do pewnego stopnia to prawda.

Mijam witrynę sklepową i zatrzymuję się na chwilę, żeby przyjrzeć się swojemu odbiciu w szklanej tafli. Ta sukienka jest przesłodka. Wrócił też kolor na moje policzki i usta, acz zasadniczo zawdzięczam to kosmetykom. Myślę o różach. Nadal nie potrafię zająć tu stanowiska. Były od Joshui. Wszedł do kwiaciarni, z własnej woli, i napisał trzy słowa na kartce, zmieniając tym stan gry.

Mógł napisać cokolwiek. Dowolna z poniższych rzeczy pasowałaby doskonale:

„Przykro mi. Przepraszam. Nagnoilem. Jestem koszmarnym palantem. Wojna skończona. Poddaję się.

Jesteśmy teraz przyjaciółmi”.

A zamiast tego te trzy słowa: „Jesteś zawsze piękna”. Najdziwniejsze wyznanie z ust ostatniej osoby na ziemi, od jakiej bym się ich spodziewała. Pozwalam sobie na myśl, której dotąd jakże skutecznie do siebie nie dopuszczałam.

„Może on mnie nigdy nie nienawidził. Może zawsze mnie pragnął”.

Z mojej kieszeni dobiega kolejne brzdęknięcie.

Joshua Templeman: Gdzie jesteś?

Gdzie? Też coś. A co cię to obchodzi, Templeman? Czaję się za twoim domem, zaglądając do śmietników i zastanawiając się, czy jesteś może stałym bywalcem tej kawiarni po drugiej stronie ulicy albo czy chadzasz do tego mikroskopijnego parczku z tą maleńką fontanną. Zachwyam się plamami światła odbijającego się od chodnika i patrzę na wszystko zupełnie nowymi oczami.

Gdzie jestem? Jestem na innej planecie.

Kolejny esemes.

Joshua Templeman: Lucindo. Już mnie to denerwuje.

Nie odpowiadam. Bo i po co? Muszę uznać ten wieczór za kolejne żenujące doświadczenie życiowe. Patrzę w głąb ulicy i widzę swój samochód; czeka cierpliwie przy następnej przecznicy. Mija mnie taksówka, zwalnia, a kiedy kręcę głową, znowu przyspiesza.

Czy tak właśnie zaczyna się stalking? Zadzieram głowę i widzę ćmę kołującą w świetle latarni. Dziś wieczorem doskonale rozumiem to stworzenie.

Jeszcze raz się przejdę pod jego domem i kończę zabawę. Na chwilę tylko wsadzę głowę do środka, żeby sprawdzić, gdzie są skrzynki pocztowe. Bo może kiedyś wpadnę na pomysł, żeby zostawić mu śmiertelne pogróżki. Albo sprośny, anonimowy liścik, zawinięty w majtki wielkości flagi marynarki wojennej.

Wydłużam krok i mijam frontowe drzwi, przy okazji przelotnie zahaczając wzrokiem o schludny hall, kiedy nagle widzę, że ktoś idzie przede mną. Mężczyzna, wysoki, z idealnie proporcjonalną sylwetką, z rękami w kieszeniach; maszeruje w taki sposób, że widać gniew i wzburzenie. Tę samą sylwetkę zobaczyłam pierwszego dnia w B&G. Sylwetkę, którą znam lepiej niż własny cień.

Oczywiście na tej planecie, na którą się wyprawiłam, nie mogę spotkać

nikogo innego oprócz Josha.

Ogląda się przez ramię, bez wątpienia słysząc, jak moje opętańczo głośne pantofle przystają jak wryte. I potem ogląda się jeszcze raz. Reakcja z rekordowym opóźnieniem.

– Tak tu sobie grasuję! – wołam, ale wcale nie brzmi to tak, jak zamierzyłam. Nie brzmi to ani beztrasko, ani zabawnie. Brzmi jak ostrzeżenie. Jestem teraz uosobieniem jakiejś przerażającej baby. Podnoszę ręce, żeby pokazać, że nie jestem uzbrojona. Serce mi cwałuje.

– Ja też – odpowiada Josh.

Kolejna taksówka przemyka obok niczym rekin.

– A dokąd tak naprawdę się wybierasz? – Mój głos roznosi się echem po pustej ulicy.

– Właśnie ci powiedziałem. Wyszedłem grasować.

– Co, piechotą? – Podchodzę bliżej o kolejne sześć kroków. – Zamierzałeś spacerować?

– Zamierzałem biec środkiem jezdnj jak Terminator.

Mój śmiech przypomina huk wystrzału. Naruszam jedną z moich zasad, bo uśmiecham się teraz do niego szeroko i jakoś nie umiem przestać.

– Ty za to jesteś pieszo. Chodzisz na tych szrudłach. – Wskazuje gestem moje niebotyczne szpilki.

– Mam dzięki nim kilkanaście centymetrów więcej i mogę przeglądać twoje śmieci.

– Znalazłaś coś ciekawego? – Spacerowym krokiem podchodzi bliżej i zatrzymuje się, kiedy dzieli nas jakieś dziesięć kroków. Niemalże czuję zapach jego skóry.

– Zasadniczo to, czego się spodziewałam. Obierki od warzyw, fusy od kawy, pieluchomajtki.

Odrzuca głowę w tył i śmieje się do maleńkich gwiazd widocznych między chmurami. Jego zdumiewający, ożywczy śmiech jest nawet lepszy, niż go zapamiętałam. Każdy atom w moim ciele trzęsie się z pragnienia, by usłyszeć go jeszcze więcej. Przestrzeń między nami wibruje energią.

– Ty się potrafisz uśmiechać. – Tyle tylko potrafię powiedzieć.

Jego uśmiech jest wart tysiąca cudzych uśmiechów. Muszę go uwiecznić na fotografii. Muszę mieć coś, czego mogłabym się trzymać. Bardzo chcę, żeby cała ta dziwna planeta przestała się obracać, bo wtedy mogłabym zamrozić ten moment w czasie. Co za katastrofa.

– Cóż powiedzieć? Śmieszna dzisiaj jesteś. – Jego uśmiech blednie, a ja daję krok w tył. – Czyli wystarczyło podać ci swój adres, żeby cię tutaj znaleźć? Może należało ci go podać naszego pierwszego dnia.

– Co, żebyś mógł mnie rozjechać swoim samochodem?

Podchodzę ostrożnie trochę bliżej, aż wreszcie spotykamy się w plamie światła padającego z latarni. Patrzyłam już dziś na niego przez osiem godzin, ale poza kontekstem biurowym wygląda jakoś tak nieużywanie i obco.

Włosy ma lśniące i wilgotne, promienieją mu policzki. Jest ubrany w T-shirt w kolorze wyblakłego granatu, prawdopodobnie bardziej miękkiej niż pościel niemowlaka, i zimne powietrze musi go szczypać w gołe przedramiona. Stare dżinsy kochają jego ciało, a guzik w nich mruga do mnie jak rzymska moneta. Sznurówki w sneakersach są poluźnione, prawie się rozwiązały. Niesamowicie przyjemnie jest na niego patrzeć.

– Randka nie bardzo się udała – wysuwa przypuszczenie.

Trzeba mu to oddać, że nie uśmiechnął się drwiąco. Te granatowe oczy przyglądają mi się cierpliwie. Pozwala mi tam stać i próbować coś wymyślić. Jak ja mam się wykaraskać z tej sytuacji? Znowu zaczyna mnie dopadać poczucie zażenowania, teraz, kiedy żarty poszły na bok.

– Było OK. – Patrzę na zegarek.

– Ale nie wspaniale, skoro sterczysz pod moim domem. Czy raczej przysłaś tu przekazać dobre wieści?

– Och, zamknij się już. Chciałam... Nie wiem. Zobaczyć, gdzie mieszkasz. Jak mogłam się oprzeć? Wymyśliłam, że któregoś dnia mogłabym podrzucić zdechłą rybę do twojej skrzynki pocztowej. Ty widziałeś, gdzie ja mieszkam. To niesprawiedliwe.

Nie daje się wciągnąć na inny tor.

– Całowałaś się z nim, jak uzgodniliśmy?

Patrzę na światło latarni.

– Tak.

– I?

Podczas gdy ja jestem w rozterce, on bierze się pod boki i patrzy w głąb ulicy: najwyraźniej wychodzi z siebie. Wycieram usta wierzchem dłoni.

– Sama randka poszła nie najgorzej... – zaczynam, ale wtedy on podchodzi bliżej i ujmuje dłońmi moją brodę. Napięcie jest takie, że zdaje się trzaskać w powietrzu jak wyładowania atmosferyczne.

– Nie najgorzej. Nie najgorzej. I w ogóle świetnie i miło. Musisz mi powiedzieć coś więcej. Powiedz prawdę.

– Nie najgorzej to dokładnie to, czego mi trzeba. Potrzebuję czegoś normalnego i łatwego. – Widzę rozczarowanie w jego oczach.

– Wcale nie tego potrzebujesz. Uwierz mi.

Próbuję odwrócić twarz, ale on mi nie daje. Czuję, jak wodzi kciukiem po moim policzku. Chcę go odepchnąć, ale zamiast tego tak jakby przyciągam go bliżej siebie, trzymając w garści jego T-shirt.

– On ci nie wystarczy.

– Nie wiem, dlaczego w ogóle tu jestem.

– Ależ wiesz. – Przyciska usta do mojej kości policzkowej i wtedy stają na palcach, cała drżąc. – Masz mi powiedzieć prawdę. Chociaż raz nie bądź taką małą kłamczuchą.

Oczywiście ma rację. On ma zawsze rację.

– Nikt nie potrafi całować jak ty.

Otrzymuję właśnie ten rzadki przywilej, że widzę, jak jego oczy rozjaśnia coś innego niż irytacja czy gniew. Przysuwa się bliżej i nieruchomieje, szacując mnie spojrzeniem. Cokolwiek widzi w moich oczach, najwyraźniej go to uspokaja, bo obejmuje mnie ramionami i podnosi. Jego usta dotykają moich.

Oboje wydajemy z siebie bliźniacze westchnienia ulgi. Nie ma sensu kłamać w związku z tym, dlaczego tu jestem, na tym zalanym deszczem chodniku przed jego domem.

Na początku jest tylko wdychanie powietrza tego drugiego, aż w końcu nacisk naszych warg przemienia się w ślizg z otwartymi ustami. Wcześniej

zapytałam: „Jakie to ma znaczenie?”. Niestety dla mnie ten pocałunek ma znaczenie.

Mięśnie moich ramion zaczynają żałośnie drżeć na jego karku, a on wtedy ściska mnie mocniej i czuję, że mnie trzyma. Wplątam palce w jego włosy i szarpię te jedwabiste, grube pasma. Z jego ust wyrywa się jęk. Nasze usta toną pod naporem pocałunków. Ślizg, tarmoszenie, uskok.

Energia, która zazwyczaj szaleje w nas bezowocnie, teraz zostaje skanalizowana, tworząc między nami elektryczną pętlę, przelatującą najpierw przeze mnie, potem przez niego. Serce jarzy mi się w piersi jak żarówka, z każdym ruchem jego warg świecąca coraz mocniej.

Udaje mi się zaczerpnąć oddechu i nasz powolny, seksowny ślizg zostaje podzielony na serie urywanych pocałunków podobnych do delikatnych ugryzień. On bada grunt i jest w tym też nieśmiałość. Czuję się tak, jakby mi opowiadano jakąś tajemnicę.

W tym pocałunku jest delikatność, wręcz kruchość, jakiej bym się nigdy nie spodziewała. Taka sama jak wiedza, że pewnego dnia to wspomnienie zblednie. I to on stara się mnie zmusić, żebym zapamiętała. A to jest takie słodko-gorzkie, że aż mnie boli serce. I w chwili, gdy moje usta się rozchylają i próbuję wysunąć język, on kończy pocałunek grzeczną nutą.

Czy to był ostatni pocałunek?

– Mój sygnałny pocałunek podczas drugiej randki. – Czeka na odpowiedź, ale zapewne widzi po mojej twarzy, że nie jestem zdolna nic powiedzieć w ludzkim języku.

Nadal mnie trzyma w objęciach, w taki sposób, że jest mi wygodnie. Krzyżuję nogi w kostkach i patrzę na jego twarz, jakbym nigdy wcześniej nie widziała tego człowieka. Z tak bliska to jest wręcz przerażające, jak działa jego uroda, zwłaszcza że ma te pojaśnione oczy. Nasze nosy ocierają się o siebie. Czuję teraz, że iskrzy mi się w ustach, bo tak rozpaczliwie pragnę je znowu połączyć z jego ustami.

Wyobrażam go sobie na randce z kimś innym i od razu zalewa mnie zazdrość, z taką siłą, jakby walnęła mnie pięścią w brzuch.

– Tak, tak. Wygrałeś – mówię, kiedy już wraca mi oddech. – Jeszcze.

Pochyłam się do przodu, ale on nie rozumie aluzji. To, co przed chwilą zrobił, było wspaniałe, a jednak stanowiło tylko ułamek tego, do czego jest zdolny. Potrzebuję tej namiętności z windy.

Mija nas para w średnim wieku, trzymająca się za ręce; niszczą naszą małą bańkę izolującą nas od reszty świata. Kobieta ogląda się przez ramię, widać po tym, co ma w oczach, że się nami zachwyca. Najwyraźniej wyglądamy cholernie ślicznie.

– Mój samochód jest tam. – Zaczynam się wrywać i pokazuję ręką.

– Moje mieszkanie jest tam. – Wskazuje w górę i stawia mnie na ziemi, ostrożnie jak butelkę z mlekiem.

– Nie mogę.

– Malutki. Maluśki. Tchórz.

Rozszyfrował mnie, bez dwóch zdań. Powinnam więc teraz wyjechać z jakąś przerażającą, rozbijającą szczerością.

– Niech ci będzie. Przyznaję się. Boję się jak jasna cholera. Oboje wiemy, co się stanie, jeżeli wejdę na górę.

– Bądź łaskawa wyjaśnić.

– Stanie się Czy Coś. To, o czym wtedy mówiłam. Nie dojdziemy na rozmowy kwalifikacyjne w przyszłym tygodniu. Oboje na zawsze utkniemy w twoim łóżku, dwie kaleki w pościeli całej w strzępach.

Kąciki jego ust unoszą się, jak podejrzewam, do tego piekielnego uśmiechu, od którego eksploduje serce, więc odwracam się i sama sobie wskazuję, gdzie stoi mój samochód. Podnoszę jedną stopę i rzucam się do biegu.

1. Przeł. Józef Paszkowski [dostęp 19.05.2017]

<https://books.google.pl/books?isbn=8379912608> [wróć]

2. Mowa o słowach „Free at last, free at last” [w dosłownym tłumaczeniu „Nareszcie wolni, nareszcie wolni”], które Martin Luther King zawarł w swoim słynnym przemówieniu „I Have a Dream” [Mam marzenie] z 1963 roku. [wróć]

Rozdział 14

Nie, nigdzie nie pojedziesz – mówi mi. Wchodzi do hallu, trzymając mnie pod pachą jak gazetę zwiniętą w trąbkę. Jest tak bezczelny, że po drodze sprawdza swoją skrzynkę pocztową. – Wyluzuj. Chcę tylko, żebyś obejrzała moje mieszkanie, i będziemy kwita.

– Dotąd zawsze myślałam, że mieszkasz gdzieś pod ziemią, blisko jądra Ziemi – udaje mi się wyrzeźzić, kiedy naciska przycisk czwartego piętra. Patrzę na jego palce i nachodzą mnie obrazki z przeszłości. Patrzę na czerwony przycisk alarmu i na poręcz.

Próbuję dyskretnie go powąchać. Olewam dyskrecję, przyciskam nos do jego T-shirtu i robię dwa potężne machy, wypełniając nimi całe płuca. Bezwstydną narkomanka. On tego nie komentuje, nawet jeśli zauważył.

– Wujaszek szatan nie dysponował żadnymi mieszkaniami w zasięgu mojego portfela.

Winda jest duża, dlatego nie ma powodu, żeby mnie dalej tak trzymał pod pachą. Ale z kolei cztery piętra to nie-duży dystans, raczej nie ma sensu odrywać rąk od jego pasa. A on dotyka dłońmi moich włosów.

Powoli rozpościeram ręce, jedną kładę na jego plecach, drugą na brzuchu. Mięśnie, intensywne ciepło i tkanki. Przyciskam nos do jego żeber, znowu wdychając.

– Zboczona – mówi łagodnym głosem i teraz idziemy w głąb korytarza.

Otwiera zamek w drzwiach i potem ja waham się na progu mieszkania Joshui Templemana. Zdziera ze mnie płaszcz jak skórę od banana. I wiesza go obok drzwi.

– No to wejdz.

Nie jestem pewna, czego się spodziewać. Może jakiejś celi z szarego cementu, wypranej z osobowości, z ogromnym płaskoekranowym

telewizorem i drewnianym stołkiem. Lalki voodoo z czarnymi włosami i ustami pomalowanymi na czerwono. Truskawkowa Babeczka jako lalka z nożem wbitym w serce.

– Jest tu gdzieś tarcza do rzutek z moim zdjęciem? – Wsuwam głowę nieco głębiej.

– Wisi w drugim pokoju.

Wnętrze jest męskie i mroczne, ponętnie ciepłe, wszystkie ściany pomalowane są na czekoladowo i piaskowo. W powietrzu unosi się mocny aromat pomarańczy. Na środku sceny stoi wielka, miękka kanapa przed ulubionym rekwizytem każdego samca, czyli ogromnym, płaskoekranowym telewizorem, którego nawet nie wyłączył przed wyjściem. Bardzo się widocznie spieszył. Zdejmuję pantofle, natychmiast lekko się kurcząc. Joshua znika w kuchni, a ja zaglądam tam za nim zza węgła.

– Powiesz sobie trochę. Wiem, że dałabyś się pokrajać, żeby móc to zrobić.
– Zaczyna napełniać wodą lśniący, srebrny czajnik, a potem stawia go na kuchence.

Robię drżący wydech. Nie dam się omamić. Nikt zawczasu nie gotuje wody, no chyba że robili to w średniowieczu.

Oczywiście on ma rację. Dałabym się pokrajać, byle tylko móc się rozejrzeć. Dlatego właśnie tu przyszłam. Joshua, którego znam, już mi nie wystarcza. Wiedza to władza, a w tym momencie potrzebuję jej bezgranicznie. W moim gardle uwiązł pisk uniesienia. To jest o wiele lepsze niż tylko oglądanie chodnika pod jego domem.

Jedną ze ścian wypełnia w całości regał z książkami. Obok okna stoi fotel i jeszcze jedna lampa, oświetlająca stojący pod nim stos książek. Kolejne książki leżą na ławie. Czuję z tego powodu bezmierną ulgę. Co ja bym poczęła, gdyby się okazał urodziwym analfabetą?

Podobają mi się jego abażury. Wkraczam na jeden z wielkich kręgów światła barwy butelkowej zieleni na orientalnym dywanie. Przyglądam się uważnie wzorom: splątane gałązki bluszczu. Na ścianie w dużym pokoju wisi pejzaż w ramach przedstawiający zbocze góry, prawdopodobnie gdzieś we Włoszech, może w Toskanii. To nie reprodukcja, tylko oryginał; widzę

wypukłe plamki farby pozostawione przez pędzel, a złocona rama jest bardzo zdobna. Na tym zboczcu widać skupisko domów; kopuły i iglice kościołów, a w górze ciemniejące, fioletowoczarne niebo. Z kolei na tym niebie jak piegi ledwie widoczne srebrne gwiazdki.

Na ławie leży kilka czasopism o tematyce biznesowej. Kanapę zdobi piękna, fantazyjna poduszka wykonana z niezliczonych rzędów niebieskich wstążek. Jest taka... nie z tego świata. Ani trochę w minimalistycznym stylu. Jakby tutaj naprawdę mieszkał jakiś człowiek. Przeżywam wstrząs, bo dociera do mnie, że to mieszkanie jest o wiele ładniejsze od mojego. Zaglądam pod kanapę. Nic. Nawet kurzu.

Zauważam małego ptaszka origami zrobionego z kartki z notatnika, którym rzuciłam w niego podczas zebrania. Został ustawiony na skraju półki z książkami. A potem patrzę na profil Josha w kuchni; ustawia właśnie na blacie dwa kubki. Jakie to dziwne, wyobrażać go sobie, jak wsadza ten złożony przeze mnie kawałek papieru do kieszeni i przynosi go do domu.

Na półce niżej stoi oprawiona w ramki fotografia, na której są Josh i Patrick, a także jakaś kobieta i mężczyzna, prawdopodobnie ich rodzice. Ojciec jest zwalisty, przystojny i uśmiecha się nieco ponuro, za to matka tak promienieje, że to aż bije ze zdjęcia. Najwyraźniej pęka z dumy, że ma takich dwóch wyrośniętych, przystojnych synów.

– Podoba mi się twoja matka – mówię mu, kiedy podchodzi do mnie. A on patrzy na fotografię i zaciska usta. Widzę w tym aluzję i idę dalej.

Na dolnej półce ma mnóstwo podręczników medycznych, które wyglądają na dość przestarzałe. Widzę też figurkę przedstawiającą anatomię dłoni, złożoną z samych kości. Składam jej palce, aż wreszcie tylko ten środkowy jest uniesiony, i uśmiecham się drwiąco, że jestem taka sprytna.

– Po co ci to wszystko?

– To pamiątka po moim drugim życiu. – Znowu znika w kuchni.

Wyłączam dźwięk w telewizorze za pomocą pilota i zalewa nas cisza. Obchodząc go ukradkiem, wciskam się do kuchni. Wszystko lśni czystością, a zmywarka szumi. Ten pomarańczowy zapach to antybakteryjny spray do mycia blatów. Zauważam karteczkę z czerwonym odciskiem moich ust

naklejoną na lodówce i wskazuję na nią palcem.

Wzrusza ramionami.

– Włożyłaś w to tyle ciężkiej pracy. Jakoś szkoda było to marnować.

Stoję w świetle padającym z wnętrza jego lodówki i gapię się na wszystko. Widzę w środku istną tęczę barw. Łodygi. Liście. Pierzaste korzenie. Tofu i organiczny sos do makaronu.

– W mojej lodówce nie ma nic oprócz sera i dodatków.

– Wiem.

Zamykam lodówkę i opieram się o nią, czując, że przyczepione do niej magnesy wpijają się w moje plecy. Wystawiam twarz do pocałunku, ale on tylko kręci głową.

Nieco zdeprimowana zaglądam do szuflady ze sztućcami i gładzę rękaw kurtki wiszącej obok drzwi. W kieszeni znajduję rachunek ze stacji benzynowej. Czterdzieści sześć dolarów, zapłacono gotówką.

Wszystko jest schludne, wszystko jest na swoim miejscu. Nic dziwnego, że pobyt w moim mieszkaniu przyprawił go o stres.

– Moja chata przypomina slumsy w Kalkucie w porównaniu z twoją. Też by mi się przydał kosz do trzymania sprzętu na siłownię. A gdzie śmieci? Gdzie masz tę kupę rzeczy, które tam zważyłeś z zamiarem, że zajmiesz się nimi później?

– Potwierdziłaś moje najgorsze obawy. Jestem maniakiem porządku.

To ja jestem maniaczką w trakcie tych dwudziestu minut, podczas których zajmuję się oglądaniem niemalże wszystkiego, co on ma. Naruszam jego prywatność tak mocno, że aż czuję się lekko chora, a tymczasem on tylko tak sobie stoi i pozwala mi na to.

To trzypokojowe mieszkanie i teraz wsparta pod boki staje na środku pomieszczenia służącego za gabinet. Ogromny monitor komputerowy i ogromne hantle. Szafa wypełniona ciężką odzieżą sportową i śpiworem. Kolejne książki. Zaglądam pożądliwie do szafki na dokumenty. Gdyby go tutaj nie było, przeczytałabym jego rachunki za prąd.

– Skończyłaś tam?

Patrzę na swoją dłoń. Trzymam stary samochodzik firmy Matchbox, który

znalazłam w jednej z wąskich szuflad biurka. Ściskam go w dłoniach jak stary złodziej kieszonkowy, któremu ze szczętem odbiło.

– Jeszcze nie. – Jestem tak przerażona, że ledwie potrafię to wymówić.

Joshua pokazuje drogę i podchodzi do ciemnego wejścia do ostatniego pomieszczenia, w którym jeszcze nie byłam. Naciska pstryczek blisko mojego ucha i z ust wyrywa mi się zduszony okrzyk zachwytu.

Pokój jest pomalowany na ten sam odcień niebieskiego, jaki ma moja ulubiona z jego koszul. Turkusowy. Błady turkus wymieszany z mlekiem. Czuję, że w mojej piersi rodzi się coś dziwnego, jakby poczucie potężnego *déjà vu*. Jakbym już tu kiedyś była i miała jeszcze być w przyszłości. Przytrzymuję się framugi.

– To twój ulubiony kolor?

– Tak. – Słyszę w jego głosie napięcie. Może kiedyś ktoś się z niego naśmiewał.

– Ubóstwiam go. – Mówię to z wielką czcią.

Jakie to wszystko Joshowate, przychodzi mi teraz na myśl, gdy oglądam taki niespodziewany wykwit jaskrawości pośród tych gorzkich czekolad i mdłych brązów. Naprawdę niczego takiego się nie spodziewałam. Jaki piękny niebieski kolor. Ciemnobrązowy zagłówek, obity grubą skórą, ratuje to wnętrze przed kobiecym sznytem. Josh stoi za mną, tak blisko, że mogłabym się w niego wtulić, ale opieram się pokusie. Mój mózg jest jakby zamglony: to pod wpływem jego zapachu. Łóżko jest zasłane, a pościel biała i chyba uważam ten szczegół za seksowny. Łazienka jest wysprzątana na wysoki połysk. Czerwone ręczniki i czerwona szczoteczka do zębów. Wygląda jak wnętrze z katalogu Ikei.

– W życiu bym nie powiedziała, że masz paprotkę. Ja kiedyś miałam jedną, ale zbrązowiała i rozpadła mi się w palcach.

Idę z powrotem do łóżka Joshui Templemana. Dotykam palcem skraju jego poduszki.

– OK, teraz to już przekroczyłaś granice dziwactwa.

Próbuję potrząsnąć zagłówkiem, ale jest jak z kamienia.

– Przestań już. Usiądź na kanapie. Zrobiłem ci herbatę.

Przemykam bokiem jak krab do jego dużego pokoju.

– Jak mogłeś tak stać i patrzeć, jak węszyć?

Biorę fantazyjną poduszkę i wpycham ją sobie pod plecy. On wręcza mi kubek, który potem trzymam jak pistolet.

– Ja węszyłem w twoim mieszkaniu. Teraz twoja kolej.

Jestem wytrącona z równowagi, ale staram się zamaskować to żartem.

– Znalazłeś wszystkie swoje zdjęcia, na których masz wydrapane oczy?

– Nie, nie znalazłem twojego albumu ze zdjęciami. Ale wiem, że masz dwadzieścia sześć figurek Papy Smerfa i że nie układasz pościeli jak należy.

Siedzi na drugim krańcu kanapy, z głową lekko przekrzywioną, w wygodnej pozie. Często rozwala się w biurze na swoim krześle, ale nigdy nie widziałam, by jego ciało tak się rozciągało i rozluźniało. Nie mogę przestać się na niego gapić.

– Ciężko jest z pościelą. Mam za krótkie ręce.

Wzdycha i kręci głową.

– Tym się nie wymówisz.

– Zaglądałeś do mojej szuflady z bielizną?

– Oczywiście, że nie. Musiałem sobie coś zostawić na następny raz.

– A mogę teraz zajrzeć do twojej? – Zaczynam tracić rozum. Pozostawiłam zdrowie psychiczne za progiem jego mieszkania. Upijam łyk herbaty. Smakuje jak nektar.

– Słuchaj, Babeczko. Teraz to zrobimy coś odrobinę niezwykłego.

Włącza fonię w telewizorze, upija łyk ze swojego kubka i zabiera się do oglądania powtórki któregoś z odcinków *Ostrego dyżuru*, jakbyśmy to robili co wieczór. Siedzę z bijącym sercem i próbuję się skupić. Hej, też mi coś. Siedzę na kanapie Joshui Templemana.

Przekrzywiam głowę i razem z nim oglądam cały odcinek, obserwując pełne napięcia sceny w sali operacyjnej i konflikty szpitalne odbite w jego oczach.

– Czy ja ci przeszkadzam?

– Nie – odpowiada z roztargnieniem. – Przywykłem.

Nie jesteśmy normalni. Mijają minuty, on popija kawę, a ja nie przestaję

się gapić. Widzę cień zarostu, którego w pracy nie zauważyłam. W piersi mnie ściska ze strachu. Moje ciało i mózg są nastawione na walkę za każdym razem, kiedy znajduję się w jego bezpośrednim zasięgu. Wystarczy, że tylko nieznacznie obraca głowę w moją stronę, a zaraz gwałtownie się cofam. Po czym on układa dłoń na kanapie, między nami, wierzchem do góry i znowu patrzy na ekran.

To tak wygląda, jakby wystawił naczynie z ziarnem i teraz siedział bardzo spokojnie, czekając, aż tchórzliwy kurczak wykona jakiś ruch. I rzeczywiście, trochę mi to zabiera czasu. Na próbę ujmuję jego dłoń i splatam palce z jego palcami. Przez jedną straszną chwilę nie reaguje, ale potem ciepło jego dłoni zaczyna się rozchodzić po mojej i wtedy obdarza mnie mocnym, rozkosznym uściskiem. Kładzie nasze złączone dłonie, bierze drugą ręką kubek i kiwa głową w stronę ekranu.

– Oglądam seriale medyczne, żeby dowalić ojcu. Doprowadzają go do szpitala. W ich domu nie mogłabyś tego oglądać.

– Dlaczego? Są niezgodne z prawdą? – Nareszcie mogę skupić uwagę na czymś innym, a nie tylko tym dziwnym rozwoju wydarzeń z udziałem naszych dłoni.

– Oczywiście. To kompletna fikcja.

– Ja wolę *Prawo i porządek*. Uwielbiam, jak pracownik restauracji znajduje trupa w kuble na śmieci.

– Albo ktoś, kto spaceruje z psem po Central Parku. – Macha kubkiem w stronę ekranu. – Ten tak zwany lekarz nawet nie włożył rękawiczek. – Krzywi się, jakby go to śmiertelnie obrażało.

Sztuka trzymania się za ręce jest niedoceniana i bardzo mi wstyd, że ten jakże prosty akt zapiera mi dech. Tym bardziej że on teraz gładzi moje dłonie opuszkami palców, wodząc nimi do nadgarstka i z powrotem.

Duzi mężczyźni zawsze mnie onieśmielali. Kiedy sporządzam w myślach listę moich dawnych chłopaków, okazuje się, że wszyscy byli zdecydowanie po dżokejskiej stronie skali. Łatwiejsi w obejściu. Lepiej dopasowani. Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z równie zdumiewającym przykładem męskiej architektury jak ten, obok którego teraz siedzę.

Zaokrąglone bryły mięśni jego ramion balansują na gładko sklepionych bicepsach. Łokieć i stawy nadgarstka przypominają artykuły ze sklepu z towarami żelaznymi. Jakie to uczucie leżeć pod tak wielkim mężczyzną? Pewnie odbiera mowę.

Josh nadal ogląda *Ostry dyżur*, a po chwili ziewa, ani trochę nie podejrzewając, że staram się oszacować, jak duża jest ta jego klatka piersiowa wielkiego drapieżnika.

Niewykluczone, że tarcia w pracy były wywołane właśnie tymi naszymi nierównościami pod względem rozmiarów. Zawsze starałam się robić z siebie silniejszą, niż jestem, w ten jedyny sposób, jaki znam, to znaczy aktywizując umysł i usta. A teraz myślę, że za jego sprawą zmieniłam podejście. Zdaje się, że teraz interesują mnie przede wszystkim mięśnie. Zaczęłam oddychać trochę ciężiej i Josh patrzy na mnie.

– Skąd to dziwne spojrzenie? Wyluzuj się.

– Rozmyślałam właśnie, jaki ty jesteś duży.

Patrzę na nasze złączone dłonie. On gładzi kciukiem obrys mojej. Kiedy znowu na siebie patrzymy, widzę, że jego oczy zrobiły się ciemniejsze.

– Nie bój się, dopasuję się do ciebie jak należy.

Czuję, że dostaję wszędzie gęsiej skórki. Zaciskam uda i z ust wyrywa mi się końskie rżenie. No tak, seksowna ze mnie bestia. Nie potrafię się oprzeć; oglądam się przez ramię na jego sypialnię. Jest tak blisko, że prawdopodobnie wystarczyłoby zrobić pięć długich kroków i dać się pchnąć na jego materac. Trzydzieści sekund i poczułabym jego język na swojej skórze.

– No to pokaż, czy rzeczywiście do mnie pasujesz.

– Pokażę.

Nasze dłonie zrobiły się śliskie. Czuję, że mój kark, ukryty pod włosami, jest gorący. Potrzebuję jeszcze jednego pocałunku. Koniecznie. Tym razem będę oplatała językiem jego język. Aż w końcu zacznie jęczeć. I przyciśnie do mnie coś twardego. A potem zabierze mnie do sypialni i zacznie się rozbierać...

Pojawiają się końcowe napisy rekordowo długiego odcinka *Ostrego*

dyżuru. Chyba najdłuższego w całej historii ludzkości. Boję się, że moje serce za chwilę pęknie jak balon.

Tymczasem on złowróżbnie wycisza telewizor i obraca głowę: kończy się to tak, że znowu podejmujemy Grę w Spojrzenia. Przyglądam się, jak czernieją mu oczy, dławiąc się domysłami odnośnie do tego, co zaraz się stanie. Czuję też pulsowanie we wszystkich wrażliwych częściach mojego ciała. Między nogami robi mi się ciężko i ciepło. Patrzę na jego usta. On patrzy na moje. A potem patrzy na nasze złączone dłonie.

– I co teraz?

Spogląda na mnie z ukosa. Następne słowa padają z jego ust niczym trzaśnięcie biczem:

– Rozbieraj się!

Wzdrygam się, a on śmieje się pod nosem i wyłącza telewizor.

– Żartowałem. No chodź, odprowadzę cię do samochodu.

Od tych jego uśmiechów jestem na coraz większym haju. Coraz bardziej niebezpiecznym. Już trzecim? Wpycham te uśmiechy do kieszeni. Wciskam je do ust.

– Ale... – Mój głos brzmi błagalnie. – Myślałam...

A on na to ściąga brwi, udając, że nic nie rozumie.

– Myślałam, no wiesz...

– Raczej nie jest mi przyjemnie, że ktoś mnie pragnie tylko ze względu na warunki fizyczne. Że tak od razu, bez żadnej randki. – Znowu patrzy na nasze złączone ręce.

– Z tego, co widzę, masz bajeczny układ kostny. Z jakich jeszcze powodów miałabym cię pragnąć? – Zaczynam chwytać i ścisnąć kolejne stawy jego rąk. Chyba jest to najgorszy z wszystkich możliwych zabiegów, żeby kogoś uwieść, ale najwyraźniej jemu to nie przeszkadza. Jego łokieć jest tak wielki, że nie mieści się w mojej dłoni. Moja sukienka pomocnie zsuwa się odrobinę z ramienia, kiedy tak go obłapuję, i jego spojrzenie wędruje teraz do lepiej wyeksponowanego rowka między piersiami.

Kiedy znowu nawiązujemy kontakt wzrokowy, dociera do mnie, że powiedziałam nie to, co trzeba.

On prędko to zamaskowuje krzywą miną.

– Dzisiaj nie będziemy tego robić.

Niemal od razu wracam do rzeczywistości, ale kiedy widzę, że on przymyka powieki i bierze głęboki wdech, łapię się na tym, jak strasznie nie chcę, żeby ten wieczór się już skończył.

– Jeżeli zapytam cię o coś, odpowiesz mi?

– A ty mi odpowiesz, jeśli cię o coś zapytam? – Odzyskuje panowanie nad sobą, podobnie jak ja.

– Jasne. – Wszystko, co robimy, jest klasycznym pięknym za nadobne.

– OK. – Otwiera oczy i przez chwilę nie przychodzi mi do głowy żadne pytanie, które przy okazji nie zdradzałoby zbyt wiele na mój temat.

„Co tak naprawdę o mnie myślisz? Czy to wszystko to jakiś skomplikowany, podstępny plan, żeby mi dokopać? Jak mocno oberwę?”

– Zróbmy z tego grę, tak jak ze wszystkim, co robimy. – Staram się mówić lekkim tonem. – Tak będzie łatwiej. Prawda czy wyzwanie.

– Prawda. Bo dałabyś się pokrajać, bylebym powiedział „wyzwanie”.

– Co ty za szyfry wpisujesz ołówkiem do swojego terminarza? To notatki dla HR?

Robi krzywą minę.

– Jakie tu wyzwanie?

Jego zapach otacza mnie aromatyczną mgłą. Mięciutka, ciepła kanapa robi wszystko, żebym powolutku przysuwała się coraz bliżej do jego kolan.

– Rzeczywiście musisz pytać?

Wstaje i mnie też stawia na nogi. Moje dłonie wczepiają się same w pasek jego dżinsów i teraz nie czuję nic, tylko twarde, męskie ciało pod stawami dłoni. Prawie zaczynam się ślinić.

– Nie możemy zaczynać tego już dzisiaj. – Odrywa moje palce od swoich dżinsów.

– Dlaczego nie? – Coś mi się zdaje, że zachowuję się jak żebraczka.

– Będę potrzebował trochę więcej czasu.

– Jest dopiero wpół do jedenastej. – Idę za nim do drzwi wyjściowych.

– Sama powiedziałaś, że zrobimy to tylko raz. Będę potrzebował dużo

czasu.

Czuję przelotne szczypanie między nogami.

– To znaczy ile?

– Dużo. Wiele dni. Może nawet jeszcze więcej.

Z całej siły zwieram kolana. A wokół jego oczu pojawiają się zmarszczki.

– Zadzwonimy jutro, że jesteśmy chorzy. – Jestem niezmordowana w tej swojej misji, której celem jest zdarcie z niego ubrania.

Patrzy w odpowiedzi na sufit i przełyka ślinę.

– Miałbym stracić swoją jedyną wielką szansę w zwyczajny poniedziałkowy wieczór?

– Niczego byś nie stracił.

– Jak mam to wyjaśnić? Kiedy byliśmy mali, Patrick zawsze zjadał swoje wielkanocne jajko od razu. Ja potrafiłem doczekać ze swoim aż do urodzin.

– Kiedy masz urodziny?

– Dwudziestego czerwca.

– Spod jakiego jesteś znaku? Rak?

– Bliźnięta.

– I dlaczego nie chciałeś pożreć swojego od razu? – No bomba, z pewnością potrafię wszystko spłycić.

Odgarnia pasmo włosów z mojego ramienia.

– Bo tym doprowadzałem Patricka do wścieklizny. Wchodził do mojego pokoju i patrzył obsesyjnie na moje jajko. Pytał codziennie, czy już je zjadłem. Ono go doprowadzało do szaleństwa. Rodziców też doprowadzało do szaleństwa. Nawet oni mnie błagali, żebym je zjadł. Kiedy to wreszcie robiłem, smakowało lepiej, bo wiedziałem, że ktoś inny też bardzo chciał je zjeść.

Zsuwa ramiączko mojej czerwonej sukienki o centymetr w prawo i patrzy na skórę w tym miejscu, a potem pochyla się i wdycha mój zapach. Czuję mrowienie od jego oddechu i również głębokie ukłucie empatii na myśl o tych niebiańskich torturach, jakich doznawały jego wielkanocne jajka.

– To jakaś perwersja: podniecać się opowieścią z dzieciństwa o dwóch braciach, prawda?

A on przyciska usta do mojego ramienia i śmieje się. Ten śmiech powoduje wibracje w całym moim ciele. Oglądam się na jego piękną sypialnię, taką jasną, bo wciąż palą się w niej światła. Niebiesko-biała, jak jakieś śliczne pudełko od Tiffany'ego. Prezent przewiązany kokardką. Pokój, w którym chciałabym spędzić wiele dni. Pokój, z którego pewnie nie chciałabym nigdy wychodzić.

– Zjadałeś je kawałek po kawałku czy też chwyciłeś je któregoś dnia i pożerałeś od razu?

– Myślę, że się dowiesz. W końcu.

Bierze swoje klucze i czeka, pobrzękując nimi, gdy tymczasem ja wkładam płaszcz. Nie dotykamy się w windzie. Prowadzi mnie do samochodu, nic nie mówiąc po drodze.

– To cześć. Dzięki za herbatę. – Dopadło mnie już zawstydzenie. Zachowałam się tego wieczoru jak totalna świruska. Dlaczego potrafię być normalna przy facecie typu Danny'ego, a przy Joshu dostaję na głowę? Trzymam w ręku coś ostrego. O kurczę, zaciskam w niej samochodzik Matchboxa.

– Jestem wariatką. – Ukrywam twarz w dłoniach i czuję, jak maleńkie kółeczka przetaczają się po moim policzku.

– Owszem. – Słyszę, że jest lekko rozbawiony.

– Przepraszam.

– Zatrzymaj go, to prezent.

Pierwsza rzecz, jaką mi do tej pory dał, oprócz róż. Czuję się tak zaszczyczona, że aż brak mi słów, i przyglądam się samochodzikowi jakby od nowa. Od spodu wydrapane są inicjały JT.

– To skarb z dzieciństwa? Wygląda wiekowo. – Myślę, że nie oddałabym go już, nawet gdyby zmienił zdanie.

– Może to zaczątek twojej nowej kolekcji. Zdaje się, że dokonaliśmy razem wiekopomnego dzieła: doszło między nami do zawieszenia broni. Które trwało tyle czasu co odcinek serialu telewizyjnego.

– Na pewno jesteś dobry w trzymaniu się za rękę.

– Prawdopodobnie nie jestem dobry w wielu rzeczach, ale będę się starał –

mówi mi.

Powiedział najdziwniejszą z możliwych rzeczy i czuję, że w dzielącym nas murze powstała właśnie nowa rysa.

– No to dzięki. Zobaczymy się jutro.

– Nie, nie zobaczymy się. Mam wolne.

A przecież on jeszcze nigdy, przenigdy nie wziął dnia wolnego.

– Robisz coś specjalnego? – Spoglądam w górę na jego dom i zniecka zalewa mnie fala poczucia samotności.

– Jestem umówiony.

Dokładnie w chwili, kiedy mi się zdaje, że panuję nad kalejdoskopem dziwacznych uczuć, ten kalejdoskop się wykrzywia i zaskakuje mnie coś nowego. Tak się czuję, jakby mi powiedziano, że święta Bożego Narodzenia zostały odwołane. Nie będzie Josha? Nie będzie siedział naprzeciwko mnie jak zawsze? Muszę zagryźć wargę, żeby po raz kolejny nie palnąć czegoś głupiego.

„Proszę”, błagam siebie w duchu. „Proszę, znieawidź go znowu. To jest zbyt trudne”.

– Nie będziesz chyba za mną tęskniła, prawda? Przeżyjesz jakoś taki króciuteńki wtoreczek beze mnie. – Dotyka samochodzika w moim ręku i lekko trąca jego kółka.

Staram się zachowywać nonszalancko, ale on prawdopodobnie wie, co jest grane.

– Tęsknić za tobą? Będę tęskniła za twoim urodziwym obliczem, ale nic ponadto.

Mam nadzieję, że to się chociaż trochę otarło o lekką ironię. Wciskam swoje rozedrgane ciało do samochodu. A on stuka w szybę, pokazując, że mam niedomknięte drzwi. Dopiero po kilku próbach udaje mi się wsadzić kluczyki do stacyjki.

Josh stoi bez ruchu w moim wstecznym lusterku, aż w końcu staje się plamką, jednym człowiekiem wśród miliardów innych ludzi, ale nie potrafię oderwać od niego oczu, dopóki mi zupełnie nie znika.

Po powrocie do domu odkrywam, że cały ten czas zaciskałam w dłoni

samochodzik.

Rozdział 15

Siedzę przy swoim biurku, powieki mam suche i napięte, wpatruję się w puste krzesło Josha. W pokoju jest chłodno. Cicho. Bezpieczna przystań profesjonality. Dowolny z więźniów przegród na niższych piętrach zabiłby dla takiego spokoju.

Josh powinien dziś siedzieć naprzeciwko mnie, w koszuli koloru złamanej bieli. W prążek. Powinien wziąć do ręki kalkulator, postukać w niego, zmarszczyć czoło, znowu postukać.

Gdyby tu był, popatrzyłby teraz na mnie, nasze spojrzenia by się spotkały i wtedy w moim wnętrzu zajaśniałaby żarówka zasilana moją własną energią. Opatrzyłabym tę energię mianem irytacji albo niechęci. A potem jeszcze dojrzałabym iskierkę czegoś innego i też bym ją jakoś nazwała. Być może niewłaściwie.

Patrzę na zegar. Przeczekuję krótką nieskończoność i widzę, że minęła minuta. Żeby jakoś się rozerwać, suwam tam i z powrotem moim nowym samochodzikiem po podkładce pod mysz, a potem wyjmuję spod spodu karteczkę z kwiaciarni.

„Jesteś zawsze piękna”.

Przyglądam się swoim odbiciom w ścianach otaczającego mnie idiotycznego pryzmatu ze szkła. Patrzę na ścianę, na sufit, analizując swój wygląd z różnych ujęć. Już się nie nasycę tymi trzema słowami. Stworzył potwora.

Obracam karteczkę i zauważam, że po drugiej stronie jest adres. Wpadam na znakomity pomysł i wybucham głośnym rechotem. Łapię torebkę i idę na róg, do tejże samej kwiaciarni. Śpiesznie, bo za chwilę mogę stracić odwagę, zamawiam bukiet róż, który ma być mu dostarczony razem z liścikiem. Ledwie wiem, co zaraz napiszę, ale moja ręka robi to za mnie:

„Pragnę Cię nie tylko dla Twojego ciała. Pragnę Cię za Twoje samochodziki.

Babeczka”

Natychmiast nachodzą mnie wątpliwości, ale jest już za późno: kwiaciarka zdążyła wziąć liścik i zaniósła go razem z bukietem do pomieszczenia na tyłach.

Te kwiaty to tylko żart. I nic więcej. On zrobił to samo dla mnie, a przecież oboje nienawidzimy niewyrównanych rachunków. Chowam kartę kredytową do torebki i wyobrażam go sobie, jak otwiera drzwi. I jaki ma wyraz twarzy na widok kwiatów. Naprawdę pakuję się w coś, w co nie powinnam się pakować.

Wracając, kupuję kawę na wynos i pukam delikatnie do drzwi Helene.

– Cześć. Przeszkadzam?

– O dzięki ci, Boże! – wykrzykuje, zrywając z nosa okulary tak zamasyście, że wylatują jej z rąk na podłogę. – Kawa. Jesteś święta. Święta Lucy od Kofeiny.

– To jeszcze nie wszystko. – Wyjmuję spod pachy płaskie pudełko wypełnione luksusowymi makaronikami opatrzonymi nalepką „Made in France”. Trzymałam je od jakiegoś czasu w szufladzie biurka na nagły wypadek. Jestem strasznym lizodupem.

– Powiedziałam święta? Chciałam powiedzieć „bogini”. – Sięga do szafki za swoimi plecami i wyjmuje talerzyk z cienkiej porcelany, malowany ręcznie w kwietny wzór, ze złotym brzeżkiem. Oczywiście.

– Tak tu dzisiaj spokojnie. Cicho jak makiem zasiał. Dziwnie się człowiek czuje, jak nikt go nie piorunuje wzrokiem.

– Przyzwyczajaj się. On się dużo na ciebie gapi, prawda, kotuś? Zauważyłam to podczas ostatnich kilku zebrań. Ale trzeba przyznać, że te jego granatowe oczy są cudowne. Jak tam przygotowania przed rozmową kwalifikacyjną?

Otwiera pudełko z makaronikami srebrnym nożem do listów, a ja jestem wdzięczna, że choć na chwilę coś odciągnęło jej uwagę. Delikatnie wytrząsa zawartość pudełka na talerzyk i każda z nas wybiera sobie makaronik. Ja

biorę waniliowy barwy złamanej bieli, jak ta nieobecna dzisiaj koszula, ponieważ przeżywam dramat.

– Jestem przygotowana jak nigdy.

– Nie będę członkiem komisji, więc możemy teraz trochę razem poćwiczyć. Jak ci idzie z prezentacją?

– Z wielką ochotą ci pokażę, co już opracowałam.

– Bexley wygłasza najrozmaitsze komentarze. Nie mam pojęcia, co zrobię, Lucy, jeśli z jakiegoś powodu nie dostaniesz tego stanowiska... – Ze spochmurniałą twarzą wygląda za okno. Przygląda włosy dłonią, dzięki czemu znowu osiągają wygląd idealnej, lśniącej czapeczki. Strasznie bym chciała, żeby moje włosy też były takie posłuszne.

– Może się tak skończyć, że Josh podbierze mi tę pracę. I to bez trudu, bo ma łeb do pieniędzy. A ja do książek.

– Hmm. Niekoniecznie się zgadzam. Ale jakby co, to można by skrzyżować was z sobą i stworzyć następne pokolenie doskonałych pracowników B&G. Tak à propos: dotąd zawsze nazywałaś go „Joshua”, nie słyszałam, żebyś nazywała go „Josh”.

Udaję, że nie mogę mówić, bo mam pełne usta. Przeżuwam, wskazuję usta, kręcę głową i kupuję sobie dwadzieścia sekund. Modlę się, żeby zadzwonił telefon.

– Och, no wiesz. No bo... on tak ma na imię. Joshua. Eee... to znaczy Josh Templeman. Joshua T.

Helene nadgryza swój makaronik, przyglądając się z żywym zainteresowaniem mojej twarzy.

– Jesteś dzisiaj jakoś niesamowicie zaróżowiona, kotuś.

– Nie, wcale nie. – Ona mnie rozszyfrowała. Skutki zabaw z Joshem zaczynają wracać do mnie jak bumerang.

– Jesteś jakaś zagubiona, wręcz jakby wygłupiona. Wszystko pewnie przez te randki.

– Prawda, mam mętlik w głowie. Danny jest miły. Naprawdę.

– Jak byłam młoda, żaden z moich ulubionych chłopaków nie był szczególnie miły.

Słysząc trzask drzwi gabinetu pana Bexleya. Jestem bezgranicznie wdzięczna Małemu Tłustemu Rysiowi za tę interwencję.

– Wejdz! – warczy Helene.

Pan Bexley wparowuje do środka, po czym staje jak wryty, kiedy widzi mnie i pudełko z makaronikami na biurku.

– Czego chcesz?

– Nieważne. – Nie zamierza jednak wyjść, tylko tak sterczy ze wzrokiem wbitym w blat jej biurka, aż wreszcie Helene wzdycha potężnie i podsuwa talerzyk w jego stronę. Bierze sobie dwa makaroniki, wyraźnie się wahając przy trzecim. Przysięgłabym, że widzę nieznacznym ślad rozbawienia w jej oczach, kiedy pan Bexley wychodzi i bez słowa zamyka za sobą drzwi.

– Boże, czy ten człowiek wyczuł zapach cukru? Pczęstowałam go tylko z tego powodu, żeby zastymulować cukrzycę.

– A czego chciał?

– Jest samotny, jak nie ma Josha. No niestety, będzie musiał się do tego przyzwyczaić.

– To kiedy przećwiczymy prezentację?

– Najlepiej teraz. Oczaruj mnie, kotuś.

Po wygłoszeniu słowa wstępnego widzę, że ją zainteresowałam.

– Tematem mojej prezentacji jest projekt przetworzenia wszystkich naszych starszych publikacji na format cyfrowy. Dla przykładu opracowałam listę stu najlepiej sprzedających się pozycji wydawnictwa Gamin oraz wydawnictwa Bexley w roku 1995. W formacie cyfrowym są dostępne w zaledwie pięćdziesięciu pięciu procentach.

– iPady to przelotna moda – wtrąca pan Bexley, który wsadza głowę przez drzwi łączące oba gabinety. Mówi i żuje jednocześnie. – Kto chciałby czytać z szyby?

– Fakt jest taki, że największy i stale się rozrastający rynek zbytu czytelników tworzą odbiorcy, którzy ukończyli trzydzieści lat – tłumaczę, starając się zachować spokój. Od jak dawna on tam stał? Jakim sposobem otworzył drzwi tak cicho? Skupiam się na Helene i staram się go ignorować.

– To wielka szansa dla nas wszystkich. To szansa na odnowienie umów

z autorami dzieł, których nakłady się wyczerpały. To w ramach firmy szansa rozwoju dla ludzi, którzy potrafią przetworzyć dane dzieło na e-book, szansa dla grafików, a przede wszystkim ruch w stronę ponownego wciągnięcia starszych publikacji wydawnictw Bexley i Gamin na listy bestsellerów. Rynek wydawniczy nieustannie ewoluuje i musimy dotrzymywać kroku zmianom.

– Proszę cię, wyjdź – rzuca Helene przez ramię w stronę pana Bexleya.

Drzwi się zamykają, ale przysięgłabym, że widzę w szparze pod nimi cienie jego stóp.

Panika, która rośnie we mnie od jakiejś chwili, nabiera teraz skrzydeł. Jeżeli on zdradzi Joshowi, jaka jest moja strategia, to Josh mnie udupi. Klikam na kolejne slajdy.

– Jeżeli uda mi się zdobyć to stanowisko, będę dążyła do utworzenia formalnego projektu przetworzenia dawniejszych publikacji na e-booki. Sporządziłam już wstępny plan budżetowy, który przedstawię na kolejnych slajdach. Te nowe, elektroniczne wersje będą musiały mieć też całkiem nową, współczesną oprawę graficzną, dlatego należy się liczyć z kosztami zatrudnienia trzech grafików do zaprojektowania nowych okładek na czas projektu, który szacuję na dwa lata.

Klikam dalej, prezentując kolejne szczegóły na slajdach. Helene zadaje mi pytania w paru miejscach, a ja jestem w stanie na nie odpowiadać i uzasadniać wszystko bez trudu. W końcu docieram do ostatniego slajdu. Helene patrzy się na ekran tak długo, że sprawdzam w końcu, czy w ogóle mruga.

– Bardzo, bardzo ładnie, kotuś.

Klękam obok jej fotela. Do oczu nachodzą jej łzy, więc bierze chusteczkę z mojej ręki, wzdychając, jakby chciała podkreślić, że jest jej głupio.

– Byłam egoistką, że cię trzymałam przy sobie – mówi cicho. – Ja po prostu... Ja sobie nie radzę bez ciebie. Ale teraz widzę, jak bardzo się myliłam. Po fuzji należało cię przenieść do działu redakcji. Skądinąd wiem, że byłaś też przygnębiona po utracie przyjaciółki.

Nie jestem w stanie nic powiedzieć. Nie wiem, co powiedzieć.

– Ale za każdym razem, kiedy zaczynałam myśleć o zatrudnieniu kogoś na twoje miejsce, stwierdzałam, że ty jesteś znakomita na tym stanowisku, że zasadniczo to dzięki tobie wszystko tutaj działa, a ja zachowuję zdrowie psychiczne. I potem uznawałam, że jeszcze jeden miesiąc więcej ci przecież nie zaszkodzi.

– Ja tylko wykonuję swoją pracę – mówię, ale ona kręci głową.

– Tylko jeden miesiąc. I potem znowu tylko jeden miesiąc. I wyrządzałam ci krzywdę, Lucy. Miałaś ambicje, chciałaś różnych rzeczy, wpadałaś na różne pomysły, a ja za nic nie chciałam cię puścić.

– Czyli moja prezentacja ci się spodobała?

Helene śmieje się i wyciera oczy.

– Dostaniesz ten awans. I dzięki temu wydawnictwa Bexley i Gamin znowu wejdą do gry. Razem. A ja będę chciała cię wspierać, współpracować z tobą jak z równą sobie. Prawdopodobnie to, że zostałam twoją mentorką, było jedną z najlepszych rzeczy w mojej karierze. – Patrzy na ostatni slajd i milknie na chwilę. – Muszę jednak coś wiedzieć. Jeżeli nie było innych rozmów kwalifikacyjnych, żadnego szukania nowej pracy, to dlaczego przez całą wieczność dusiłaś w sobie ten pomysł? Dlaczego trzymałaś go dla siebie?

Przysiadam na piętach i patrzę na swoje dłonie.

– Dobre pytanie.

Ile jeszcze rzeczy ten awans we mnie odblokował?

– Myślałam, że wiesz, jak ważne są twoje pomysły. – Jest teraz naprawdę przygnębiona.

– Myślę, że chyba czekałam na właściwy moment. Albo brakowało mi pewności siebie. A teraz już jestem zmuszona z tym wystąpić. I jest w tym chyba coś dobrego. Nawet jeśli nie dostanę tego stanowiska, to jednak cała ta sprawa mnie... obudziła.

Myślę o ubiegłym wieczorze, o tym, jak całowałam się z Joshem pod latarnią, nagle to do mnie dociera.

– A co będzie, jeżeli pan Bexley powie Joshowi o mojej prezentacji?

– Pozwól, że ja się tym zajmę. Jeżeli wyłowią go martwego z jakiejś rzeki,

to będziesz wiedziała, że masz trzymać usta na kłódkę i dostarczyć mi alibi. Skup się na tym, co będzie w przyszłym tygodniu. Mam tu pewną sugestię.

– To wspaniale. – Zabieram swoje USB i siadam znowu naprzeciwko niej.
– Wal.

– Ta twoja prezentacja ma kilka luk. Może przygotowałabyś zawczasu jakiegoś e-booka? Weź coś wydanego dawno temu, przerób to na wersję elektroniczną i podsumuj, ile przy tym było pracy w przeliczeniu na koszty wynagrodzenia. To znaczy jaki byłby realny koszt wytworzenia takiego e-booka. Będiesz dzięki temu miała dowód, że twoje wyliczenia są właściwe.

– Tak, dobry pomysł. – Upijam łyk swojej letniej już kawy.

– Uważasz, że Josh jest mocny w liczeniu, tak? No to masz szansę dowieść, że potrafisz stworzyć podstawowy budżet dla tego projektu.

Kiwam głową i notuję, a mój mózg wybiega od razu w przeszłość.

– Ale żeby wszystko było fair, nie możesz skorzystać z firmowych danych. Bądź kreatywna. Użyj swoich kontaktów. Może kogoś, kto jest freelancerem. – Bez wątpienia ma na myśli Danny’ego.

Notuję jeszcze kilka uwag, a ona tymczasem gasi projektor.

– Zrobię to – zapewniam ją z przekonaniem.

– Nie wątpię w to, kotuś. – Helene patrzy na drzwi łączące jej gabinet z drugim i widzę, że jej usta zaczynają się układać w łobuzerski uśmiej. –

Zastanawiałaś się choć trochę nad tymi swoimi potyczkami z Joshem w ostatnim czasie? Bo ja tu mam ciekawą teorię. – I parska urywanym śmiechem.

– Chyba nie jestem gotowa, by tego słuchać. – Opieram się o jej biurko.

– Zabrzmi to niestosownie, ale naprawdę dużo rzeczy mi się zgadza. Josh uznał, że kłamałaś w związku ze swoją randką, ponieważ nie wyobraża sobie, że mogłabyś być z kimś innym prócz niego.

– O. Eee... Aaa... – Wypróbowuję wszelkie możliwe kombinacje samogłosek. Fala gorąca wpełza na moją pierś, potem szyję, twarz i w cebulki włosów, aż w końcu jestem cała czerwona.

– Weź to pod uwagę i przemyśl – mówi Helene i pożera cały makaronik.

Otwieram usta, waham się, zamykam je, po czym powtarzam to wszystko

od początku i tak kilka razy. A moja szefowa wstaje i strzepując z siebie okruchy, patrzy na mnie przenikliwie.

– Muszę biec. O trzeciej przychodzi do mnie człowiek od ciepłej wody. Dlaczego oni przychodzą zawsze o takich niedogodnych porach? Ty też idź już do domu, kotuś. Wyglądasz teraz jak jakaś ryba.

Po jej wyjściu zasiadam za swoim biurkiem. Droga, którą teraz powinnam podążać, jest jasna jak dzień. Powinnam już dzwonić do Danny’ego, żeby pogadać z nim o współpracy przy moim e-booku, ale co wezmę do ręki komórkę, to zaraz ją odkładam. W końcu, starając się pokierować sprawą w bardziej profesjonalny sposób, wygrzebuję jego wizytówkę i piszę maila z prośbą o spotkanie jutro. Nie mam pojęcia, ile on bierze, ale w tym momencie to kwestia typu „wszystko albo nic”.

Dostaję esemesa. Żołądek mi się zapada, a serce dla odmiany szybuje w przestworza.

Joshua Templeman: Miło wiedzieć.

A zatem dostał róże. Przyciskam telefon do piersi.

Rozmowa kwalifikacyjna wprowadza mnie w stan zawieszenia najgorszej odmiany. Tylu ludzi napotkanych na korytarzach życzyło mi do tej pory powodzenia. Już sobie wyobrażam, jacy będą skrepowani, kiedy będą mi współczuli, i jest to nieznośna myśl.

Jeżeli Josh dostanie to stanowisko, będę musiała odejść.

Patrzę na krzyżyk w moim terminarzu symbolizujący rozmowę kwalifikacyjną. Niezależnie od tego, jak bardzo ta udawana prezentacja przed Helene podbudowała moją pewność siebie, muszę także przygotować scenariusz na najgorsze. Właściwe planowanie w biznesie polega na posiadaniu strategii wyjścia. Mam trochę zaoszczędzonych pieniędzy na świętym dla mnie koncercie, którego nigdy nie tykam. W tym roku chciałam wyjechać na wakacje, ale, zdaje się, pieniądze na to staną się moim zabezpieczeniem. Może ostatecznie będę musiała wrócić na farmę Sky Diamond i siedzieć pod markizą w bramie. Rodzice będą zapewne rzucać mi

się na szyję, skakać i wrzeszczeć z zachwytu. Nie będą mieli nawet na tyle przyzwoitości, żeby być mną rozczarowani.

Jeżeli to Josh zostanie dyrektorem, a ja zrezygnuję, to czy moje rozgoryczenie wygra z tym trzepotaniem w piersi, które czuję za każdym razem, kiedy on na mnie patrzy? Czy ta nasza dziwaczna, krucha gra przetrwa poza tymi murami? Moja przyjaźń z Val nie przetrwała.

Czy będziemy mogli się widywać, kiedy będę szukała pracy i jednocześnie dostawała wieści o tym, jakie to on odnosi sukcesy w B&G? A z drugiej strony, czy Josh będzie zadowolony, jeżeli to ja odniosę sukces, podczas gdy on będzie zaśmiewał to miasto wydrukami swojego CV? Nie wyobrażam sobie, by umiał odłożyć na bok swoją dumę.

To nie tak, żeby zupełnie brakowało mi rozwiązań. Mam trochę kontaktów w środowisku mniejszych, niszowych wydawnictw, u których pewnie mogłabym szukać pracy, ale wtedy czułabym się nielojalna wobec Helene. Mogłabym też poprosić Helene, żeby przeniosła mnie do innego działu B&G. Może czas najwyższy zacząć od najniższego stanowiska w dziale redakcji. Jeśli jednak zostanę w B&G, to tak czy owak Josh będzie nowym dyrektorem do spraw operacyjnych.

Nie trzeba dodawać, że wtedy już nigdy nie będę miała szansy siedzieć na jego kanapie.

Życie byłoby o tyleż łatwiejsze, gdybym tak zwyczajnie, po ludzku, po prostu nienawidziła Joshui Templemana. Patrzę na jego puste krzesło, a potem zamykam oczy i widzę morze tej samej barwy co ściany w jego sypialni.

Lada dzień stracę coś, czego jeszcze nawet nie zaczęłam.

Jadę do domu wcześniej, zgodnie z sugestią Helene, i szukam sobie jakiegoś zajęcia.

Dzięki Joshowi w moim mieszkaniu panuje porządek. Sprawdzam w Internecie, czy na aukcjach są jakieś nowe smerfy, i przeprowadzam pobieżną inwentaryzację mojej obecnej kolekcji. Liczę, ile mam figurek Papy Smerfa.

Zaglądam do pustej lodówki i przypomina mi się jego owocowo-warzywna tęcza. Postanawiam zrobić sobie herbatę i stwierdzam, że niestety nie mam z czego. Mogłabym iść do sklepu, ale zamiast tego piję wodę. Jest mi zimno, więc opatulam się swetrem.

Teraz, kiedy już widziałam jego mieszkanie, nie mogę przestać patrzeć na swoje nowymi oczami. Jest beznadziejnie banalne. Białe ściany, beżowy dywan, kanapa w nieokreślonym kolorze. Żadnych dywaników we wzorek ani obrazów w ramach.

Biorę prysznic i robię makijaż. Idiotyzm. Dlaczego spryskuję piersi perfumami? Albo wkładam swoje ładne dzinsy? Nie ma tu nikogo, kto by mnie oglądał albo wahał. Nie mam dokąd iść. Minęło tyle czasu, odkąd miałam w tym mieście kogoś, do kogo mogłam zadzwonić.

Siedzę i nerwowo podryguję kolanem. A w brzuchu mi jeździ. Czuję się wręcz jak magnes, który aż się trzęsie, bo tak bardzo chce ruszyć z miejsca. Tak właśnie czują się narkomani? Zaczyna do mnie docierać, co się dzieje, ale nie mogę się przyznać do tego. Jeszcze nie.

Czy trzymanie w ręku telefonu i wpatrywanie się w jeden z kontaktów było kiedykolwiek równie przerażające?

Joshua Templeman

A powinnam siedzieć i patrzeć na:

Danny Fletcher

Powinnam zadzwonić do Danny'ego, poprosić, żeby mnie zabrał do kina albo gdzieś coś zjeść. Moglibyśmy coś zaplanować w związku z moim projektem. Jest w końcu moim nowym przyjacielem. Gdybym poprosiła, na pewno spotkałby się ze mną za dwadzieścia minut. Idę o zakład. Jestem ubrana. Jestem gotowa.

Ale nie robię tego. Zamiast tego robię coś, czego chyba nigdy dotąd nie

robiłam.

Wciskam przycisk i dzwonię.

I natychmiast się rozłączam, po czym rzucam telefon na łóżko jak granat. Wycieram wilgotne dłonie o uda i robię chrapliwy wydech.

Telefon zaczyna dzwonić.

Joshua Templeman

– O, cześć – udaje mi się powiedzieć lekkim tonem. Wierzchem dłoni trę skroń. Zero godności.

– Mam tu ślad po nieodebranym telefonie. Ale był tylko jeden sygnał.

W tle słychać łomot muzyki. Prawdopodobnie pije teraz w jakimś barze, otoczony modelkami w obcisłych, białych kieckach.

– Jesteś zajęty. Porozmawiamy o tym jutro.

– Jestem na siłowni.

– Bieżnia?

– Ławeczka. Wieczorami wyciskam ciężary.

Z tej odpowiedzi wynika, że na bieżni biega kiedy indziej. Parska cicho, a potem słyszę ciężki, metalowy brzęk.

– No więc co tam? Nie mów mi, że zadzwoniłaś niechcący.

– Nie. – Nie ma sensu udawać.

– Interesujące. – Słysząc stłumiony odgłos ubierania się albo może wycierania ręcznikiem, a potem trzask zamykanych drzwi. Nieznośna, dudniąca hałaśliwie muzyka przycicha. – Jestem na dworze. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej widziałem twoje nazwisko na ekranie. Coś stało się w pracy?

– Wiem. Też mi to przyszło do głowy. – Słysząc brzemienną ciszę. – Nie, to nie jest nic związanego z pracą.

– Szkoda. Już miałem nadzieję, że Bexley doznał śmiertelnego zatoru płuc.

Parskam z rozbawieniem. A potem zaczynam kluczyć.

– Zadzwoiłam, bo...

„Bo cię dzisiaj nie widziałam. Cały dzień czuję się skołowana i rozpaczliwie smutna i mam nadzieję, że jak cię zobaczę, to ten dziwaczny ból w piersi ustanie. Nie mam przyjaciół. Mam tylko ciebie. Ale ty nie jesteś przyjacielem”.

– Tak...?

On mi nie pomaga. ANI TROCZĘ.

– Jestem głodna, ale nie mam nic do jedzenia. Skończyła mi się herbata i w moim mieszkaniu jest zimno. I nudzę się.

– No co za smutne życie.

– A ty masz mnóstwo jedzenia i herbaty. I lepsze ogrzewanie, a jak...

Nie słyszę nic prócz milczenia.

– A jak jestem z tobą, to się nie nudzę. – Teraz to już umieram ze wstydu.

– Ale chyba lepiej, żebym...

Przerywa mi.

– Lepiej, żebyś tu przyjechała.

Czuję zalew ulgi.

– Mam coś przywieźć?

– A niby co?

– Mogłabym po drodze kupić coś do jedzenia.

– Nie, nie trzeba, ugotuję coś, mam z czego. Chcesz, żebym po ciebie przyjechał?

– Nie, lepiej, jak przyjadę sama.

– Pewnie tak będzie bezpieczniej. – Oboje wiemy dlaczego. W przeciwnym razie byłoby mi zbyt łatwo zostać na noc.

Już trzymam torebkę, płaszcz i klucze. Już wkładam buty. Zamykam drzwi na klucz i biegnę w stronę windy.

– Pokażesz mi te mięśnie, nad którymi pracowałeś?

– Myślałem, że pragniesz mnie za coś więcej. – Słyszę odgłos zapuszczanego silnika. Przynajmniej nie tylko ja jestem niecierpliwa.

– Przyjedź natychmiast. Chcę cię zobaczyć całego zlanego potem. Musimy wyrównać rachunki.

- Daj mi pół godziny. Nie, godzinę. – Jest wyraźnie przerażony.
- Zaczekam na ciebie w hallu.
- Jeszcze nie wyjeżdżaj.
- Do zobaczenia wkrótce – rzucam i rozłączam się.

Zaczynam się śmiać, kiedy uruchamiam samochód i wyjeżdżam na jezdnię. To nowa gra, Gra w Wyścig, z dwoma samochodami w dwóch różnych miejscach na planie miasta, pędzącymi w stronę jednego, centralnego punktu. To straszne, że tak bardzo chcę znaleźć się w jego mieszkaniu, na jego kanapie, że aż na czerwonych światłach nerwowo podryguje mi kolano. Założę się, że jemu też.

Biegnę w stronę jego domu i dociera do mnie, że zasadniczo wyczerpałam już wszystkie kiepskie wymówki, obejścia i argumenty. Doszło, do czego doszło. Wbiegam do hallu.

„Nie widziałam go cały dzień i tęsknię za nim”.

Nad drzwiami windy widzę strzałkę wskazującą w górę. Wstrzymuję oddech. Winda wydaje sygnał.

„Nie wyobraża sobie, że mogłabyś być z kimś innym prócz niego”.

Drzwi wejściowe otwierają się gwałtownie i widzę go.

Rozdział 16

Jest wymięty, spocony i ugina się pod ciężarem rzeczy z siłowni. Marszczy czoło na mój widok, a w jego oczach jest dziwna niepewność. Wyciąga rękę, żeby przytrzymać drzwi windy.

W moim sercu dochodzi do wybuchu.

– Wygrałam! – krzyczę i podbiegam do niego. I skaczę na niego; całe szczęście, że w ostatniej chwili wyciąga rękę. Z głuchym sapnięciem zderza się plecami ze ścianą, a mnie udaje się opleść go ramionami i nogami. Jakimś cudem wciska przycisk swojego piętra, kiedy zasuwiają się drzwi.

– Uważam, że technicznie wygrałem ja. Na pewno dotarłem pierwszy do budynku – słyszę, jak mówi nad moją głową.

– Wygrałam, wygrałam! – powtarzam skandującym rytmem, a on wybucha śmiechem i ostatecznie przyznaje mi rację.

– Niech ci będzie. Wygrałaś.

Jego pot pachnie deszczem i cedrem: sprawia, że w nozdrzach szczypie mnie rozmarynowo-sosnowa woń. Przyciskam twarz do jego szyi i wdycham, wdycham raz po raz, aż wreszcie winda przystaje i oto jesteśmy na czwartym piętrze. Próbuję znaleźć w sobie siłę, żeby go puścić, ale zwanie naszych ciał ma wpływ tak narkotyczny, że nie starcza mi woli.

– No to idziemy.

Rusza w głąb korytarza. Wiszę na nim od przodu wczepiona jak miś koala, łopocząc połamami płaszcz, a moja torebka raz po raz zderza się z jego torbą z siłowni. Mam nadzieję, że nie wpadniemy na kogoś z jego sąsiadów. Wyginam się w tył, żeby móc zobaczyć jego twarz, i widzę rozbawienie w oczach, kiedy stawia torbę obok drzwi i zaczyna szukać właściwego klucza.

– Każdemu mężczyźnie należy się takie powitanie we własnym domu.

– Ty się mną w ogóle nie przejmuj. Zajmij się swoimi sprawami.

Zaciskam objęcia. Jego obojczyk dopasowuje się przyjemnie do mojej kości policzkowej. Ma na sobie bluzę z kapturem i od jego ciała bije wilgocia.

Słyszę, jak wrzuca torbę z rzeczami z siłowni do specjalnego kosza. Potem zsuwa sneakersy, co chyba jest trochę trudniejsze, a następnie bierze moją torebkę. Wciska przycisk na panelu sterującym ogrzewaniem.

– Poważnie, udawaj, że mnie tu nie ma.

Wchodzi do kuchni, cały czas dźwigając moje ciało, i zagląda do lodówki, przez co muszę znowu mocniej opleść go ramionami. Napełnia czymś szklankę, a ja przykładam ucho do jego krtani, żeby posłuchać, jak przełyka.

Zaciskam nogi, a on kładzie dłoń na moim tyłku i ściska go raz przyjaźnie. A potem wymierza mu klapsa.

– Au, co ty masz w kieszeni?

– Och. – Przypominam sobie i czuję się od razu jak głupek. Ześlizguję się po nim i wreszcie staję na własnych nogach. – Nic takiego.

– Uderzyłem się w rękę. Boli. – Wyciąga kanciasty przedmiot z mojej kieszeni i sprawdza, co to takiego. – To smerf. No przecież. Co innego mogłabyś nosić w kieszeniach? A czemu jest przewiązany wstążką?

– Mam ich z dziesięć. To jest Maruda.

– Gdybym nie wiedział, jak uwielbiasz smerfy, poczułbym się obrażony. – Jego usta wyginają się w uśmiechu i wiem, że sprawiłam mu przyjemność. – A właściwie to o co chodzi z tymi smerfami?

– Tato regularnie jeździł pod granicę stanu, gdzie dostarczał truskawki. Wyjeżdżał jeszcze przed świtem i wracał, kiedy już leżałam w łóżku. W drodze powrotnej zawsze kupował mi smerfa na stacji benzynowej.

– Rozumiem, one ci go przypominają. To miłe.

– Dawał mi je, żebym wiedziała, że o mnie myśli. – Przebieram nogami w miejscu.

– To w takim razie dziękuję, że ty myślisz o mnie.

– Ty też mi dałeś coś swojego, więc... Jesteśmy kwita.

– To takie ważne? Żebyśmy wyrównywali rachunki?

– Oczywiście. – Zauważam, że w jego kuchni wisi mała, biała tablica z wypisanym tygodniowym jadłospisem. Ten facet to naprawdę dziwoląg.

– No dobra, ale ty jesteś czysta, a ja nie. Muszę wziąć prysznic.

– Jak ty to robisz, że pachniesz tak ładnie po siłowni?

Idę do dużego pokoju i padam na kanapę, z towarzyszeniem głębokiego westchnienia ulgi. Zatapiam się w niej, jakby była skonstruowana z pianki pamięci. „Cześć, Lucy”, mówi do mnie kanapa. „Wiedziałam, że wrócisz”.

– Wcale bym tego nie powiedział! – odkrzykuje z kuchni.

Słyszę, że gotuje się woda, że otwiera drzwi lodówki, pobrzękują łyżeczki.

– A jednak pachniesz. – Szukam wszędzie poduszki ze wstążek. – Pachniesz jak umięśniona szyszka.

– Pewnie to moje mydło. Mama daje mi je w ilościach hurtowych. Uwielbia przysyłać paczki.

Widzę go, do góry nogami, i zauważam spory fragment ciężkiego ramienia wystający spod zsuwającej się bluzy. Ma pod spodem podkoszulek. Zaczynam się ślinić. A on stawia obok mnie kubek i wręcza mi poduszkę.

– Zdejmij tę bluzę. Proszę. Ja sobie tylko popatrzę.

Kiedy przykłada palec do zamka błyskawicznego, zagryzam usta. Ale on zasuwa go pod samą szyję, do samego końca, więc cichutko skowyczę.

– Napij się herbaty, ty zboczona kobietko. – Czuję, że rzuca coś na mój brzuch. A potem zamyka drzwi do sypialni i chwilę później słyszę dźwięk uruchamianego prysznica. Trzymam w ręku pudełeczko Matchbox z samochodzikiem w środku. Chcąc nie chcąc, czuję, że to reprimenda. Ale czy nie jest tak, że każdy mężczyzna chce, by go pożądanego za jego ciało?

Podkładałam sobie poduszkę pod kark. Ten samochodzik jest czarny, trochę jakby podobny do jego samochodu. Tym się zajmował podczas swojego wolnego dnia? Poszedł mi kupić zabawkę? Otwieram pudełeczko i przez jakiś czas suwam samochodzikiem po brzuchu. I wyobrażam sobie Josha pod prysznicem, z kostką mydła. Jak przystało na zboczoną kobietkę.

Jak należało przewidzieć, mijają minuty, a ja dostaję kołowrotu w myślach. Nie wiem, dlaczego znowu tu jestem. Wiem tylko, że ta kanapa to moje najulubieńsze miejsce na ziemi. Powinnam włożyć buty i wyjść.

Dotykam kubka. Herbata jeszcze nie ostygła na tyle, by dało się ją pić.

Muszę się zachowywać normalnie; za bardzo się nakręciłam. Zastanawia mnie, z jakimi dziewczynami on się umawia. Pewnie z blondynkami, które są nie tylko wysokie, ale także bardzo cool. Czuję to w kościach, w swoich drobnych kościach niewyrośniętej brunetki. Przypomina mi się, jak raz poszliśmy z Val do jednego klubu, w czasach, kiedy robiłam różne rzeczy, przed fuzją, przed samotnością.

Przyglądałyśmy się tym dziewczynom: znudzonym, pięknym, lodowatym. Stały obok baru, ignorując wszystkich facetów, którzy do nich podchodzili. Obie z Val małpowałyśmy je potem na parkiecie tanecznym, przybierając wyniosłe pozy i rozśmieszając się nawzajem gniewnymi, stalowymi spojrzeniami. Może spróbuję rzucać takie spojrzenia teraz?

Kiedy drzwi sypialni się otwierają i wreszcie znowu go widzę, jestem dojrzałą, młodą kobietą ze skrzyżowanymi elegancko nogami, która wertuje podręcznik medyczny i popija herbatkę. A on ma na sobie miękkie, czarne spodnie dresowe i czarny T-shirt; jego bose stopy są oczywiście kształtne i zadbane. Czy ten człowiek nie mógłby mieć chociaż jednej wady?

Przysiada na skraju kanapy; wilgotne włosy sterczą mu we wszystkie strony. Przewracam kartkę i niestety z następnej strony atakuje mnie upiorny rysunek przedstawiający wzwiedzonego penisa.

– Staram się być trochę bardziej normalna.

Patrzy na rysunek.

– I jak ci idzie?

– Cieszę się, że to nie jest książka-rozkładanka.

Parska z rozbawieniem. Idę za nim do kuchni i przyglądam się, jak kroi warzywa w nedorzecznie równe słupki.

– Masz ochotę na omlet?

Kiwam głową i zerkam na jego tablicę. Wtorek: OMLET. Czytam, co będzie jadał do końca tygodnia. Zastanawiam się, jak tu sobie załatwić zaproszenia na kolejne dni.

– Pomóc ci w czymś?

Kręci głową i potem przyglądam się, jak wbija sześć jajek do metalowej

miski.

– No to jak było w pracy? Najwyraźniej tęskniłaś za mną.

Zażenowana ukrywam twarz w dłoniach, na co on tylko śmieje się pod nosem.

– Było nudno. – I to jest prawda.

– Nie było z kim się awanturować, co?

– Próbowałam trochę się poznać nad pracującą szlachtą, ale wszyscy robili się ponad miarę płacziwi.

– Cała sztuka polega na znalezieniu tej jednej osoby, która potrafi odpłacić pięknym za nadobne. – Wyjmuje patelnię i zaczyna smażyć warzywa na słownie jednej i to skąpej kropli oliwy.

– Może Sonja Rutherford. Ta przerażająca kobiecina z działu wysyłkowego, która wygląda jak albinoska wersja Morticii Addams.

– Nie planuj jeszcze, kto mnie zastąpi. Zranisz moje uczucia.

Przypomnienie prawdopodobnego zakończenia całego tego scenariusza sprawia, że postanawiam przyłgnąć do niego. Środek jego pleców to pod względem ergonomii najdoskonalsze miejsce do ukrywania twarzy.

„Ten epizod mi się przypomni, kiedy wszystko się skończy”.

– Musisz mi powiedzieć, dlaczego tu jesteś.

– Bo... bo trochę zrobiło mi się dzisiaj smutno, kiedy pomyślałam, że wszystko się zmieni?

– Zgodnie z diagnozą doktora Josha cierpisz na syndrom sztokholmski.

– Wiem, masz rację. – Wtulam policzek w jego mięsień.

– Może bardziej boisz się zmiany niż perspektywy, że będziesz tam siedziała sama.

Nie wypalił automatycznie, że grozi mi szukanie nowej pracy. Doceniam to.

– Stale myślę o twojej niebieskiej sypialni. Mam wrażenie, że jest to coś, o czym powinniśmy podyskutować. Zanim nasz czas dobiegnie końca.

Słyszę głucho skwierczenie jajka dodawanego do warzyw. Nakrywa patelnię pokrywką i odwraca się w moją stronę.

– Jesteś osobą tego typu, którą należy wdrażać w różne sprawy powoli.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale każe mi milczeć.

– Wiem to, Luce, i ty też to wiesz. Naprawdę robisz wrażenie tym, jak potrafisz świrować. Wyobraź sobie, że uprawiamy teraz seks. Tutaj, na tym blacie. – Uderza mocno w blat otwartą dłońią. – Byłoby ci potem tak głupio, że już nigdy byś się do mnie nie odezwała. Nie poszłabyś na rozmowę kwalifikacyjną, tylko zamieszkałabyś w jakimś lesie.

– A niby czemu to cię tak obchodzi? Bardzo chętnie zamieszkałabym w lesie.

– Ja ciebie potrzebuję do tej rywalizacji. I może uda nam się wymyślić scenariusz, w którym nasz czas nie będzie się kończył. – Wzdycha i zagląda do omletu. – Zdarza ci się zawierać znajomości na jedną noc? No wiesz, kiedy idziesz do klubu, znajdujesz jakiegoś ekstragoscia i zabierasz go z sobą do domu?

Kiedy zadaje to pytanie, jego twarz się wykrzywia. Może nie tylko ja wyobrażam sobie jakieś anonimowe osoby, z którymi muszę rywalizować.

– Oczywiście, że nie. No chyba że powinnam liczyć ciebie. Mimo że nic nie było i nie potrafię sprawić, żeby było.

Lekko gładzi mnie po rękach, jak przyjaciel, i czuję, że w moich mięśniach coś się poluznia. Robię krok bliżej i opieram się o niego całym swoim ciężarem. Kiedy przyciskam policzek do jego piersi, przenika mnie bijące od niego ciepło.

– Staram się tak tym pokierować, że kiedy już to zrobimy, nie będziesz niczego żałowała.

– A niby czego miałabym żałować?

– Schlebiasz mi. – Zerka znów do omletu. – Wracaj na kanapę. I włącz telewizor.

Rzucam się na pluszową doskonałość. I postanawiam, że przeobrażę swoje igloo w taką samą maleńką twierdzę, bezpieczną i pełną ciepła. Potrzebuję lamp, dywaników, dodatkowych półek i toskańskiego pejzażu w ramach. Potrzebuję wielu wiader farby i jasnoniebieskiej sypialni. Białej pościeli i paprotki.

– Skąd ty masz tę kanapę? Chcę mieć taką samą.

– To jedyny egzemplarz. Nie znajdziesz drugiej takiej na całej kuli ziemskiej. – Jego suchy głos wciąż płynie z kuchni.

– A odsprzedasz mi ją?

– Nie.

– A co powiesz o tej poduszce ze wstążek?

– Też jest jedyna.

– Chyba już ogarniam twoją strategię. – Przez chwilę oglądam telewizję, a potem Josh wręcz mi talerz i widelec.

– Czuję się jak mała księżniczka, kiedy tu jestem. Nie musisz mi usługiwać. – Zrzucam kopniakami pantofle, pod jego ławę oczywiście.

– Istnieją takie okropne monstra, które potajemnie uwielbiają rozpieszczać małe księżniczki. To może tak dwugodzinne zawieszenie ognia? Zaczynając od teraz?

– Jasne, zrobmy tak. Pycha, to wygląda fantastycznie. – Czuję zapach świeżej bazylii? Jakim cudem on jest wciąż kawalerem?

Oglądamy wiadomości, a potem on zabiera mój pusty talerz. Po czym przynosi miseczkę z lodami waniliowymi. Ale nie dla siebie.

– To w ogóle po co trzymasz w zamrażarce lody?

– Dla gości, którzy lubią słodczy.

Chcąc nie chcąc, uśmiecham się na samą myśl.

– Tym bicepsom chyba nie zaszkodziła jedna mała łyżeczka. Przecież to białko, mam rację?

Josh patrzy na miseczkę i wzdycha. Zabiera mi łyżeczkę i kradnie od razu tyle lodów, że wypełniają mu całe usta.

– Niebo w gębie. – Trzepocze powiekami.

– Powinieneś co wieczór dogadzać sobie czymś malutkim. Nie ma sensu traktować siebie tak okrutnie.

– Czymś malutkim, powiadasz? – Patrzy na mnie znacząco. – OK.

Nabieram kolejną łyżeczkę lodów. łyżeczka ślizga się po moim języku i jest w tej intymności coś obscenicznego. Jego język, mój język. Zlizuję waniliową masę, a on patrzy na mnie z nabrzmiewającą klatką piersiową, znienacka tracąc oddech.

Potem okrywa mnie puszystym, szarym kocem i leżę teraz na kanapie jak rozpuszczone dziecko. On z kolei siedzi na przeciwległym krańcu, tuż przy moich stopach; przyglądam się jego twarzy z profilu, kiedy wychyla się z kanapy i bierze do ręki jeden z podręczników medycznych.

– Dziwnie posmutniałeś.

– Wydaje ci się... jestem szczęśliwy. – Na jego twarzy pojawia się teraz lekkie zdumienie. – Co jest dziwne.

– Czemu wciąż trzymasz te podręczniki? W tym jest strasznie dużo kutasów.

– Pierwotnie zamierzałem podporządkować się rodzinnej tradycji. I jakoś nie umiem się z nimi rozstać. Poza tym spora ich część należy do matki. Są dość stare, ale chciała mi je dać.

Odchyła wewnętrzną stronę okładki i wodzi palcem po jej nazwisku, które jest tam wpisane odręcznie. Chciałabym go wypytać o rodziców, ale na ile go znam, widzę, że jest bliski zamknięcia się w sobie.

– Doktor Josh. Byłbyś bardzo seksownym lekarzem.

– Och, zdecydowanie. – Odrzuca książkę i zaczyna stukać w pilota.

– Wszystkie twoje pacjentki miałyby problemy z kołataniem serca.

Wyjmuje mi z rąk pustą miseczkę. A potem całuje maleńki zawias mojej szczęki, w taki sposób, że z ust wyrywa mi się głośne westchnienie, po czym fachowo odnajduje puls na moim nadgarstku.

– No to sprawdźmy. Wyobraź sobie, że włożyłem biały fartuch i że wsuwam teraz stetoskop za dekolt twojej bluzki.

Prawie czuję ucisk piekielnie zimnego krążka. Przeszywa mnie dreszcz i mrowi mnie w sutkach.

– Wpajasz mi właśnie całkiem nowe zboczenie. – Mówię to przemądrzałym tonem, ale on się uśmiecha.

– Pewnie dałbym radę je wyleczyć.

W głowie wykwita mi wizja naszego teoretycznego życia seksualnego. Dotychczas codziennie uprawialiśmy z sobą jakieś gry; raczej logiczne, że kontynuowalibyśmy ten obyczaj także w łóżku. Wizja atakuje mnie z taką siłą, że jakby przepuszcza całe moje ciało przez wyżymaczkę, pustosząc je

i sprawiając, że dyszy z pragnienia.

„Jego głos szepczący mi do ucha, kiedy oboje stoimy na progu jego pięknej sypialni.

To w co teraz zagramy?”

– Co noc bym udawała, że jestem chora.

– Co noc?

Wciąż jeszcze mierzy mi puls, patrząc na zegarek i bezgłośnie licząc. To jest takie seksowne, że puls z całą pewnością mi przyspieszył. W końcu puszcza moją rękę.

– Rzeczywiście, bardzo ci kołacze serce. I do tego jeszcze mamy przypadek roznamiętzonego spojrzenia. Przekroczyłaś wszelkie normy. Uważam, że twój stan jest bardzo poważny.

– Czy ja umrę, doktorze Josh?

– Powinna pani odpoczywać na kanapie pod moim nadzorem. Ale to ryzykowna kuracja.

– Mogłabym wygłosić jakiś obleśny dowcip na temat twojego zachowania przy łożu chorej, ale w tym momencie byłoby to chyba zbyt cenne. – Wsuwam się głębiej pod koc.

– Ty sobie wyobrażasz moje zachowanie przy łożu chorej? Byłbym koszmarem. Potrafię tak zastraszyć chorego, że natychmiast wraca do zdrowia.

– Właśnie dlatego nie chciałeś zostać lekarzem? Bo nienawidzisz ludzi?

– Po prostu nie wyszło. – Jego głos twardnieje.

– A było w tym coś, co ci się podobało?

– Podobało mi się prawie wszystko. Byłem dobry z teorii. Mam dobrą pamięć. I wcale nie nienawidzę wszystkich ludzi. Co najwyżej... większości.

– A co z elementem praktycznym? Miałeś jakieś złe doświadczenia? Kazali ci wtykać palec do czyjegoś tyłka?

Josh śmieje się, choć jednocześnie marszczy z niesmakiem nos.

– Nie zaczyna się od żywych ludzi. I nie zaczyna się od tyłków. W czyjej głowie mógł się ulęgnąć taki pomysł?

– Trupy! Założę się, że widziałeś trupy. I jak było? – Przypominają mi się

sceny autopsji z *Prawa i porządku*.

– Któregoś razu mój ojciec... – Zawiesza głos i przestaje na mnie patrzeć. Wyraźnie się zastanawia, czy to powiedzieć.

Nie naciskam go, a on po dłuższym milczeniu podejmuje temat.

– Mój ojciec w swej nieskończonej mądrości postanowił zapewnić mi minimum nieformalnego doświadczenia zawodowego w swoim szpitalu, podczas ostatnich wakacji przed studiami. Po części było OK. Zasadniczo przerzucali mnie między sobą lekarze, zbyt chyba wymęczeni pracą, żeby mi powiedzieć „nie”. A potem któregoś popołudnia poklepał mnie po plecach i ot, tak przedstawił jednemu z patologów. I mnie z nim zostawił.

Zaczynam się czuć strasznie.

– Nie musisz mi tego opowiadać, jeśli to bardzo trudne.

– Nie, nie, dam radę. W każdym razie to był, zdaje się, taki ostateczny chrzest ogniowy. Wytrzymałem pewnie pięć minut i dopiero wtedy się porzygałem. A potem nie mogłem się pozbyć wrażenia, że czuję na języku zapach nieboszczyków i chemikaliów. Pewnie dlatego uzależniłem się od miętówek. Nawet teraz zdarza się, że czuję ten zapach, a przecież minęły już całe lata. – Unosi moją rękę i przyciska nadgarstek do nosa. – Twoja skóra pachnie cukierkami. Aż do tamtego dnia to się po prostu rozumiało samo przez się, że pójdę na medycynę. Już mój prapradziadek był lekarzem i u Templemanów to rodzinna tradycja. Tymczasem w moim przypadku okazało się, że otwieranie klatki piersiowej umrzyka to początek końca.

– Udało ci się dotrwać do końca tamtej sekcji zwłok?

– Udało mi się zostać na medycynie do końca roku. A potem rzuciłem to w diabły. – Jest wyraźnie przygnębiony tymi wspomnieniami i znowu rozmawia ze mną, jakby się bronił. – Przyjechałaś, żeby wyciągać ze mnie prawdę o moich wyborach życiowych?

Ujmuję jego dłoń w swoje dłonie.

– Chciałam dzisiaj być tutaj i nigdzie indziej. Wręcz wychodziłam ze skóry, tak bardzo chciałam.

Jestem z siebie dumna, że miałam odwagę to powiedzieć.

A on obraca się znowu w moją stronę i tym razem ma w oczach

łagodniejszy wyraz.

– Aż mi podrygiwała noga. – Demonstruję to, a wtedy uśmiecha się szeroko. – Żałuj, że mnie nie oglądałeś, jak tu jechałam. Śmiałam się w głos, jakby mnie właśnie wypuścili z więzienia. Wzięło mnie na amen.

– Czyli twoim zdaniem ostatecznie postradałaś zmysły?

– Z całą pewnością. Owładnął mną bez reszty dziwaczny przymus, żeby wpatrywać się w twoje urodziwe oblicze. Miałam w sobie energię dwudziestu bomb atomowych.

– A jak myślisz, dlaczego ja tyle chodzę na siłownię?

W moim wnętrzu rozdyma się wielka bańka szczęścia. Podnoszę się z wysiłkiem i przytulam do niego; moja głowa przylega z łatwością do idealnie ukształtowanego ugięcia jego szyi. To prawda, pasujemy do siebie jak ulał, w każdym miejscu.

– Nie musisz się tłumaczyć ze swoich wyborów. Ani przede mną, ani przed nikim.

Przytakuje powoli, a ja opatulam kocem także jego.

Nigdy, przenigdy nawet bym sobie nie wyobraziła, że któregoś dnia będę siedziała na kanapie Joshui Templemana i trzymała mu głowę na ramieniu, czując w ustach smak wanilii. To się na pewno zakończy katastrofą. Zamykam oczy i oddycham miarowo.

– Chcę wiedzieć, dlaczego dzisiaj byłaś taka smutna, Babeczko. – To niesamowite, jak on wyczuwa zmiany w moim nastroju.

– Ot tak, po prostu. Rozmyślałam o wszystkim, co mogę stracić.

– Powiedz mi.

– Nie mogę. Jesteś moją nemezis.

– Strasznie się kleisz do swojej nemezis.

Fakt. Naprawdę się kleję.

– Nie chcę rozmawiać o mnie. W ogóle nie rozmawiamy o tobie. Prawdopodobnie nic o tobie nie wiem.

Splata palce z moimi palcami i układa sobie na brzuchu nasze dłonie. Rysuję opuszkami maleńkie kółka, a on wzdycha miękko.

– Ależ na pewno wiesz. No już, wymień wszystko.

– Znam tylko to, co widać z wierzchu. Kolory twoich koszul. Twoje cudowne niebieskie oczy. Wiem, że odżywasz się miętówkami, przez co ja wychodzę na jakąś świnię w porównaniu z tobą. Trzy czwarte personelu B&G głupieje ze strachu przed tobą. Tylko trzy czwarte, bo jedna czwarta jeszcze cię nie poznała.

Uśmiecha się drwiąco.

– Banda wydelikaconych mięczaków.

Kontynuuję swoją wyliczankę.

– Masz ołówek, którego używasz w jakichś tajemniczych celach; mam wrażenie, że to coś związanego ze mną. W co drugi piątek oddajesz rzeczy do pralni. Projektor w sali konferencyjnej źle działa na twój wzrok i w konsekwencji funduje ci bóle głowy. Świetnie potrafisz wykorzystywać milczenie, żeby ludzie robili w gacie ze strachu. To twoja ulubiona strategia na zebraniach. Siedzisz i ślesz to laserowe spojrzenie, aż wreszcie twój przeciwnik kruszeje.

Gadam i gadam, a on milczy.

– Aha, jeszcze jedno. W skrytości ducha jesteś przyzwoitym człowiekiem.

– Zdecydowanie wiesz o mnie więcej niż ktokolwiek inny.

Wyczuwam teraz, że jest spięty. A kiedy spoglądam na jego twarz, widzę wręcz, że go zszokowałam. Moje podchody przeraziły go nie na żarty. A potem niestety zaczynam wygadywać jakieś wariactwa.

– Pragnę wiedzieć, co się dzieje w twoim mózgu. Mam ochotę wycisnąć twoją głowę jak cytrynę.

– Dlaczego w ogóle chcesz coś o mnie wiedzieć? Myślałem, że stanę się tylko twoim łupem do jednorazowego seksu wspartego nienawiścią, po czym skreślisz mnie ze swojej listy i usatkujeś się nareszcie z pomocą jakiegoś miłego facecika.

– Skoro mam cię wykorzystać i potraktować jak rzecz, to chcę wiedzieć, jakim jesteś człowiekiem. Co najbardziej lubisz jeść?

– Lody waniliowe. Z twojej miseczki, twoją łyżeczką. I oczywiście truskawki.

– Gdzie chciałbyś spędzić wymarzone wakacje?

– Farma Sky Diamond.

Kiedy mierzę go przygnębionym spojrzeniem, ugina się i wskazuje obraz wiszący na ścianie.

– W tej dokładnie willi w Toskanii.

– Chętnie wpełzłabym do tego obrazu. Co byś tam robił?

– Pływałbym w basenie wyłożonym mozaiką. – Uśmiecha się, widząc, jak bardzo mnie ta wizja zachwyca.

– A czy przy tym basenie jest gdzieś fontanna? Na przykład mały lew plujący wodą?

– Owszem, jest. Po wyjściu z basenu kładę się w cieniu i objadam winogronami i serem. A potem wypijam wielki kielich wina i zasypiam z książką na twarzy.

– Zasadniczo właśnie opisałeś niebo. I co dzieje się potem?

– Zapomniałem wspomnieć, że razem ze mną w tym basenie pływała piękna dziewczyna, która też spała na słońcu. A teraz umiera z głodu. Powinienem zabrać ją gdzieś na makaron. Węglowodany z oliwą posypane serem.

– Bardzo mi się podobają te jedzeniowe wizje – wykrztuszam. Tak bardzo chcę być tą dziewczyną, że jestem gotowa wyć do księżycy.

– Wrócilibyśmy do willi o zmroku, a potem ja rozsunąłbym zamek w jej czerwonej sukience. Podałbym jej do łóżka szampana i truskawki, żeby ją wzmocnić.

– Skąd ci się biorą te pomysły? – Jestem taka oczarowana, że ledwie potrafię mówić. Jeżeli tak wyglądają jego marzenia o wakacjach, to nie uszłabym z życiem z jego sypialni.

– I obudziłbym się następnego dnia, i robiłbym od nowa to samo. Razem z nią. Całymi tygodniami.

Patrzę na obraz i wyobrażam go sobie, jak stoi pod roziskrzonym, fioletowym niebem, a na dalekim planie widać reflektory samochodów oświetlające rzędy topoli rosnących przy drodze.

Muszę coś powiedzieć. Cokolwiek. Bo on patrzy na mnie, najwyraźniej świetnie się bawiąc.

– Szczęśliwa krowa.

W tym momencie zanosi się głośnym śmiechem. A ja zadaję kolejne pytanie mojego quizu.

– Ratujesz się z tonącego okrętu i morze wyrzuca cię na bezludną wyspę. Jakie trzy rzeczy zabrałbyś z sobą?

– Nóż. Brezent. – Długo się zastanawia nad trzecią rzeczą. – I ciebie. Żeby cię wkurzać – uzupełnia.

– Nie jestem przedmiotem. Nie liczę się.

– Ale byłbym strasznie samotny na tej wyspie.

Myślę o nim, jak siedzi zupełnie sam na zebraniach całego personelu.

– OK. No więc wpełzamy na plażę i ja cię wyklinam za to, że mnie oderwałeś od cywilizacji, produktów do pielęgnacji włosów oraz czerwonych pomadek do ust. I co wtedy?

Dreszcz, który mnie przeszywa, kiedy czuję jego wargi na swoim uchu, wstrząsa całą kanapą. A kiedy czuję, że przyciska usta do mojej szyi, jęczę głośno.

Wyłącza telewizor i przez chwilę jestem pewna, że zaraz mnie wyprowadzi ze swojego mieszkania. Albo weźmie na ręce i rzuci na swoje łóżko. Trudno powiedzieć. A on tymczasem kładzie dłonie na moich włosach i delikatnie sunie po nich koniuszkami palców, aż wreszcie dociera do czaszki. Moje powieki trzepoczą.

– Zbudowałbym dla ciebie szałas, znalazłbym dla ciebie orzecha kokosowego i potem zabijalibyśmy czas.

– Jak? – pytam niewiele głośniejszym szeptem.

– Prawdopodobnie tak.

I przyciska usta do moich ust.

Rozdział 17

Oboje wciągamy oddech i w pokoju nie ma już ani odrobiny tlenu.

Wczoraj wieczorem wziął mnie na ręce pod latarnią i obdarzył pocałunkiem obliczonym na to, że potem będę pragnęła kolejnego. Wiem teraz, z czym dzisiaj mam problem. Jestem złaźniona.

Pod powiekami wciąż tańczą mi toskańskie obrazki z naszym udziałem, obrazki z innego życia, a on tymczasem rozchyła wargami moje usta, dotyka mojego języka swoim językiem i oddycha. A nawet wzdycha. On tego naprawdę chce. On tego łaknie równie mocno jak ja. Moje usta są waniliowe, jego miętowe: razem tworzą coś arcywyszniego.

Wydarzył się cud i ja o tym już wiem, choć nie wiem, kiedy to się stało. Joshua Templeman wcale mnie nie nienawidzi. Ani trochę. Nie całowałby mnie w taki sposób.

Wyplątuje jedną dłoń z moich włosów i obejmuje nią teraz mój podbródek, gładząc skórę, obejmując i przekrzywiając twarz. Jest w tym niewysłowiona słodycz, nawet gdy nasze języki przestają być takie czyste.

Nasuwam kolano na jego podbrzusze, czując napięcie po wewnętrznej stronie ud.

– Przysięgałam sobie, że dzisiaj tu nie przyjadę.

– A jednak jesteś tu. Ciekawe.

Oboje patrzymy na moje uda; nie potrafię się powstrzymać i kawałeczek po kawałeczku przesuwam biodra do przodu.

Ta nowa pozycja pompuje moc i adrenalinę do mojego krwiobiegu. Kładę dłonie na jego obojczyku i patrzę na niego. Włosy nadal ma lekko wilgotne. Oplatam jedną dłonią jego kark, a drugą przyciskam mu do serca.

Zaczynam powoli sunąć palcami po jego klatce piersiowej, potem po żebrach, badając gęstość ciała. Jest taki twardy, taki jędrny, że nawet przez T-

shirt mogę obwieść opuszką granice jego mięśni. Próbuję zadrzeć ten T-shirt, ale nie jestem w stanie, bo przyciskają go moje kolana.

Zzera mnie już niecierpliwość. Jestem bliska zerwania z niego tej koszulki, ale w ostatniej chwili zmuszam dłonie, żeby się uspokoiły. A on pewnie zauważa, że na moment ocknęła się we mnie kobieta-jaskiniowiec, bo przymyka oczy i w jego krtani rodzi się westchnienie.

– Zdarza się, że patrzysz na mnie takim wzrokiem, jakbyś...

Zapomina, co chciał powiedzieć, kiedy zaczynam całować jego brodę. Jego dłonie, wnętrzami na zewnątrz, spoczywają na moich łydkach. Pozwala, żebym teraz to ja przejęła panowanie nad sytuacją, i to mi się podoba. Czuję, że się uśmiecha, kiedy leciutko zahaczam zębami o jego dolną wargę.

Kanapa miękko sprężynuje pod moimi kolanami i kiedy nasze ubrania zaczynają ocierać się o siebie, czuję jego podniecenie, czuję to twarde, tępe coś wciskające się od spodniej strony mojego uda.

– Ja tego potrzebuję – mówię mu i przyglądam się, jak jego oczy robią się złowieszczo czarne. Zaciskam palce na jego ubraniu i znowu się całujemy.

Bez pośpiechu przesuwam biodra po jego kolanach, a jego dłonie powoli suną po moim ciele, to ściskając je leciutko, to nieruchomiejąc. Ramiona, wnętrza rąk, moje piersi z boku. Moim ciałem targają już spazmatyczne drżenia, a on bezlitośnie zsuwa dłonie jeszcze niżej. Na żebra, na wgłębienie mojej talii. Na biodra. Na tyłek.

Jego dłonie wpełzają na moje uda, długie palce pociągają w dół zewnętrzne i wewnętrzne szwy moich dżinsów. A teraz czuję te palce na łydkach. Kiedy przykładam twarz do jego karku, dłonie zaciskają się na kostkach, przypominając, że on może przejąć nad wszystkim kontrolę, jeśli tak zechce.

– Podoba mi się, że jesteś taka mała.

Słyszę w jego głosie, że on naprawdę lubi moje ciało, i czuję jednocześnie, że jego dłonie znowu zaczynają mnie gładzić, podejmując kolejną powolną wyprawę.

Kiedy wsuwam język do jego ust, przypomina mi się zebranie, na którym oboje byliśmy kilka tygodni temu. On siedział wtedy przy oknie i pamiętam,

jak przyglądał się plamie słońca powoli przetaczającej się po parapecie, po podłodze, po stole konferencyjnym, gdy tymczasem popołudnie wlokło się i wlokło.

Miał na sobie granatowy garnitur, którego nie wkłada często, oraz jasnoniebieską koszulę. Siedziałam naprzeciwko niego i przyglądałam się, jak promienie słońca wpełzają na jego ciało niczym fala przyptywu. Wdychałam zapach tkaniny, która robiła się coraz cieplejsza od jego ciała.

Pamiętam, jak podczas tego zebrania przeszywał mnie spojrzeniem swoich niebieskich oczu i to mnie peszyło, a nawet skręcało mi żołądek. A on wtedy uśmiechał się drwiąco i znowu cierpliwie patrzył na prezentację w Powerpoincie, nie robiąc ani jednej notatki, podczas gdy ja czułam skurcze w palcach, bo cały czas coś bazgrałam.

Wyłaziłam ze skóry przez to jego spojrzenie, które raz po raz znienacka lądowało na mojej twarzy. I nie wiedziałam, dlaczego tak jest. A teraz już wiem.

– Przypomniało mi się zebranie sprzed kilku tygodni. – Głowa mi opada na bok, bo on właśnie całuje mój podbródek. Całe moje ciało drży. Jego dłoń rozcapierza się na moich żebrach, kciuk od dołu trąca pierś. Cała moja uwaga koncentruje się na tym centymetrowym odcinku kontaktowym.

– I co z tym zebraniem? Zdaje się, że kiepsko się sprawdzam, skoro myślisz o nim teraz.

Wraca do moich ust i lekko je wykręca. Mijają całe minuty, zanim znów wraca mi mowa. A może nie minuty, tylko godziny. Dyszę spazmatycznie, a on delikatnie wgryza się w moją dolną wargę.

Jego kciuk sunie w górę, trąca lekko sutek i sunie dalej, aż do brody. Przeżywam spazm i podskakuję w miejscu.

Próbuję coś powiedzieć poprawnie.

– Patrzyłeś na mnie i... i chyba chciałam cię wtedy pocałować. Dopiero teraz to zrozumiałam.

– No co ty powiesz.

Zostaję nagrodzona, bo teraz jego druga dłoń wsuwa się pod moją koszulkę. I skóra dotyka skóry. Palce bawią się leniwie ramiączkiem

biustonosza.

– Przypomniało mi się to twoje dziwne spojrzenie.

– Jakbym miał jakieś brudne myśli? Bo rzeczywiście je miałem. Byłaś ubrana w tę bluzkę z białego jedwabiu z perłowymi guziczkami. I jeszcze ten miękki kardigan, przynajmniej do połowy zebrania. Włosy zaczesane do góry, czerwone usta.

Wygina się w tył i sunie palcami od mojego podbródka aż do tego miejsca, gdzie zaczyna się rowek między piersiami. A potem jego palce zapuszczają się jeszcze głębiej, a ja zdobywam się na powiedzenie tej jedynej rzeczy, jaka przychodzi mi do głowy:

– To kaszmirowy sweter.

– Ty lubisz doktora Josha... Ja lubię Lucy, wypindrzoną bibliotekarkę w stylu retro. Jedwabno-kaszmirową Lucy. To moje zboczenie. Zwłaszcza jak ta Lucy z ołówkiem we włosach grilluje szefa jakiegoś działu, bo chce od niego wydębic liczbę absencji w minionym kwartale.

Nadal sunie dłonią po moim torsie, przyciskając palce do żeber.

– Jakież oryginalne zboczenie. Nie wierzę, że naprawdę zapamiętałeś, w co byłam ubrana. Ale mogę w to wejść. Mogę zdobyć okulary typu nerdy i sztorcować cię. – Robię surową minę i przykładam palec do ust. – Nie gadaj tyle.

Reaguje teatralnym jękiem.

– Nie wytrzymałbym tego.

– A potrafisz sobie wyobrazić, jak by między nami było? Dzień w dzień, noc w noc?

Wie doskonale, o co pytam.

– O tak.

– Jak sam powiedziałeś: cała sztuka polega na tym, żeby znaleźć kogoś dostatecznie silnego, kto to zniesie. Tę jedyną osobę, która potrafi odpłacić pięknym za nadobne.

– A ty to potrafisz? – Ma teraz takie oczy, jakby był na prochach. Czarne, ogromne źrenice, zamglone tęczęwki.

– Tak.

Całujemy się z nową namiętnością, wskrzeszoną wspólnymi fantazjami z sali konferencyjnej. Lucy i Josh, para aktorów z graficznej, ociekającej potem pornografii.

Wygina się teraz w łuk i napiera na mnie. Czuję jego erekcję, wciskającą się tak mocno w moją nogę od spodu, że chyba całe ścięgno udowe mam posiniaczone.

I nagle przerywa pocałunek.

– Zwolnij. Chcę cię o coś spytać.

Odsuwa się odrobinę i teraz każde z nas wpatruje się w czarne oczy tego drugiego. Jego usta są zaróżowione i chciałabym je czuć na całym swoim ciele. Chciałabym, żeby mnie lizały i gryzły. Oddycham tak głośno, że prawie nie słyszę, co on do mnie mówi.

– Czy kiedy dzwoniłaś do mnie dzisiaj, nie było przypadkiem tak, że o mało nie zadzwoniłaś do Danny’ego?

Zaczynam protestować, ale wtedy gładzi mnie po ramieniu.

– Nie jestem zazdrosnym psycholem. Jestem tylko ciekaw.

– Już z nim wygrałeś. Danny jest teraz moim przyjacielem. Będziemy tylko przyjaciółmi.

– Ale nie odpowiedziałaś.

– Danny to sensowna opcja. A ja ostatnimi czasy nie robię wieczorami wielu sensownych rzeczy. Cieszę się, że nie zadzwoniłam do niego. Prawdopodobnie siedziałabym teraz w kinie zamiast tutaj. – Podskakuję lekko na jego kolanie.

Josh próbuje się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wychodzi.

– Poszedłbym z tobą do kina. Patrz, robi się późno.

Jego dłonie zsuwają się z moich pleców i chwytają mnie za tyłek. Przekrzywia mnie i przeciąga po swym twardym przyrodzeniu. A potem podnosi mnie i stawia na podłodze.

Przysiada na brzeżku kanapy i ukrywa twarz w dłoniach. Oddycha równie ciężko jak ja. Co bynajmniej nie wyrządza krzywdy mojemu ego.

– Ożeż cholera. – Wzdycha. – Jestem taki napalony – mówi i z zażenowaniem śmieje się głucho; doskonale rozumiem jego desperację.

Na pewno się zastanawia, dlaczego właściwie to sobie robi. Jest dorosłym człowiekiem, a tymczasem zachowuje się jak nastolatek obmacujący się z dziwną koleżanką szkolną.

– Chcesz usłyszeć, jaka ja jestem podniecona?

– Lepiej nie – wydusza z siebie.

– Chyba powinnam już jechać do domu. – Modlę się, żeby kazał mi zostać. Bezskutecznie.

– Daj mi minutę – mówi do mnie z twarzą ukrytą w dłoniach.

Zanoszę nasze kubki oraz swoją miseczkę do kuchni i myję je. Potem jeszcze wkładam patelnię do zlewu i zalewam ją wodą z płynem do mycia naczyń. Nogi tak mi się trzęsą, że ledwie jestem w stanie ustać.

– Ja to zrobię – słyszę głos stojącego za mną Josha. – Zostaw.

Bardzo chciałabym popatrzeć, co też dzieje się u niego poniżej pasa, ale jestem damą, więc się powstrzymuję.

Pomaga mi włożyć płaszcz i potem oboje wkładamy buty. W windzie na wszelki wypadek stajemy naprzeciwko siebie, ale przyglądamy się sobie w taki sposób, jakbyśmy za sekundę mieli zatrzymać windę i wyratować się z tego nieszczęścia.

– Czuję się jak twoje wielkanocne jajko.

Przy krawężniku łapie mnie za rękę i przeprowadza przez ulicę. Kiedy dochodzimy już do mojego samochodu, nadstawiam usta. A on ujmuje czule moją twarz w dłonie i naprawdę mnie całuje. Z naszych ust wyrrywają się ciche okrzyki zdumienia. Bo jest tak, jakbyśmy nie całowali się całą wieczność. Josh przyciska mnie do drzwi samochodu, a ja jęczę. Języki, zęby, oddech.

– Smakujesz jak moje wielkanocne jajko.

– Proszę cię, no proszę. Tak strasznie cię pragnę.

– Do zobaczenia jutro w pracy – mówi mi na to. Obraca mnie w ramionach i przyciska usta do mojego karku. Nawet przez włosy jego oddech jest taki gorący, że krztuszę się prawie, kiedy raptownie biorę oddech.

– Uwielbiasz grać rolę dupka, który kontroluje innych? – Wyswobadzam się.

– Możliwe. Zdaje się, jest to spójne z moim charakterem.

Do głowy przychodzi mi pewna myśl.

– A może planujesz tak mnie zamęczyć seksem w noc przed rozmową kwalifikacyjną, żebym zapadła w śpiączkę, dzięki czemu mógłbyś ze mną wygrać?

Josh wkłada ręce do kieszeni.

– Ta strategia działała przy wszystkich moich dotychczasowych awansach. Więc czemu nie skorzystać z niej także teraz?

– Chcesz, żebym podczas ślubu brata kleiła się do ciebie jak wysypka.

Ma teraz coś takiego na twarzy, że aż robię krok w tył i przyciskam się plecami do zimnych drzwi mojego auta.

– Chyba ich nie okłamałeś? Opowiedziałeś im wszystko o specjalistce od chirurgii mózgu, z którą jesteś zaręczony?

Uśmiecha się.

– Doktor Lucy Hutton. Jest inteligentna ponad przeciętną, ale też nieortodoksyjna.

– Pytam poważnie. Odpowiedz. Jadę tam jako ja, prawda? Nie oczekujesz chyba, że będę udawała kogoś, kim nie jestem, prawda?

– Nie.

Obgryzam kciuk i patrzę w głąb ulicy. Skąd to wrażenie, że on kłamie?

– No to w takim razie zaczynam myśleć, że pozostawiasz mnie taką niezaspokojoną, żebym tu stale wracała. Jestem jak kot, któremu wystawiasz spodeczek ze śmietanką.

Josh znowu się śmieje, głośno i serdecznie, jakbym powiedziała coś prześmiesznego. Czuję zadowolenie przemieszane z irytacją i to mnie elektryzuje. Wręcz sypię iskrami: w tym momencie mam w sobie więcej życia niż kiedykolwiek wcześniej.

„Walcz ze mną i całuj mnie. Wyśmiewaj się ze mnie. Powiedz, czy jesteś smutny. Tylko nie każ mi jechać do domu”.

– Będziemy musieli sprawdzić, czy to prawda. Jeżeli wrócisz tu jutro wieczorem, to przyznam, że to jest element zaplanowanej strategii. – Patrzy na mnie z góry z nieskrywanym zadowoleniem.

Dotąd wcale nie wpadłam na taki pomysł, że może tu wrócić. Ale teraz perspektywa następnego dnia promienieje obietnicą.

– Jeszcze jeden.

Całuje mnie w policzek, a ja wzdycham nieszczęśliwie.

– Szoruj stąd już, Babeczko. I pamiętaj, nie chcę cię jutro oglądać, jak dziczejesz.

Nie umiem zapiąć pasa. Jestem taka nakręcona, jakbym odstawiła narkotyki. Josh stuka w szybę, pokazując, że mam niedomknięte drzwi.

W połowie drogi do domu w mojej głowie krystalizuje się straszna myśl.

Że już teraz nie mogę doczekać się jutra.

Dzisiaj jego koszula ma kolor śmietanki.

„Zachowuj się normalnie, Lucy. Wejź tam krokiem bogini seksu. Jak gdyby nigdy nic. No już, włącz!”

Tymczasem widzę, że on na mnie patrzy, i od razu uginają się pode mną nogi. Oczywiście upuszczam torebkę. Wieczko pudełka z lunchem odskakuje i wypada z niego pomidor. Padam na czworaki i przy okazji zahaczam szpilką mojego pantofla o dyndającą sprzączkę od paska.

– Psiakrew. – Próbuję pełznąć.

– Spokojnie. – Josh wstaje i podchodzi do mnie.

– Zamknij się.

Wyplątuje mój płaszcz, zbiera z podłogi mój lunch i na koniec podaje mi rękę. Waham się z jej przyjęciem, ale w końcu pozwalam się podnieść.

– Czy powtórzyć swoje wejście?

Ściąga ze mnie płaszcz i wiesza go.

Drzwi do gabinetu pana Bexleya stoją otworem, w środku palą się światła. Helene jeszcze nie ma, jak zawsze o tej porze. Pewnie wciąż wyleguje się w łóżku.

– Jak ci minął wieczór, Lucindo? Wyglądasz na zmęczoną.

Żołądek mi się zapada z przerażenia, gdy słyszę ten bezosobowy ton, ale potem patrzę na jego twarz i widzę w oczach figlarny błysk. Jeżeli pan Bexley nas podsłuchuje, to nie usłyszał i nie usłyszy niczego odbiegającego

od normy.

To całkiem nowa, bardzo niebezpieczna gra o nazwie Zachowuj się Naturalnie, ale czemu nie, spróbuję.

– Och, chyba był całkiem miły.

– Miły. Hm. Robiłaś coś interesującego? – Trzyma w ręku ołówek.

– Siedziałam na kanapie.

Słyszę, że nerwowo zmienia pozycję, więc zerkam na jego podbrzusze.

– Oczy seryjnego mordercy – mówię do niego bezgłośnie.

Przysiadam na skraju biurka, wydaję Miotacz Ognia i zaczynam się malować, korzystając z najbliższej ściany jako lustro. A on patrzy na moje nogi z tak jawną żądzą, że o mały włos nie smaruję się pomadką po brodzie.

– A ty cóż porabiałeś, Josh?

– Miałem randkę. A w każdym razie wydaje mi się, że to była randka.

– Z kim? I jaka ona była?

– Zaborcza. Rzuciła się wręcz na mnie.

Śmieje się.

– Zaborczość nie jest atrakcyjną cechą. Mam nadzieję, że wykopsałeś ją potem z mieszkania.

– Chyba rzeczywiście zrobiłem coś w tym guście.

– To ją pewnie nauczy. – Upinam włosy w wysoki kok, a potem obciążam sukienkę. To sukienka z cieniutkiej kremowej dzianiny, rozciągliwej i ciepłej, i przyznaję, że włożyłam ją dzisiaj, żeby harmonizowała z jego koszulą. Podoba mu się ta wypindrzona bibliotekarka Lucy? No to dzisiaj ją ma.

Josh przygląda się moim dłoniom. Ja patrzę na jego dłonie. Oboje mamy zbiegłe stawy.

– Ale nie jestem pewien, czy dzisiaj też się z nią spotkam. – Mówi to znudzonym tonem i jednocześnie klika myszą. Kiedy jego oczy patrzą na mnie z ukosa, w myślach cofam się do ubiegłego wieczoru i czuję ucisk we wnętrznościach.

– A może zabierz ją na ślub brata? Udział w takich imprezach z seksowną partnerką u boku zawsze przynosi satysfakcję.

Oboje gapimy się na siebie, przy czym ja powoli osuwam się na krzesło.

Gra w Spojrzenia nigdy nie była równie przesycona seksem. Dzwoni telefon. Patrzę, kto dzwoni, i w moim mózgu niczym neon rozjarza się TYLKO NIE TO!

Josh rzuca jedno spojrzenie na moją twarz.

– Jeżeli to jest on, to ja zaraz...

– To Julie.

– Trochę wcześniej jak na nią, prawda? Musisz być stanowcza.

A tymczasem telefon dzwoni i dzwoni.

– Wpuszczę ją na pocztę głosową. Jestem za bardzo zmęczona, żeby zajmować się tym teraz.

– Nie zrobisz tego. – Wystukuje gwiazdkę, dziewiątkę i odbiera za mnie. Operatorów centrów telefonicznych uczą, że mają się uśmiechać, kiedy odbierają telefony. Ludzie wtedy słyszą uśmiech w głosie. Joshua powinien się tego nauczyć. – Tu numer Lucindy Hutton. Mówi Joshua. Proszę czekać. – Wciska jakiś przycisk i celuje we mnie słuchawką. – Zrób to. Patrę na ciebie.

Oboje obserwujemy błyskające światełko na aparacie.

Nadal jestem uśmiechniętą dziewczyną z farmy truskawkowej. Patrzcie na mnie, jestem grzeczna. Jestem słodziutką kruszynką, ubóstwianą przez wszystkich. Nie ma takiego problemu, z którym bym się nie uporała.

– Chcę zobaczyć, że wobec innych ludzi jesteś równie silna jak wobec mnie.

Wciskam błyskający przycisk.

– Cześć, Julie, jak się masz?

Julie wzdycha tak głęboko, że prawie parzy mi tym westchnieniem ucho.

– Cześć, Lucy. Nie czuję się najlepiej. Jestem niesamowicie zmęczona. Nawet nie wiem, dlaczego przyszłam. Ledwie usiadłam, a ekran już mnie zabija.

– Przykro mi to słyszeć.

Łapię spojrzenie Josha. Jego oczy to teraz dwie szpary, z których błyskają przerażające, niebieskie laserowe promienie. On mnie przepaja swoimi mocami. NIE będę słuchała jej wymówek ani prośb. Nie będę i już.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Julie? – Ton profesjonalny, ale z odrobiną ciepła.

– Miałam zrobić to opracowanie dla Alana, które on ma potem wygładzić i wysłać tobie.

– A rzeczywiście. Muszę to dostać, zanim zamkniemy na dzisiaj interes.

Josh ironicznie podnosi kciuk.

– No cóż, mam trochę problemów ze znalezieniem starych sprawozdań na dysku sieciowym. Stale mi powtarza, że skrót został przeniesiony. W każdym razie próbowałam iluś rzeczy i chyba powinnam sobie odpuścić, wiesz?

– Nie ma sprawy, bylebym to dostała do piątej.

Josh wznosi wzrok do sufitu i wzrusza ramionami. Ja tu myślałam, że jestem stanowcza, a tymczasem nie wywarłam na nim żadnego wrażenia.

– Miałam nadzieję, że pojedę teraz do domu, a tamto zrobię jutro z samego rana, kiedy będę świeższa.

– A czy nie jest przypadkiem tak, że dopiero co tu przyjechałaś? – Czy ja zwariowałam? Jeszcze raz patrzę na zegar.

– Przyjechałam, żeby prędyutko sprawdzić pocztę. – Jej ton wskazuje, że moje wyjaśnienia były jak groch o ścianę. – Alan powiedział, że będzie OK, jeżeli najpierw usprawiedliwię się przed tobą. – W tle słychać pobrzękiwanie kluczyków do samochodu.

Zbroję się w siłę niebieskiego lasera.

– Przykro mi, ale nie godzę się na to. Potrzebuję tego opracowania na piątą, bardzo cię proszę.

– Wiem, że wyznaczyłaś termin – protestuje głosem o jeden poziom ostrzejszym. – Próbuję ci tylko uświadomić, że Alan tego nie dostarczy na czas.

– Ale tak naprawdę to ty potrzebujesz dodatkowego czasu, nie Alan.

Zapada dłuższe milczenie. Czekam, aż ona wreszcie coś powie.

– Myślałam, że będziesz w tej sprawie bardziej elastyczna. – Jej ton osuwa się coraz głębiej w godną podziwu kombinację pokory i lodu. – Źle się czuję.

– Jeżeli musisz jechać do domu – zaczynam i jednocześnie przyglądam się, jak na twarzy Josha pojawia się pogardliwy wyraz – to w takim razie

będziesz musiała iść na chorobowe. A żeby to zrobić, będziesz musiała przynieść zwolnienie od lekarza.

– Nie pójde do lekarza ze zmęczeniem i bólem głowy. Lekarz każe mi się wyspać. Czyli zrobić dokładnie to, co właśnie zamierzam.

– Współczuję ci, jeżeli źle się czujesz, ale taka jest polityka naszego HR.

Josh przejeżdża dłonią po ustach, żeby ukryć szeroki uśmiech. Uprawiam Grę w HR z Julie.

– Współczujesz mi? Zdecydowanie nie nazwałabym tego współczuciem.

– Dotąd traktowałam cię fair, Julie. Wiele, wiele razy przedłużałam ci terminy. Ale nie mogę tak stale zostawać do późna w robocie, żeby mieć sprawozdania na czas.

Josh robi kółka w powietrzu. Więc kontynuuję.

– Jak ty się z czymś spóźniasz, to potem ja muszę zostawać po godzinach.

– Ty nie masz tu ani żadnej rodziny, ani chłopaka, prawda? Możesz chodzić późno spać, bo to nie działa na ciebie tak jak na ludzi, którzy mają mężów, i... i w ogóle na ludzi z rodzinami.

– Ale nie będę miała ani męża, ani w ogóle żadnego życia osobistego, jeżeli będę wysiadywała w firmie do dziewiątej wieczorem, prawda? O piątej chcę mieć opracowanie od Alana.

– Spędzasz za dużo czasu w towarzystwie tego koszmarne Templemana.

– Najwyraźniej. I jeszcze jedno: nie jestem w stanie zapewnić stażu twojej siostrzenicy, bo sprawiłoby mi to kłopot. – I tym kończę rozmowę.

Joshua, który niemalże pokłada się na swoim krześle, wybucha teraz śmiechem.

– Ale jej dowaliłaś.

– Byłam niesamowita, no powiedz. Widziałeś mnie? – Udaję, że młocę pięściami i że zadaję Julie haka.

Josh splata dłonie na brzuchu i obserwuje mnie, jak się boksuję z własnym odbiciem.

– Masz, Julie, masz za swoje życie, za męża i zmyśloną bezsenność.

– Wyrzuć to z siebie do końca.

– Masz, Julie, masz za swoje migrenki.

– Jesteś rzeczywiście niesamowita.

– Masz, Julie, masz za swój francuski manikiur.

– OK. – Uśmiecha się do mnie otwarcie, w tym samym pomieszczeniu biurowym, które jeszcze niedawno było polem bitewnym, a ja padam na swoje krzesło, zamykam oczy i czuję ciepłą łunę jego zadowolenia dolatującą do mnie po marmurowej autostradzie. A więc to ma taki smak. I tak mogło być przez cały ten czas. Wcale nie jest za późno.

– Koniec z wysiadywaniem tu do późna. Prawdopodobnie całkiem zniszczyłam swoje relacje z nią, ale było warto.

– I w mgnieniu oka dorobisz się życia osobistego oraz męża.

– W ogóle zaraz. Pewnie już w przyszłym tygodniu. Mam nadzieję, że będzie supermiły. – Otwieram oczy i już żałuję, że to powiedziałam, bo widzę teraz, jaki on ma wyraz twarzy.

Oboje zwlekamy z powiedzeniem czegokolwiek, a on umyka spojrzeniem w bok. Zakłóciłam brutalnie nasz dialog.

– Proszę, pozwól mi rozkoszować się tą chwilą. Joshua Templeman to teraz oficjalnie mój przyjaciel. – Splatam palce i zakładam ramiona za głowę.

– Idę na swoje biznesowe śniadanie, Josh. Muszę mieć te liczby do lunchu – mówi pan Bexley, wkraczając między nas.

Chyba oboje wiemy, że spotyka się z talerzem pełnym bekonu.

– Już to zrobiłem, zaraz wyślę mailem.

Pan Bexley chrząka, co, jak domniemywam, jest jego najlepszym sposobem na wyrażenie podziękowań lub pochwały, po czym obraca się w moją stronę.

– Dzień dobry, Lucy. Ładną ma pani sukienkę.

– Dzięki.

Blee.

– Zaostrzyła pani pazurki, co? Bo niebawem rozmowa kwalifikacyjna. Zegar tyka. – Docłapuje do mojego biurka i lustruje mnie od szyi w dół.

Zwalczam pokusę, by zakryć się skrzyżowanymi rękami. Nie wiem, jakim cudem pan Bexley nie zauważył morderczego spojrzenia Josha, które jest

przecież odbite kilkanaście razy. Pewnie dlatego, że nadal szacuje mój wygląd tymi świdrującymi oczkami.

– Tylko nie to – mówi Josh do swojego szefa przez zęby. Metalicznym głosem.

– Jestem raczej dobrze przygotowana na tę rozmowę. – Spoglądam na przód swojej sukienki. – Panie Bexley, na co pan tak patrzy?

Spokojnie mierzę go spojrzeniem, a on autentycznie podskakuje w miejscu. Prędko odwraca wzrok i zaczyna przeczesać palcami swoje rzadkie włosy, z twarzą czerwoną jak burak.

Cholerka, naprawdę udało mi się skopać dziś kilka tyłków.

Josh zaciska szczęki i wpatruje się w swoje oszklone biurko z taką wściekłością, że aż się dziwię, jak to się dzieje, że ta szyba jeszcze nie popękała.

– Wściubiłem nosa do gabinetu Helene i faktycznie myślę, że jesteś dobrze przygotowana. Doktorze Josh, my chyba też musimy podyskutować o pańskiej strategii.

Jasna dupa. On opowie Joshowi o moim projekcie. Przenoszę spanikowane spojrzenie na Josha, który patrzy na swego szefa, jakby on był skończonym idiotą.

A potem przypomina mi, że nie, wcale nie jest moim przyjacielem i że choćbyśmy nie wiem ile się całowali na jego kanapie, wciąż rozgrywamy największą z naszych dotychczasowych bitew.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy, żeby ją pokonać.

Rozdział 18

Jest zimny jak lód, a ton jego głosu sprawia, że przed oczami skaczą mi różne epizody z przeszłości. Powiedział to w taki sposób, jakby chciał dać do zrozumienia, że to jest największy idiotyzm, jaki słyszał w życiu. Głupia, malutka Lucy Hutton, której za nic nie można traktować poważnie i która absolutnie nie dorównuje Joshui Templemanowi, w żadnej dziedzinie. Nie dostanę stanowiska dyrektora do spraw operacyjnych, bo niby czemu miałabym? Mnie przecież trzeba szkolić z głupiej rozmowy telefonicznej.

– Może nie – mówi z zadumą w głosie pan Bexley. I najwyraźniej zadowolony, że wsadził kije w aż dwa mrowiska, człapie dalej. Przywołuje windę, a potem jeszcze ogląda się na nas. – Ale może jednak zechce to pan przemyśleć, doktorze Josh.

Drzwi windy zamykają się, a Josh bezgłośnie rzuca: „Pieprz się”. A potem patrzy na mnie.

– Kłamałem.

Zapada taka cisza, że aż dzwoni niczym dwa zderzone z sobą kryształowe kieliszki.

– No to jesteś świetnym aktorem, bo uwierzyłam. – Biorę butelkę z wodą i upijam łyk, starając się uwolnić gniewny ucisk w gardle. Właściwie to jestem mu wdzięczna. Tego mi właśnie brakowało. Jesteśmy dwoma końmi wyścigowymi cwałującymi w stronę mety. Ja trochę zostawałam w tyle, ale właśnie poczułam pierwsze uderzenie bicia. I muszę pielęgnować to uczucie aż do dnia rozmowy kwalifikacyjnej.

– Zawsze nim byłem. Byłem wściekły na niego, że się tak na ciebie gapi, i dlatego wyszło mi to tak niewłaściwie. Mam taki zły nawyk, że potrafię odwarknąć. Spójrz na mnie, Luce. – Patrzę na niego, a on powoli zapewnia mnie raz jeszcze: – Wcale nie myślę tego, co powiedziałem.

– No już dobrze. A zresztą ja tego potrzebowałam. – Wygłaszam to tym samym beznamiętnym, lodowatym tonem, jakim on przemawiał do Bexleya. Nie mam pojęcia, jak daję radę mówić takim zimnym głosem, skoro gniew płonie w mojej piersi jak pochodnia. Też jestem dobrą aktorką.

Josh ma na czole swoją firmową zmarszczkę, świadcząca, że się zdenerwował.

– Potrzebowałaś tego? Mnie w roli palanta? Tak jakoś wychodzi, że tylko to ode mnie dostajesz.

– Dałeś mi właśnie to, co potrzebowałam usłyszeć.

Na życie trzeba patrzeć perspektywicznie i jeżeli postanawiam uwierzyć, że mój rywal właśnie podszlifował moją motywację, to w takim razie mogę zlekceważyć uszczerbek na swojej dumie. Dlatego skupię się i będę szła ostro do przodu. I będę się kierowała promieniem lasera otrzymanym w darze od niego.

Słyszę sygnał z komputera. Pięć minut do spotkania z Dannym, podczas którego omówimy naszą współpracę przy moim e-bookowym projekcie.

– Czekaj. Musimy oczyścić sytuację. To znaczy jeszcze nie mogę wyjaśnić wszystkiego do końca. – Jego wykrzywiona twarz wskazuje, że jest naprawdę mocno wzburzony. – To wszystko dzieje się zupełnie nie w porę. Ani trochę nie chciałem, by to tak zabrzmiało.

– Wychodzę. – Biorę już torebkę i płaszcz.

– A dokąd idziesz? Gdyby Helene pytała? – dodaje. Jest wyraźnie nieszczęśliwy. – Wrócisz w ogóle?

– Spotykam się z kimś na kawie.

– No cóż – mówi po sekundzie. – Nie mam prawa cię zatrzymywać.

– Dziękuję ci, że pozwalasz mi wykonywać moją pracę. – Złośliwie przekrzywiam jego koszyk na pocztę przychodzącą i maszeruję do windy.

Idę do Starbucksa po drugiej stronie ulicy. I jak to jest z tą moją walką z Joshua Templemanem? Ano tak, że naprawdę nigdy nie wygrywam. To właśnie jest w tym wszystkim takie zwodnicze. Ledwie mi się wydaje, że wygrałam, a zaraz wydarza się coś, co mi uświadamia, że wcale nie.

„Proszę, proszę, pozwól mi się rozkoszować tą chwilą. Joshua Templeman

to teraz oficjalnie mój przyjaciel”.

Nie ma w tym nic więcej, tylko najpierw wygrywam, a potem przegrywam, przegrywam i przegrywam.

Danny zajął już miejsce pod samym oknem. To spóźnienie to kolejny gwóźdź do mojej trumny jako profesjonalistki.

– Cześć. Dzięki, że zgodziłeś się spotkać. Przepraszam za spóźnienie.

Zamawiam kawę i potem pokrótce opowiadam mu o swoim pomysśle.

– Mam czas w ten weekend – szlachetnie oferuje Danny. Patrzy na mnie z nieskrywanym zainteresowaniem: na moje włosy upięte na czubku głowy, na odsłoniętą szyję i na czerwień moich ust. Mam złe przeczucie: on, zdaje się, liczy, że z naszym nieudanym pocałunkiem to był tylko taki szczegół.

– Zapłacę ci z własnej kieszeni. Masz może jakieś pojęcie, ile by to kosztowało?

Danny wyraźnie nie widzi żadnego problemu.

– A może tak zawrzemy umowę? Wymień mnie z nazwiska jako autora podczas rozmowy i napomknij Helene o moim projekcie z self-publishingiem. Niewykluczone, że znajdą się jakieś zadania przekrojowe, które będą pasowały do twojego projektu. I do tego... trzysta dolarów.

– Znakomicie, oczywiście zrobię to wszystko – zapewniam go pospiesznie. Stać mnie. Wyeksponuję jego działalność przed zarządem i pomogę mu rozkręcić biznes.

W kolejce po kawę stoi kilkoro ludzi z B&G, patrzą na nas badawczo. Ktoś jeszcze przechodzi właśnie obok kawiarni i macha do mnie. Siedzę w wielkim akwariu. Zaczynają mi płonąć policzki, kiedy myślę o wszystkim, co mówiłam i robiłam z Joshuą na najwyższym piętrze. Te przygryzania, te zniewagi, te pocałunki wysyłane w powietrze, od których chyba smażyły się łącza. W naszym wyizolowanym, małym światku wszystko wydawało się takie normalne i akceptowalne.

– Dzięki, że pomyślałaś o mnie w związku z projektem. – Danny upija łyk kawy.

– No cóż, po naszej kolacji w poniedziałek wiedziałam, że tobie akurat mogę powierzyć taki mały sekret. I jak sam stwierdziłeś, potrzebowałam

wsparcia, dlatego od razu pomyślało mi się o tobie.

– A więc to sekret?

– Helene wie oczywiście. Pan Bexley zna koncepcję, ale nie ma zielonego pojęcia, jak będzie wyglądał rzeczywisty, skończony produkt, który mam nadzieję zaprezentować. – Bardzo bym nie chciała mówić tej następnej rzeczy i jest mi smutno, że cała sytuacja zrobiła się taka popaprana. – Muszę cię też poprosić, żebyś nie wygadał się przed Joshem. Wiem, że go pewnie nie spotkasz, ale na wszelki wypadek proszę, żeby to zostało między nami. On jest absolutnie przekonany, że zdobędzie to stanowisko. Teraz to ważniejsze niż kiedykolwiek, żebym z nim wygrała.

– Nic nie powiem. Ale tak się składa, że on tu jest teraz.

– Co?! – niemalże krzyczę. Nie mogę się teraz obrócić. – Błagam cię, udawajmy, że nadal rozmawiamy o interesach. – Gryzmołę w swoim notatniku jakiś niby wykres, a Danny potem kreśli na nim ukośne linie.

– A jemu właściwie co jest? Zawsze wygląda, jakby był na coś wkurzony.
– Danny kręci głową nad moim notatnikiem i potem jeszcze chwilę uprawiamy pantomimę, że nasza rozmowa ma cel czysto biznesowy.

– Już taką ma twarz.

– Dziwna jest ta dynamika między wami.

– Nie ma żadnej dynamiki. Żadnej dynamiki. – Zaczynam dmuchać do swojej kawy. Jest za gorąca i w ogóle strasznie już nie mam na nią ochoty.

– Ale ty wiesz, że on się w tobie podkocha, prawda?

Wdycham do płuc to, co mam w ustach, i zaczynam tonąć na suchej ziemi. Danny nachyla się w moją stronę i wali mnie pięścią między łopatkami. Łzy ciekną mi po twarzy. Wolałabym, żeby pozwolił mi umrzeć.

– Wcale nie, no co ty gadasz? – udaje mi się wyrzęzić. Wycieram twarz serwetką. – Najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. Słowo daję.

– Jako twój przyjaciel – podkreśla dobitnie Danny ze skąpym uśmiechem – zapewniam cię, że to prawda.

– Co on teraz robi?

– Doprowadza kasjera do zawału. Ludzie się denerwują, co będzie, jeśli on wygra konkurs. Wszyscy wiemy, jaki to spec od cięć personalnych. Kilku

ludzi z graficznego szlifuje już CV na wszelki wypadek.

– A moim zdaniem wcale nie byłoby tak źle pracować dla niego. – Zdobywam się na dyplomację. Nie będę się zniżać do poziomu Josha. Wstaję i zbieram swoje rzeczy.

– Chodź, powiemy mu cześć – mówi Danny, a ja jestem raczej pewna, że chce mi nabruździć. Zwłaszcza że się dziwnie uśmiecha.

– Nie, uciekniemy przez okno w toalecie. No dalej.

Danny śmieje się teraz i kręci głową z niedowierzaniem. Po raz kolejny podziwiam jego odwagę. Wszyscy inni starają się unikać Josha jak ognia, uważając go za potwora. Ale ja znam sekret związany z Joshem. Kiedy o nim myślę, to widzę go, jak ubiegłego wieczoru mierzył mi tętno, jak liczył każde uderzenie mojego serca. Jak mnie okrył kocem, jak owinął mi nim stopy. Naprawdę nie wiem, jak mu się udało utrzymać tę przerażającą fasadę tak długo.

– Cześć – mówimy oboje unisono, podchodząc do niego.

– A cześć – odpowiada wyniośle Josh.

– Co ty mnie tak prześladujesz? – Mówię to tak rozżalonym tonem, że dziewczyna przy automacie do kawy wybucha głośnym śmiechem.

Josh poprawia sobie mankiet.

– Stęskniliście się za sobą, co?

Wypalam laserem słowo SEKRET w mózgu Danny'ego. Unoszę brwi, a on wtedy kiwa głową. Josh przygląda się tej wymianie.

– Lucy rozmawiała ze mną o... o tym, że jest okazja... żeby z nią współpracować. – Danny to geniusz. Nic nie jest bardziej wiarygodne od prawdy.

– Dokładnie tak. Danny pomaga mi z moją... prezentacją. – Choćbyśmy nie wiem jak się starali, nie moglibyśmy chyba wypaść bardziej podejrzanie.

– Pracujesz nad swoją prezentacją. Rozumiem. OK. – Josh odbiera swoją kawę i obdarza mnie spojrzeniem tak oskarżycielskim, że moja twarz niemalże się roztopia. – My też pracowaliśmy wspólnie nad twoją prezentacją, Lucindo? Wczoraj wieczorem na mojej kanapie?

Danny'emu opada szczęka, tak mocno, że prawie zderza się z podłogą.

A ja bynajmniej nie jestem rozbawiona. Jeżeli to się rozejdzie, moja reputacja rozpadnie się na strzępy. Historia co najmniej pikantna, a przecież Danny wciąż ma kontakt z wieloma ludźmi z działu graficznego. I na dodatek jest psem na plotki, który lubi wtykać nos w nie swoje sprawy.

– Możesz sobie pomarzyć, Templeman. Nie zwracaj na niego uwagi, Danny. Odprowadź mnie.

Na wszelki wypadek osłaniam Danny'ego od tyłu, żeby nie został wepchnięty pod nadjeżdżające samochody. Josh idzie za nami spacerowym krokiem, popijając kawę. Ja trzymam ramię Danny'ego tak kurczowo, że krzywi się, kiedy go wlokę na drugą stronę ulicy.

– Nawet jeśli cię porwie i będzie torturował, nie mów mu, co dla mnie robisz. Wykorzysta każdy okrucieństwo informacji, byle tylko mnie zgnoić.

– O ja cię... Wy dwoje jesteście naprawdę śmiertelnymi wrogami.

– A żebyś wiedział, pojedynkujemy się. O świcie sięgniemy po pistolety i szpady.

– Więc on to robi, bo stara się wywiedzieć, jaką strategię szykujesz na rozmowę? – Danny mówi cześć jakiemuś koledze i sprawdza swój telefon.

– Dokładnie tak! – Wyrzucam z siebie nerwowe rzenie. Myślę, że wszystko ma teraz pokrycie. – Zadzwoń do ciebie po pracy, kiedy już się namyślę, którą książkę miałbyś dla mnie sformatować.

Josh już nas prawie dogania. Zaczynam się zastanawiać, czy może jednak sama nie powinnam wepchnąć Danny'ego pod samochód, żeby jakoś rozbić ten koszmarny żywy obraz.

– OK, porozmawiamy wieczorem. No to bywaj, Josh. Powodzenia na rozmowie. – Danny idzie dalej już po chodniku.

Josh i ja nie mówimy do siebie ani słowa, kiedy wsiadamy do windy. Jest taki wściekły, że to aż z niego bucha. Tymczasem ja nadal jestem w połowie trupem po tym, co powiedział Danny. „Ty wiesz, że on się w tobie podkochuje, co?”

– Danny jest taki miły. Co za miły facet. Chyba już rozumiem, co ty w nim widzisz. – Josh mówi to tak ostrym tonem, że aż zderzam się plecami ze ścianą. – Wczoraj miałem chyba wyjątkowo realistyczny sen.

– Hej, co mam ci powiedzieć? Skłamałam. Jestem dobrą aktorką. – Rozkładałam ręce i gnam prosto do biurka.

– Czyli wstydzisz się mnie?

– Nie. Jasne, że nie. Ale nikt nie może wiedzieć. A moim zdaniem Danny to plotkarz. Weź nie rób tej kwaśnej miny. Ludzie będą o nas gadali.

– Też mi nowina. Ludzie od zawsze o nas gadają. Ciebie to nie obchodzi, jeśli ludzie gadają o tobie i o nim, a dostajesz na głowę, kiedy rozmawiają o tobie i o mnie?

– Ty i ja pracujemy w odległości trzech metrów od siebie. To coś innego. Chciałabym ustanowić w tym pomieszczeniu jakiś poziom profesjonalizmu.

Josh szczypie się w nos.

– Proszę bardzo. Rozgrywaj to na swój sposób. Jeżeli to jest ostatnia osobista rozmowa, jaką odbywamy w tym budynku, to w takim razie powiem ci to teraz. W piątek przyjedź spakowana.

– Co? A co się będzie działo w piątek?

– Przywieź swoje rzeczy na wyjazd. Suknię i inne pierdoły. – Widząc, że oczy mam jak spodki, przypomina mi. – Jedziesz ze mną na ślub brata. Sama nalegałaś, pamiętasz jeszcze?

– Czekaj, a dlaczego mam przywieźć suknię już w piątek? Ślub jest w sobotę. Będzie jakaś próba? Nie godziłam się jechać na ten ślub dwa razy.

– Nie. Ślub jest w Port Worth i musimy tam jechać samochodem.

Patrzę na niego ze zwątpieniem.

– To wcale nie jest aż tak daleko.

– Ale dość daleko, dlatego musimy jechać zaraz po pracy. Mama chce mnie zobaczyć już wieczorem, bo mam jej pomóc w kilku sprawach.

Cała ociekam irytacją, panicznym strachem, zranionymi uczuciami i absolutną pewnością, że to będzie katastrofa. Patrzymy sobie w oczy.

– Wiedziałem, że nie będziesz urzeczona, ale nie spodziewałem się aż takiego przerażenia. – Josh rozpięra się na swoim krześle i patrzy na mnie teraz szacującym wzrokiem. – Nie dziczey.

– Nigdy nie byliśmy razem nawet w kinie ani w restauracji. Nerwy mnie brały, jak miałam wsiąść do twojego samochodu. A teraz mi mówisz, że mam

z tobą pokonać ileś godzin jazdy i zabrać piżamę? Gdzie się zatrzymamy?

– Pewnie w jakimś podrzędnym hoteliku.

Zaraz się zapowietrzę. Jeszcze chwila i ucieknę drogą pozarową. Do tej pory byłam dość mocno przekonana, że w którymś momencie zagramy wreszcie w Czy Coś. I wyobrażałam sobie, że dojdzie do tego w jego niebieskiej sypialni, względnie w pakamerze sprzątaczek, przy czym ja będę jednocześnie syczała mu do ucha różne obraźliwe rzeczy. A tymczasem dzisiaj wydarzyło się trochę za dużo.

– Żartuję, Lucy. Muszę pogadać z mamą, gdzie się zatrzymamy.

– Mam poznać twoich rodziców? Nawet się porządnie nad tym nie zastanowiłam. Słuchaj, ja nie jadę. Dopiero co potraktowałeś mnie jak ostatnia świnia, pamiętasz? Musiałabym być walnięta, żeby ci teraz pomagać. Jedź sam, zrób z siebie megacieniasa.

– Zobowiązałaś się. Obiecałaś. Przecież ty nigdy nie łamiesz danego słowa.

Wzruszam ramionami i czuję, że mój kręgosłup moralny wygina się nieprzyjemnie.

– Jakby mnie to obchodziło.

Postanawia teraz wyciągnąć asa z rękawa.

– Twoim przeznaczeniem jest wspierać mnie moralnie.

Chyba najbardziej intrygująca rzecz, jaką mi kiedykolwiek powiedział. Nie potrafię się oprzeć.

– A niby do czego ci wsparcie moralne?

Nie udziela mi odpowiedzi, tylko z zakłopotaniem zmienia pozycję na krześle.

Unoszę brwi, a wtedy mięknie wreszcie.

– Nie wlokę cię z sobą w charakterze niewolnicy seksualnej. Nie tknę cię nawet palcem. Po prostu nie mogę tam jechać bez partnerki. I to ty masz nią być. Jesteś mi to winna, przypominasz sobie? Pomagałem ci w rzyganiu.

Ma teraz minę tak ponurą i zaciętą, że przenika mnie chłód. Zaczynam coś przeczuwać.

– Wsparcie moralne? Czyli będzie aż tak źle?

Jego komórka zaczyna dzwonić; patrzy to na nią, to na mnie, wyraźnie rozdarty.

– Aktualnym problemem jest zgranie w czasie. Muszę odebrać ten telefon.

Rusza w głąb korytarza, a ja sprawdzam trasę, zupełnie zrezygnowana, bo niestety powiedział samą prawdę. Obiecałam.

Dawno, dawno temu, powiedziałabym: mikroskopijną wieczność temu, potrafiłam wylegiwać się na swojej kanapie jak każdy normalny człowiek. Oglądałam telewizję, pojadałam łąkocie i malowałam paznokcie. A teraz jestem narkomanką, muszę się wpijać w poduszki tymi zaniedbanymi paznokciami, żeby przypadkiem natychmiast z tej kanapy nie wstać, nie włożyć butów i nie pobiec do domu Josha. Aż mnie wszystko boli od tego wysiłku. W związku z tym funduję sobie obciążenie, kładąc laptopa na pierś, i potem z letnim zainteresowaniem przeskakuję między stronami wiadomości, prezentacją, aukcjami smerfów i moją ulubioną stroną z głupawymi ciuchami retro.

Dostaję powiadomienie, że rodzice właśnie zalogowali się na Skype'a, i łączę się z nimi tak prędko, że to aż trochę żenujące. Na ekranie pojawia się matka, zbyt blisko kamery i bardzo wykrzywiona.

– Głupie urządzenie – mruczy, ale zaraz jaśniej na twarzy. – Smerfetko! Jak się masz?

– Znakomicie, a ty?

Zamiast odpowiedzi widzę na ekranie rozporek jej dzinsów, bo wstaje i przez całą długą minutę przywołuje ojca. „Nigel! Nigel!” Nawet ten znajomy ton i kadencja jej głosu sprawiają, że aż się kurczę wewnętrznie z tęsknoty za domem. Wreszcie się poddaje.

– Pewnie poszedł na pole – mówi, znowu siadając. – Zaraz pewnie przyjdzie.

Patrzemy na siebie przez dłuższą chwilę. Tak rzadko mam ją tylko dla siebie, bez taty z jego osobowością, która jak bujny wiatr popycha rozmowę do przodu, że wręcz nie wiem, od czego tu zacząć. Raczej nie powinnam rozmawiać o pogodzie ani o tym, jaka ostatnio jestem zapracowana. Kiedy

więc zaczynam szukać właściwych słów, a ona mruży swoje przenikliwe niebieskie oczy, dociera do mnie, że powinnam zadać pytanie, które mnie męczy od ostatnich kilku tygodni, a może nawet całe życie. To coś, o co należało ją zapytać wiele lat temu.

– Zanim się urodziłam, to znaczy kiedy poznałaś tatę... dlaczego właściwie zrezygnowałaś z marzeń?

To pytanie brzęczy głucho w martwym, statycznym powietrzu między nią a mną. Mama przez dłuższą chwilę nie odpowiada i czuję, że chyba powiedziałam coś, czego naprawdę nie należało mówić. Kiedy znowu patrzy mi w oczy, widzę w jej spojrzeniu stanowczość i przekonanie.

– Jeżeli pytasz, czy żałuję, że dokonałam takiego wyboru, to powiem ci, że nie.

Siada głębiej na krześle, ja rozsiadam się wygodniej na kanapie i nagle jest tak, jakby nie dzieliły nas żadne ekrany. Jakby ani jej, ani mnie nie okalały ramy monitorów, jakby w dolnych rogach ekranów nie było okienek podglądu, odwracających uwagę widokiem naszych twarzy. Jakbym mogła złapać ją za rękę. Jesteśmy z sobą tak blisko po raz pierwszy od tamtego ostatniego razu, kiedy ścisnęłam ją na lotnisku i wdychałam woń jej szamponu i zapach słońca. Przyglądam się jej i widzę, że się zastanawia, a przecież zegar nieubłaganie tyka; zaraz przyjdzie tato i nam przerwie.

– Jak mogłabym żałować? Nawet przez sekundę nie żałuję, bo mam twojego ojca i mam ciebie.

Wiedziałam, że tak mi odpowie i że tak się do mnie uśmiechnie. Jak mogłaby powiedzieć coś innego?

– Ale czy nie zastanawiasz się, gdzie byłabyś teraz, gdybyś wybrała karierę zamiast niego?

Znowu uchyla się od odpowiedzi.

– Chodzi ci o twoją rozmowę kwalifikacyjną? Boisz się, co będzie, jeżeli stracisz swoją wielką szansę?

– Coś w tym guście. Właśnie zaczęłam myśleć, że nawet jeśli dostanę tę pracę, to być może stracę inne... możliwości.

– Nie wydaje mi się, abyś miała jakiegokolwiek powody zrezygnować ze

swego marzenia. Chcesz tego, sama to widzę. Słyszę to w twoim głosie. Czasy się zmieniają, słoneczko. Nie musisz z niczego rezygnować. Nie musisz dokonywać takich wyborów jak ja. Powinnaś tylko dać z siebie wszystko.

Słysząc trzask drzwi i mama ucieka spojrzeniem poza ekran.

– Twój tato.

Zaczynam szaleć wewnątrz. Nie mogę jej powiedzieć o zmianie w moim związku z Joshem, o naszej rywalizacji i o tym, co stracę, niezależnie od tego, jaki będzie wynik. Nie ma na to czasu. Jest czas tylko na to.

– Gdybym była w takiej samej sytuacji, gdybym szła przez sad i być może za chwilę miała zboczyć z raz obranej drogi, to co byś mi wtedy powiedziała?

Mama znowu patrzy poza ekran i słyszę teraz łupanie ciężkich buciorów na schodach zmierzających w stronę ich pomieszczenia biurowego. Odpowiedź mamy upewniła mnie, że w jej sercu jednak tkwi ta zadra – pytanie „Co by było, gdyby”.

– Co bym ci powiedziała? Powiedziałabym ci, że masz iść dalej. Chcę, żebyś coś osiągnęła. Miej przed oczami nagrodę i cokolwiek będziesz robić, po prostu idź dalej.

– Co się dzieje? – Pojawia się tato, który całuje mamę w czubek głowy, a potem widzi mnie na ekranie.

– Czemu mnie nie ściągnęłaś? Co tam u mojej córeczki? Gotowa pokonać Jimmy’ego na rozmowie kwalifikacyjnej? Ciekawe, jaką będzie miał minę, kiedy ty dostaniesz ten awans. Ja sam ją sobie wyobrażam. – Siada na krześle obok mamy i potem patrzy z zachwytem na sufit, rozkoszując się moim fikcyjnym zwycięstwem i własną mądrością.

Widzę to na maleńkim okienku z podglądem: moja twarz się zapadła. W powiększeniu widać to pewnie jeszcze lepiej i oczywiście mama zauważyła.

– Och. Już teraz rozumiem. Lucy, dlaczego nic nie powiedziałaś?

Tato gna naprzód, nie czekając na moją odpowiedź. Następny temat.

– Kiedy przyjeżdżasz do domu?

Przyznaję, że w tym miejscu pauzuję nieco dłużej, dla lepszego efektu.

– W długi weekend. – Taką właśnie odpowiedź chciało z całej siły udzielić moje serce i kiedy widzę, jak twarz mojego ojca rozciąga się w ten szczerbaty uśmiech, cieszę się, że to powiedziałam. Mama tymczasem cały czas niezachwianie patrzy mi w oczy.

– Po prostu idź dalej, no chyba że to coś na drzewie jest równie wyjątkowe jak cel, w stronę którego podążałaś.

– O czym wy, u licha, gadacie? Słyszałaś ją? Przyjeżdża do domu! – Krzesło ojca skrzypi rytmicznie, a ja, podobnie jak kiedyś mama, stoję u bram przerażająco wielkiego sadu i muszę skupić spojrzenie na przeciwległym krańcu, gdzie jest wyjście. Spojrzenie silne jak laser, które ani razu nie wędruje ku niebu.

Jest piątek. Powinnam zobaczyć straszną musztardową koszulę, a jednak jej nie widzę. W bagażniku samochodu mam zapakowaną torbę i przez ostatnie dwa dni byłam tak zdenerwowana tym weekendem, że prawie nie jadłam. Przetrwałam ten czas na koktajlach owocowych i herbacie. Tej nocy spałam tylko dwie godziny.

Wielka ulga, że dotarliśmy do tego punktu. Im prędzej stąd wyjedziemy, tym prędzej się z tym uporamy. Mój umysł, tak w snach, jak i na jawie, przemielił do tej pory chyba wszelkie możliwe scenariusze. I teraz jestem pewna tylko jednej rzeczy, a mianowicie tego, że cokolwiek się wydarzy, to niebawem będzie po wszystkim.

Josh już od dobrej godziny siedzi w gabinecie pana Bexleya. Było słyhać podniesione głosy, potem pokrzykiwanie pana Bexleya i wreszcie zapadła cisza. Wcale to nie pomogło na moje zdenerwowanie.

Helene weszła tam wcześniej, żeby interweniować. Jeszcze groźniejszy był widok Jeanette, która jakieś czterdzieści pięć minut temu przemknęła obok mnie i wkroczyła w sam środek awantury. Możliwe, że strategia Josha polega na sporych cięciach personalnych, i została wezwana na konsultacje.

Po wyjściu stamtąd przystanęła przy moim biurku, popatrzyła na mnie i roześmiała się. To był śmiech słyszalnie zabarwiony histerią, jakby właśnie usłyszała coś arcyśmiesznego.

– Życzę ci szczęścia – mówi do mnie. – Bo ono ci się przyda. To wykracza poza moce HR.

Namierzyli nas. Ktoś widział mnie i Josha razem. Czyli mamy przerąbane. Danny komuś powiedział. I wyciekło. Tego scenariusza nie było w umowie. Kulę się i przyciskam policzek do kolana. „Wdech, wydech”.

– Kotuś! – Helene jest przerażona, kiedy podchodzi do mojego biurka. A ja mam szaro przed oczami. Próbuję wstać, ale chwieję się w miejscu. Helene zmusza mnie, żebym usiadła, i wręcza mi butelkę z wodą. – Dobrze się czujesz?

– Zaraz zemdleję. Co się tu dzieje?

– Dyskutują o rozmowie kwalifikacyjnej. Pomysł Josha w związku z przyszłością firmy nie do końca harmonizuje z pomysłem Bexleya.

Przysuwa sobie krzesło i siada obok mnie. Zaraz zostaną wylana. Zaczynam sapać.

– Czy ja mam kłopoty? Czy on uczestniczy w jakiejś wstępnej rozmowie? Jeżeli tak, to czemu ja tego nie robię? I dlaczego jest w to zamieszany dział HR? Cały czas słyszałam pokrzykiwania. I Jeanette powiedziała coś, co zabrzmiało naprawdę groźnie. Że będę potrzebowała szczęścia. Czy ja mam jakieś kłopoty? – Kończę tą samą żalostną nutą, jaką zaczęłam.

– Oczywiście, że nie. Oni się tam wyjątkowo paskudnie pożarli, kotuś. Wiecznie się o coś żrą. Uznałam, że trzeba ściągnąć Jeanette, żeby im przypomniała, co to jest etyka zawodowa. Nie ma nic gorszego niż dwóch mężczyzn, którzy powarkują na siebie jak psy.

Helene patrzy na mnie jakoś dziwnie. Pewnie strasznie wyglądam.

– Czy on... – Połykam ciąg dalszy, ale ona mi nie odpuszcza.

– Czy on co?

– Czy z nim wszystko w porządku? Czy z... czy z Joshem nie dzieje się nic złego?

Helene kiwa głową, ale ja wiem, jak jest. Ostatnie dwa dni były wyczerpujące. Josh nie okazywał nic więcej prócz grobowej grzeczności, ale teraz już potrafię lepiej niż kiedykolwiek wcześniej odczytywać wszelkie niuanse tego, co maluje się na jego twarzy. Jest wykończony. Smutny.

Zestresowany. Nie umie zdecydować, co jest gorsze, czy kontakt wzrokowy, czy jego brak.

I ja to rozumiem. Naprawdę.

Stwierdzam, że jeśli będę unikała go wzrokiem, w zamian fiksując się na ekranie komputera, to nie będzie mi aż tak się kotłowało w żołądku. W środku przestaną wirować przysłowiowe motyle, jeżeli uda mi się omijać spojrzeniem błękit jego oczu i kształt jego ust. Tych ust, które całowałam, bez końca. Nikt nie potrafi całować tak jak on i to jest kolejny dowód na to, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Zniewaga, jakiej doznałam, słysząc to „Nie potrzebuję niczyjej pomocy, żeby ją pokonać”, straciła na mocy. Jak on mógł powiedzieć coś tak gówniarskiego. Ale gdyby role się odwróciły i torturowałyby nas tutaj Helene, to kto wie, czy nie powiedziałabym czegoś takiego. Wcale nie jestem niewinną ofiarą w tej naszej prywatnej wojence.

Jesteśmy tacy, ponieważ znaleźliśmy sobie kogoś, kto potrafi wiele wytrzymać, a jednocześnie dać popalić innym. I gwarantuję jedno. Na rozmowie kwalifikacyjnej dam im popalić. Nawet przez sen umiałabym udzielić odpowiedzi na każde możliwe pytanie. Dlatego jemu z pewnością przydałaby się pomoc, żeby mnie pokonać.

Helene przygląda mi się uważnie, oczami empatycznie złagodniałymi.

– To miłe, że troszczysz się o niego, kotuś, ale Josh to duży chłopiec. Bardziej powinnaś się martwić o Bexleya. Wiem, na kogo postawiłabym swoje pieniądze.

– Ale dlaczego pan Bexley...

– Nie mogę powiedzieć. To ich poufne sprawy. Porozmawiajmy lepiej o twoim interview. Jak efekty spotkania z Dannym?

– Będzie dobrze. Na pierwszy ogień przerobimy na wersję elektroniczną ten stary thriller *Krwawe lato*. To była kiedyś ulubiona powieść mojego taty. Danny obiecał, że uwinie się z tym w weekend, za niesamowicie atrakcyjną cenę.

– No to ładnie z jego strony. Jeżeli prezentacja zrobi wrażenie na komisji, to niewykluczone, że zostanie naszym konsultantem. A co u twojego taty?

Kiedy wybierasz się do domu, kotuś? Rodzice na pewno za tobą tęsknią.

– Wkrótce długi weekend. Wtedy będę musiała pojechać. Właściwie to chciałabym mieć tydzień wolnego. – Podczas tej chwili milczenia, która teraz zapada, dociera do mnie, że do mojego oświadczenia nie przylepiło się zwyczajowe „jeśli się zgodzisz”. Moje dawne ja kręci głową z niedowierzaniem.

Patrzę na moją cudowną, wielkoduszną przyjaciółkę i ona kiwa głową, jak to przewidziałam.

– Nie ma sprawy. Weź urlop przed rozpoczęciem nowej pracy. – Jej wiara we mnie jest niezachwiana.

Moja nowo odkryta asertywność bynajmniej nie pomaga wyzbyć się uczucia, że dzieje się coś złego. Znowu patrzę na zamknięte drzwi do gabinetu pana Bexleya.

– Jedź do domu, kotuś. Tak późno w piątek już i tak nikt nie zadzwoni. Zresztą to powinno być zabronione prawem. Co porabiasz w ten weekend? – Mam dziwne wrażenie, że ona poddaje mnie jakiemuś sprawdzianowi.

Okłamywać to ja potrafię tylko Josha.

– Chyba wybiorę się na przejażdżkę z... przyjacielem. A właściwie to wcale nie jest przyjaciel. To znaczy nie umiem jeszcze zdecydować, czy powinnam jechać.

Mam wrażenie, że „przyjaciel” to słowo z obcego języka, które źle wymawiam. „Przyciel” czy jakoś tak. Helene zauważyła to moje chwilowe zawahanie i uśmiecha się.

– Powinnaś jechać. Mam nadzieję, że będziesz się wspaniale bawiła z tym przyjacielem. Bo potrzebujesz kogoś takiego. Wiem, że od czasu fuzji, od czasu, kiedy straciłaś Valerie, jesteś bardzo osamotniona. – Niespodziewanie ujmuję mnie za ramiona i całuje w oba policzki. – Widzę, że twój mózg stale pracuje na najwyższych obrotach. Moim zdaniem chociaż podczas tego weekendu powinnaś wszystko zostawić. Zapomnieć o rozmowie kwalifikacyjnej. Tak czy owak, któregoś dnia stanie się tylko odległym wspomnieniem.

– Oby dobrym. Triumfalnym.

– Teraz to już zależy wyłącznie od bogów rządzących rekrutacją. Wiem, że ty zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

Muszę przyznać, że to prawda.

– Ważne teraz jest tylko to, żeby udało się stworzyć tego e-booka. Bo poza tym byłabym gotowa iść na interview już teraz.

– Jestem twoją szefową i przykazuję ci rozerwać się choć trochę w ten weekend. Bardzo zmizerniałaś w ciągu ostatnich kilku dni. Popatrz na swoje oczy. Zaczerwienione. Wyglądasz równie źle jak Josh. Ogłaszając konkurs na to stanowisko, doprowadziliśmy was oboje do załamania nerwowego. – Ponuro wydyma usta.

– Są takie chwile, kiedy wolałabym, żeby tego wszystkiego nie było. Tej fuzji. Tego biura. Konkursu. Coś się kończy, a ja jeszcze nie jestem na to gotowa.

– To przykro mi. – Helene klepie mnie po rękę. – Bardzo przykro.

– Uzupełniłam swoje dane, na wypadek gdybym musiała odejść. Wysłałam swoje CV do pięciu czy sześciu agencji pracy. Posprzątałam w szufladach. Zasadniczo jestem spakowana. Na wszelki wypadek.

Helene spogląda na biurko Josha, które wydaje się jeszcze bardziej sterylne niż zwykle. Zrobił to samo. Można by przeprowadzić na blacie operację chirurgiczną.

– Nie mogę cię stracić. W razie czego znajdziemy ci miejsce w innym dziale. Takie, żeby ci się spodobało. Nie chcę, żebyś się zamartwiała przez cały weekend, w przekonaniu, że brakuje ci rozwiązań.

– I miałabym wpadać w windzie na nowego dyrektora do spraw operacyjnych? Jakież by to było upokarzające.

Potrafię to sobie wyobrazić. W całym ciele robiłoby mi się gorąco i na samo wspomnienie dostawałabym gęsiej skórki. A on patrzyłby na mnie z góry, chłodnym spojrzeniem profesjonalisty. A ja mówiłabym mu grzecznie „Dzień dobry” i przypominałabym sobie, jak raz przycisnął mnie do ściany windy, całkowicie zmieniając reguły gry. Po czym wysiadałabym na swoim piętrze, a on kontynuowałby podróż na najwyższe piętro.

Lepiej odejść stąd, niż siedzieć naprzeciwko niego przy stole

konferencyjnym i widywać go przelotnie na parkingu. Na pewno znajdzie sobie kolejną kobietę, którą będzie torturował i fascynował. Niewykluczone, że pewnego dnia zauważy obrączkę na jego palcu.

– Czemu miałabym robić sobie coś takiego?

Mam chyba teraz wyjątkowo ponurą minę, bo Helene próbuje mnie rozweselić.

– Proszę cię, zabaw się w ten weekend. Zaufaj mi. To ci naprawdę wyjdzie na dobre.

– Przełączę rozmowy na moją komórkę i powiadomię cię w razie czegoś pilnego.

Postanawiam zjechać na dół do auta. Chcę otworzyć bagażnik i popatrzeć na swoją torbę, w ten sposób jeszcze przez jakiś czas nie będę musiała się mierzyć z tym kardynalnym pytaniem. Z pytaniem, które brzmi: „Co ja czuję do Josha?”. Kluczyki lśnią na dnie torebki. Mogłabym teraz wsiąść do samochodu i odjechać.

Klepię się po kieszeniach i stwierdzam, że mam problem. I to duży. Gdzieś zniknęła moja komórka. Zaglądam pod biurko, do torebki, między teczki z dokumentami, grzebię w papierach. Nie pamiętam, kiedy ją widziałam po raz ostatni.

Znajduję ją obok umywalki w toalecie. Kiedy wracam do swojego biurka, Josh właśnie wychodzi z nasiadówki z panem Bexleyem. Ani jeden włos na jego głowie nie leży na swoim miejscu.

Rozdział 19

O co chodziło? – Wyginam ręce w tył i obejmuję oparcie krzesła.

– Spory na gruncie profesjonalnym.

Nieopatrznie unosi ramię, przypominając mi o tym, w co jest ubrany. Kiedy tu dzisiaj wszedł, miał na sobie jasnozieloną koszulę, której nigdy dotąd nie widziałam. Cały dzień usiłowałam stwierdzić, czy to jakiś zwiastun zagłady czy też ubóstwiał tę koszulę.

– Skąd ta zielona koszula?

– Zieleń wydawała się stosowna, biorąc pod uwagę scenkę w Starbucksie.

Pan Bexley wychyla się ze swojego gabinetu, patrzy na nas oboje i kręci głową.

– Szlag by to trafił. Powiadam wam, szlag by to trafił.

Wygląda tak, że szekspirowska wiedźma nie dorasta mu do pięt.

Josh parska śmiechem.

– Richard, proszę cię.

– Zamknij dziób, Bexley – słyszę cichy głos Helene.

Pan Bexley chrząka i zatrząskuje za sobą drzwi. Josh patrzy na swoje biurko, bierze pudełko z miętówkami i chowa je do kieszeni. Przełącza telefon na pocztę głosową i zasuwa krzesło. Biurko wygląda dokładnie tak samo jak tamtego dnia, kiedy go poznałam. Sterylne. Bezosobowe. Podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz.

Po raz nie wiadomo który przypomina mi się tamten pierwszy moment. Sterczę obok swojego biurka i czuję, że nerwy mam w strzępach. Przy oknie stoi rosły mężczyzna z lśniącymi, czarnymi włosami; trzyma ręce w kieszeniach. Kiedy zaczyna się odwracać, modłę się, by jednak nie był aż taki nieziemsko przystojny, jak mi się wydaje. Promień słońca pada na jego twarz i prawie mam pewność.

A kiedy te oczy mnie namierzają, już to wiem.

Patrzy na mnie. Omiata mnie spojrzeniem od głowy po czubki butów. „Wypowiedz te słowa”, nachodzi mnie desperacka myśl. „Jaki ty jesteś piękny. Proszę, zostaliśmy przyjaciółmi”.

– Powiedz mi, co jest grane.

– Zobowiązałem się do poufności.

Doskonale wie, czego nie będę podważała, i sprytnie tę wiedzę wykorzystuje.

– Powiedz mi, że nie zaproponowali ci nieformalnie tego stanowiska.

– Nie, niczego mi nie zaproponowali.

Zniżam głos do szeptu.

– Czy oni wiedzą... o nas?

– Nie.

Moje dwie największe obawy są wyraźnie bezpodstawne.

– No więc... jak się stąd wydostaniemy? Wciąż muszę to zrobić?

– Owszem. Tamto urządzenie, o tam – wskazuje ręką, jednocześnie zdejmując mój płaszcz z wieszaka – to jest winda. Już zdarzało ci się do niej wsiadać. Razem ze mną, przypominam. Przeprowadzę cię przez cały proces.

– A jeśli ktoś nas zobaczy?

– Teraz to mówisz? Lucindo, jesteś bezcenna.

Klepię w klawiaturę, żeby zamknąć komputer, chwytam torebkę i postukując obcasami, idę za nim. Usiłuję wyrwać swój płaszcz spod jego pachy, ale on kręci głową i upomina mnie nosowym dźwiękiem. Drzwi windy otwierają się i wciąga mnie do środka, opasując ręką w talii.

Odwracam się i widzę Helene, która stoi oparta o framugę swoich drzwi, demonstrując zwyczajne rozbawienie. A potem odrzuca głowę w tył i śmieje się z zachwytem, klaszcząc jednocześnie w dłonie. Josh do niej macha, kiedy drzwi windy już się zamykają.

Obiema dłońmi popycham go na przeciwległy kraniec kabiny.

– Stań tam. Wszystko po nas widać. Ona nas słyszała. Ona nas widziała. Niesiesz mój płaszcz. Ona wie, że w życiu byś tego nie zrobił. – Jest mi tak głupio, że aż chrypnę.

– Wiadomość z ostatniej chwili: robię to! – Obwodzi palcem przycisk alarmu.

Chwytam jego dłoń w stalowy uścisk. Mam wrażenie, że on tłumi śmiech.

Kiedy docieramy do podziemi, zaczynam się skradać, wysforowując jednocześnie naprzód.

– Droga wolna.

Idę do swojego samochodu i otwieram bagażnik. Moja walizka leży krzywo i na dodatek do góry nogami, co traktuję jak omen. Mam ochotę wskoczyć do samochodu, wyjechać z parkingu z towarzyszeniem pisku opon i zgrzytania hamulcami, a potem zgubić go na mieście podczas jazdy z rajdową prędkością. Równie szybko jak ta wizja powstaje mi w głowie, materializuje się jego ręka, która sięga do bagażnika, wyjmując moją walizkę i wędruje z nią w stronę jego samochodu. Chwytam moją torbę podręczną, zamykam auto i nagle coś sobie uświadamiam.

– Jeżeli zostawię tu samochód, Helene się połapie. Bo na pewno go zauważy.

– Może powinniśmy go zamaskować gałęziami w jakimś lesie?

Znakomity pomysł, nie ma co. Rozmasowuję sobie żołądek.

– Ja nie...

– Nawet mi nie mów, że nie chcesz tego robić. Masz to wypisane na twarzy. Ja też nie chcę tego robić. Mimo to jedziemy.

Robi się nieco obcesowy. Moje rzeczy są teraz w jego bagażniku, torebka leży na fotelu pasażera.

– Mogę odprowadzić swój samochód do domu?

– O pewnie. Przecież mi uciekniesz. Jeżeli ktoś cię spyta w poniedziałek, powiesz, że ci się znowu zepsuł. To idealne alibi, bo twój samochód to rzech.

– Josh... ze strachu wychodzę z siebie. – Muszę się oprzeć o drzwi jego auta, żeby utrzymać równowagę. Jeżeli wcześniej myślałam, że wszystko dzieje się zbyt prędko, to teraz nabrało prędkości warpowej, jak w *Star Treku*.

A on jak gdyby nigdy nic zdejmując krawat i rozpina dwa guziki. Jest piękny, nawet w tych strasznych podziemiach.

– Tak, to widać. – Jego zmarszczka na czole pogłębia się. – I ja też. Wyglądasz na wykończoną.

– Nie mogłam spać. A ty czemu się boisz?

Ignoruje pytanie.

– Możesz się przespać w samochodzie. – Otwiera mi drzwi. Próbuje mnie wsadzić do środka, ale zapieram się obcasami.

– Rozmowa kwalifikacyjna. Praca.

– Chrzań to. Rozmowa po prostu się odbędzie. Jakoś się uporamy z wynikiem. – Bierze mnie za ramiona.

– To nie jest takie proste. W wyniku fuzji straciłam kogoś, kto był dla mnie ważny, moją przyjaciółkę Val. Ja zachowałam pracę, ona ją straciła i teraz już się nie przyjaźnimy. To tylko taki przykład – tłumaczę pospiesznie. O mały włos powiedziałabym mu, że jest dla mnie kimś ważnym. A w każdym razie dałam do zrozumienia, że jesteśmy przyjaciółmi.

Josh mruży oczy.

– Z tej opowieści wynika, że ta dziewczyna to mała.

– Dlatego jestem samotną niedojdą. Słuchaj, jutro mam poznać twoją rodzinę. Spójrzmy prawdzie w oczy, niemal na pewno już niedługo zobaczymy siebie nago. Jest w tym jakaś presja, małeńka, bo małeńka, ale jednak.

Znowu mnie ignoruje.

– To nasza ostatnia szansa, żeby coś zrobić z tym naszym bagienkiem.

Wciąż się waham, wciąż się zapieram jak osioł.

– Ten weekend będzie dla mnie trudny. Ale jeśli ty będziesz przy mnie, może jakoś to przetrwam.

Zapewne pod wpływem zaskoczenia spowodowanego tym wyznaniem moje kolana miękną i mogę wsiąść do samochodu. Momentalnie zrzekam się kontroli nad sobą na rzecz ostatniej osoby, której bym ją wcześniej powierzyła.

Porażka sprawia, że robi mi się słabo. Nawet w trakcie pakowania torby i kupowania sukni byłam pewna, że w ostatniej chwili znajdę sposób, żeby uciec albo się jakoś wymigać. Tylko w najgorszych scenariuszach widziałam

siebie w jego samochodzie, jak wyjeżdżamy razem z parkingu B&G.

Słońce schodzi niżej po niebie, kiedy Josh wiezie nas przez popołudniowy ruch na ulicach. Wydaje się, że wszyscy w mieście wpadli na ten sam pomysł: najwyższy czas uciec, ukryć się wśród jasnych, malowniczych wzgórz.

Czuję potrzebę przerwania tego krępującego milczenia.

– To jak długo będziemy jechać?

– Cztery godziny.

– Według map Google’a pięć – mówię, niewiele myśląc.

– Tak, jeśli prowadzisz jak własna babcia. Cieszę się, że nie ja jeden potajemnie prześledziłem trasę do mojego miasta rodzinnego. – Wzdycha, kiedy inny samochód zajeżdża nam drogę, zmuszając go do ostrego hamowania. – Palant.

– Jak my spędzimy te cztery godziny? – Wiem, co chciałabym robić. Chciałabym leżeć na tym ciepłym, skórzanym siedzeniu i wpatrywać się w niego. Chciałabym się nachylić i wtulić twarz w twardą poduszeczkę jego ramienia. Chciałabym poczuć jego zapach i zapamiętać go na zawsze, by przypominać go sobie wtedy, gdy będę go potrzebowała.

– Jakoś zawsze damy radę.

– A w końcu gdzie się zatrzymamy? Błagam, nie mów, że u twoich rodziców.

– U moich rodziców.

– Ożeż, jasna cholera. Dlaczego? Dlaczego? – Nieporadnie sadowię się prosto.

– Żartowałem. Przyjęcie weselne odbędzie się w hotelu. Patrick zarezerwował tam ileś pokoi, tak więc mamy tylko powiedzieć, że jesteśmy gośćmi weselnymi, kiedy będziemy się meldowali.

– Hotel jest rzeczywiście podrzędny?

– Bardzo mi przykro, ale niestety ani trochę. Dopilnuję, żebyś dostała oddzielny pokój.

Wszystko wskazuje na to, że był śmiertelnie poważny, kiedy zapewniał, że nie tknie mnie nawet palcem. Tak więc to, co mi teraz mówi, jest jak

wiadro zimnej wody na pożar szalejący w mojej piersi i po jakiejś chwili czuję, że mam tam teraz dymiące zgliszcza. I wcale nie jestem pewna, czy to mi przyniosło ulgę.

– To czemu ty nie zatrzymasz się u rodziców?

Kiwa głową.

– Bo nie chcę. – Jego usta wyginają się w dół z wyraźnym przygnębieniem, a ja impulsywnie klepię go po kolanie.

– Będę cię osłaniała w ten weekend, słyszysz? Jak podczas paintballa. Ale tylko w ten weekend.

– Dzięki, że mnie wtedy broniłaś, zwłaszcza że oberwałaś wiele razy. Ale do dziś nie rozumiem, dlaczego właściwie to zrobiłaś.

Trochę zezuje, bo oślepia go słońce, więc wyszukuję okulary słoneczne w przegrodzie. Chucham na nie i przecieram swoim rękawem.

– Przecież to ty tak wymyśliłaś, żebym była ostatnią osobą atakującą flagę. Byłam z góry spisana na straty.

– Zrobiłem to, bo wyglądałaś, jakbyś tam zaraz miała paść trupem. Dzięki.
– Bierze okulary.

– Ano tak. A ja myślałam, że ty znowu wycinasz mi jakiś numer. Nikt mnie nie będzie osłaniał. Lucy Hutton, czyli pospolite mięso armatnie.

– Cały czas cię osłaniałem. – Sprawdza lusterko i zmienia pasy.

Czuję, że gdzieś w okolicach serca migocze mi maleńki płomycek.

– Ale żałuj, że nie widziałeś moich siniaków.

– Kilka widziałem.

– A, prawda. Kiedy zdjęłaś mojego Śpiozaurusa. – Przykładam policzek do oparcia i otwieram oczy. Zatrzymaliśmy się na światłach i widzę teraz w kąciku jego ust maleńką zmarszczkę uśmiechu. – Nie masz pojęcia, jak mi głupio, że mnie widziałeś w tej górze od pizamy. Mama mi ją dała kilka lat temu pod choinkę.

– Och, nie wstydz się tak. Wyglądasz w niej fantastycznie.

Śmieje się i czuję, że ubyło mi trochę tego stresu. Wyjechaliśmy już na przedmieścia i słońce zaczyna zachodzić, a my meandrujemy po wielkich połaciach zieleni. Nigdy dotąd nie wyjeżdżałam tak daleko. Muszę wreszcie

zacząć żyć własnym życiem, a nie wiecznie chodzić tą samą drogą, do wydawnictwa i z powrotem, jak owca zapędzana na pastwisko.

– No więc powiedziałaś, że jadę z tobą, żeby ci udzielić moralnego wsparcia. Powiesz mi dlaczego? Mam wrażenie, że powinnam być zawczasu ostrzeżona i uzbrojona.

– Mam... – zaczyna i tylko wzdycha.

– Bagaż wspomnień? – zgaduję. – O kogo chodzi?

– Zasadniczo o mnie. Popełniłem kilka błędów i nie postarałem się rozwiązać jednej ważnej sprawy. A teraz muszę tam jechać i wiem, że trochę to do mnie wróci. Po prostu trochę zaboli.

– Przydałoby ci się lekarstwo. – Bezmyślnie redukuję to do jednego słowa. – Przepraszam. To była demonstracja braku wrażliwości.

– Rozmawiasz przecież z królem braku wrażliwości, nie pamiętasz? – Wygina ramiona, wyraźnie bardzo chcąc zmienić temat.

Lituję się nad nim.

– Powinnam tu kiedyś przyjechać w weekend i trochę pobuszować. Żeby na przykład kupić jakieś rzeczy do wystroju mieszkania. – Patrzę na niego z ukosa. „Szukasz kumpla od polowań na antyki? Weź ty się w garść, Lucy”.

– No cóż, twój nowy przyjaciel Danny na pewno zawiózłby cię z radością.

Krzyżuję ramiona na piersi i w ogóle nie rozmawiamy przez całe dwadzieścia trzy minuty zgodnie z jego superdokładnym wyświetlaczem.

Przerywam milczenie jako pierwsza.

– Dobiorę ci się do głowy, zanim ten weekend się skończy. Dowiem się, co się dzieje w tym twoim wrednym mózgu.

– Proszę cię bardzo.

– Ja mówię poważnie, Josh. Niszczysz moje zdrowie psychiczne. – Pochylam się do przodu, opieram łokcie na kolanach i przecieram twarz.

– Mój wredny mózg myśli aktualnie o tym, że byłoby dobrze coś przekąsić.

– A mój wyobraża sobie, że cię duszę.

– Myślę też, że gdybyśmy spadli teraz z jakiegoś mostu, to nie musiałbym jechać na ten ślub. – Spogląda na mnie i widzę, że to niekoniecznie tylko taki

żart.

– No świetnie. To może lepiej patrz na drogę, bo jeszcze spełnisz swoje życzenie. – Kiedy rzeczywiście wjeżdżamy na most, obserwuję go z podejrzliwością.

– Myślę teraz o... o tym, ile paliwa zużywa mój samochód.

– Dziękuję ci, że dzielisz się ze mną tymi drogocennymi analizami tego, co ci nie daje spokoju.

Zerka na mnie, zastanawiając się nad czymś.

– Myślę o tym, jak się z tobą całowałem na mojej kanapie. Myślę o tym niepokojąco często. I nie mogę opędzić się od myśli, jakie to będzie dziwne, gdy już nie będę całymi dniami siedział naprzeciwko ciebie.

Z prawdą już tak jest, że uzależnia.

– Proszę o więcej tych mózgowych treści.

Uśmiecha się.

– Nikt dotąd nie próbował się dowiedzieć, co ja mam w mózgu.

– Czyli co, mam rozbić ci czaszkę? W razie czego użyję jakiegoś dużego młota.

– Ty mnie naprawdę chcesz poznać. A w życiu bym nie pomyślał, że właśnie ty będziesz tego chciała.

– Mam przestać?

Omam nie słyszę odpowiedzi, bo pada tak cicho.

– Nie.

Odwracam głowę, udając, że patrzę na krajobraz. Parkujemy przed przydrożnym barem, a potem on dotyka mojej ręki. I potem mówi coś takiego, że moje serce rozjarza się durną nadzieją, chociaż wiem dobrze, że on sobie żartuje.

– Chodź. Czas na romantyczną kolację.

Podczas mojej pierwszej fejkowej randki z Joshuą Templemanem wszystkie przegrody są zajęte, dlatego siadamy obok siebie przy barze. Dyndam nogami jak pięciolatka, bo mój stołek jest bardzo wysoki, tak wysoki, że musiał mnie na niego podsadzić. Składamy zamówienie i natychmiast zapominam, co właściwie zamówiłam. On tymczasem wspiera

podbródek dłonią i dla zabicia czasu zaczynamy Grę w Spojrzenia.

Jakoś bym przetrwała ten weekend, gdyby on nie miał takich pięknych dłoni. Albo gdyby jego skóra nie pachniała tak cudownie. Mój wzrok wyprawia się na krótką wycieczkę. W neonowym świetle wszyscy wyglądają blado i ciastowato, w tym także ja, a tymczasem on jakimś tajemniczym sposobem wygląda zdrowo, wręcz promiennie. Zauważam, że na nosie ma kilka bladziuteńkich piegów. Zdaje się, że podczas godzin pracy naprawdę musiałam nosić gogle nienawiści, bo z ręką na sercu: w życiu nie widziałam na własne oczy faceta równie przystojnego.

Wszystko w nim i wszystko, co się z nim wiąże, jest takie niesamowicie przyjemne. On wręcz ocieka wysoką jakością, luksusem, nie ma w nim nic, co byłoby nie takie, jak trzeba. Każda część ciała jest nie tylko doskonale ukształtowana, ale także doskonale utrzymana. Nie potrafię uwierzyć, jak mogłam tak marnować czas, nie adorując go.

– Jesteś jak piękny koń wyścigowy – mówię, a potem wzdycham, bo czuję, że trochę mi się mąci w głowie. Naprawdę należało się postarać i jednak trochę przespać zeszłej nocy.

A on mruga.

– Dziękuję ci. Zdaje się, że spada ci poziom cukru. Jesteś biała jak kreda.

Prawdopodobnie mówi prawdę. Z mojego żołądka odzywa się bulgot. Mija nas grupka roześmianych studentów i Josh kładzie rękę na moich plecach. Tak jak powinien się zachować podczas prawdziwej randki – być opiekuńczy, powiedzieć im: „Ona jest moja”. A potem zamawia sok pomarańczowy i każe mi go wypić. Słyszę, jak siedzący blisko kierowca ciężarówki tłumi beknienie, a potem jednak beka, powoli, z towarzyszeniem głuchego jęku. W tle, niczym zakłócenia w radioodbiorniku, skwierczą frytkownicy.

– Brakuje tu trochę jakiegoś klimatu – mówi Josh. – Przepraszam. Spaprana randka.

Kelnerka przygląda mu się z ukosa już po raz piąty, bezmyślnie oblizując usta. Dotykam jego nadgarstka, a w końcu go za niego chwytam.

– Jest dobrze.

Przynoszą nam jedzenie i natychmiast pochłaniam swoją kanapkę z grillowanym serem, upominając się, że powinnam dokładnie gryźć. Josh je grillowany filet z kurczaka. Następne kilka minut upływa we mgle smaków i soli. Kradnie kilka frytek z mojego talerza, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

– Gdzie ty zazwyczaj chodzisz na lunch? Zawsze się zastanawiałam.

– Lunch jem na siłowni. Przebiegam cztery mile, biorę prysznic i w drodze powrotnej wypijam dużego białkowego shake'a.

– Cztery mile? Trenujesz do apokalipsy czy jak? Może ja też powinnam.

– Mam w sobie za dużo energii, z którą nie wiem, co robić.

– Pewnie byś pękł i mnie zabił, gdybyś nie trenował. Twoje ciało jest niedorzeczne. Wiesz o tym, prawda? Widziałam zaledwie centymetr kwadratowy skóry, ale naprawdę jest obłądne.

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby w życiu nie słyszał czegoś równie wariackiego. Upija łyk swojego napoju i robi wyraźnie zawstydzoną minę.

– Nie jestem tylko obłądnym ciałem, mam w sobie dużo więcej. – W jego głosie pobrzmiwa udawana godność i mówi to tonem tak wyniosłym, że oboje wybuchamy śmiechem.

Gładzę jego rękę od ramienia po przegub dłoni.

– Wiem. Naprawdę masz. Ten kurdupel nie dorasta ci do pięt.

– Nie, wcale nie. A tak nawiasem, chciałem cię spytać, czy nadal jesteś zła za tamto. Za to, co powiedziałem Bexleyowi. Że nie potrzebuję pomocy, żeby cię pokonać.

– Jak brzmi to powiedzenie? Zemsta jest słodka. – Odpycham talerz i oblizuję palce. Zjadłam wszystko niczym jakieś zwierzę hodowlane. – Ale myliłeś się, wiesz? Będziesz potrzebował pomocy, żeby mnie pokonać. Bo ja nie odpuszczę bez walki.

Wypijam drugą szklankę soku, potem jeszcze swoją wodę i jego wodę.

– Skrupulatnie odnotowałem. – Wyciera palce serwetką. – No, no, odżywasz się jak wiking.

– To co z tym weekendem? Bo ja proponuję zawieszenie broni. W ten weekend jesteśmy sobą.

– A kim jeszcze moglibyśmy być?

– Pracownikami B&G. Rywalami. Potajemnymi gwałcicielami zasad HR. Śmiertelnymi wrogami. Facet, jak ja się teraz dobrze czuję. Naprawdę o wiele mi lepiej. – Zeskakuję ze stołka i natychmiast zauważam, że do nóg wróciła mi siła. – Nie chcę żadnych niespodzianek, Josh. Jeżeli tam czeka mnie jakaś gówniana burza, to wolałabym to wiedzieć zawczasu.

Przez jego twarz przemyka cień. Wyjmuje spod talerza rachunek i patrzy na mnie z lekkim zdumieniem, kiedy zaczynam szukać portfela.

– Jesteśmy tylko sobą. A więc ja też jestem tylko sobą. – Odlicza kilka banknotów. – No to w drogę.

Idę jeszcze do toalety. Podczas mycia rąk zerkam do lustra i niemalże wyskakuję ze skóry. Moja twarz odzyskała kolor. A właściwie to świecę się niby front jakiegoś przybytku w Las Vegas. Mam oczy jak niebieski neon, policzki jarzą się czerwienią, włosy są błękitno-czarne. I do tego jeszcze mam wiśniowe usta, mimo że dawno temu zjadłam całą pomadkę.

Porządny posiłek mnie wskrzesił, ale założyłabym się, że tak wyglądam zawsze, kiedy staję się na dłużej przedmiotem niepodzielnej uwagi Josha Templemana.

– Weź się ogarnij – mówię sobie stanowczo i w tym samym momencie do toalety wchodzi jakaś kobieta i obrzuca mnie dziwnym spojrzeniem. Wycieram ręce i wybiegam na zewnątrz.

Rozdział 20

Wieczne powietrze pachnie burzowymi chmurami. Josh stoi oparty o samochód, z głową zwróconą w stronę autostrady, i patrzy na sznur pojazdów niknących na horyzoncie. To jego zwaliste ciało, takie wykręcone, ma w sobie mnóstwo niesamowitego wdzięku. Gdybym miała nadać jakiś tytuł temu obrazowi, to nazwałabym go „Pragnienie”.

– Hej. Jest dobrze?

Patrzy teraz na mnie z takim wyrazem twarzy, że aż mi podskakuje serce. Jakby musiał sobie przypominać, że ja tu rzeczywiście jestem. Jakbym zupełnie wypadła mu z głowy.

– Smutno ci?

– Jeszcze nie. – Zamyka oczy.

– Ja teraz trochę poprowadzę. – Wyciągam rękę po kluczyki.

Kręci głową.

– Jesteś moim gościem, więc kierowcą będę ja. Ty jesteś zmęczona.

– Och, to teraz jestem twoim gościem? – Idę w jego stronę takimi krokami, by sprawiać niezwykle groźne wrażenie, a on chowa ręce za plecami. Uśmiecham się do niego, on odwzajemnia się tym samym. Aż się dziwię, że gwiazdy nad naszymi głowami, podobne do kryształowych okruchów, nie eksplodują i nie przeobrażają się w srebrny proch. Iskierka rozbawienia gasi ten smutek, który chwilę temu dostrzegłam w jego oczach.

– Jesteś moją zakładniczką. Moim zaszantażowanym, mimowolnym jeńcem. Moja ty Babeczko Sztokholmska.

– Kluczyki! – Obejmuję go ramionami w pasie, chcąc je wyrwać z jego garści. A potem wciskam się w niego i opasuję jeszcze mocniej. – Puszczaj. No już.

Wyciągam kluczyki, ale chwytą mnie za ręce. Stoimy tak przez długą

chwilę. Mija nas jednostajny, poświstujący strumień rozpędzonych samochodów.

– Chcę, byś wiedziała, że niczego od ciebie nie oczekuję w ten weekend – mówi nad moją głową.

Wyginam się lekko w tył i patrzę na jego twarz.

– Cokolwiek się wydarzy, mam raczej pewność, że w poniedziałek rano będziemy jeszcze żywi. No chyba że twoja seksualność jest tak zabójcza, jak podejrzewam. W takim przypadku jestem na straconej pozycji.

– Ale... – protestuje bezradnie.

Przytulam się jeszcze mocniej, wciskając policzek w jego splot słoneczny.

– W końcu dojdzie do tego, Josh. Musimy tylko wyrzucić to z naszych ciał. W każdym razie czuję, że wszystko zmierza w tę stronę.

– Mówisz to dziwnie zrezygnowanym głosem.

– Mogę jedynie awansem przeprosić za to, co ci zrobię.

Josh śmieje się, ale znenacka przeszywa go dreszcz i odpycha mnie wtedy.

– Słuchaj, to tylko jeden weekend. – Cały czas staram się przemawiać lekkim tonem, w przekonaniu, że w ten sposób oboje nas uspokoję.

Muszę przesunąć do przodu fotel kierowcy, z grubsza o jakiś kilometr, co z kolei wiąże się z koniecznością wykonania mnóstwa histerycznych ruchów miednicą. Josh bez komentarza odsuwa fotel pasażera i przygląda się spokojnie mojej szamotaninie. Energicznie zapinam pas i wyginam wsteczne lusterko w dół, znowu o mniej więcej kilometr.

– Może tak książkę telefoniczną pod tyłek? A w ogóle jak to się stało, że jesteś taka mała?

– Skurczyłam się w praniu. – Wiozę nas już w stronę autostrady.

– Mamy za sobą dobrą połowę drogi. – Zaczyna nerwowo podrzucać kolanem.

– Spróbuj się wyluzować. – Nigdy wcześniej nie widziałam Josha aż tak zdenerwowanego. Czuję, że siedzi twarzą do mnie, że na mnie patrzy. Żadna nowość.

– Dlaczego my to robimy? Dlaczego wiecznie gapimy się na siebie?

– Ja wiem, dlaczego to robię. Ale ty zacznij pierwsza.

Myśli, że mnie nie zmusi do odkrycia kart, ale się myli.

– Ciągłe staram się dojść, co ty naprawdę myślisz. – Rzucam w jego stronę triumfalne spojrzenie, jakbym chciała powiedzieć: „I widzisz, stać mnie na szczerość. Przynajmniej trochę”.

– Ja się gapię, bo lubię na ciebie patrzeć. Interesująco się na ciebie patrzy.

– Hmm. Interesująco. Najgorszy komplement, jaki w życiu słyszałam. Moje biedne, skulone ego. – Natychmiast wymierzam sobie mentalnego klapsa. Polowanie na komplementy to grzech ciężki. – Zresztą nieważne, ja tylko żartowałam. Hej, popatrz na ten stary, wiejski dom. Chciałabym tu mieszkać.

– Głównie na te oczy.

Jego głos zawisa w przestrzeni między nami, a tymczasem o przednią szybę zaczyna stukać rzadki deszcz. Ściskam mocniej kierownicę.

– Na te niewiarygodnie obłądne oczy. Oczy, jakich nigdy dotąd nie widziałem.

– Jejku, dzięki. Obłądne. – Uśmiecham się mimo wszystko. – Zdaje się, precyzyjne określenie.

– Ty nazwałaś moje ciało obłądnym. Używam tego słowa w takim samym sensie. Trochę to pomaga, że nie patrzysz na mnie teraz. Mogę ci to wyznać.

Pada coraz mocniej, więc uruchamiam wycieraczki i staram się skupić uwagę na samochodzie jadącym przed nami. Josh wyłącza radio i z jakiegoś niewyjaśnionego powodu sprawia to wrażenie groźby. Jakby zatrzasnęły się jakieś drzwi, odcinając mnie od świata.

– Najpiękniejsze oczy, jakie w życiu widziałem. – Mówi to w taki sposób, jakby chciał, żebym zrozumiała, jakie to ważne.

Cieszę się, że jest już zmrok, bo się czerwienię.

– Dzięki.

Dolatuje do mnie jego westchnienie i kiedy znowu zaczyna mówić, mam wrażenie, że pociera wrażliwą muszlę mojego ucha kawałkiem aksamitu. Próbuję na niego spojrzeć, ale wtedy syka.

– Natomiast te twoje czerwone, walentynkowe usteczka...

Zawiesza głos i wydaje dźwięk będący skrzyżowaniem jęku z westchnieniem, a na moich ramionach pojawia się gęsia skórka. Zagryzam wargę, żeby przypadkiem jakoś mu na to nie odpowiedzieć. Niewykluczone, że im bardziej ja będę milcząca, tym więcej on z siebie wyrzuci.

– Któregoś dnia miałaś na sobie białą bluzkę i prześwitywał przez nią biustonosz. Z kolorowej koronki. Różowej albo może liliowej. W każdym razie widziałem taki blady zarys. To był jeden z tych dni, kiedy się koszmarnie kłóciliśmy i w końcu ty wyszłaś wcześniej do domu, bo byłaś taka wściekła.

– To mogło być kilka takich dni. Będziesz musiał jakoś to zawęzić. – Wolałabym, żeby nie przypominał mi o takich chwilach.

– Tyle było tych nocy, kiedy rozmyślałem przed snem o twoim kolorowym biustonoszu pod białą bluzką. Co za żenada – mówi tonem zwierzenia, nieznacznie się poprawiając na fotelu.

Mija dłuższa chwila i jego głos znowu sączy mi się do ucha.

– A ten sen, o którym mi kiedyś opowiadałaś? Byłaś otulona w prześcieradło i jakiś tajemniczy facet przyciskał się do ciebie?

– A tak. Mój głupi sen.

– Myślałem, że może to ja ci się śniłem. Że to właśnie dawałaś do zrozumienia.

– To były same kłamstwa. – To mi ot, tak wypada z ust.

– Rozumiem – mówi po dłuższej chwili. – No to chyba dobra robota. Podjarałaś mnie tym.

Rozgadał się, a tymczasem ja to niszczę i natychmiast tego żałuję. Znowu poprawia pozycję na fotelu.

– Miałam najbardziej erotyczny sen ze wszystkich snów w całym moim życiu. Ale wcale nie był taki, jak ci opowiedziałam.

Josh zatapia się jeszcze głębiej w fotelu. Wyczuwam, że odwrócił twarz, i wyobrażam sobie, jak musi mu być teraz głupio. Gdyby to on opowiedział swój sen, wmawiając mi, że mu się śniłam, to byłoby mi głupio.

– Ten sen był w całości o tobie, Josh.

I teraz ja zaczynam mówić, jakby jego tu nie było. Mój głos brzmi

chrapliwie i głucho, a deszcz leje coraz mocniej. Kiedy pokonuję długi zakręt, widzę światła odbite w ślepiach jakiegoś leśnego zwierzęcia na poboczu drogi.

– Kiedy się położyłam do łóżka, to rozmyślałam o tobie i o tym, jak bym ci chciała dokopać, wkładając tę małą czarną. Chciałam, żebyś na mnie spojrział i... i zauważył mnie. Ale właściwie to nawet nie wiem, co mnie napadło z tą sukienką. W każdym razie pojawiłeś mi się we śnie. Byłeś, przyciskałeś się do mnie, oplątywałeś mnie prześcieradłem.

Josh oddycha teraz szybciej. Muszę to z siebie wyrzucić.

– To było przez to, co mi powiedziałeś tamtego dnia w pracy. Powiedziałeś do mnie: „Ja cię zajadę”. Każda dziewczyna miałaby po czymś takim erotyczny sen. Nawet taka, która cię nienawidzi do szpiku kości.

Milczenie. Więc brnę dalej.

– „Ja cię zajadę”. Powiedziałeś to do mnie we śnie. I potem się do mnie uśmiechnąłeś, a ja się obudziłam bliska orgazmu.

– Żartujesz – udaje mu się wykrztusić.

– A żebyś wiedział. Omal nie miałam orgazmu od samej myśli, że napierasz na mnie swoim ciałem i uśmiechasz się do mnie.

Widzę kątem oka, że zacisnął dłonie w pięści i trzyma je tak na kolanach.

– Tylko tego trzeba? Bo przecież to da się załatwić.

– Byłam zszokowana jak wszyscy diabli i dlatego następnego dnia zachowywałam się tak dziwnie. Mam tu zjechać z autostrady?

Kiedy pojawia się zjazd, wydaje z siebie jakiś zduszony odgłos, bodajże „tak”. Pokazuję ręką i zjeżdżam z autostrady. A on znowu poprawia się na fotelu. Zerkam na jego podbrzusze. Światło latarni pomocnie oświetla wspaniale skadrowane kanciaste coś, twarde i ciężkie prawdopodobnie.

– No to dlaczego wtedy kłamałaś z tym snem?

– Właściwie to nie chciałam powiedzieć ani słowa, ale ty nie odpuszczałeś. Tylko jak mogłam się przyznać? Za bardzo się wstydziłam i bałam się, że będziesz mi dokuczał. No to skłamałam.

– Ta twoja miniówka... – Mruczy coś pod nosem i oboje identycznie się wiercimy. Jego spojrzenie pada z ukosa na moje podbrzusze i tym razem

rozumiemy się bez słów.

Główna ulica Port Worth jest szeroka i przedzielona szerokimi pasami ziemi obsadzonymi petuniami i pelargoniami, które jarzą się czerwienią w reflektorach naszego samochodu i światłach mosiężnych latarni. Za dnia to miasto jest prawdopodobnie przepiękne.

– To było tego dnia, kiedy uznałem, że pewnie kłamiesz w związku ze swoją randką. Teraz w lewo, a potem do samego końca ulicy.

Na pewno będzie się śmiał. Bo to jest śmieszne, jak się tak nad tym zastanowić.

– Owszem, kłamałam.

Chwila milczenia i tym razem mam piekielne kłopoty.

– Lucindo. Co jest, kurwa? Czemu to zrobiłaś? – Jego gniew jest niemalże zwierzęcy.

– No bo siedziałeś za swoim biurkiem i patrzyłeś na mnie jak na jakąś życiową niedojdę.

– Ja cię chrzańię. Tak, kurwa, trudno odczytać, co mam wypisane na twarzy? – Ponieważ nic nie mówię, kręci głową. – Czyli ja to wszystko w jakiś sposób wywołałem? Że teraz Danny węszy jak mały pies?

– Tak, to było kłamstwo, ale ty dalej nie chciałeś odpuścić. Powiedziałaś, że też się wybierasz do tego baru. I co? Miałam siedzieć tam sama? Musiałam iść do grafików i kogoś znaleźć. Wiedziałam, że on na pewno się zgodzi.

– Nie siedziałybyś sama. Ja bym tam był. To byłbym ja.

Automatycznie otwieram usta, ale on podnosi rękę, uciszając mnie.

– Wierzysz, że jest twoim przyjacielem, ale on chce od ciebie czegoś więcej. To takie oczywiste, że aż boli. Jak go spotkam następnym razem, wytłumaczę mu kilka rzeczy. Żeby po prostu wyprowadzić go z błędu, raz a dobrze.

– A nie mylisz się przypadkiem? Bo moim zdaniem to ja jestem osobą, której przede wszystkim powinienes wytłumaczyć kilka rzeczy.

– Tu jest wjazd.

Zatrzymuję się przed Grand Hotelem Port Worth. Budynek jarzy się

światłami, ma wystawną, pyszniącą się złoceniami fasadę i otaczają go idealnie utrzymane trawniki, co widać w świetle naszych reflektorów. Parkingowy daje mi sygnały i jakoś parkuję, a potem wyslizguję się z auta na chwiejnych nogach, chwytając w ostatniej chwili torebkę.

Idę do bagażnika, ale kolejny pracownik hotelu, ubrany jak ołowiany żołnierz, już wyjmuje moje bagaże. Josh przygląda się temu ze znudzoną i jednocześnie zirytowaną miną.

– Bardzo dziękuję. – Daję obu napiwek. – Bardzo uprzejmie dziękuję.

Josh idzie do recepcji. Recepcjonistka wyraźnie się wzdryga, kiedy zostaje ostrzelana błękitnymi laserami z jego oczu. Z kolei ja obchodzę hall. Wszystko jest utrzymane w odcieniach czerwieni: jak nie jest truskawkowe albo rubinowe, to ma kolor krwi, względnie wina. Na jednej ze ścian wisi ogromny spłowiały gobelin ze średniowieczną sceną. Jest na nim kobieta, przed którą klęczą lew i jednorożec. Nad moją głową, z samego środka sufitu bogato ozdobionego sztukateriami, zwisa żyrandol złożony z koncentrycznych kręgów, przecinający bodajże cztery kondygnacje. Jakbym się znajdowała we wnętrzu serca.

– Bajer, co? – mówi do mnie mężczyzna w garniturze, który siedzi przy pobliskim barze.

– Coś pięknego. – Trzymam dłonie splecione pod brzuchem niczym mała dziewczynka. Szukam wzrokiem Josha, ale gdzieś przepadł.

– Z tego miejsca wygląda jeszcze lepiej – rzuca mężczyzna, zapraszając mnie do siebie gestem.

– Ale warto było spróbować – mówi ostro Josh, przyłączając się do mnie. Opasuje mnie ramieniem i prowadzi w stronę windy. Słyszę za sobą śmiech i przeprosiny: „Sorry, koleś!”.

– Ile kluczy masz w ręku?

Wciska przycisk windy i podnosi jedną kartę magnetyczną takim gestem, jakby to była wygrywająca karta w pokerze.

– Dla gości weselnych zarezerwowali tylko określoną liczbę pokoi. Próbowałem ci załatwić jedynekę, ale hotel pęka w szwach. Cały Patrick i jego poczucie humoru.

Wiem, kiedy kłamie, a kiedy nie. Aktualnie jest doszczętnie zirytowany. Oglądam się przez ramię na recepcjonistkę, właśnie pocieszaną przez swojego przełożonego.

Kiedy znajdujemy nasz pokój, podejmuje aż cztery próby przeciągnięcia karty przez zamek. Ja z kolei dwa razy próbuję precyzyjnie przesuwać się obok niego, kiedy przytrzymuje przede mną drzwi, ale gdy przypadkiem wpadam na niego, wszystkie moje kobiece krągłości zderzają się z nim kolejno jak we flipperze. Cycek, biodro, dupka.

Przynoszą nasze bagaże. Josh daje napiwek. Drzwi się zamykają i jesteśmy sami.

Rozdział 21

Powolnym i zdecydowanym ruchem odkłada kartę magnetyczną na komodę po swojej lewej stronie. Czuję przelotny strach. Jest ogromną, rozedrganą masą, która idzie prosto na mnie, wibrując atomami, zaciemniając mi pole widzenia, aż następuje na mój palec od nogi.

Nigdy dotąd nie uprawialiśmy Gry w Spojrzenia w pokoju hotelowym, za zamkniętymi drzwiami.

Pstryknięciem palców uwalnia guzik mojego płaszcza; zdradziecki artykuł odzieżowy rozchyła się, jakby chciał powiedzieć: „Niech się pan częstuje!”. Wsuwa dłonie do środka i lekko opadają mu rzęsy, kiedy wyginam się pod wpływem jego dotyku. Zakotwicza palce u samego dołu moich pleców, miękko je wbijając w kręgosłup.

– Zróbmy to. – Nie ma co, powinnam chyba zostać autorką sonetów. Zahaczam dłoń za jego paskiem i wlokę go w stronę łóżka.

Sadza mnie ostrożnie na skraju i jedną dłonią opasuje moją nogę w kostce. Czuję, że drży. Potem zdejmuje mi buty i schludnie ustawia je obok łóżka.

Minęły wieki od ostatniego razu, kiedy moje ciało czuło na sobie ciało mężczyzny. Od czasu, gdy poznałam Josha, żyłam w celibacie. Prawdopodobnie mam chaos w oczach, kiedy to sobie uświadamiam. On widzi to i gładzi mnie palcem pod brodą.

– Przed chwilą byłem zły przede wszystkim na siebie.

Kłęka między moimi stopami. Jak grzeczny chłopczyk, który kłęka przy łóżku, żeby zaraz odmówić paciorek.

W jego ciemnoniebieskich oczach, kiedy znów na mnie patrzy, widzę dziwną zawziętość. Jestem pewna, że zaraz pocałuje mnie w policzek i wyjdzie stąd, więc opasuję go nogą i pociągam do zagłębienia między moimi udami. Z jego ust wydobywa się niezrozumiały odgłos, a ja ujmuję

jego twarz obiema dłońmi i zaczynam go całować.

Zazwyczaj lubi całować się delikatnie. Tego wieczoru ja lubię całować się mocno. Rozwieram wargami jego wargi, gdy tylko nasze usta się dotykają. On próbuje mnie spowolnić, ale nie pozwalam mu na to. Kąsam go, aż wreszcie napiera na mnie biodrami. Czuję, jak w moim wnętrzu coś z całej siły łomocze.

Jeżeli zdarzało mi się czasem myśleć, że jestem od czegoś uzależniona, była to wielka przesada. Bo naprawdę mam ochotę przedawkować Josha. Pod koniec tego weekendu znajdą mnie w jakiejś bocznej uliczce, bez nóg, niezdolną do powiedzenia, jak się nazywam. Ale przynajmniej rozumiem tę żądzę. Dam sobie z tym radę i zresztą, szczerze powiedziawszy, innego ujścia nie znajdziemy. Przytrzymuję go nogami i rękami w żelaznym uścisku i jestem zaskoczona, kiedy znienacka mam wrażenie, że płynę. Otwieram oczy i dociera do mnie, że podnosi się z klęczek i zabiera mnie z sobą.

– Czy ty chcesz mnie zabić tej nocy? – zadaje mi pytanie prosto do ust, a ja znowu namiętnie go całuję.

– Zamierzam spróbować.

Mój ostatni chłopak, ostatni mężczyzna, z którym wieki temu uprawiałam seks, miał tylko metr siedemdziesiąt wzrostu. Za nic nie dałby rady mnie podnieść. Nadwerężyłby sobie dysk w kruchym, chłopięcym kręgosłupie. Josh siada w pięknym fotelu z szerokim oparciem, który ledwie zauważyłam, kiedy tu weszliśmy.

Przez całe swoje życie, zanim poznałam Josha, drwiłam z facetów, którzy demonstrowali, jacy to są silni. Ale z kolei chyba jest we mnie coś takiego, że chcę być noszona i przytulana. Spódniczka zadarła mi się wysoko i prawdopodobnie widzi moją bieliznę. Przez głowę przebiega mi słowo „dzentelmen”, bo na szczęście nie zagląda głębiej.

Unosi rękę, ja w tę rękę wtulam się twarzą, mimo że przecież w dawnych czasach byłabym się wzdrygnęła.

– Zwolnij.

Kręcę głową z niedowierzaniem, ale on patrzy mi z powagą w oczy.

– Proszę.

Zaczyna mnie ogarniać zwątpienie.

– To ty nie chcesz?

Ociera się o mnie biodrami. Czuję to. Czuję ciężki, boleśnie twardy dowód. A w jego oczach lśni już ta specyficzna czerń seryjnego zabójcy i dzięki temu wiem, jak mocno mnie pożąda. Przyciskam czoło do jego czoła. Nasze oddechy mieszają się, a wargi ledwie z sobą stykają.

Wiem, że chciałby przycisnąć usta do mojej skóry. Gryźć ją. Pochłaniać. Pożerać. Pragnie mnie, pragnie mnie mieć pod sobą. Zwilgotniałej skóry i chłodnego powietrza. Pragnie wsunąć we mnie palce. Ledwie słyszę słowa, które do mnie szepcze: zagłusza je mój ciężki oddech. Łzy frustracji i rozmazany tusz do rzęs tworzą na poduszce plamę atramentową z testu Rorschacha.

Już wiem, co od niego dostanę. Najpierw będzie kusił, potem tortuował, a na koniec, kiedy posunę się za daleko, wygłosi mroczne ostrzeżenie. I w trakcie będzie mnie układał w takie pozycje, jakie lubi, a jego władcze dłonie będą mnie opasywać, przekrzywiać, ścisnąć i poskramiać.

Ale wiem też, że za jego sprawą będę się śmiać. Wzdychać. Będzie się ze mną przekomarzał, będzie mnie ganił za teatralne gesty, sprawiał, że się uśmiechnę nawet wtedy, gdy będę chciała go udusić. Za krnąbrność zostaną ukarana zwłoką. Za posłuszeństwo pocałunkiem.

Bo on gra właśnie na to. Gra na zwłokę. Chce się mną bawić aż do czasu, kiedy osiągnę orgazm, wiele godzin po pierwszym dotknięciu. Ale najpierw sprawi, że jego wielkanocne jajko będzie trwało nieruszone przez wiele, wiele dni. A potem będzie je zjadał okruch po okruchu. Będzie je roztopiał na języku. Pragnął tego tyle razy, że oboje już nie pamiętamy ile, i prawdopodobnie umrzemy, kiedy w końcu dojdzie co do czego. Pragnie zyskać pewność, że jestem od niego uzależniona. Wiem, co od niego dostanę w łóżku, i to doskonale wiem. Zawsze to od niego dostawałam i dostaję.

W oczach migoczą mi wszelkie możliwe pornograficzne wizje, bo on oblizuje usta, a jego wzrok pada na koronkowe paski przy moich pończochach. Próbuje coś powiedzieć, ale nie może.

A ja niezdarnie rozpinam jego koszulę, przeciągając każdy guzik na siłę,

aż w którymś momencie słyszę trzask pękającej nitki.

– Dlaczego twoja skóra zawsze tak cudnie wygląda, jakikolwiek byś kolor włożył? Nawet przy tej ohydnej musztardzie. – Przyciskam usta do jego szyi.

– Piękny mężczyzna, nadludzko wprost piękny nawet w oświetleniu biurowych jarzeniówek.

– Ta zieleń to dlatego, że to kolor zazdrości. Ostatnimi czasy stałem się zazdrosnym psycholem.

– Musztarda, kolor mundurów noszonych przez pułkowników. Spalmy ją.

– Jasne, Babeczko. Bardzo proszę, spal sobie moją koszulę. Najlepiej w beczce, w jakimś zaułku.

Śmieje się, a potem wzdycha w moją szyję, ani trochę nie ułatwiając mi zadania, bo ja przecież nadal męcę się z tymi guzikami. Wsuwam dłoń do środka.

– Pod tym nieskazitelnie wyprasowanym strojem biznesowym jesteś jak plakat przedstawiający anatomię człowieka. Zawsze to podejrzewałam. Clark Kent.

– Zwolnij. – Wyciąga moje dłonie. Trochę się opieram, ale on delikatnie mnie unieruchamia i nachyla twarz ku mojej.

Znowu zaczynamy się całować; miękko jak jedwab, lżej, niżbym pomyślała, że to możliwe po tym, jak moje brutalne, małe łapki tak go pokiereszowały.

Jego kciuki uciskają delikatnie moje nadgarstki i nieznacznie wyginam się teraz w łuk; moje piersi przyciskają się do jego torsu i nadal się całujemy, boleśnie wolno. Dzikie zniecierpliwienie, jakie przedtem mną zawładnęło, zostało odrobinę ujarzmione, bo, zdaje się, przekonał mnie, przekonał do pomysłu, aby to jednak odwlec w czasie.

– W przeszłości starałaś się wszystko przyspieszyć – mówi mi, jakby czytał w moich myślach. – Skąd ten twój pośpiech?

Całowanie się z Joshem, z jego czułymi, soczystymi ustami, to rozkosz porównywalna z seksem. On nie myśli o niczym innym jak tylko o mnie i moich reakcjach, uczy się, co lubię, hamuje mnie, obdarowuje i rozmawia ze mną bez słów. Kiedy unoszę powieki odrobinę, żeby tylko zerknąć, widzę,

że on robi to samo.

Czuję, jak podskakuje mi żołądek, kiedy on uśmiecha się w moich ustach.

– Co Tam U Ciebie? – szepcze, a ja delikatnie odgryzam te słowa z jego języka.

– To ty nie wiesz? Jak mi tam u ciebie?

Na próbę puszcza moje nadgarstki. A kiedy nabiera pewności, że będę podtrzymywała to nasze leniwe tempo, chwyta mnie za tyłek i mocno ściska.

– U mnie jest ci cudownie. A mi u ciebie, Luce. Cholernie cudownie.

– A żebyś wiedział. – To takie rozkoszne, mieć świadomość, że mogę teraz dotykać go ustami, kiedy tylko zechcę. Patrzę na jego ciało jak generał: on jest moim nowo zdobytym terytorium. Przyglądam mu się, a on drży pod wpływem mojego spojrzenia.

– Zagrajmy w taką wyjątkową grę – proponuję. – Ta gra nazywa się Kto Dojdzie Pierwszy.

– Znana jest także pod inną nazwą: Dla Kogo Złoto, Dla Kogo Srebro.

Śmiejemy się. Rozpinam mu właśnie mankiet, kiedy zaczyna dzwonić jego komórka. Ignoruje ją, przyciągając moje usta do swoich ust. Lekko szczypie zębami moją dolną wargę.

– Jesteś taka piękna – mówi do mnie. – Po prostu piękna.

Telefon dzwoni i dzwoni. W końcu milknie, a ja wzdycham z ulgą. Po czym znowu zaczyna dzwonić. Josh patrzy na mnie, więc wzruszam ramionami i złączę z niego.

– Wyłączę ją.

Grzebie w kieszeni, a ja oglądam swoje dzieło. Siedzi rozwalony na krześle w taki sposób, że wszędzie jest pełno jego nóg, w rozchełstanej koszuli, z włosami jak strach na wróble, oczami zamglonymi i czarnymi.

– Wyglądasz jak megaprzystojny, głupkowaty prawiczek, którego udało mi się zhańbić na tylnym siedzeniu swojego auta.

Jego oczy roziskrzają się z rozbawienia.

– Tak właśnie się czuję. – Dogrzebuje się do komórki i zerka na nią lekceważąco, ale zaraz potem patrzy jeszcze raz.

– To moja matka. O psiakrew. Zapomniałem o niej.

Idę się schować do łazienki. Na samą myśl o spotkaniu z nią owłada mną onieśmienie. Nie jestem pewna, co mam dalej robić, i tylko słucham jego ugodowego tonu przez drzwi. Myję ręce, badam swoje spuchnięte usta i gapię się na siebie w lustrze. Niby wyglądam jak ja, tyle że w wersji porno.

– Luce, strasznie cię przepraszam, ale muszę zejść na dół na kilka minut – woła do mnie Josh.

Otwieram drzwi.

– Wszystko w porządku?

– Mama jest na dole. Zamówiła kwiaty do ozdobienia stołu, ale nie może znaleźć nikogo, kto by jej pomógł je wnieść, i się denerwuje. Totalna beznadzieja. Muszę tam zejść i skopać komuś tyłek. – Zapina już koszulę.

– Idź, oczywiście. Doprowadź do płaczu jakiegoś młodocianego pracownika hotelu. Chcesz, żebym przyszła pomóc?

– Nie, jesteś zmęczona. Zamówić ci coś do pokoju? Przynieść kawę, jak będę wracał?

– Nie, nic mi nie trzeba. Może wezmę prysznic, kiedy cię nie będzie. A potem pewnie ułożę się uwodzicielsko na łóżku w czymś koronkowym i tak będę czekała.

Krzywi się i poprawia spodnie. Jest taki rozdarty, że aż mi go żal.

– Nie możesz jej tam zostawić samej z tymi zmaganiem.

– Nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Mam nadzieję, że tylko kilka minut. Ale ty się odpręż, postaram się szybko wrócić.

– Nie ma sprawy. Na pewno nie chciałabym obmacywać się z facetem, który nie pomaga mamie. No idź.

Łazienka jest prawie takich rozmiarów jak moja sypialnia. Idę pod prysznic i myję twarz. Podczas mycia zębów przyglądam się swojej twarzy, bladej i nieumalowanej, uświadamiając sobie, że on mnie przecież taką właśnie oglądał. Mało tego, widział mnie swego czasu w jeszcze gorszym stanie.

Widział, jak się pociłam, wymiotowałam, gorączkowałam i spałam. Widział mnie zezłoszczoną, przygnębiającą, przestraszoną. Napaloną, samotną, usychającą z miłości. Mój wygląd jakoś nigdy go nie deprymuje.

Zawsze patrzy na mnie dokładnie w taki sam sposób. Ta myśl dodaje mi odwagi, by wyjść z łazienki w górze od piżamy z napisem ŚPIOZAUROS i szortach do spania. Kiedyś myślałam, że to zabawne, ale teraz widzę siebie przelotnie w lustrze toaletki. Wyglądam jak dziesięciolatka. A co tam. Rozneglizowana Lucy byłaby fejkim.

Ta cisza wlecze się i wlecze. Sprawdzam komórkę. Nic. Odsuwam koc i wślizguję się do łóżka. Nie potrafię powstrzymać westchnienia ulgi. Po całym tym stresie i napięciu ostatnich kilku dni wcale nie jest tak strasznie, jak się bałam. Pościel prędko robi się ciepła i z rozkoszą przebieram swymi umordowanymi nogami.

Układam się wygodnie na stosie poduszek i włączam telewizor. Trafiam na kanał, na którym nadają *Ostry dyżur*, znajdując w tym osobliwe pocieszenie. Josh prawdopodobnie widział ten odcinek. Próbuję wychwycić jakieś nieścisłości medyczne, ale kiedy moje oczy robią się suche i zmęczone, zamykam je. Żeby uspokoić nerwy, wciskam „play” w swojej pamięci i tłumię ziewnięcie.

Jestem tu znowu. To ten wieczór, kiedy połknęłam swoją przeklętą godność i poszłam do jego mieszkania. Do tego mojego osobistego, szczęśliwego miejsca, pielęgnowanego w głowie. Leżę zwinięta w kłębek na jego kanapie, umieszczona na mięciutkich, grubych poduszkach. Czuję, że on siada obok mnie, bo kanapa się ugina, i wiem, że dopóki on tu jest, nie stanie mi się nic złego. Nie potrafię ocenić, jak długo to robimy. Siedzę na tej kanapie i trzymam się za rękę z najbardziej fascynującym mężczyzną, jakiego w życiu poznałam. A on patrzy na mnie z bezbrzeżną czułością w oczach. Jakby mnie kochał.

Teraz wiem, że chyba mi się to śni.

Budzę się, kiedy przez szczelinę w zasłonach do wnętrza pokoju wdiera się promień słońca i rozcina moją poduszkę na pół. „Nie, jeszcze nie. Tak mi tu dobrze”, to jest moja pierwsza myśl.

„Wreszcie zobaczę go, jak śpi”, taka jest moja druga myśl.

Leżeliśmy twarzą w twarz na stykających się poduszkach i przez całą noc

uprawialiśmy Grę w Spojrzenia z zamkniętymi oczami. Jego rzęsy dotykają policzka, lśniące i czarne. Zabiłabym, żeby też mieć takie rzęsy, a tymczasem natura obdarza nimi najbardziej męskich z mężczyzn. Josh tuli do siebie moją rękę, jakby to był pluszowy miś. Nie nienawidzę go. Ani trochę. I to jest koszmar. Gładzę palcami jego czoło, a wtedy on krzywi się. A ja rozprostowuję tę zmarszczkę.

Wspieram się na łokciu i widzę na budziku obok łóżka, że jest dwunasta czterdzieści dwie. Nie wierząc własnym oczom, sprawdzam jeszcze raz. Jak to się stało, że przespaliśmy południe? Wydarzenia ostatnich dni umordowały nas do tego stopnia, że spaliśmy jak niemowlęta.

– Josh. O której jest ślub?

Wzdryga się i otwiera oczy.

– Cześć.

– Cześć. O której jest ślub? – Próbuję wyślizgnąć się z łóżka, ale on ściska moją rękę jeszcze mocniej.

– O drugiej. Musimy być tam wcześniej.

– Dochodzi pierwsza. Po południu.

Jest lekko zszokowany.

– Od czasów licealnych nie spałem do tak późna. Spóźnimy się. – Mówi to, a jednocześnie trąca mój łokieć jak podpórkę roweru, sprawiając, że padam na materac. Ale zostaję nagrodzona, bo udaje mi się dostrzec fragment jego nagiego ramienia. Ma na sobie czarny podkoszulek.

– Przyjemne masz te ramiona.

Przeciągam dłonią po jednym, przyglądając się, jak ta dłoń faluje na każdej napiętej, wyraźnej krzywiznie. I po chwili robię to od nowa. Josh się temu przygląda, a ja zaczynam używać paznokci. Gęsia skórka. Mmmm. Pochylam głowę, żeby pocałować to miejsce.

– Ty naprawdę jesteś inny, Joshu Templemanie. – Odgarniam mu włosy z czoła, potargane, nieporządne. Przez kilka minut je przyglądam. – Za bardzo się staram cię uwieść?

Przyciąga mnie do siebie. Leżenie z nim razem w łóżku to, nie powiem, coś pysznego. Niewiele myśląc, zadaję pytanie, które od dawna chodzi mi po

głowie:

– Kiedy po raz ostatni byłeś z jakąś dziewczyną?

Pytanie dźwięczy tak głośno, jakbym walnęła w gong. Dobra robota, Lucy. Gadaj o innych babach, kiedy leżysz z nim w łóżku.

– Hmm.

Zapada dłuższe milczenie. Bardzo długie. Uznaję, że pewnie zasnął. Albo zaraz mi powie, że jest żonaty. Ale na to jest za młody. No przecież. A potem Josh znowu otwiera usta, próbuje coś powiedzieć.

– No tego... Hmm...

– Tylko mi nie mów, że czekasz na finał swojej sprawy rozwodowej czy coś w tym stylu.

Jego ręka sunie po moich plecach i głowa opada mi na ramię. Oczy same mi się zamykają, bo jest mi tak wygodnie. Tak ciepło. Leżę otulona w jego zapach i pościel z mięciutkiej bawełny.

– Trudno byłoby znaleźć taką masochistkę, która chciałaby za mnie wyjść. Zaperzam się w jego imieniu.

– Któraś na pewno by chciała. Jesteś przecież taki piękny. I taki schludny. Wysoki i umięśniony. Masz pracę. Fajny samochód. Zęby jak marzenie. Zasadniczo stanowisz przeciwieństwo wszystkich facetów, z którymi się umawiałam.

– A więc wiązałaś się z samymi... odrażającymi, brudnymi trollami... bezrobotnymi i mniejszymi od ciebie? To ostatnie jest w ogóle możliwe?

– Ty chyba czytałaś mój pamiętnik. Mój ostatni facet był taki mały, że mógł chodzić w moich dżinsach.

– Ale za to na pewno był miły. Żeby być moim przeciwieństwem, musiał być miły jak stąd do morza. – Patrzy na ścianę.

– Chyba rzeczywiście był miły. Ale ty też potrafisz być miły. Na przykład teraz jesteś.

Czuję zęby na swoim obojczyku i parskam z rozbawieniem.

– Niech ci będzie, ty nigdy nie jesteś miły. – Zęby znikają i czuję w tym samym miejscu delikatne muśnięcie warg.

– No to kiedy zerwałaś ze swoim facetem-miniaturką?

Zaczyna całować mnie po szyi, leniwie, z uwagą, łagodnie. Kiedy przekrzywiam głowę, by dać mu lepszy dostęp, znowu widzę tarczę budzika. Zbliża się do nas prędko zegar prawdziwego świata. Zastanawiam się, czy przypadkiem w torebce nie zachomikowałam jakiegoś batona z granoli.

– To się stało na kilka miesięcy przed fuzją Bexley i Gamin. Już od jakiegoś czasu nie było dobrze. W pracy sytuacja stała się stresowa, widywaliśmy się rzadko i ostatecznie postanowiliśmy zrobić sobie przerwę. I ta przerwa nigdy się nie skończyła.

– Szmata czasu.

– Dlatego stale próbuję cię przelecieć, choćby tylko na sucho. Ale nie odpowiedziałeś mi. A zresztą czekaj, nie mów, nie chcę wiedzieć. – Myśl o tym, że mógł zaspokajać inną kobietę, jest dla mnie nie do zniesienia.

– Czemu nie?

– Bo jestem zazdrosna – wykrztuszam, na co on śmieje się cicho, ale zaraz trzeźwieje. Jest straszliwie zażenowany, kiedy wreszcie wyjaśnia:

– Byłem z kimś w związku, ale zerwaliśmy w tamtym pierwszym tygodniu po przeprowadzce do nowego budynku wydawnictwa. Ona to zakończyła.

– I tak oto B&G zniszczyło kolejny związek. – Mam ochotę ugryźć się w język, a jednak gadam dalej jak najęta. – Założę się, że była wysoka.

– Owszem, była dość wysoka. – Sięga do nocnego stolika po swój zegarek.

– Blondynka.

Zapina zegarek na rękę, nie patrząc na mnie.

– Blondynka.

– Cholera jasna, czemu wciąż te wysokie blondynki? Założę się też, że miała brązowe oczy, opaleniznę i że jej tatuś to chirurg plastyczny.

– Czytałaś mój pamiętnik. – Wygląda na lekko zaniepokojonego.

Przyciskam twarz do jego ramienia.

– Zgaduję, że ona też jest moim skrajnym przeciwieństwem.

– Była...

Wzdycha tęsknie, a ja czuję ucisk w sercu. Zaborcza kobietka-

jaskiniowiec w moim wnętrzu staje przy wejściu do jaskini i patrzy spode łba.

– Była, no, taka miła.

– Fúj, miła. Ohyda.

– I rzeczywiście miała brązowe oczy. – Przygląda się teraz, jak ja mielę to w głowie.

– Zdaje się uzasadniony powód do zerwania. Wiesz co? Twoje oczy są za bardzo niebieskie. Dlatego nic z tego nie wyjdzie. – Miałam nadzieję, że będzie to sprytna riposta, a tymczasem jego ton sprawia, że wędnę.

– A co, myślałaś naprawdę, że coś z tego wyjdzie?

Teraz moja kolej, żeby powiedzieć „hmm”. Prawie już kończę chować się do swojej skorupy, kiedy on robi długi wydech.

– Przepraszam. Źle to zabrzmiało. Nie chcę taki być, a jednak wciąż robię z siebie cynicznego dupka.

– Żadna mi nowość.

– Właśnie dlatego nie mam dziewczyny. Wszystkie wymieniają mnie w końcu na miłych facetów.

Patrzy na sufit z tak głębokim żalem w oczach, że nachodzi mnie pewna straszna myśl. On usycha za kimś z tęsknoty. Wysoka Blondynka złamała mu serce, kiedy go rzuciła i związała się z kimś mniej skomplikowanym. To by z pewnością tłumaczyło jego uprzedzenia do miłych facetów. Próbuję wymyślić, jak go o to zapytać, ale on patrzy na zegarek.

– Lepiej się pospieszmy.

Rozdział 22

Błagam, udziel mi szybkiego szkolenia na temat kluczowych postaci w twojej rodzinie. Są jakieś tematy tabu, jeśli idzie o rozmowy? Wołałabym nie pytać jakiegoś twojego wujka, gdzie jest jego żona, a potem się dowiedzieć, że została zamordowana. – Szperam w swojej torebce.

– No cóż, do zeszłego wieczoru, kiedy musiałem przenieść czterdzieści pięć kompozycji kwiatowych do hotelu, bo nie potrafili znaleźć żadnego pieprzonego wózka, nie widziałem matki od kilku miesięcy. Ona zazwyczaj dzwoni do mnie w niedzielę, żeby przekazać najświeższe wieści z życia sąsiadów i znajomych, którymi zresztą nigdy się nie interesowałem. Była chirurgiem, zajmowała się głównie sercami i przeszczepami. U małych dzieci i świętoszków. Ciebie pokocha. Z całą pewnością.

Uświadamiam sobie, że przyciskam dłonie do serca. Chcę, żeby mnie pokochała. O kurczę.

– Na pewno powie, że chce cię zatrzymać na wieczność. Zresztą nieważne. Tato jest rzeźnikiem.

Wzdrygam się.

– Tak się mówi o chirurgach. Kiedy poznasz tatę, zrozumiesz dlaczego. Zajmował się głównie nagłymi wypadkami. Przy śniadaniu usłyszysz różne cuda na kiju. „Jakiś idiota przebił sobie szyję kijem do bilarda”. Kraksy samochodowe, bójki, morderstwa, które się nie udały. Wiecznie miał do czynienia z pijakami, którzy sobie pozdzierali skórę na żwirze, albo z kobietami, którym ktoś podbił oczy i połamał żebra. Cokolwiek to było, zawsze naprawiał.

– Trudna praca.

– Mama też była chirurgiem, ale nie rzeźnikiem. Zależało jej na człowieku, który leżał na stole operacyjnym. A tato... tato miał do czynienia

po prostu z mięsem.

Josh przysiada na parapecie i na chwilę pogrąża się w myślach, a ja pozwalam mu na odrobinę prywatności, zajmując się tymczasem szykowaniem sobie bielizny. Potem idę do łazienki i biorę się do ekspresowego makijażu.

Po kilku minutach zaglądam do pokoju przez szparę w drzwiach. Widzę go w lustrze toaletki; jest bez koszuli, czyli w pełnej krasie, i właśnie rozpiął moją torbę. Trzyma moją suknię ostrożnie, w palcach, z przekrzywioną głową, i wiem, że już się połapał. A potem przeciera dłonią twarz.

Zdaje się, że popełniłam błąd z tą niebieskością.

Moja pospieszna czwartkowa wyprawa w porze lunchu do butiku znajdującego się blisko wydawnictwa wydawała się wtedy znakomitym pomysłem, ale naprawdę należało dziś włożyć coś z zasobów mojej szafy. Ale teraz jest już za późno. Josh rozkłada deskę do prasowania i zamaszystymi ruchami rozpościera na niej koszulę.

Otwieram drzwi stopą.

– Bomba. Do której siłowni chadzasz? Czy może do wszystkich?

– Do tej na dole budynku McBride’a, tego w połowie drogi do pierwszego skrzyżowania za naszym wydawnictwem.

Muszę przełknąć ślinę.

– Jesteś pewien, że koniecznie trzeba jechać na ten ślub?

Nigdy dotąd nie widziałam aż takich ilości jego nagiego ciała, od którego wprost bucha zdrowiem: jest złote jak miód i nieskazitelne. Głębokie linie obojczyka i bioder tworzą zachwycające obramowanie, a w środku widzę ciąg poszczególnych mięśni, każdy symbolizujący postawiony cel i odhaczone okienko. Płaskie, kanciaste mięśnie piersiowe z zaokrąglonymi granicami. Skóra na brzuchu obleka ciasno mięśnie tego typu, na jakie gapię się zazwyczaj podczas finałów pływackich na igrzyskach olimpijskich.

On tymczasem, jak gdyby nigdy nic, prasuje koszulę, używając do tego ich wszystkich. Dosłownie wszystkich. Bicepsy i podbrzusze są poprzecinane krzykliwymi, męskimi żyłami. Żyłami, które pełzną po mięśniach i zdają się mówić za niego: „Ciężko pracowałem, żeby tak mieć”. Widzę tylko

zwieńczenia jego bioder, bo reszta jest ukryta pod garniturowymi spodniami.

Mózg staje na widok tego rozmiaru poświęcenia i determinacji, żeby po prostu trzymać fason. Cały on.

– Dlaczego ty tak wyglądasz? – Mówię to takim głosem, jakbym lada chwila miała dostać zawału.

– Z nudów.

– Ja się nie nudzę. Czy nie możemy tu zostać? Znalazłabym coś w minibarze, czym mogłabym cię całego usmarować.

– Ho-ho. Teraz to dopiero masz napalone oczy. – Macha w moją stronę żelazkiem. – No dalej, kończ z tym już.

– Jak na faceta z takim wyglądem jesteś okropnie wstydlivy.

Przez chwilę nic nie mówi, tylko wygładza żelazkiem kołnierzyk. Widzę, ile go to wysiłku kosztuje, żeby tak stać przede mną bez koszuli.

– Dlaczego ty jesteś taki zakompleksiony?

– Dawniej umawiałem się z różnymi dziewczynami... – Zawiesza głos.

Krzyżuję ręce na piersi. Z moich uszu, zdaje się, buchają już kłęby pary.

– Z dziewczynami jakiego typu?

– One wszystkie... w którymś momencie dawały do zrozumienia, że moja osobowość nie jest...

– Nie jest jaka?

– No że po prostu nie jest im dobrze w moim towarzystwie.

Nawet żelazko upuszcza teraz parę z oburzenia.

– Ktoś pragnął cię tylko ze względu na ciało? I one ci to mówiły?

– Uhu. – Jeszcze raz prasuje jeden z mankietów. – To powinno schlebiać, prawda? I z początku chyba nawet schlebiało, ale potem to się za bardzo powtarzało. Naprawdę nie jest przyjemnie słuchać, że nie jestem materiałem na związek. – Pochyla się nad koszulą i szuka pilnie zagnieceń.

Wreszcie rozumiem ten kod ukryty w samochodziku Matchboxa. „Proszę, zauważ mnie. Prawdziwego mnie”.

– Wiesz, co ja szczerze myślę? Byłbyś zdumiewający nawet wtedy, gdybyś wyglądał jak pan Bexley.

– Chyba się upiłaś kool-aidem, Babeczko.

Uśmiecha się nieznacznie, wciąż prasując. A ja niemal się trzęsę, tak bardzo chcę go przekonać do czegoś, czego jeszcze sama do końca nie wiem. Wiem tylko, że jest mi przykro z jego powodu, że nie chciałabym, aby on czuł się tak źle z sobą samym. Postanawiam traktować go mniej przedmiotowo i odwracam się, czekając, aż wreszcie włoży koszulę. To koszula w kolorze turkusowym.

– Uwielbiam tę koszulę. Harmonizuje z tym, co sama zamierzam włożyć, hm, oczywiście. – Znowu wzdrygam się na myśl o mojej sukni. Idę po torebkę i grzebię w niej w poszukiwaniu pomadki.

– Mogę coś sprawdzić? – Niezawiązany krawat zwisa mu z szyi, kiedy bierze ode mnie tubkę i czyta napis od spodu.

– Miotacz Ognia. Bardzo trafnie.

– Mam go trochę przygasić? – Potrząsam torebką, nadal szukając.

– Ubóstwiam tę twoją czerwień. – Całuje mnie w usta, zanim zaczynam je malować. A potem przygląda się, jak rozprowadzam warstwę pomadki, wycieram nadmiar, nakładam kolejną warstwę i kiedy wreszcie kończę, robi taką minę, jakby miał za sobą ciężkie przejścia.

– Ledwie potrafię to znieść, kiedy to robisz – udaje mu się powiedzieć.

– Włosy rozpuszczone czy upięte?

Reaguje, jakby go coś zabolalo. Zbiera moje włosy do góry.

– Upięte.

Wypuszcza je z garści niczym śnieg.

– Rozpuszczone.

– Czyli połowa upięta, a połowa rozpuszczona. Przestań tak szaleć, bo to mi działa na nerwy. Może przejdiesz się na dół i zamówisz dla mnie drinka w barze? Potrzebuję odwagi w płynie. Mogę nas zawieźć do kościoła.

– To bądź na dole za jakieś... piętnaście minut?

Po jego wyjściu, gdy cisza zaczyna wypełniać pokój niczym rozdymający się balon, siadam na brzegu łóżka i przyglądam się sobie. Włosy opadają mi na ramiona, a usta przypominają czerwone serduszko. Wyglądam, jakbym traciła rozum. Rozbieram się z piżamy, wkładam ściągającą bieliznę, żeby nie mieć żadnych wybrzuszeń, potem jeszcze pończochy i patrzę na suknię.

Zamierzałam kupić coś w odcieniu stonowanego granatu, coś, co mogłabym wkładać później w przyszłości, ale kiedy zobaczyłam tę turkusową suknię, wiedziałam od razu, że muszę ją mieć. Nie znalazłabym niczego lepiej dopasowanego do ścian jego sypialni, choćbym nie wiem jak się starała.

Sprzedawczyni zapewniła, że doskonale w niej wyglądam, ale Josh przetarł twarz takim ruchem, jakby uznał, że ma do czynienia z totalną świruską. Nie da się zaprzeczyć. Za chwilę praktycznie pomaluję się na kolor ścian jego sypialni. Wykonując akrobatyczne ruchy, jakoś zapinam zamek.

Postanawiam zejść szeroką, spiralną klatką schodową, zamiast korzystać z windy. Ile jeszcze podobnych okazji będę miała? Życie nareszcie zaczęło wyglądać tak, jakby każda kolejna sytuacja zasługiwała na to, by ją odnotować w pamięci. Schodzę po zakręcających się schodach w stronę baru, przy którym siedzi piękny mężczyzna w garniturze i niebieskiej koszuli.

Zadziiera głowę i wyraz jego oczu tak mnie onieśmiela, że ledwie potrafię stawiać jedną stopę przed drugą. „Wariatka, wariatka”, szepczę w duchu, kiedy wreszcie staję przed nim i układam łokieć na barze.

– Co Tam U Ciebie? – wykrztuszam, ale on nic nie mówi, tylko wpatruje się we mnie. – Wiem, wiem. Co za wariatka, ubrała się pod kolor ścian w twojej sypialni. – Z zażenowaniem obciążam suknię. To suknia w stylu dawnych balów na koniec szkoły, z głębokim dekoltem i mocno dopasowana w talii. Czuję w powietrzu zapach dań podawanych na lunch w hotelowej restauracji i z mojego żołądka dobywa się ciche, żalosne skomlenie.

A Josh kręci głową, jakby mi odbiło.

– Jesteś piękna. Jesteś zawsze piękna.

Kiedy w mojej piersi wszystko jaśniej pod wpływem tych trzech słów, przypominam sobie o manierach.

– Chcę ci teraz podziękować za tamte róże. Bo jeszcze ci nie podziękowałam, prawda? Byłam nimi zachwycona. Nikt mi nigdy wcześniej nie przysłał kwiatów.

– Ta czerwień na ustach. Czerwień Miotacza Ognia. Nigdy w życiu nie czułem się równie beznadziejnie jak wtedy.

– Wybaczyłam ci, nie pamiętasz? – Wchodzę między jego kolana i biorę do ręki jego szklankę. Wącham. – No, no, mocny ten kool-aid.

– Potrzebuję tego. – Łyka zawartość szklanki bez mrugnięcia okiem. – Ja też nigdy nie dostałem kwiatów.

– Te wszystkie durne kobiety, które nie potrafią traktować mężczyzny jak należy.

Nadal jestem poruszona jego wcześniejszym wyznaniem. Fakt, przez czterdzieści procent czasu jest kłótliwym, wyrachowanym, zaborczym dupkiem, ale przecież potrafi wypełnić pozostałe sześćdziesiąt swoim poczuciem humoru, delikatnością i wrażliwością.

Ja chyba rzeczywiście opiałam się kool-aidem.

– Gotowa?

– Chodźmy.

Czekamy, aż parkingowy przyprowadzi samochód. Patrę na niebo.

– No cóż, mówią, że deszcz w dniu ślubu przynosi szczęście.

Po kilku minutach jazdy przyciskam dłoń do jego podrygującego nerwowo kolana.

– Proszę cię, wyluzuj. Nie rozumiem, dlaczego robisz z tego ślubu taką aferę.

Nie reaguje.

Niewielki kościół znajduje się w odległości dziesięciu minut jazdy od hotelu. Na parkingu jest mnóstwo ubranych na pastelowo, wyniosłych kobiet, które padają sobie w objęcia i wyraźnie próbują rządzić swoimi partnerami i dziećmi.

Już mam sama zacząć się obejmować, bo jest tak zimno, kiedy Josh przyciąga mnie do swojego boku i wprowadza do środka, rzucając po drodze: „Cześć, pogadamy później” do krewnych, którzy witają go zdziwionym tonem, po czym przenoszą spojrzenia na mnie.

– Ależ ty jesteś chamski. – Uśmiecham się do wszystkich mijanych osób i staram się choć odrobinę zapierać obcasami.

Jego palce gładzą wnętrze mojej ręki. Wzdycha.

– Pierwszy rząd – mówi z westchnieniem.

Ciągnie mnie w głąb nawy. Jestem teraz maleńkim obłokiem w strumieniu powietrza wyplwanego przez samolot myśliwski. Organista wygrywa jakieś próbne akordy i prawdopodobnie mina Josha sprawia, że zamroczony przerażeniem uderza w kilka niewłaściwych klawiszy. Podchodzimy do pierwszej ławki. Ręka Josha trzymająca moją dłoń jest teraz imadłem.

– Cześć. – Mówi to tak znudzonym tonem, że chyba godnym Oscara. – Jesteśmy.

– Josh!

Jego matka, prawdopodobnie, podrywa się na nogi, żeby go uściskać. Jego dłoń odrywa się od mojej i potem widzę, jak opasuje ją rękami. To muszę mu oddać. Jak na takie niedotykalne jajo jej akurat dobrowolnie daje się uściskać.

– Cześć – mówi do niej i całuje ją w policzek. – Ładnie wyglądasz.

– W ostatniej chwili – komentuje mężczyzna siedzący w ławce, ale Josh chyba tego nie zauważa.

Matka Josha jest drobną kobietą o jasnych włosach; ma w policzkach dołki, jakie zawsze chciałam mieć. Jej jasnoszare oczy są zamglone, kiedy się odsuwa, by popatrzeć na swojego rosłego, przystojnego syna.

– Ale coś ty! – Rozpromienia się za sprawą komplementu, a potem zerka na mnie. – Czy to...?

– Tak. To jest Lucy Hutton. Lucy, to moja matka, Elaine Templeman.

– Miło mi panią poznać, pani Templeman.

Matka Josha przyciąga mnie i przytula do siebie, zanim zdążam mrugnąć.

– Elaine, proszę. A więc nareszcie cię poznaję, Lucy! – mówi do moich włosów. A potem odsuwa się i przygląda mi uważnie. – Josh, ona jest śliczna!

– I to bardzo.

– No cóż, to ja cię zatrzymam na zawsze – mówi do mnie Elaine i chcąc nie chcąc, głupawo się uśmiecham.

Josh tymczasem rzuca w moją stronę spojrzenie, które znaczy mniej więcej tyle, co „sama widzisz”. Wyciera dłonie o spodnie, z czymś bliskim szaleństwu w oczach. Może cierpi na kościołofobię?

– Będę ją trzymała w kieszeni. Taka laleczka! Chodź, usiądź z nami na przedzie. To jest ojciec Josha. Anthony, popatrz na to maleństwo. Anthony, to jest Lucy.

– Miło mi cię poznać – mówi ojciec Josha powagą, a ja mrugam, bo jestem taka zszokowana. To przecież Joshua, tyle że w dalszej perspektywie czasowej. Nadal niedorzecznie przystojny, wygląda jak posagowy, posiwiałylis, ubrany w srogi, ciężki garnitur. Jesteśmy tego samego wzrostu, z tą różnicą, że on siedzi, a więc na stojąco musi być absolutnym gigantem.

Elaine przykładła dłoń do jego szyi, a on podnosi na nią wzrok i na jego ustach pojawia się cień uśmiechu. A potem przenosi swoje przerażające spojrzenie na mnie. Genetyka nigdy nie przestaje mnie zdumiewać.

– Miło mi – odpowiadam. Gapimy się na siebie. Może powinnam go oczarować. Głupi, stary odruch, więc wciskam pauzę. Po czym się zastanawiam. W końcu jednak rezygnuję.

– Witaj, Joshua – mówi, przekierowując lasery. – Kopę lat.

– Cześć – odpowiada mu Josh i chwyta mnie za nadgarstek, a potem pociąga na miejsce między sobą a matką. A więc jestem buforem. Obiecuję sobie, że później go za to ochrzanię.

Elaine staje między stopami Anthony’ego i przygląda mu włosy. Piękna ujarzmiła Bestię. Kiedy siada, obracam się w jej stronę.

– Musisz być pewnie niesamowicie szczęśliwa. Z Patrickiem spotkałam się już raz, ale w znacznie mniej przyjemnych okolicznościach.

– A tak, Patrick opowiadał mi o tym podczas jednej z naszych niedzielnych rozmów przez telefon. Twierdził, że mocno się pochorowałaś. Zatrucie pokarmowe.

– Moim zdaniem to był jakiś wirus – wtrąca Josh, biorąc mnie za rękę i gładząc ją jak obsesyjny czarownik. – I nie powinien omawiać jej choroby z innymi ludźmi.

Matka przygląda mu się uważnie, potem patrzy na nasze złączone dłonie i uśmiecha się.

– Cóż, cokolwiek to było, kompletnie zważyło mnie z nóg – tłumaczę. – Pewnie mnie dzisiaj nawet nie rozpozna. Mam nadzieję. W każdym razie

byłam wdzięczna twoim synom, że pomogli mi przez to przejść.

Elaine zerka na Anthony'ego. Niechcący wygłosiłam aluzję do problemu z Joshem. Że tylko on jeden w rodzinie nie ma stetoskopu.

– Cudowne te kwiaty. – Wskazuję wielkie masy różowych lilii na końcach wszystkich ławek.

Elaine zniża głos do szeptu.

– Dziękuję, że z nim przyjechałaś. Dla niego to bardzo trudne. – Obrzuca Josha zmartwionym spojrzeniem.

Po chwili Elaine usprawiedliwia się, że jako matka pana młodego musi iść przywitać rodziców Mindy. Widzę też, że pomaga się usadowić kilkorgu porażająco starym ludziom. Kościół powoli się zapełnia; słysząc okrzyki zachwytu i śmiechy, oczywiście dla zjazdu rodzinnego.

Szczerze powiedziawszy, nie rozumiem, co jest takiego trudnego w tej sytuacji. Wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku. Nie widzę tu nic nie na miejscu. Anthony wita się z kolejnymi ludźmi, kiwając do nich głową. Elaine rozdaje pocałunki i uśmiechy i wszyscy, z którymi rozmawia, rozpromieniają się.

Jestem samotną książeczką między dwoma zasepionymi podpórkami do wielkich tomów. Anthony nie należy do osób, które lubią zdawkowe rozmowy. Pozwalam ojcu i synowi siedzieć w milczeniu na wypolerowanej desce, trzymam Josha za rękę i nie mam pojęcia, czy się do czegokolwiek przydadają, dopóki on nie chwyta mojego spojrzenia.

– Dziękuję ci, że tu jesteś – mówi mi do ucha. – Od razu łatwiej.

Międlę to w głowie, gdy tymczasem Elaine znowu siada na swoim miejscu i rozlegają się pierwsze akordy muzyki organowej.

Patrick staje przed ołtarzem, rzucając jedno, dziwnie krzywe spojrzenie na swojego brata, i potem przesuwając wzrokiem po mnie, jakby oceniał, czy już wyzdrowiałam. Uśmiecha się do rodziców i ostentacyjnie oddycha z ulgą.

Wszyscy wstajemy z ławek, bo pojawia się Mindy w obszernej sukni koloru różowych pianek. Obłądnie wystrojona przypomina wielką bezę, ale kiedy kroczy środkiem nawy, sprawia wrażenie tak szczęśliwej, jednocześnie śmiejąc się od ucha do ucha i popłakując jak wariatka, że i ja jestem tym

wszystkim wniebowzięta.

Staje przed Patrickiem i wtedy udaje mi się dobrze jej przyjrzeć. „Ja cię przepraszam. Ta kobieta jest obłądna. No już, Patrick, bierz się do dzieła”.

Śluby zawsze robią ze mną coś dziwnego. Biorą mnie emocje, kiedy przyjaciele państwa młodych czytają specjalnie dedykowane wiersze, a pastor wygłasza refleksje na temat ich związku. Podczas przysięg to się wręcz dławię ze wzruszenia. Teraz też biorę chusteczkę od Elaine i wycieram kąciuki oczu. Przyglądam się z napięciem, jak tamci wsuwają sobie nawzajem obrączki, i wzdycham z ulgą, gdy okazuje się, że doskonale pasują na ich palce.

A kiedy padają słowa „Możesz teraz pocałować pannę młodą”, wzdycham radośnie, jakbym zobaczyła napis „The End” spływający w dół ostatniego kadru jakiegoś fantastycznego filmu.

Patrzę na Elaine, po czym obie wybuchamy identycznym śmiechem zachwytu i zaczynamy klaskać. Mężczyźni siedzący obok nas wzdychają pobłażliwie.

Młoda para kroczy teraz nawą z nowiusieńkimi obrączkami na palcach i wszyscy wstają z miejsc, głośno gadając i pokrzykując, prawie całkiem zagłuszając dźwięki starych organów. Po raz pierwszy zauważam, że niektórzy goście obrzucają Josha badawczym spojrzeniem. Co tu jest grane?

– Idą teraz pozować do fotografii na chodniku przed kościołem. Mam nadzieję, że ten wiatr nie porwie Mindy – mówi do mnie Elaine, machając do kogoś uprzejmie. – Zaraz wszyscy pojedziemy do hotelu, zaczniemy od drinka, a potem wczesny obiad i przemówienia. W którymś momencie pożyczymy Josha do rodzinnych fotografii.

– Brzmi dobrze. Prawda, Josh? – Ściskam jego dłoń. Od kilku minut jest jakby nieobecny duchem. Wzdryga się i wraca do swojego ciała.

– Jasne. Chodźmy.

Wpita w jego prawe ramię, oglądam się na jego rodziców, mam nadzieję, że z rozbawieniem, a nie z przestraczem, i razem prędko opuszczamy kościół.

– Zwolnij, Josh. Zaczekaj. Moje pantofle. – Ledwie daję radę dotrzymać

mu kroku.

A potem on wsuwa się niemalże na leżąco do samochodu i wydaje głośny jęk ulgi.

Mam problem z wrzuceniem wstecznego biegu we właściwym czasie, bo wszyscy jakby jednocześnie próbują wyjechać z parkingu.

– Jedziemy do hotelu od razu czy wolałbyś trochę pojeździć po okolicy?

– Pojeździmy trochę. Najlepiej w stronę domu. Kieruj się na autostradę.

– Jestem niezależnym obserwatorem. Zapewniam cię, że wszystko poszło całkiem nieźle.

– Chyba masz rację – mówi ciężkim tonem.

– Słucham? Mógłbyś to powtórzyć za chwilę, żebym to nagrała? Zrobiłabym z tego dźwięk powiadomienia do esemesów. Lucy Hutton, masz rację.

Jak mu trochę podokuczam, to może go wyciągnę z tego stanu. Patrzy na mnie.

– Powiadomienie do poczty głosowej też mogę dla ciebie zrobić, jeśli chcesz. Tu poczta głosowa Lucy Hutton. Jest zbyt zajęta popłakiwaniem na ślubie obcej osoby, żeby teraz odebrać, ale proszę zostawić wiadomość.

– Och, zamknij się. Pewnie się naoglądałam za dużo filmów. To było takie romantyczne.

– Ależ ty jesteś słodziutka.

– Joshua Templeman uważa, że jestem słodziutka. Piekło oficjalnie zamarzło.

Uśmiechamy się do siebie szeroko.

– Pewnie nie bez powodu płakałaś. Marzysz o własnym ślubie?

Patrzę na niego zaczepnie.

– Nie. Jasne, że nie. Co za obciachowy tekst. Poza tym przypominam, że jakoś na horyzoncie nie widać mojego narzeczonego.

– No to dlaczego ryczysz na ślubie obcego człowieka?

– Zdaje się, że ślub to jeden z najstarszych rytuałów cywilizacji. Każdy człowiek pragnie mieć kogoś takiego, kto by go kochał do tego stopnia, że nosiłby symboliczną złotą obrączkę. No wiesz, żeby wszystkim pokazać, że

jego serce jest zajęte.

– Nie jestem pewien, czy w dzisiejszych czasach to jeszcze takie ważne.

Zastanawiam się, jak mu to lepiej wytłumaczyć.

– To takie pierwotne. On nosi moją obrączkę. Jest mój. Nigdy mi go nie odbierzesz.

W powolnej procesji pojazdów dojeżdżamy z powrotem do hotelu. Wręczam kluczyki parkingowemu i Josh próbuje mnie zaciągnąć do bocznego wejścia.

– Josh, nie. No chodźże.

– Wróćmy do naszego pokoju. – Hamuje mnie, a waży chyba z tonę.

– Zachowujesz się idiotycznie. Wyjaśnij mi, co się właściwie z tobą dzieje.

– To głupstwo – mruczy. – Nic takiego.

– No to wchodzimy. – Ujmuję go stanowczo za rękę i zmuszam, żeby przemaszerował przez otwarte przed nami drzwi.

Robię najgłębszy możliwy wdech i wchodzimy do wnętrza w połowie wypełnionego przez Templemanów.

Rozdział 23

W ślicznym pomieszczeniu przylegającym do sali balowej przez dwie godziny integrujemy się w mniej lub bardziej niezgrabny sposób, wlewając w siebie niezliczone kieliszki szampana. Mówiąc o integracji, mam na myśli kolejne spotkania z dalekimi krewnymi, w trakcie których Josh stoi obok i przygląda się, jak dla uspokojenia nerwów chłepcę na pusty żołądek bąbelki, które płoną mi w środku niczym benzyna. Każde następne spotkanie przebiega mniej więcej tak:

– Lucy, to jest moja ciocia Yvonne, siostra matki. Yvonne, to Lucy Hutton.

Wywiązawszy się z obowiązku zapoznania nas, zabiera się do głaskania wnętrza mojego przedramienia, błędzenia dłonią po moich plecach, póki nie natrafi na obnażoną skórę na karku, wreszcie splatania i rozplatania rąk. I cały czas na mnie patrzy. Wręcz nie odrywa ode mnie oczu. I, zdaje się, jest równocześnie zdumiony moimi umiejętnościami prowadzenia niezobowiązującej konwersacji.

Po jakimś czasie matka zabiera go do ogrodu na tyłach, a ja przez okno przyglądam się, jak pozuje do zdjęcia w rozmaitych rodzinnych konfiguracjach. Widzę jego wymuszony uśmiech. Kiedy orientuje się, że mu się przyglądam, przywołuje mnie gestem, a potem razem pozujemy na tle wdzięcznego różanego krzewu. Gdy słyszę trzask migawki, dawna wersja mnie kręci głową i zastanawia się, jakim cudem dotarliśmy do tego momentu. Ja i Joshua Templeman obok siebie, na tym samym zdjęciu i na dodatek uśmiechnięci? Wszystko, co między nami zaszło i co zająć jeszcze może, wydaje się czystym prawdopodobieństwem.

Josh odwraca się do mnie, ujmuje mój podbródek w dłonie i słyszę lakoniczny komentarz fotografa:

– Znakomicie.

Kolejny trzask migawki i zapominam o bożym świecie, gdy usta Josha muskają moje. Za wszelką cenę chciałabym pozbyć się wszystkich swoich dawnych wątpliwości, ale cała ta sytuacja zbyt mocno przypomina sen leniwego letniego popołudnia. Który może kiedyś śniłam i za który potem znienawidziłam samą siebie.

Z lekka nieprzytomnym wzrokiem przyglądam się Patrickowi i Mindy, tulącym się do siebie w romantycznej pozie przed kolejnym aparatem, i wtedy dociera do mnie, że przecież określenie „romantyczna poza” stosuje się bez wątpienia również do mnie. Facet, którego nienawidziłam od tak dawna, teraz afiszuje się ze mną i tuli do swego boku. A już z powrotem w środku – całuje w skroń. I nachyla się do mojego ucha, żeby mi powiedzieć, że jestem piękna. Potem obraca się o dziewięćdziesiąt stopni i przedstawia kolejnym członkom rodziny. Afiszuje się...

I tylko wciąż jeszcze nie rozwiązałam tej zagadki:

„A właściwie dlaczego?”

Podczas każdego z tych przelotnych kontaktów, po krótkiej wymianie zdań na temat tego, jak Mindy ślicznie dziś wygląda i jaka to piękna impreza, pojawia się nieuchronna prośba:

– No więc opowiedz nam, Lucy, jak się poznaliście.

– Jesteśmy znajomymi z pracy – podpowiedział mi za pierwszym razem Josh, gdy nie wiedząc, co mówić, ugrzęzłam w przedłużającej się ciszy, i tym sposobem miałam już odtąd gotową odpowiedź.

– Aha. A gdzie pracujecie? – pada następnie pytanie.

Ewidentnie nikt z jego rodziny nie ma zielonego pojęcia, gdzie Josh pracuje i czym się zajmuje. Ale najwyraźniej temat jest drażliwy – jakby należało się niesamowicie wstydzić, że się wyleciało z akademii medycznej. Dobrze chociaż, że słowa „dom wydawniczy” otacza jakiś tam nimb.

– To naprawdę miło widzieć cię wreszcie z kimś – informuje go kolejna ciocia-babcia. A potem obrzuca Znaczącym Spojrzeniem. Niewykluczone, że jego źródłem są jakieś plotki, w myśl których Josh jest gejem.

Wymawiam się z nieskończonej rodzinnej nawały, odciągam go na bok za

któraś z kolumn.

– Musisz więcej z siebie dawać. Ja już prawie nie mogę. Teraz ty będziesz gadał, a ja położę na tobie łapy.

Mija nas kelner, proponując kolejną maleńką kanapkę. Zna mnie teraz z widzenia, ponieważ pochłonęłam ich już co najmniej tuzin. Jestem jego najlepszą klientką. Ze swej strony nie potrafię myśleć o niczym innym, jak tylko o obiedzie, który zgodnie z obietnicą przewidziany jest na punkt piąta. Co rusz zerkam rozpaczliwie na wskazówki zegarka Josha, bojąc się, że do tej pory prawdopodobnie umrę z głodu.

– Nie mam pojęcia, o czym miałbym z nimi rozmawiać. – Jego wzrok pada na postpaintballowy siniak na moim ramieniu i przez chwilę w milczeniu pieczołowicie go bada.

– Popytaj ludzi, jak im leci, to zazwyczaj działa. – Zdaję sobie sprawę, wręcz boleśnie czuję, jak wielu gości co raz to ukradkowo zerka w naszą stronę. – Ale najpierw musisz mi wytłumaczyć, czemu wszyscy na mnie patrzą, jakbym była Narzeczoną Frankensteina. No, no, nie obrażaj się, mój wielki potworze.

– Nienawidzę, jak ktoś mnie pyta, jak mi leci.

– Zauważyłam. Nikt nic tu o tobie nie wie. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– To na mnie tak patrzą. Większość widzi mnie po raz pierwszy od Wielkiego Skandalu.

– I to dlatego chciałeś, żebym odegrała twoją dziewczynę? Aby dzięki temu wszyscy zapomnieli, że nie zostałeś lekarzem? Może prościej byłoby zacząć rozdawać wizytówki? I przestań mnie dotykać. Przez ciebie nie potrafię jasno myśleć. – Wyrywam rękę z jego uścisku.

– Najwyraźniej jak już raz zacznę, nie umiem przestać. – Przyciąga mnie do siebie, a potem szepcze w samo ucho: – Wszędzie jesteś taka miękka?

– A jak myślisz?

– Chętnie bym sprawdził... – Dotyka ustami płatka mojego ucha i w tym momencie nie pamiętam już, o czym rozmawialiśmy.

– Dlaczego zachowujesz się tak całuśnie i chłopczyźnie? – Wpatruję się

z bliska w jego oczy, a kiedy słyszę odpowiedź, wiem z całą pewnością, że coś przede mną skrywa.

– Mówiłem ci. Jesteś moim wsparciem moralnym.

– W jakiej sprawie? Czego nie rozumiem? – Ton mojego głosu podnosi się i kilka par oczu obraca się w naszą stronę. – Josh, mam wrażenie, że na tym zdecydowanie nie koniec.

Przesuwa palcami po mojej szyi. Drzę tak niepohamowanie, że nie może tego nie widzieć. Kiedy nachyla się, żeby znowu pocałować mnie w usta, zamykam oczy i na całym świecie nie ma już nic oprócz niego. Wszystkie moje życiowe ambicje sprowadzają się do tego, żeby istnieć tylko tu i teraz: w ciemności, z jego dłonią tuż nad moimi pośladkami. Mając w uszach jego słowa: „Lucy, nie dziczey”. To jest naprawdę nie fair.

Otwieram oczy i widzę przed sobą dwoje ludzi, prawdopodobnie to rodzice Mindy. Wpatrują się we mnie dwoma parami dociekliwych, naglających oczu.

– Przestań mnie rozpraszać. Musimy jakoś dotrwać do końca obiadu. A ciebie czeka jeszcze wymyślenie paru tematów do konwersacji i rozmowa z rodziną. Dlaczego tak tego unikasz? – W tej samej chwili, gdy słyszę swoje słowa, już wiem. – Ach. Ponieważ jesteś nieśmiały.

Olśnienie, jakie przed momentem przeżyłam, pozwala mi spojrzeć na niego w inny sposób.

– Przez cały ten czas myślałam, że jesteś po prostu aroganckim palantem. I fakt, jesteś nim. Ale jest w tobie coś jeszcze. Jesteś po prostu okropnie nieśmiały.

Josh mruga i tym momencie wiem, że trafiłam w dziesiątkę.

Czuję dziwne poruszenie w sercu. Jakby coś w nim rozkwitało, coraz większe i większe. I nie chciało przestać – coraz szybciej, coraz bardziej, jakby stroszyło pióra, wypychając moje piersi niczym poduszkę. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje, czuję tylko, że mam ściśnięte gardło i nie mogę zaczerpnąć tchu. Josh widzi, że coś ze mną nie tak, ale nie naciska, tylko przytula mnie, kładąc mi jedną rękę na ramieniu, a drugą na karku. Znów chcę coś powiedzieć i wciąż nie potrafię wykrztusić słowa. Josh tuli mnie

w ramionach, ja rozpaczliwie wpijam się palcami w klapy jego marynarki, a w oddali niczym klejnot lśni czerwone wnętrze hotelowego hallu.

– Josh. – Słyszemy głos Elaine. – A, tutaj jesteście! – mówi ciepłym głosem.

Nie wypuszczając mnie z objęć, Josh obraca się; podeszwy moich pantofli suną po marmurowej posadzce.

Elaine obejmuje nas dwoje wzrokiem nieco zbyt błyszczących oczu.

– Kiedy już będziecie gotowi, zapraszam do środka. Macie miejsca przy naszym stole.

– Zaraz go przyprowadzę.

To, co rozkwitało w moim sercu, więdnie z lekka, gdy zdaję sobie sprawę, że matka Josha jest zadowolona przede wszystkim z tego, że widzi go z kimś, z kimkolwiek. Unoszę głowę, czując, że jego dłonie zsuwają się w dół moich pleców. Obok nas powoli przechodzą ludzie w drodze na swoje miejsca, przekrzywiając głowy, żeby nam się przyjrzeć.

– Kim dla ciebie jestem? – Próbuję po raz ostatni. – Gospożą? Nauczycielką gry na fortepianie?

– Jesteś moją Babeczką – odpowiada po prostu. – Nie musisz się na nic silić. Chodź. Miejmy to już za sobą.

Kiedy zbliżamy się do stołu i czuję, jak Josh sztywnieje, nagle opada mnie lęk. Jakoś jednak zajmujemy miejsca, a potem przez kilka chwil oglądamy dekoracje i nasze wizytówki. Wszystkie są wydrukowane, tylko moje nazwisko ktoś napisał ręką – podejrzewam, że przyczyną jest moje spóźnione RSVP.

Za stołem siedzi osiem osób. Ja, Josh, jego mama i tata, rodzice Mindy oraz jej brat i siostra. Trafiło mi się więc miejsce przy głównym stole rodzinnym. Gdybym bezczelnie proponując swoje usługi w charakterze szofera Josha, wiedziała, że to mnie czeka, chyba wcześniej nakładłabym sobie po buzi.

Rozmawiam trochę z bratem Mindy, który siedzi po mojej lewej stronie. Brzęka szkło. Modłę się, żeby Josh coś powiedział, cokolwiek. Już mam go lekko szturchnąć w udo, kiedy ciszę przerywa Elaine. Znowu tym upiornym:

– Lucy, może opowiesz wszystkim, jak się poznaliście z Joshem.

W gardle nabrzmiwa mi milczący krzyk. Odpowiadałam na to już chyba z osiem razy i za każdym razem jest to tak samo trudne jak za pierwszym.

– No, tak. Więc...

Co za koszmar, zachowuję się jak pracownica agencji towarzyskiej na godzinowej stawce, której nie chciało się wymyślić żadnego przekonującego kłamstwa. Co myśmy tam ustalili? Jestem Babeczką? Tego nie mogę im powiedzieć. Ale jeśli kiedykolwiek chciałam upokorzyć Josha, to teraz jest najlepszy moment. Niemalże słyszę już swoje słowa: „Zmusił mnie, żebym tu przyjechała”.

– Pracujemy razem – mówi spokojnie Josh, rozszarpując na dwoje bułeczkę. – Znamy się z pracy.

– Romans biurowy – mówi Elaine, mrugając do Anthony’ego. – Najlepsza sprawa. Co sobie o nim pomyślałaś, kiedy zobaczyłaś go po raz pierwszy?

Potrafię dostrzec urodzoną romantyczkę, kiedy mam ją przed oczami. Oto matka, która bierze do siebie każdy komplement wygłoszony pod adresem jej potomstwa. Teraz też patrzy na Josha zwilgotniałymi oczami, a ja nie potrafię się powstrzymać i po części zakochuję się również w niej.

– Pomyślałam sobie: matko święta, ależ on wysoki.

Śmieją się wszyscy, oprócz Anthony’ego. On wbija wzrok w swój widelec, szukając na nim jakichś niedostrzegalnych zabrudzeń.

– A ty ile masz wzrostu, Lucy? – pyta Diane, mama Mindy. Kolejne upiorne pytanie.

– Całe półtora metra. – Kolejna moja standardowa odpowiedź, która nieodmiennie wzbudza salwy śmiechu.

Kelnerzy zaczynają roznosić zakąski, na co mój żołądek reaguje donośnym burczeniem.

– A ty co sobie pomyślałaś na widok Lucy? – dopytuje się Elaine.

Równie dobrze moglibyśmy razem z Joshem zająć miejsca pośrodku stołu zamiast dekoracji. Sytuacja powoli zaczyna się robić absurdalna.

– Pomyślałem sobie, że w życiu jeszcze nie widziałem tak ładnego

uśmiechu – rzeczowo odpowiada Josh.

Diane i Elaine patrzą po sobie, potem jednomyślnie przygryzają wargi i unoszą brwi. Znam te spojrzenia. To są spojrzenia Mam Pełnych Nadziei.

Mimo to nie potrafię się powstrzymać i z ust wyrywa mi się:

– Ty tak na poważnie?

Jeśli nawet kłamie, to wykonuje niesamowitą robotę. Lepiej znam jego twarz niż własną, a śladu kłamstwa jakoś dostrzec nie potrafię. Josh tylko kiwa głową i wskazuje mój talerz.

Dowiaduję się, że Patrick i Mindy spędzą miesiąc miodowy na Hawajach.

– Zawsze marzyłam o takiej podróży. Potrzebuję trochę słońca. Wakacje wydają mi się znakomitym pomysłem. – Odsuwam talerz, który praktycznie wylizałam do czysta, a potem moje myśli wybiegają ku tej podróży na farmę Sky Diamond, która majaczy na horyzoncie. Już otwieram usta, żeby podzielić się moimi refleksjami z Joshem, zawsze chętnym słuchać o tym miejscu, ale jego matka wchodzi mi w słowo.

– Dużo masz pracy? – pyta Elaine.

Kiwam głową.

– Bardzo dużo. A Josh ani trochę mniej.

Kątem oka widzę, jak Anthony prychnął cicho i lekceważąco ucieka spojrzeniem. Oho, skądś znam ten wzrok. Josh wyraźnie sztywnieje, a Elaine karci męża zmarszczeniem brwi.

Na stół wjeżdża główne danie, do którego natychmiast ochoczo się zabieram. Atmosferę przy stole zaczynają znaczyć delikatne linie podskórnego emocjonalnego napięcia. Muszę chyba być niezbyt rozgarnięta, ponieważ wciąż umyka mi ich źródło. Prawda, Anthony nie odzywa się za często, ale wydaje się całkiem miły. W każdym razie Elaine z każdą chwilą coraz więcej trudu sprawia podtrzymywanie swobodnej atmosfery, jej uśmiech staje się coraz bardziej wymuszony. Widzę, jak co raz zerka w stronę Anthony’ego błagalnym wzrokiem.

Kelnerzy sprzątajają talerze, a główni gracze szykują swoje przemówienia. Anthony wydobył już jakąś fiszkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. W tle trwają próby mikrofonu, a ja tymczasem przysuwam się z krzesłem bliżej

Josh, który kładzie mi dłoń na ramieniu. Wtulam się w niego mocno.

Przemawia drużba pana młodego, potem drużna Mindy. Ojciec Mindy wygłasza mowę, podczas której wita Patricka w rodzinie – uśmiecham się w duchu, słysząc autentycznie szczerą nutę w jego głosie. Rozwodzi się nad tym, jaką to przyjemnością dla niego jest wreszcie mieć zięcia. Josh przytula mnie mocniej. Nie protestuję.

Wreszcie Anthony wchodzi na mównicę i zerka na swoją fiszkę wzrokiem graniczącym z obrzydzeniem. Nachyla się do mikrofonu.

– Elaine była taka miła, że napisała mi tu kilka wskazówek, ale myślę, że obejdę się bez nich. – Mówi powoli, z namysłem i szczyptą sarkazmu, w którym powoli zaczynam rozpoznawać dziedziczną cechę męskiej gałęzi rodu Templemanów.

Pojedyncze śmiechy niosą się po sali, a Josh mimowolnie się prostuje. Nie muszę na niego patrzeć, żeby widzieć, jak marszczy brwi.

– Od mojego syna zawsze oczekiwałem rzeczy wielkich. – Anthony kładzie dłoń na krawędzi mównicy i patrzy po zebranych. Z doboru słów można by wnosić, że ma tylko jednego syna, ale może przeinterpretuję całą sytuację. – I nie rozczarował mnie. Ani razu. Nigdy nie odebrałem tego telefonu, którego obawiają się wszyscy rodzice. „Cześć, tato, właśnie ugrzęzłem gdzieś w Meksyku”. Patrick nigdy mi tego nie zrobił. – Śmiechy na sali stają się coraz głośniejsze.

– Ale ja też nie – szepcze mi do ucha Josh.

– Studia skończył wśród najlepszych pięciu procent na roku. Prawdziwą przyjemnością było obserwować, jak zmienia się w tego mężczyznę, który siedzi tu przed wami – recytuje Anthony. – W późniejszym życiu zawodowym szedł od sukcesu do sukcesu i szanują go wszyscy, z którymi na tym gruncie miał kontakt.

Nie potrafię doszukać się jakiejś szczególnej intonacji emocjonalnej w jego głosie, ale wydaje mi się, że chyba na ułamek sekundy zbyt długo zawiesił wzrok na Patricku.

– Muszę powiedzieć, że w dniu, w którym Patrick skończył akademię medyczną, ujrzałem siebie w swoim synu. I z ulgą zrozumiałem, że jest ktoś,

kto zapewni ciągłość naszej medycznej dynastii.

Słyszę, jak Josh z sykiem wciąga powietrze. A jego uścisk na moim ramieniu zaczyna ciążyć niczym stalowe okowy.

Anthony podnosi kieliszek.

– Równocześnie jestem przekonany, że ma się tylko tyle siły, ile zapewnia osoba, z którą zdecydowało się spędzić życie. Tak więc dzisiaj, żeniąc się z Melindą, Patrick po raz kolejny dał mi powód do dumy. A ty, Mindy, możesz być pewna, że wybrałaś sobie najlepszego z Templemanów. Mindy, witamy w naszej rodzinie.

Wszyscy unosimy kieliszki w toaście, tylko Josh nawet nie drgnie. Oglądam się przez ramię i widzę dwoje jakichś ludzi, którzy szepczą do siebie i patrzą na nas. Matka Mindy patrzy na Josha z nieskrywaną litością.

Potem Mindy i Patrick kroją tort i każde podaje drugiemu kawałek. Przez większość dnia czekałam na tę chwilę i okazuje się, że nie mam powodów do rozczarowania. Przede mną ląduje potężny trójkąt czegoś czekoladowego i tłustego.

– Świetna mowa. Dzięki za tę drobną złośliwość – mówi Josh do ojca.

– To był żart. – Anthony uśmiecha się do Elaine, ale nie znajduje u niej wsparcia, którego oczekiwał.

– Prześmieszny. – Z jej oczu wyziera lód.

Nie jestem głupia, wiem, kiedy czas na zmianę tematu.

– Ten tort to prawdziwa czekoladowa śmierć. Mam nadzieję, że nie okaże się zbyt bolesna.

– Zdziwiłabyś się, jakie szkody w układzie krwionośnym może spowodować dieta wysokotłuszczowa – Anthony próbuje się włączyć w moją grę.

– Ale chyba się zgodzisz, że od czasu do czasu można sobie pozwolić? Mam nadzieję... – mówię, wpychając sobie wielkie kęsy tortu widelczykiem do ust.

– Niestety, nie. Tłuszcze nasycone, tłuszcze trans, kiedy dostaną się do żył, to już stamtąd nie wychodzą. Chyba że będziesz miała zawał serca, a potem ktoś taki jak Elaine będzie cię ratował.

– On jest zdecydowanie zbyt surowy dla samego siebie – zapewnia mnie Elaine, gdy przestraszona rzucam ze szczękiem widelczyk na talerzyk i przyciskam ręce do piersi. – Od czasu do czasu można sobie pozwolić na takie drobne przyjemności. Wręcz się powinno.

– Poprosiła mnie o opinię – zauważa grobowym tonem Anthony. – Więc jej udzieliłem.

W tej chwili zauważam, że na jego miejscu przy stole brak talerzyka z tortem. Zaraz sobie przypominam, że na wspólnym firmowym spotkaniu Josh również nie tknął żadnych słodyczy. Zerkam w bok i ku mojemu zaskoczeniu widzę, jak Josh chwyta widelczyk i zabiera się do tortu. To jest jak wielki środkowy palec pokazany ojcu. I tak pchamy wielkie kęsy tortu w nasze żarłoczne usta, póki Anthony nie marszczy czoła w niesmaku, bez wątplenia nieprzyzwyczajony do tego, że ignoruje się jego rady.

– Poblązanie sobie to dość ryzykowna sprawa. Kiedy folguje się wszystkim najbardziej błahym zachciankom, trudno potem odzyskać samokontrolę.

Wyraźnie czuć, że Anthony nie mówi teraz o żadnym torcie. Josh ciska swoim widelczykiem, który ze szczękiem spada na porcelanę.

Elaine patrzy na niego żałośnie.

– Anthony, proszę. Zostaw go w spokoju.

– Wstawaj – mówię do Josha i ku mojemu niejakiemu zdziwieniu on podnosi się posłusznie, a potem wędruje za mną na zacieniony skraj tanecznego parkietu. – Mógłbyś mi wyjaśnić, co tu się odpierdala? Dławi mnie już ta duszna atmosfera. Przykro mi, ale twój ojciec zachowuje się jak kutas. Zawsze taki jest?

Josh szarpie włosy na głowie.

– Jaki ojciec, taki syn.

– Nie, w ogóle nie jesteś taki jak on. On wkurza wszystkich dookoła, a twoja matka ma już tego dość. Poza tym ta dziwna gadka... – Za każdym razem, gdy budzą się we mnie uczucia opiekuńcze wobec Josha, refleksja uderza we mnie potem niczym cios. Biorę go wobec tego za rękę ściśniętą w pięść i gładzę ją palcami.

Josh przez chwilę przygląda się, co robię.

– Już po obiedzie. Mamy go za sobą. I to jest najważniejsze.

– Ale dlaczego wciąż mam wrażenie, że wszyscy ci się przyglądają? Jakby nikt nie potrafił się powstrzymać przed ciągłym sprawdzaniem, czy z tobą wszystko w porządku? W stylu: „Trzymaj się, trzymaj, chłopie”.

– Myślę, że w końcu zorientują się, że wcale aż tak bardzo nie cierpię. – Otacza ręką moją talię, a po moich żyłach rozlewa się ciepło komplementu wraz z zapewne jakimiś dwoma tysiącami kalorii zaklętymi w kawałku luksusowego tortu.

– Mylą się. Nikt ci nie przysparza takich cierpień jak ja. – Nagrodą za moją ciętą ripostę jest jego wspaniały uśmiech. – Ale już w porządku? Chciałabym, żebyś mi opowiedział o tym Wielkim Skandalu, o którym wszyscy szepczą półsłówkami. Nie potrafię zrozumieć, jakim sposobem to, że nie zostałeś lekarzem, może wciąż wywoływać aż takie zamieszanie.

Rzadko miewam okazję widzieć Josha odwołującego się do odpowiedzi, ale właśnie teraz jest jedna z takich chwil.

– To długa historia. Najpierw chcę do łazienki.

– Jeśli uciekniesz przez okno, poważnie się wkurzę.

– Wrócę do ciebie, obiecuję. I wszystko ci opowiem. Dasz sobie sama radę przez minutę?

– Zaprzyjaźniłam się z połową ludzi w tej sali, pamiętasz? Z pewnością znajdę sobie kogoś, kto mi dotrzyma towarzystwa. – Patrząc mu w oczy, przybieram najbardziej swobodną pozę, na jaką mnie stać.

Na razie nie udało mi się nawet porozmawiać z Mindy. W ogrodzie wciąż miała koło siebie jakichś fotografów, ale przelotne uśmiechy, jakimi mnie obrzucała, były raczej miłe. Teraz prowadzi ożywioną rozmowę z parą starszych ludzi. Kiedy tamci odchodzą, uśmiecham się i macham do niej niezobowiązująco. Współczuję jej, że musi zabawiać obce osoby na swoim weselu.

– Cześć, Mindy. Jestem Lucy. To znaczy „ta osoba towarzysząca” Josha. Chciałabym ci bardzo podziękować, że wpuściłaś mnie na swoje wesele. Ślub był wspaniały. Poza tym podoba mi się twoja suknia.

– Miło cię poznać. Właściwie to już od dawna miałam na to ochotę. – Uśmiecha się szeroko, a w jej oczach rozbłyskują iskierki nieskrywanego zainteresowania. – To ty jesteś tą dziewczyną, która roztopiła bałwana.

– Och! Hm. Nie wiem nic o żadnym roztopianiu... bałwana? – No tak, słowa spływają z mych ust płynnie jak nigdy.

– Wiesz, że Josh i ja chodziliśmy ze sobą przez rok? – pyta, a przy tym lekceważąco macha ręką, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

– Co? Nie wiem. – Czuję, jak żołądek skręca mi się w supeł. A potem w kolejny.

Mindy tymczasem unosi dłoń i delikatnym ruchem przygląda perfekcyjną fryzurę. Barwy blond. Jest wysoka, opalona, oczy ma migdałowe. Jest Wysoką Blondynką.

Podejrzewam, że moje usta zamarły, tworząc idealne kółko. Nie potrafię wydusić z siebie słowa. Wszystko nagle zaczyna mi się układać w głowie. Jak upokarzająca musi być dla mężczyzny samotność na ślubie byłej dziewczyny? Zwłaszcza gdy wychodzi za jego brata?

– Kiedy poznaliście się z Patrickiem? – Ze wszystkich sił staram się, żeby mój głos nie brzmiał zupełnie martwo. Ale sama słyszę, że mówię jak GPS.

– Oczywiście poznałam go, kiedy spotykałam się z Joshem. A kiedy zaczęły się te historie z połączeniem firmy Josha, próbowałam się dowiedzieć od Patricka, czemu jego brat tak się ode mnie oddalił. Sama wiesz, że z nim niełatwo się rozmawia.

Toczę wzrokiem po tych wszystkich obcych ludziach, którzy przez cały wieczór wpatrywali się w Josha. Teraz rozumiem, że się zastanawiali, jak on sobie radzi z sytuacją, w której ta piękna kobieta wychodzi za jego brata. Rok. Raczej nie ma wątpliwości, że spali ze sobą. Ta smukła, nieskazitelna blondynka leżała w jego łóżku. Całowała go w usta. Przelykam gorzką ślinę podchodzącą mi do gardła.

– Między Patrickiem a mną natychmiast zaskoczyło. Trochę tak jak obustronny zawrót głowy. Zaręczyliśmy się dopiero sześć miesięcy temu. Wciąż mam z tego powodu wyrzuty sumienia, ale Josh i ja nieszczególnie pasowaliśmy do siebie. Czasami przerażały mnie te jego nastroje. Dalej nie

bardzo wiem, o czym z nim rozmawiać. Przepraszam, chyba jestem trochę niegrzeczna. Nie mów mu, że to powiedziałam.

Czuję, jakbym miała zaraz wybuchnąć płaczem – Mindy przygląda mi się z coraz większym niepokojem.

– Przepraszam cię, Lucy, myślałam, że ci powiedział. Jest z tobą taki szczęśliwy. Nawet sobie nie wyobrażałam, że mógłby kiedykolwiek tak się zakochać. Ze mną tak nie było. Ale przypuszczam, że to ma sens. Mężczyźni, którzy skłonni są do gwałtownych uczuć, kiedy już się zakochają, zazwyczaj przeżywają to głęboko.

Z całej siły próbuję się uśmiechnąć, ale efekt raczej nie jest zbyt przekonujący. Za nic nie chcę rujnować Mindy szczęśliwej weselnej atmosfery, ale w środku cała się skręcam. Jak mogłam być tak głupia, żeby uznać, że prowadzi się ze mną, afiszuje, tak po prostu? Jestem jego wsparciem moralnym na ślubie byłej dziewczyny. Jeżeli to nie jest definicja opłacanej na godziny dziewczyny z agencji, to już nie wiem, co mogłoby nią być.

– Och, Lucy. Tak mi przykro, że się zdenerwowałaś, zwłaszcza że to są pierwsze dni waszego związku. Ale jedno mogę ci powiedzieć: Josh jest cały twój.

Udaje mi się dobyć z gardła słaby śmiech. Wcale nie jest.

– Najbardziej zaskoczony był Patrick. Jak on to ujął? Coś w stylu: „Nigdy nie sądziłem, że Josh może mieć serce”.

– Ma serce. – „Egoistyczne serce, niemniej jest to serce”.

Ktoś, kto wygląda na osobę organizującą ślub, wykonuje jakiś gest w stronę Mindy, a ona mu odmachuje.

– I jego serce należy do ciebie – zapewnia mnie Mindy, klepiąc po ramieniu. – Teraz czeka mnie rzucanie bukietu. Spróbuję wycelować w twoją stronę.

Przepycha się przez tłum gości, wytworna i olśniewająca w sposób, który nigdy nie stanie się moim udziałem.

Czuję czyjeś ręce obejmujące mnie od tyłu. Pocałunek we włosy na karku. Skutek jest tak gwałtowny i natychmiastowy, że muszę przełknąć ślinę. DJ

zaprasza niezamężne panie na parkiet. Świr nabrzmiewa w moim wnętrzu. Czuję, jak poca mi się ręce. Muszę stąd wyjść.

– Cześć. Gdzie twoi nowi przyjaciele? – Zaczyna mnie ciągnąć w stronę wciąż rosnącej grupy pretendentek do jak najszybszego małżeństwa.

– Nie, Josh. Nie mogę.

Ludzie zaczynają się nam przyglądać. Jestem prawie gotowa zrobić historyczną scenę, ale wiem, że nie mam prawa. Panika i łyzy podchodzą mi do gardła. Josh, zazwyczaj tak spostrzegawczy, teraz nie widzi nic.

– Gdzie twój duch współzawodnictwa? – Pcha mnie po raz ostatni, skutkiem czego wpadam w grupkę rozentuzjasmowanych kobiet, obejmującą najprzeróżniejsze typy, od sepleniącej dziewczynki sypiącej kwiatki z koszyka po pięćdziesięciolatkę, która najwyraźniej zabiera się do rozciągania stawu skokowego. Wszystkie mają przed oczami tylko ślubny bukiet. Jest cudowny. Każda go chce.

Gdzieś z boku dostrzegam mamę Josha. Uśmiecha się do mnie, ale po chwili uśmiech znika i zastępuje go niejasne strapienie. Nie wiem, co mam wypisane na twarzy, ale mogę się domyślać. Potem oczy moje i Mindy spotykają się i widzę, że szczerze żałuje swoich słów, a właściwie tego, jaki wywarły na mnie wpływ. Josh przechodzi na miejsce, z którego będzie miał lepszy widok, a potem on i jego matka wymieniają spojrzenia. Daje mu znak, żeby się pochylił, i przez chwilę coś szepczą do siebie. Potem Josh unosi wzrok i ostro patrzy na mnie.

Tego już dla mnie za wiele.

– Uwaga, zaczynamy! – Mindy odwraca się do nas plecami i wykonuje kilka próbnych zamachów. Na bukiet ślubny składają się różowe lilie splecione przez florystkę.

Ledwie zauważam, kiedy kwiaty uderzają mnie w pierś. I po chwili spływają w wyciągnięte ramiona dziewczynki sypiącej kwiaty, która wrzeszczy w ekstazie. Wszyscy goście unisono kręcą głowami i śmieją się z mojego braku koordynacji. A potem odwracają się do swoich sąsiadów, żeby rzec: „Mogła to bez trudu złapać”.

Jestem tak rozczarowana swoim niepowodzeniem przy bukiecie, że

wewnętrzny świr ogarnia mnie już całą.

Równocześnie śmieję się grzecznie i jakimś cudem z całkowitym spokojem opuszczam parkiet, a potem przeciskam się zręcznie między widzami niedawnego konkursu. Muszę stąd wyjść. Wiem, że Josh pójdzie za mną, więc zamiast do najbardziej oczywistego bezpiecznego kąta – damskiej toalety – wchodzę w przejście dla personelu i wkrótce jestem już w przyhotelowym ogrodzie.

Stoi tam paru chłopców w białych koszulach z krawatami, palą i bawią się komórkami. Obrzucają mnie znudzonymi spojrzeniami. Idę coraz szybciej, po chwili już truchtam, żeby wreszcie rzucić się biegiem – moje szpilki ledwie dotykają ziemi. Mam zamiar biec tak długo, aż dotrę do wody. A potem wskoczę na jakąś łódź i odpłynę na bezludną wyspę.

Dopiero tam będę w stanie stawić czoło całej sytuacji.

Wiem, co czuję do Josha Templemana. Jest to uczucie beznadziejne, głupie i źle ulokowane. W przeciwnym razie dlaczego by mnie tak bolało? Dlaczego nie pragnę niczego bardziej, niż schwycić ten bukiet, przytulić do piersi i zobaczyć uśmiech na jego twarzy? Waham się na skraju wielkiej wody.

Ścigające mnie kroki zbliżają się zbyt szybko. Duszę w sobie napływ zniecierpliwienia i otwieram usta, żeby powiedzieć Joshui, co o nim myślę.

Obracam się i wtedy widzę, że to nie on, ale jego matka.

Rozdział 24

O, cześć – udaje mi się wykrztusić. – Ja tylko... chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

Elaine przygląda mi się przez chwilę, a potem otwiera torebkę i wyjmuje z niej paczkę chusteczek. Nie bardzo rozumiem, po co mi one, póki nie odejmę chusteczki od oczu i nie zobaczę, że cała jest mokra.

Przez jakiś czas stoimy w milczeniu, przyglądając się powierzchni wody ćmiącej mętnie w blasku gasnącego nieba. Jestem zbyt zdenerwowana, żeby sobie zdać sprawę, że w każdej chwili mogę się zacząć zwierzać jego matce. Zresztą w tym momencie jest mi trochę wszystko jedno, kto mnie wysłucha. A jej i tak już nigdy więcej nie zobaczę.

– Nic mi nie powiedział o Mindy.

Jest wyraźnie poruszona tym wyznaniem, bo zerka spod zmarszczonych brwi za siebie, w stronę hotelu.

– Powinien był ci powiedzieć. Źle się stało, że dowiedziałaś się w taki sposób.

– Ale teraz już wszystko zrozumiałam. Nie potrafię uwierzyć, że mogłam tak się dać nabrać. Powinnam się zorientować, że to, jak on się zachowuje, jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

– Zachowywał się, jakby cię kochał...

– Tak. – Głos łamie mi się odrobinę. – Powiedział mi kiedyś, że jest dobrym aktorem. Nie słuchałam.

Nie odpowiada, tylko kładzie mi rękę na ramieniu. W tej samej chwili umierają we mnie resztki durnej nadziei.

– Nie wydaje mi się, żeby Josh igrał sobie z tobą. – Elaine zaciska usta.

Na myśl o „igraszkach” rana w moim sercu zaczyna znów broczyć.

– Wybacz, ale nie masz pojęcia, na czym polegają jego igraszki. Jak to

wygląda w pracy, od poniedziałku do piątku. Chociaż po raz pierwszy urządził mi to w weekend.

Elaine patrzy gdzieś obok mnie, oglądam się i widzę Josha, który nerwowo spaceruje pod ścianą hotelu. Kiedy Elaine kręci głową, Josh zatrzymuje się.

– Po co tu dzisiaj przyjechałaś? – pyta autentycznie zainteresowana.

– Byłam mu coś winna. Powiedział, że będę dla niego wsparciem moralnym. Nie rozumiałam, o co chodzi, ale postanowiłam zaryzykować. Myślałam, że ma to coś wspólnego z tym, że rzucił medycynę. A teraz dowiaduję się, że jego była dziewczyna wychodzi za jego brata. Czuję się jak bohaterka telenoweli.

Elaine chwyta mnie za łokieć, próbując przerwać niekończący się potok słów. Zanim wreszcie się odzywa, na jej usta wypełza nieznaczny, ale ciepły uśmiech.

– W każdą niedzielę z nim rozmawiam, więc prawdopodobnie znam cię równie długo jak on. Piękna dziewczyna o najbardziej niebieskich oczach, najbardziej czerwonych ustach i najczarniejszych włosach. Opowiadał mi o tobie, jakbyś była postacią prosto z bajki. Choć nigdy nie mógł się zdecydować, czy jesteś księżniczką czy złą królową.

Wykonuję taki gest, jakbym zaraz miała zacząć wyrywać sobie włosy z głowy.

– Zła królowa! Naprawdę to czuję się jak największa idiotka na świecie, skoro choć na chwilę uwierzyłam... – Słowa więzną mi w gardle.

– Jesteś dziewczyną, którą on nazywa Babeczką. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam to przezwisko, już wiedziałam. Powiem ci jeszcze, że nigdy na żadną nie patrzył tak jak na ciebie.

Ta cudowna kobieta zaczyna mnie już mocno wkurzać. Widać gołym okiem, że tak jest zapatrzona w swojego syna, że żadnego zrozumienia u niej nie znajdę. Po prostu za nic nie dopuści do siebie myśli, że mógłby komuś wyrządzić jakąkolwiek krzywdę. Otwieram usta, aby jej to powiedzieć, ale ucisza mnie zdecydowanym gestem.

– Chodził z Mindy. Nie mogę powiedzieć, że się nie cieszę, mając ją za

synową. Słodka jak cukiereczek. Kopciuszek przy niej wysiada.

– Jest fajna. Ale nie o nią tu chodzi.

– Dla Josha jednak nigdy nie stanowiła wyzwania. W odróżnieniu od ciebie. Już pierwszego dnia umiałaś sprawić, że się wściekł. Nigdy się go nie bałaś. A przy tym gotowa byłaś poświęcić odrobinę czasu, żeby go zrozumieć, nawet jeśli tylko po to, aby wygrać z nim w tych waszych biurowych potyczkach. Widzisz go takim, jaki jest naprawdę.

– Ze wszystkich sił próbowałam nie widzieć.

– Ani Josh, ani jego ojciec nie są łatwymi ludźmi. Zdarzają się mężczyźni, którym nic nie można zarzucić. Na przykład Patrick. Racjonalny, spokojny, miły. Josh i dla niego wymyślił przydomek: Miły Facet. I taka jest prawda. Patrick taki właśnie jest. Potrzeba jednak silnej kobiety, żeby pokochać kogoś takiego jak Josh, i myślę, że ty właśnie jesteś tą kobietą. Patrick jest jak otwarta księga. Josh jak pancerny sejf. Ale wart jest tego, żeby go spróbować otworzyć. Zapewne mi nie uwierzysz, zwłaszcza po tym, co dzisiaj przeszłaś, jednak jego ojciec jest taki sam.

Elaine gestem przywołuje Josha, a on rusza ku nam.

– Błagam, nie bądź dla niego zbyt surowa. Mogłaś przecież złapać ten bukiet – wbija mi szpilę na koniec. – Gdyby tylko chciało ci się ruszyć ręką.

– Nie byłam w stanie.

Całuje mnie w policzek, a potem przytula w tak naturalny sposób, że aż zamykam oczy.

– Pewnego dnia ci się uda. Jeżeli zdecydujesz się zostać, to zapraszam na rodzinne śniadanie o dziesiątej w restauracji. Naprawdę będę szczęśliwa, mogąc was widzieć oboje. – A potem rusza z powrotem, w kierunku, z którego zmierza ku nam Josh.

Zatrzymują się i zaczynają o czymś żywo rozmawiać. No, świetnie. Właśnie ostrzegła wroga, czego może się spodziewać. Jestem już skrajnie zmęczona miejscem, w którym utknęłam: tą wodą, tym niebem. Idę parę kroków w bok, gdzie mogę przysiąść na betonowej ławce i spróbować skleić złamane serce. Nawet mama Josha uznała, że się zakochał.

– Dowiedziałaś się o tej sprawie z Mindy. – W czasie, jaki zajęło mu

pokonanie dzielących nas dwudziestu metrów, z pewnością zdążył sobie przygotować odpowiednie argumenty.

– No. Niezły numer. Ja się z pewnością nabrałam.

– Nabrałaś się? – Siada obok mnie i chce wziąć za rękę, ale się odsuwam.

– Daruj sobie. Wiem, że mnie tu przywiozłeś, żeby mnie pokazać Mindy i jej rodzinie. Ale może trzeba było wynająć lepszą laskę.

– Poważnie myślisz, że po to cię tu wzięłam? – Jest na tyle bezczelny, żeby wyglądać na szczerze zdziwionego.

– Spróbuj się postawić na moim miejscu. Biorę cię na ślub mojego eksa i przez cały czas leżę do ciebie z łapami. Robię wszystko, żebyś czuł się wyjątkowy. Żebyś czuł się piękny. – Czuję, że drży mi głos. – A potem dowiadujesz się wszystkiego i nagle zaczynasz się zastanawiać, czy coś z tego było naprawdę.

– Nie zabrałem cię tutaj, żeby cokolwiek pokazać Mindy. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Ale to ona jest Wysoką Blondynką, z którą zerwałeś po fuzji, racja? To o niej rozmawialiśmy dzisiaj rano w łóżku. To ona stoi za twoim legendarnie złamanym sercem. Dlaczego mi wtedy nie powiedziałeś? – Chowam twarz w dłoniach i opieram łokcie na kolanach.

Josh odwraca się do mnie.

– Byliśmy w łóżku i po raz pierwszy patrzyłaś na mnie takim wzrokiem, jakbyś mnie nie nienawidziła. Poza tym ona nie złamała mi serca.

Wchodzę mu w słowo:

– Jakoś mogę się pogodzić z tym, że jestem wynajętą dziewczyną, ale naprawdę trzeba było całą sprawę postawić jasno. Zachowałeś się jak kutas i szczerze mówiąc, jestem wściekła na samą siebie, bo nie przewidziałam, że możesz mi wywinąć taki numer.

Josh tymczasem robi się coraz bardziej namolny. Kładzie mi rękę na ramieniu, a potem delikatnie mnie odwraca. I w końcu patrzymy sobie w oczy.

– Zabrałem cię tutaj, bo chciałem być z tobą, cały czas chcę. Mam gdzieś, że Mindy właśnie wyszła za Patricka. Dla mnie to już historia. A więc po co

ci miałem rano o tym mówić, tylko bym wszystko zepsuł. Wiedziałem, jak zareagujesz. Dokładnie tak jak teraz.

– I dokładnie tak się właśnie zachowuję. – Jak zapłakany ziejący ogniem smok. – Nie pytałam cię wyraźnie, czy jest jakiś drażliwy temat, o którym powinnam z góry wiedzieć? Mogłeś mnie o wszystkim uprzedzić jeszcze w biurze. Ile dni minęło? Dzisiaj i tak już za późno.

– Wtedy za nic byś się nie zgodziła. Nie dałabyś się przekonać, że ten weekend to coś więcej niż zwykła gra. Zresztą, nie wiem, co byś zrobiła... ale wiem, że nic dobrego.

Z niechęcią muszę sama przed sobą przyznać, że pewnie ma rację. Nawet gdyby zdołał nakłonić mnie do przyjazdu, zapewne wcieliłabym się w jakąś rolę, bez wątpienia wymagającą długich sztucznych rzęs.

Muska koniuszkiem palca mój nadgarstek.

– Co innego miałem na głowie, wierz mi albo nie. Kompozycje kwiatowe mamy. Nastrój taty. Poziom glukozy w twojej krwi. I z tego wszystkiego jakoś zapomniałem ci powiedzieć. – Wbijają spojrzenie w przestrzeń ponad wodą i poluźnia krawat. – Mindy jest dobrym człowiekiem. Ale nie przywiozłem cię tutaj, żeby jej coś udowodniać. Nie obchodzi mnie, co sobie myśli.

– Jakoś nie wierzę, że masz taką zlewkę na całą sytuację. – Nie potrafię nic dostrzec w jego oczach, którymi wodzi gdzieś ponad tą wodą, jakby pogrążony w kontemplacji.

– Powiem ci tak: Mindy nigdy nie miała zostać moją żoną. Nie byliśmy dla siebie stworzeni.

Słyszając słowa „moja żona” wypowiedziane jego głosem, truchleję. Martwe oczy. Rozszerzone źrenice jak dwa czarne pieniążki. Gardło suche i zaciśnięte w przerażeniu, panice i opętaniu. Nie mam ochoty się zastanawiać, skąd mi się to bierze. Już lepiej byłoby skoczyć do wody i popłynąć w siną dal.

Patrzy na mnie z ukosa, z wyraźnym napięciem.

– Skoro już ci wyjaśniłem, że nie grałaś żadnej roli w scenariuszu jakiejś wyszukanej zemsty, to może teraz ty mi powiesz, czemu aż tak cię wzięło?

To znaczy chcę usłyszeć prawdę, a nie gadki na temat mojego niezamierzonego kłamstwa albo tego, że ludzie nam się przyglądali. Ludzie, których nie musisz więcej w życiu widzieć.

To już trochę za bardzo przypomina stąpanie po kruchym lodzie moich świeżych, a równocześnie splątanych i niepojętych uczuć. Przez kilka dłuższych chwil staram się wymyślić jakąś na poły choćby wiarygodną odpowiedź, a kiedy mi się w końcu nie udaje, zrywam się na równe nogi i ruszam z powrotem do hotelu krokiem tak szybkim, że Josh musi się porządnie starać, żeby mnie dogonić.

– Zaczekaj.

– Zaraz mam autobus do domu.

Próbuję zamknąć mu drzwi windy przed nosem, ale z łatwością je blokuje. Wciskam przycisk naszego piętra, a potem wyciągam komórkę, żeby sprawdzić rozkład jazdy. Nie mam pojęcia, która jest godzina. Na ekranie widzę kilka nieodebranych połączeń. Josh próbuje coś powiedzieć, ale unoszę rękę i czekam, a on w końcu krzyżuje ręce na piersi. Jest wyraźnie wkurzony.

Mechanicznie sprawdzam, kto do mnie dzwonił. Okazuje się, że Danny w ciągu całego popołudnia kilkukrotnie próbował się skontaktować. Przeglądam parę esemesów w stylu: „Masz jakieś preferencje odnośnie do czcionki?”, „Wobec tego decyduję się na...”, „Oddzwoń, proszę, kiedy tylko będziesz mogła”.

Winda wydaje charakterystyczny brzęk.

Josh wygląda teraz tak, jakby tylko centymetry dzieliły go od pogrążenia się w odmętach szaleństwa. Doskonale znam to uczucie.

– Zostaw mnie w spokoju – rozkazuję mu z całą godnością, na jaką mnie jeszcze stać, a potem idę do końca korytarza, gdzie obok panoramicznego okna stoją dwa fotele. Piękne miejsce, żeby sobie za dnia posiedzieć z książką. Za to wieczorem, gdy ostatnie smugi bursztynu gasną na niebie, idealne na spazmy bezsilnej wściekłości.

Siadam i dzwonię na lokalne linie autobusowe. Wieczorny ekspres odjeżdża o siódmej piętnaście, a ponadto okazuje się, że ma przystanek pod

hotelem. Najwyraźniej los się do mnie uśmiechnął.

Powrót do pokoju oznaczałby, że musiałabym skończyć sprawy z Joshem, a nie mam na to siły. Jestem wypaloną skorupą. Nic już we mnie nie zostało. Nie ma innego wyjścia, jak grać na zwłokę.

Danny odbiera po drugim sygnale.

– Cześć – rzuca z lekka obrażonym tonem. Cóż, nic bardziej wkurzającego niż klient, z którym nie można się skontaktować. Zwłaszcza taki, któremu oddaje się przysługę.

– Cześć, przepraszam, że nie dawałam znaku życia. Byłam na ślubie i wyłączyłam dźwięk w telefonie.

– W porządku. Właśnie skończyłem.

– Wielkie dzięki. Wszystko poszło dobrze?

– Z grubsza tak. Jestem już w domu i jeszcze raz sprawdzam na iPadzie, strona po stronie. Chyba się sformatowało, jak trzeba. Kto się żeni?

– Brat jednego palanta.

– Jesteś z Joshua.

– Skąd wiesz?

– Przeczucie. – Śmieje się. – Nie martw się. Twoje tajemnice są u mnie bezpieczne.

– Mam nadzieję. – W tym momencie mam to gdzieś. A właściwie w porywie masochizmu uznaję, że przydałaby mi się odrobina poniżenia na korytarzach B&G.

– Kiedy wracasz? Chciałbym ci pokazać skończoną robotę.

– Jakoś jutro. Zadzwoń do ciebie, kiedy już będę w mieście, i wtedy się spotkamy.

– Najlepiej, jakbyś była w poniedziałek wieczorem. Mam ten arkusz kalkulacyjny, którego chciałaś. Wpisałem w niego nakład czasu i szacunkową cenę pobieraną przez komercyjnego grafika, a także pracownika na etacie.

– Jestem pod wrażeniem. Zdaje się, powinnam przynieść dziękczynną pizzę.

– O tak, poproszę. – Ton głosu Danny'ego impertynencko opada o połowę

oktawy. – A teraz powiedz, jak się ubrałaś na ten ślub.

– W niebieską suknię na przykład? – W tej chwili widzę znieńacka w szybie nade mną odbicie Josha i aż podskakuję w miejscu.

Wyjmuje mi telefon z ręki, a potem sprawdza, z kim rozmawiam.

– Tu Joshua. Nie dzwoń do niej więcej. Tak, na poważnie. – Rozłącza się i wkłada komórkę do kieszeni.

– No co ty? Oddawaj.

– Mowy nie ma. Z nim tak sobie ukradkiem szczebioczesz? – Spojrzenie jego oczu staje się znieńacka ostre i bardziej mroczne.

– Przecież pracujemy razem!

Ciągnie mnie za rękę, zmuszając do powstania. Niedaleko otwierają się jakieś drzwi, jesteśmy zbyt blisko, żeby wdać się w jedną z naszych sztandarowych awantur. Zaciskamy więc usta i wracamy do naszego pokoju.

– No i? – Josh znowu krzyżuje ramiona na piersi.

– To była rozmowa o pracy.

– Jasne. I tak sobie o pracy rozmawialiście przez telefon. Kolacyjka? W co jesteś ubrana?

Mierzy mnie od stóp do głów spojrzeniem zmrużonych oczu, jakby się zastanawiał, czy mnie nie rozszarpać. Wiem, bo sama tak mam. To znaczy ja akurat mam ochotę dać mu pięścią w twarz. Atmosfera w pokoju jest tak gęsta od żaru i wściekłości, że niemal czuję unoszącą się w niej woń siarki. Sprawa z Joshem jest jednak taka, że nawet wściekły wciąż wygląda niesamowicie. Może nawet wręcz lepiej niż zazwyczaj. Błyszczące czarne oczy, szczęki pięknie zaciśnięte w gniewie. Potargane włosy, ręka na biodrze obciążająca niebieską koszulę... Przez to trochę trudniej się na niego wściekać, bo muszę jednocześnie stawać na uszach, żeby tego wszystkiego nie dostrzegać. Tak naprawdę jest to zadanie prawie niewykonalne, z którym musiałam się zmagać, odkąd go znam. Niemniej z całych sił trwam przy swoim.

– Nie masz prawa wygłaszać mi żadnych kazań. Już w momencie, w którym wsiadałam do twojego samochodu, wiedziałam, że to się skończy katastrofą. – Ściągam pantofle i posyłam je kopniakami pod ścianę pokoju. –

Niedługo wyjeżdżam. Autobus już czeka. – Chwytam torbę, on znowu próbuje mnie zatrzymać uniesioną dłonią.

– Moja Mindy i twój Danny... daliśmy sobie dzisiaj dość powodów do zazdrości, co? Chyba sfiksuję, jeśli chociaż raz nie wysłuchasz, co mam do powiedzenia. – Rozpina mankiety koszuli, ciska spinki na toaletkę, a potem podwija rękawy, mruczając pod nosem: – Pierdolony mały palant. Jak się ubrałaś? Facet ma chyba skłonności samobójcze.

Widząc wyraz jego twarzy, nie mogę się nie zastanawiać, czy ja również przypadkiem nie mam skłonności samobójczych. Na wszelki wypadek staram się schować za oparciem fotela, żeby mieć przynajmniej jakąś złudną osłonę, ale on wskazuje dywan przed sobą.

– Nie chowaj się. Chodź tutaj.

– Lepiej, żeby było warto. – Przechodzę przez pokój, staję przed nim i biorę się pod boki, głównie po to, żeby łatwiej mi było odegrać rolę hardej suki.

Josh przez kilka chwil zastanawia się, jak zacząć.

– Najpierw dwie sprawy. Proste sprawy. Danny i Mindy. – Patrzy na mnie, jakby właśnie próbował przepchnąć swój pomysł na radzie nadzorczej. Nieledwie widzę za jego plecami wyświetlające się slajdy prezentacji.

– Danny cię w ogóle obchodzi? Myślisz, że mogłabyś go kiedyś pokochać? – Ma teraz oczy króla seryjnych morderców.

– Rozmawiałam z Dannym o sprawach zawodowych. Chodzi o moją rozmowę kwalifikacyjną. Świetnie o tym wiesz! Ale wybacz mi, nic więcej już ci nie powiem, bo musiałabym być chyba głupia, żeby zwierzać się konkurencji.

– Odpowiedz na pytanie.

– Nie i nie. Pomaga mi w czymś, co chcę wykorzystać w trakcie prezentacji. To robota dla grafika, a on jest teraz freelancerem. Wyświadczył mi ogromną przysługę, zgadzając się pracować przez weekend. Ale nie obesłoby mnie, gdybym miała już nigdy w życiu go nie zobaczyć.

Szaleństwo w jego oczach opada o kilka punktów na stosownej skali.

– Dobra, Mindy też mnie nie obchodzi. Dlatego zostawiła mnie dla brata.

– Mogłeś mi powiedzieć. Wtedy, w twoim mieszkaniu, na kanapie. Kiedy rozmawialiśmy ze sobą prawie jak przyjaciele. – W tym momencie zdaje sobie sprawę, że gryzie mnie coś innego. Że mi nie zaufał.

– W końcu udało mi się zwabić cię na moją kanapę i... jak ty sobie to wyobrażasz... że pierwszą rzeczą, jaką ci powiem, będzie to, że byłem dla niej tak kiepskim chłopakiem, że odeszła z moim bratem? Pięknie bym wypadł w twoich oczach. Jesteś pewna, że po czymś takim chciałabyś w ogóle mieć ze mną do czynienia? – Widzę, że lekko ciemnieją mu policzki. Jest zażenowany jak jasna cholera.

– Co ja tu w ogóle robię? Miałam być wsparciem moralnym, pamiętasz? – Zawieszam głos i przyglądam się, jak próbuje coś powiedzieć i zaraz się zapowietrza, bo nie znajduje właściwych słów.

– To nie Mindy złamała mi serce, tylko ojciec. – Przesuwa dłonią po twarzy. – Nie myliłaś się, twierdząc, że potrzebuję moralnego wsparcia. I nie ma w tym żadnych wielkich tajemnic. Chodzi o tę medycynę. O to, że ją rzuciłem, że sobie nie poradziłem, że zawiodłem. A ty jesteś tutaj, ponieważ ja boję się swojego pierdolonego ojca.

– A co on ci zrobił? – Ledwie potrafię wykrztusić z siebie to pytanie. Kiedy gdzieś pojawia się motyw ojca, zawsze przed oczami staje mi mój tato. W oczach dziecka wielki, zabawny i hałaśliwy jak startujący odrzutowiec; figurki smerfów w prezencie i szorowanie zarostem po policzkach, kiedy mnie obcałowywał. Wiem, że ojcowie bywają różni. Kiedy jednak widzę to spojrzenie w oczach Josha, modlę się, aby jego ojciec nie okazał się jednym z tych złych.

– Od dziecka mnie lekceważył.

Te słowa brzmią tak, jakby po raz pierwszy udało mu się je wypowiedzieć na głos. Żałośnie spuszcza wzrok.

Czuję, jak coś niepowstrzymanie ciągnie mnie w jego stronę. Kolejna chwila, gdy sytuacja zmieni się jak w kalejdoskopie? Serce mi krwawi na widok jego cierpienia.

– Bił cię? Zmusił do pójścia na medycynę?

Josh wzrusza ramionami.

– W brytyjskiej rodzinie królewskiej mają takie wyrażenie: „następca tronu i jego zastępstwo”. Ja jestem takim zastępstwem. Patrick jest pierworodny. A tato nie należy do ludzi, którzy swobodnie szafują swoimi względami, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć. Tak czy siak, planowali tylko jedno dziecko. Ja urodziłem się dość niespodzianie.

– Nie możesz mówić, że cię nie chcieli. – W rękę trzymam już jego zmięty mankiet i niezgrabnie za niego ciągnę. – Przecież widzisz, jak mama cię kocha.

– Ale plan taty mnie nie przewidywał. Zawsze chodziło tylko o Patricka i skończyło się, jak od początku miało się skończyć: najlepszy syn, w rzeczywistości jedyny syn, który przynosi ojcu chlubę w dniu swego ślubu.

Josh unika mojego spojrzenia. Wyraźnie weszliśmy już na obszar zadawnionych, głębokich i bolesnych emocji.

– Cokolwiek udało mi się osiągnąć, nie zasługiwało nawet na wzmiankę. Ojciec nie chciał dać złamanego centa na moją naukę, całość sfinansowała mama. Zarywałem noce nad książkami, niepotrzebnie robiąc z siebie debila. Nic nie było w stanie go zadowolić. – Gorycz w jego słowach jest tak wielka, że aż wydaje się dławić go w gardle.

Mój gniew gdzieś się tymczasem ulotnił, ale nie stać mnie na nic więcej, jak tylko objąć go ramionami i tulić z całej siły.

– Myślałem, że jak skończę studia i zostanę lekarzem, to może...

– Zobaczysz cię takim, jaki naprawdę jesteś. – Echem wracają słowa jego matki.

– A w międzyczasie doskonały, złoty synalek, Patrick, któremu zawsze wszystko wychodzi, udowodnił, że zostanie lekarzem to nie jest żadne wielkie halo. Cała sprawa z Patrickiem polega na tym, że jest naprawdę dobrym człowiekiem. Dobrym jak cholera. Zawsze gotów nieba wszystkim przychylić. Nawet zerwać się w środku nocy i przyjechać pomóc mi z tobą. Widział kto kiedy lepszego człowieka? Nie jestem nawet w stanie go znienawidzić. Chociaż chciałbym. Z całej duszy.

– Jest twoim bratem. – Biorę go pod ramię. – To oczywiste, że zrobi dla ciebie wszystko.

– Jest syn doskonały i jestem ja. Więc równie dobrze mogę sam decydować, w czym będę najlepszy. Najdoskonalszy dupek. Nigdy nie będę dobrym człowiekiem. Niełatwo sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy się ma takiego ojca. Nie miałem innego wyjścia, wszystko musiało potoczyć się w ten sposób.

Mam teraz przed oczami jego obraz, jak przechadza się władczo po korytarzach B&G, chowając pod tą maską nieśmiałość i brak poczucia bezpieczeństwa.

– Głupio się czuję, że ci to mówię, Josh, ale pod tą fasadą ty też jesteś dobrym człowiekiem.

– Zrozumiałem też, że za nic nie chcę być zawsze tym drugim. I że nie będę.

W jego głosie brzmi teraz nieugięta determinacja. Przez głowę przelatuje mi myśl o awansie, którego tak pragnęłam, a zaraz w ślad za nią mentalne westchnienie:

„A co tam, olał to”.

– To dlatego tak mnie zawsze nienawidziłeś? Bo jestem taka dobra i miłutka? Bo jestem za dobra dla ludzi i tego właśnie nie mogłeś we mnie znieść? – Wyglądam podciągnięty rękaw sukienki.

– Nie mogłem patrzeć, jak podchodzisz do ludzi z sercem na dłoni, a oni cię wykorzystują. Zawsze miałam odruch, żeby poderwać się w twojej obronie i ratować cię przed nimi. Jednak nie mogłem, ponieważ mnie nienawidziłaś, a więc musiałem stać z boku i patrzeć, jak się męczysz.

– I dlatego, że jestem taka miła i dobra, nie potrafiłeś mnie znienawidzić?

– W moim głosie brzmią żalodne nuty nieskrywanej nadziei.

Ujmuje mój podbródek palcem wskazującym i kciukiem, podnosi.

– Tak.

– Cóż, to ci dopiero smutna historia.

Całuje mnie w policzek, w czym widzę gest przeprosin, których zapewne nie odrzucę.

– Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Moje dzieciństwo nie było traumatyczne, nic w tym stylu. Zawsze miałem dach nad głową i wszystko,

co trzeba. I najlepszą matkę pod słońcem – dodaje głosem znienacka pełnym cieplejszych uczuć. – W sumie na nic nie mogę się skarżyć.

– Przeciwnie, jak najbardziej możesz.

Patrzy na mnie z zaskoczeniem.

– Nikt nie powinien być lekceważony i przekonywany, że jest zerem. Udało ci się sporo osiągnąć w pracy i masz prawo być z tego dumny. –

Ostatnie słowo wypowiadam z naciskiem. – I możesz się tyle skarżyć, ile tylko chcesz. Jestem w twojej drużynie, nie zapominaj o tym.

– Serio? – Czuję, że jego ciało rozluźnia się nieco pod moimi dłońmi. – Nigdy nie sądziłem, że takie słowa pojawią się na wargach pomalowanych Miotaczem Ognia. A już na pewno nie po tym, co się dzisiaj stało.

– No to możemy się teraz zdumiewać oboje. A więc co się stało, jak skończyłeś pierwszy rok medycyny? Tego przecież twój ojciec nie mógł zlekceważyć?

– Mama narobiła zamieszania jak nigdy. Wydała przyjęcie na moją cześć. Zaprosiła chyba wszystkich moich znajomych. Tutaj, do naszego domu na plaży. Jak na to patrzę z dzisiejszej perspektywy, to pewnie musiała to być obłędna impreza. Ale ojciec się nie pojawił.

– Wymówił się oficjalnie? – Przysuwam się do niego, wtulając policzek w jego pierś. A on głaszcze mnie po plecach, jakbym to ja oczekiwała pocieszenia.

– Coś w tym stylu. Mimo że matka go tyle razy prosiła, nie dostosował grafiku dyżurów w szpitalu. Skutkiem czego „nie mógł” się pojawić. Kiedy Patrick zaliczył pierwszy rok, ojciec dał mu rolexa, który wcześniej należał do dziadka. Na moje przyjęcie nawet nie raczył zajrzeć. Nie przestawał mi powtarzać, że medycyna to nie dla mnie. A potem przyglądał się z boku, jak stoję na głowie i robię z siebie żalosnego głupka.

– Chcesz powiedzieć, że odkąd ojciec nie pojawił się na twoim przyjęciu, przez następnych pięć lat nie rozmawiałeś z nim porządnie? Przecież musiałeś widzieć, ile to kosztuje twoją matkę. Nabawiła się pewnie permanentnie wilgotnych oczu od tych całych powstrzymywanych łez.

– Tamtej nocy monstrialnie się upiłem. Siedziałem sam na piasku nad

wodą i piłem whiskey z gwinta. Sam jeden. Romantyczny bohater. Obok dom pełen ludzi, ale nikt nawet się nie zorientował, że gość honorowy gdzieś zniknął.

Z pozoru jest rozbawiony tym wspomnieniem, wiem jednak, że w głębi duszy wciąż go boli. Przypominam sobie, jak raz, podczas którejś narady tysiąc lat temu, przyglądałam mu się i zastanawiałam, czy ktoś taki jak on kiedykolwiek mógł się czuć samotny. Teraz poznałam odpowiedź.

– I tak tam siedziałeś? Pijany? I co zrobiłeś? Wróciłeś na przyjęcie, żeby zrobić scenę?

– Nie, ale wtedy właśnie coś zrozumiałem. Zrozumiałem, że wszystko, co robiłem, robiłem, żeby zyskać jego aprobatę... i że nic w ten sposób nie osiągnąłem. Więc po co próbować? Po co się starać? Zrozumiałem wtedy, że nie warto. Więc przestałem i wziąłem pierwszą pracę, jaka mi się nadarzyła.

– Układa mnie wygodniej w swoich ramionach, a kiedy znowu się przytulamy, głaszcze mnie pocieszająco po plecach. – Zrezygnowałem z wszelkich prób nawiązania z nim kontaktu i poczułem się, jakby kamień spadł mi z serca. Opuściłem sobie. Doszedłem do wniosku, że jeśli chce się zachowywać jak prawdziwy ojciec, musi zrobić pierwszy krok w moją stronę.

– I do tej pory nie zrobił?

Josh kontynuuje, jakby moje pytanie w ogóle nie padło:

– Do dziś nie daje mi spokoju, że kiedy przeniosłem się na zaoczne MBA, pracując równocześnie w wydawnictwie, nie wywarło to na nim żadnego wrażenia. Jakby się zupełnie nic nie stało. Jakby to, co robię czy czego nie robię, niewarte było nawet wzmianki. Rozczarowałem go, nie rozczarowałem... wszystko jedno. Ale przecież wiem, że był rozczarowany. Przez całe moje życie był mną rozczarowany. Moja kariera w książkach jest dla niego śmieszna.

Sama jestem zaskoczona gniewem, który wzbiera we mnie nie na żarty. Przed oczami mam twarz Anthony'ego i jego usta wykrzywione w sarkastycznym uśmiešku.

– Stracił w tobie wspaniałego syna. Dlaczego taki jest?

– Nie mam pojęcia. Gdybym wiedział, może mógłbym spróbować coś z tym zrobić. Zawsze był taki wobec mnie i większości innych ludzi.

– No i tego właśnie nie łąpię, Josh. Praca w B&G jest poniżej twoich kompetencji.

– I twoich też – dodaje.

– Więc co tam jeszcze robisz?

– Przed połączeniem nie było dnia, żebym nie myślał o odejściu. Ale prześladowała mnie rodzinna opinia, w myśl której niczego nie umiem doprowadzić do końca.

– A po fuzji?

Ucieka spojrzeniem w bok, widzę, jak kącik jego ust unosi się w uśmiechu.

– Ta praca miała kilka dobrych stron.

– Za bardzo spodobały ci się te wojny ze mną.

– Ano – przyznaje.

– A tak w ogóle to jakim sposobem trafiłeś do Bexleya?

– W napadzie wściekłości złożyłem chyba dwadzieścia różnych podań o pracę. Od nich otrzymałem pierwszą ofertę. Uniżony sługa Richarda Bexleya.

– Było ci wszystko jedno? Ja tak bardzo chciałam pracować w wydawnictwie, że aż się rozplakałam, kiedy mnie przyjęli.

Ma przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby przybrać skruszoną minę.

– Więc pewnie pomyślisz sobie, że to nie w porządku, jeżeli to ja awansuję.

– Nie. Awansuje to z nas, które bardziej zasługuje. Ale, Josh, nie będę ściemniać. Marzę o tym. B&G to mój raj.

Josh milczy. Bo co niby miałby powiedzieć?

– Więc naprawdę nie przywiozłeś mnie tu, żeby pokazać Mindy swoją nową, seksowną i popieprzoną niunię?

Znam jego twarz lepiej niż własną i dostrzegłabym na niej nawet ślad kłamstwa. Nie widzę go, kiedy się odzywa:

– Bez ciebie nie byłbym zdolny stanąć przed nim. Jestem czarną owcą.

Wyrzucili mnie z medycyny, pracuję w biurze, dziewczyna zostawiła mnie dla brata. Nie istnieję dla niego. Ale Mindy i Patrick mogą sobie mieć dziesiątkę dzieci i żyć szczęśliwie sto lat, a mnie to nie obejdzie. Niech im będzie na zdrowie.

W końcu postanawiam to powiedzieć:

– OK. Wierzę ci.

Przez chwilę nic nie mówimy, wreszcie Josh przerywa milczenie:

– Najgorsze jest to, że nie mogę się opędzić od myśli, gdzie byłbym teraz, gdybym nie rzucił medycyny.

– Też mam wrażenie, że są we mnie cuda, o których nie mam pojęcia. Czuję się jak burmistrz miasta, którego w życiu na oczy nie widziałam.

Śmieje się rozbawiony tym porównaniem.

– Nawet gdybyś miała pojęcie, jak niesamowite mechanizmy biologiczne zaangażowane są w proces zwykłego oddychania, nie potrafiłabyś nad nimi zapanować. Zastawka w sercu może się otworzyć albo nie, żyłka może ci pęknąć i umrzesz. To się może zdarzyć w każdej chwili. To są właśnie te cuda w twoim mikroskopijnym mieście. – Nachyla się i całuje mnie w skroń.

– Jasna dupa. – Przylegam do niego jeszcze mocniej.

– Nie uwierzyłabyś, gdybym ci zacytował statystyki dotyczące ludzi, którzy kładą się spokojnie do łóżka i następnego ranka już się nie budzą. Normalni, zdrowi ludzie, młodzi albo w średnim wieku.

– Dlaczego mi o tym mówisz? Takie rzeczy masz w głowie?

Josh milczy przez jakiś czas.

– Kiedyś miałem. Ostatnio już raczej nie.

– Myślę, że bardziej odpowiadało mi wewnątrz twojej głowy, gdy wyobrażałam je sobie pełne białych kości i krwistej mazi. A teraz jeszcze skądś przyplątała mi się myśl o śmierci... czemu?

– Widzisz sama, dokąd prowadzą towarzyskie rozmowy ze mną. Przykro mi, że ojciec nastraszył cię tym tortem. Zazdrości, że sam sobie nie może pofolgować nawet na tyle, żeby czymś się spontanicznie cieszyć. Myślę, że od kilku lat pewnie nawet nie spróbował żadnego tortu. Ale dobry był, co?

– Strasznie z nas nienażarte świnie. Zejdziemy na dół, żeby sprawdzić, czy

coś nie zostało?

Patrzy na mnie ze skrywaną nadzieją.

– Nie wyjeżdżasz?

Przypomina mi się mój plan złapania autobusu.

– Nie, zostaję.

Dobrze, że Josh wciąż siedzi na toalecie. Dzięki temu, kiedy robię krok i ujmuję jego twarz w dłonie, wystarczy, że trochę się wspinam na palce. Dzięki temu mogę poczuć iskierki napięcia przeskakujące w powietrzu między naszymi ustami, mogę poczuć jego westchnienie ulgi, które ma smak słodszy niż miód. I czuję jego żyły tętniące mi pod palcami. I wiem, że trzeba było naprawdę pokrętnych igraszek, żebyśmy doszli do momentu, w którym znaleźliśmy się teraz.

Dobrze, że Josh wciąż siedzi na toalecie, gdyż dzięki temu nasze usta mogą się spotkać.

Rozdział 25

Całuję go, a on długo wypuszcza oddech, tak długo, że chyba robi się kompletnie pusty. Chętnie bym go czymś napełniła. Mija ileś minut, marzycielskich, roztopionych w rzeczywistości, zanim do mnie dociera, że ja przecież przemawiałam do niego tym swoim pocałunkiem. „Liczysz się. Jesteś dla mnie ważny. To się liczy”.

Wiem, że on to rozumie, bo jego dłonie drżą leciuteńko, gdy sunie paznokciem, najpierw po bocznym szwie mojej sukni, potem po rękę i wreszcie zatrzymuje się na karku. On też mówi mi różne rzeczy. „Pragnę cię. Jesteś zawsze piękna. To wszystko naprawdę ma znaczenie”.

Bawi się zamkiem mojej sukni przez króciutką, rozedrganą wieczność, aż wreszcie rozsuwa go do samego dołu. Towarzyszy temu taki dźwięk, jakby igła sunęła po płycie gramofonowej. A potem wkłada jeszcze więcej napiętności w pocałunek, a ja wciskam się między jego kolana i już nawet dzikie konie nie odciągnęłyby mnie od tego człowieka i nie wywlekłyby z tego pokoju. Będę całowała go tak długo, aż umrę z wyczerpania. I kiedy czuję ostrą krawędź jego zębów, wiem, że nie jestem w tym samotna.

Nie reaguję, kiedy sukienka zsuwa się ze mnie na podłogę; występuję z niej i ją podnoszę. Przeważa wstydlivość i trochę się za nią ukrywam, aż w końcu wyglądam tak głupio, że nie mam wyjścia, tylko muszę ją odłożyć na bok. Z konieczności włożyłam body koloru kości słoniowej, podobne do kusego, jednoczęściowego kostiumu kąpielowego, żeby sukienka układała się gładko na ciele, i od tego body odchodzą cieniutkie tasiemki do pończoch. No nie jest to Śpiozaurus.

Josh ma taką minę, jakby ktoś dźgnął go w brzuch.

– O ja cię... – mówi słabym głosem.

Wręczam mu suknię i biorę się pod bok. Pożera oczami każdą moją linię

i każdą krągłość, ale trzeba mu oddać, że odruchowo składa schludnie suknię na pół. Mam idiotycznie krótkie nogi, a poza tym już nie wspomagają mnie pantofle na obcasie, tymczasem on patrzy na mnie w taki sposób, że miękną mi te moje mikre kolana.

– Coś dziwnie ucichłeś, Josh. – Wsuwam palec pod ramiączko mojego dziwnaczego body i nieruchomieję. Po ruchu jego grdyki widzę, że nerwowo przełyka ślinę.

Opasuję dłońmi jego kark, leciutko je zaciskam i potem zsuwam w dół. Jest taki twardy, ciężki i czuję pod wnętrzami moich dłoni ciepło bijące od jego naprężających się mięśni. Robię krok bliżej, przykładam twarz do jego szyi i wdycham ten cudowny zapach. Przymykam oczy i błagam samą siebie w duchu: „Proszę, zapamiętaj tę chwilę, abyś mogła przywołać jej wspomnienie, kiedy będziesz miała sto lat”.

– Zdejmij tę koszulę. Natychmiast! – Mówię to jednocześnie oschłym i uwodzicielskim tonem. I on posłusznie zaczyna ją zdejmować, z wyraźnie oszołomioną miną. Po chwili widzę jego nagie plecy w lustrze toaletki. – Do teraz masz sińce po paintballu. Ja też je mam.

Wolną dłonią gładzę po omacku jego pierś; po chwili przerywam pocałunek, by móc obserwować się przy tym. Widzę te mięśnie, poukładane i dopasowane do siebie jak klocki LEGO. Wbijam w nie palce, sprawdzając, czy to ciało w ogóle się ugina. On wciąż trzyma dłonie na moim tyłku, ale gładzi teraz palcami cieniutkie tasiemki podtrzymujące moje pończochy. Chcąc stłumić zbyt głośny jęk, który wyrywa mi się z ust, znowu go całuję, przysuwając się do niego jeszcze bliżej.

– Ja to wszystko planowałem. – Nareszcie udaje mu się coś powiedzieć, a potem prowadzi mnie tyłem w stronę łóżka. Zdziera narzutę i bez większego wysiłku układa mnie na pościeli. – Ale okoliczności miały być trochę bardziej romantyczne, na pewno nie pokój w hotelu.

Josh, który myśli o romantycznych okolicznościach? Moje serce nie daje rady. A teraz jeszcze zamyka mi usta pocałunkiem, a robi to tak delikatnie, że jestem bliska płaczu.

– Sama widzisz – mówi wprost do moich ust. – Wcale nie czuję do ciebie

nienawiści, Lucy. – Jego język dotyka mojego, próbnie, nieśmiało.

Opiera się na łokciach, chwytając mnie w pułapkę swoich bicepsów, i nagle mi się przypomina, jak przycisnął mnie do drzewa, stając się moją żywą tarczą.

„Zawsze cię chroniłem”.

Wzdycham, a on pochłania moje westchnienie.

– No właśnie...

Naprężam się i wiję pod jego ciężkim ciałem.

– Jesteś taki wielki. Niesamowicie mnie to podnieca.

– A ty jesteś taka malutka. Widzę to i zastanawiam się, jak się dopasujemy. Myślałem o tym od dnia, w którym się poznaliśmy.

– Już ci wierzę. Od tamtego pamiętnego dnia, kiedy zmierzyłeś mnie spojrzeniem od czubka głowy po palce u stóp, a potem wyrzuciłeś za okno.

Reaguje na to w ten sposób, że gryzie mnie w szyję, tak delikatnie, że trudno to sobie wyobrazić. Splata swoje palce z moimi nad naszymi głowami i teraz trzymamy się za ręce. Jak to się stało, że udało nam się tu wrócić? Do tego miejsca pełnego czułości, po tym jak oboje stanęliśmy w płomieniach wznieconych przez gniew? Jest teraz tak słodko, tak delikatnie, łagodnie. Cały Josh.

– Jeżeli zrobimy to dzisiaj, nie dopuszczę, żebyś przy mnie dziczała. – Wyraźnie trochę się ogarnął i patrzy teraz na mnie z powagą. – Zamierzasz może odlecieć mi tu zaraz, jak to miewasz w zwyczaju?

– Nie wiem. Bardzo możliwe. – Próbuję żartować, ale on nie jest ani trochę rozbawiony.

– Jak ja bym chciał wiedzieć, ile z ciebie dostanę. No powiedz: ile? – Znowu całuje mnie w szyję, ściskając teraz mocniej moje dłonie.

– Do naszych rozmów kwalifikacyjnych dostaniesz wszystko – mówię do jego ciała, a on wtedy wypuszcza drżący oddech, jakbym ofiarowała mu siebie na wieczność, a nie tylko na kilka dni.

Znowu zaczynamy się całować i tarcie mojego uda o jego krocze powoduje, że Josh porusza się teraz odrobinę cięższym rytmem. Gdy tylko nieruchomieje, choćby dla zaczerpnięcia oddechu, natychmiast przyciągam

go do siebie.

Mija wieczność i w którymś momencie on wsuwa dłoń pod ramiączko body. Pożądliwie przekłada je sobie między palcami, powodując, że paseczek tkaniny napręża się, po czym puszcza go z towarzyszeniem cichego trzasku, a potem robi to jeszcze raz.

– Zamek jest z boku – podpowiadam. A właściwie błagam go.

Zupełnie mnie ignoruje i zamiast tego wsuwa palec za kokardkę między moimi piersiami.

– Najmniejsza kokardka, jaką w życiu widziałem. – Pochyla głowę i bierze ją w zęby.

Robimy to wszystko tak powoli, że nie zdziwiłabym się, gdybym po otwarciu oczu zobaczyła, że już nastał dzień. A poza tym on jak zawsze zachowuje się zupełnie inaczej, niż się spodziewałam. Jest delikatny, a nie brutalny. Powolny, a nie szybki. Nieśmiały, a nie zuchwały. Wszyscy moi poprzedni chłopacy i ich eksperymenty w dziedzinie gry wstępnej trafiają do domeny najbledszych wspomnień, teraz, kiedy doświadczam tej niewysłowionej rozkoszy, jaką jest leżenie pod Joshem.

Wsuwa dłoń w moje włosy, a kiedy zaczyna drapać paznokciami po mojej głowie, dostaję gęziej skórki na całym ciele. Widzi to i wiedzie językiem po mojej skórze. A potem zwinnie klęka między moimi stopami, pozornie po to, by mieć lepszy widok. I to kolejna rzecz, która na mnie działa. Patrzę na jego naprężający się brzuch i z ust wyrывa mi się osobliwy dźwięk.

– Jak ty to robisz, że tak wyglądasz?

– Nie mam nic lepszego do roboty oprócz chodzenia na siłownię.

– Teraz już masz.

Podnoszę się do pozycji siedzącej i przeciągam ustami po tych mięśniach: robię to, co zawsze chciałam zrobić. Kładę dłonie na jego tyłku i teraz już czuję się wprost bajecznie.

On wsuwa obie dłonie w moje włosy, a ja zaczynam pieścić jego brzuch. Nie potrafię się powstrzymać. Znajduję niewielką kępkę włosów, podnoszę wzrok i widzę na jego piersi rozproszone światło, które przeobraża się w kreskę i znika za paskiem jego garniturowych spodni.

– Te roznamiętnione oczy – mówi do mnie cicho.

– Bo to nie żarty. Chcę cię teraz wciągnąć do nosa. Zawsze tak zdumiewająco pachniesz. – Przyciskam nos do jego skóry i wdycham go z całej siły, na co on reaguje wybuchem śmiechu. Znowu patrzę na jego twarz i uśmiecham się od ucha do ucha.

Przykłada dłoń do zamka z boku.

– Jestem cała posiniaczona – ostrzegam. Wciągam brzuch, spoglądając na jego bicepsy.

– Jesteś urocza, kiedy zaczynasz się wstydzić. Nie będę się spieszył. – Zdejmuje jedno ramiączko z mojego ramienia, delikatnie układa je na ręce. Potem robi to samo z drugim. Zagryza wargę. – Będę musiał usiąść. Czuję, że jestem za wysoki.

Przez krótką chwilę się przetasowujemy, bo on siada pod wezglowiem łóżka, a ja między jego nogami, opierając się plecami o jego tors. On oplata dłońmi moje ramiona, a ja przymykam oczy, kiedy zaczyna je rozcierać, wykonując masaż, najcudowniejszy i najbardziej dziwaczny z wszystkich, jakie mi kiedykolwiek robiono. Większość mężczyzn już dawno by rozpięła ten zamek, ale on to nie większość mężczyzn.

– W taki sam sposób siedziałaś, kiedy byłaś chora.

Kontynuuje masaż i efekt tarcia naszych dwóch ciał zdaje się wypełniać całe nasze otoczenie. Odgarnia mi włosy, po czym przyciska usta do karku. Na tym etapie już nie bardzo pamiętam, jak się nazywam.

Wsuwa dłoń pod satynę i waży moją nagą pierś w dłoni. Jego palce powolutku, delikatnie ją szczypią.

– O tak... – mówi głucho i znowu przyciska usta do karku.

Słyszę odgłosy dobywające się z moich ust. Brzmia jak te chrapliwe oddechy ludzi zdjętych potwornym bólem. Tyle że ja czuję się tak, jakbym już znajdowała się w połowie drogi do orgazmu.

– Wyobraź sobie to wszystko, co będziemy robić – mówi, tak jakby do siebie.

– Nie chcę sobie wyobrazać. Chcę już teraz wiedzieć. – Moje stopy wierzgają bezsensownie, zaplątując się w prześcieradło, jakbym doznała

porażenia prądem.

– Dowiesz się. Ale już czuję, że ta dzisiejsza noc nie wystarczy. Mówiłem ci, że potrzebuję wielu dni. Tygodni.

Ledwie zauważam, że już powoli rozpina zamek. Wyswobadza mnie z rozciągliwej satyny i czuję się wprost bosko, kiedy dotykają mnie, a potem gładzą te jego wielkie dłonie. Jestem rozpieszczana, delikatnie poklepywana, rozgrzewana, wielbiona. Kiedy wreszcie udaje mi się otworzyć oczy, jego oddech wionie gorącem tuż pod moim uchem, a w pasie jestem otoczona wałkiem z kremowej tkaniny. W tym momencie odpina pończochy i pochyla się nad moim ramieniem, żeby spojrzeć mi w twarz.

– Mmm. – Zahacza palcami o zrolowane body na moich biodrach i ściąga je przez nogi, przez co nie mam teraz na sobie nic oprócz pończoch.

Przed oczami mam jego spodnie, dlatego moja nagość sprawia wrażenie tym bardziej bezbronnej. Przyciągam kolana do piersi, bezskutecznie próbując się zasłonić. A on przykłada usta do mojego ucha i uspokaja mnie dobrotliwym mrużeniem. Jego ogromna dłoń gładzi mnie po biodrze, po udzie, a na koniec zaciska się na talii. Druga po chwili robi dokładnie to samo.

– Lucy – mówi do mnie takim tonem, jakby nie był w stanie powiedzieć nic więcej. – Lucy. Lucy... Czy ja będę potrafił rozstać się z tą nocą? Pytam poważnie. Jak?

Ciarki mnie przechodzą. Sama się nad tym zastanawiam. Przekrzywiam głowę i znowu się całujemy.

Jestem schrypnięta i bardzo brakuje mi tchu.

– Ja umrę tej nocy. Błagam, zdejmij wreszcie te majtki.

– Chcę mieć to wyhaftowane na poduszce – mówi, a ja śmieję się tak serdecznie, że aż się zapowietrzam.

– Jesteś taki zabawny. Zawsze tak uważałam. Nie mogłam się śmiać razem z tobą, ale chciałam.

– Ach, a więc to jest jedna z twoich zasad. – Zsuwa się z łóżka, kładąc dłoń na guziku przy swoich spodniach. – Czyli celem tej gry nie jest śmiech?

– Celem tej gry jest doprowadzenie drugiej osoby do śmiechu. No chodź

już. Robi mi się zimno. – Nie tyle robi mi się zimno, ile zaczynam się niecierpliwic. Kiedy przesywa mnie dreszcz, Josh układa na mnie koc, a potem jak jakaś nimfomanka chłone jego ruchy, bo wreszcie rozpina zamek w spodniach.

– Mam swoje zasady. I dla mnie celem tej gry jest coś innego.

Przyglądanie się mu, jak zdejmuje spodnie, przenosi mnie na zupełnie inny poziom. Stoi teraz w slipkach z czarnego streczu. Od przodu są bardzo wyraźnie zniekształcone.

– Ależ opowiedz jaki. Bardzo proszę.

Zsuwa te slipki z bioder i wtedy rozdziawiam usta. Wygląda na to, że nawet moja rozgorączkowana wyobraźnia boleśnie się myliła. Już mam mu powiedzieć, że jest imponujący, gdy on nagle gasi lampę i oboje zatapiamy się w ciemnościach.

– No nie! Josh, to jest skrajna niesprawiedliwość. Natychmiast zapal to światło. Chcę na ciebie patrzeć.

Macham ręką w stronę lampy, ale kiedy on wsuwa się pod koc i czuję ciepło jego ciała na swoim ciele, oboje wzdychamy z niedowierzaniem. Skóra przy skórze. Wspólny żar.

Nie bardzo wiem, gdzie on dokładnie teraz jest. To znaczy jest go na mnie pełno. Mam wrażenie, że czuję jego oddech we włosach, ale chwilę się kotłujemy i czuję jego westchnienie blisko moich żeber. To takie niepokojące i zarazem erotyczne; nieledwie wyskakuję ze skóry, kiedy przesuwą dłonią po moim boku.

Druga jego dłoń ściąga pończochy, sunąc gładko po nogach. Dotyka teraz mojej kostki i delikatnie szczypie krzywiznę talii. Po chwili obie dłonie gładzą całe moje ciało.

– Jesteś taka nedorzecznie miękka. Dopasowujesz się do mnie wszędzie, gdzie dotyka cię moja dłoń. A więc miałem rację.

I demonstruje, jak to jest. Szyja. Piersi. Żebra. Biodra. A potem pokazuje, że jego usta też wszędzie się dopasowują. Moja skóra robi się coraz cieplejsza, wraz z każdym kolejnym pocałunkiem i dotknięciem dłoni. A on jeszcze zlizuje cieniutką powłoczkę potu, która zaczyna się gromadzić na

moim ciele, i wtedy słyszę jakiś daleki odgłos. Dociera do mnie, że ten odgłos dobywa się z moich ust. Skomlenie, błaganie. A on tego nie zauważa i nie ma litości. Przyciska swoje perfekcyjne usta do tych fragmentów ciała, które sam wybiera. Centymetr po centymetrze, jakby sporządzał mapę. I bardzo dobrze, ale przecież Josh też ma ciało i koniecznie muszę go dotknąć. Jest już w połowie wyprawy po górnej części mojego kręgosłupa, kiedy wyraźnie zaczynają go męczyć błaganie, które wciąż szepczę.

– Proszę, pozwól się dotknąć.

Godzi się niechętnie i przekłada mnie na drugi bok, a ja wtedy przesuwam dłońmi od jego karku do barków. Ściskam. Gryzę. Obiema dłońmi pieszczę jeden biceps, starając się oszacować jego wagę. To takie rozkoszne, dotykać kogoś. Ta skóra jest satynowa. Aż mnie mrowi w palcach, kiedy jej dotykam. A moje usta dopasowują się do każdego miejsca. Oczy przyzwyczajają się do ciemności i widzę teraz błysk w jego oku, kiedy nie spiesząc się, badam każdy kolejny mięsień, ścięgno i staw, które moje ręce napotykają na swej drodze.

Sunę ciałem po jego ciele, czując jego westchnienia, a potem przyciągam go do siebie, żeby położył się na mnie jak należy.

– Jestem raczej ciężki. Zrobię z ciebie naleśnik.

– Miałam dobre życie.

Śmieje się ochryple, z zadowoleniem, i jest mi posłuszny: przyciska mnie całym ciężarem do materaca, przez co tracę połowę powietrza z płuc.

– Och, jak dobrze. Jaki ty jesteś ciężki. Uwielbiam to.

Jakaś minutę później podnosi się na klęczki, bo ja już stopniowo umieram. Wsuwam rękę w przestrzeń między nami i ujmuję jego intrygującą twardość. Pozwala mi ją pieścić i bawić się nią, aż wreszcie jego urywany oddech przekonuje mnie, że on już się rozpada w szwach i że to z mojego powodu. Nie wyobrażam sobie, abym mogła tu wygrać coś więcej. Ale w tym momencie czuję jego usta na swoim biodrze i po chwili zaczyna całować moje uda.

Mimo woli śmieję się, bo łaskocze mnie jego zarost, a poza tym przypomina mi się kłótnia, do której doszło między nami w zamierzchłych

czasach. Całuje moje uda otwartymi ustami, z ogromną czcią, szepcząc coś, co nie bardzo słyszę. To chyba jakieś komplementy; czuję gorące oddechy przerywane liźnięciami, ukąszeniami, kolejnymi pocałunkami. Nie dam rady się przeciwstawić miękkiemu naciskowi tych ust, a zresztą jego intencje są oczywiste. Rozchylam nogi i wbijam spojrzenie w ciemny sufit.

Już od pierwszego muśnięcia wiruje mi w głowie. Tak należy lizać czubek lodu w rożku. Oddycham tak ciężko, że prawie parskam, a on w ramach nagrody całuje wewnątrz uda. Nie potrafię sformułować żadnych ludzkich słów.

Potem jest pocałunek, ten jego sygnałny pocałunek, którym obdarza podczas pierwszej randki: cnotliwy, delikatny, bez języka. Zapowiedź tego wszystkiego, co dopiero nadejdzie. Ściskam poduszkę i postanawiam, że on już nigdy nie pójdzie na żadną pierwszą randkę. Nigdy przenigdy.

I znowu pocałunek, tylko ten przeistacza się z cnotliwego w namiętny tak powoli, że nawet nie wiem, kiedy zachodzi ta zmiana. Bo on ani trochę się nie spieszy i wraz z każdą minutą moje ciało jednocześnie się odpręża i coraz bardziej nakręca. Wreszcie odnajduję swój głos i nawet udaje mi się nadać mu wyraźne, wyniosłe brzmienie.

– Nie sądzę, by było coś o tym w podręczniku HR.

Czuję, że przesywa go dreszcz.

– Przepraszam – mówi. – Masz rację. – Nie przestaje, tylko nadal przez jakąś niewiadomą liczbę minut narusza zasady HR.

Trzęsę się coraz mocniej, coraz bliższa oślepiającej eksplozji, która kryje się tuż za horyzontem. Szczerze powiedziawszy, dziwię się, że wytrzymałam tak długo. Sięgam ręką, zatapiam palce w jego włosach i ciągnę.

– Nie dam rady. Proszę. Potrzebuję więcej. Dużo, dużo więcej. –

Odsuwam się, chwytając go kurczowo, ciągnąc za rękę z nadludzką siłą. A on wzdycha pobłaźliwie i podnosi się na klęczki; słyszę nareszcie magiczny szelest rozdieranej folii.

Jego głos brzmiałby teraz władczo, ale to zdławiony głos, który drży lekko, a więc cały wysiłek idzie na marne.

– Nareszcie cię mam.

– Nie, to ja ciebie mam – odparowuję.

Układa się na mnie i przeżywam chwilę zdumienia, kiedy rozbłyśka lampa. Oszołomiona zamykam oczy, a kiedy znowu je otwieram, patrzy na mnie. Czarno-szafirowe plamy jego oczu robią dziwne rzeczy z moim sercem.

– Hej, Babeczko. – Nasze palce splątują się znów nad moją głową.

Pierwsze pchnięcie jest delikatne: moje ciało od razu je przyjmuje i potem te następne. Josh przyciska swoją skroń do mojej, wydając z siebie rozpaczliwe odgłosy, jakby coś go bolało, jakby walczył o życie. Mimowolnie kurczę się w sobie, a on wtedy z całej siły naciera. Uderzam lekko głową o wezglowie łóżka i śmieję się.

– Przepraszam – mówi, a ja całuję go w policzek.

– Nie przepraszaj, zrób to jeszcze raz.

Rozdział 26

Nasza Gra w Spojrzenia wygląda zupełnie inaczej, kiedy we mnie jesteś. – Czuję, jak biodra Josha rozluźniają się odrobinę, i w tej samej chwili moje powieki zaczynają trzepotać.

Wiedząc o tym, jaki on jest wielki, a ja malutka, spodziewałam się rozkoszy, ale i poczucia przytłoczenia, niemniej w tej chwili czuję tylko emocje ściskające gardło tak, że nie potrafię wykrztusić ani słowa więcej. To przez te jego oczy, przez to, co w nich widzę, gdy swobodnie i miękko porusza biodrami. Żadnej gwałtowności, żadnych druzgoczących pchnięć. Josh porusza się na mnie miarowo, z opanowaniem. Tak wygląda najbardziej podniecająca chwila całego mojego życia. Powoli zatapiam się z kretesem w powodzi wrażeń. W piersiach nabrzmiewa mi coś w rodzaju ciężkiego świra.

Cała roztopiam się pod spojrzeniem jego oczu. Namiętych oczu. Głębokich, płonących, nieustraszonych. Żądających, abym oddała się mu cała. Ponieważ nic mniej niż wszystko go nie zadowoli.

– Mów do mnie. – Pociera nosem o mój nos. Oddycha ciężko i rytmicznie.

– Miałeś rację... mimo wszystko jakoś do siebie pasujemy. Ach, jak miło.

– Ledwie potrafię wydukać kolejne słowa. – Chyba już z lekka odpływam.

– Miło, powiadasz? – Przygląda mi się z rozbawieniem. – Nigdy nie jest tak, żeby nie mogło być milej.

Puszcza moje ręce, wsuwa mi dłonie pod uda i unosi odrobinę nad materacem.

– Miło to dobrze, miło to dobrze – bełkoczę. A potem już tylko jęcę.

Joshua Templeman naprawdę zna się na tym, co robi.

Oczy uciekają mi w tył głowy. Wiem, że tak musi być, ponieważ widzę, jak on się lekko uśmiecha, a potem znów porusza biodrami. Koce zsuwają się

na podłogę i zniecka mam widok z pierwszego rzędu: na przemian przyglądam się cudownie poruszającym się mięśniom i jego twarzy.

– Wcale nie jestem miły – informuje mnie niespodziewanie.

Powoli nasze ciała dostosowują się nawzajem do swoich ruchów, odnajdując w sobie nieznane pokłady doznań. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie czułam. I dociera do mnie, że żaden z mężczyzn, z którymi byłam, nie robił tego dobrze. Ten jest pierwszy.

Na jego czole pojawia się zmarszczka skupienia. Mam wrażenie, że zmiana kąta, pod którym spotykają się nasze ciała, zmiana, która jemu przysłała tak łatwo, spowodowała, iż we mnie zapaliło się nowe światełko.

– Co ty... – On tymczasem znów porusza się we mnie, a rozkosz jest tak intensywna, że w gardle więźnie mi szloch. I jeszcze raz, i jeszcze. Takie igraszki to dla mnie coś zupełnie nowego.

Nie mam nawet siły, żeby ułożyć ręce na jego ramionach. I jestem pewna, że za każdym razem, gdy porusza się we mnie, znajduję się o krok bliżej czegoś, co mnie z pewnością zabije.

– Masz jeszcze siły? – Staram się być troskliwa i czuła, ale on zamiast odpowiedzi narzuca jeszcze szybsze tempo.

Całe moje ciało pokrywa cieniutka warstewka potu. Palce wczepiają się kurczowo w fałdy pościeli. I choć nie potrafię już chyba wykonać żadnego ruchu, jemu to ewidentnie nie przeszkadza. Mogę tylko wciskać plecy w materac i marzyć, że uda mi się przeżyć.

– Umieram – szepczę ostrzegawczo. – Josh, ja umieram.

Josh unosi moją lewą kostkę i opiera ją na swoim ramieniu. Ramieniem otacza moją zgiętą nogę i przygląda mi się intensywnie, równocześnie przyspieszając tempo. Brwi zjeżdżają mu się razem. Nie ma nic lepszego niż nasza Gra w Spojrzenia, podczas której Josh drażni mój nieistniejący punkt G. Który zniecka właśnie zaistniał.

– O Boże. O Boże... Josh.

Kiedy śmieje się w odpowiedzi,omalże nie rozsypuję się do końca.

Na czym polega problem? Na tym, że takie rzeczy się nie dzieją. Jak się idzie po raz pierwszy z kimś do łóżka, to najpierw musi być to dość

niezgrabne i nieporadne, a dopiero potem na zmianę trzeba się mozolnie uczyć, co to drugie lubi, a czego nie. Za pierwszym razem nie istnieje coś takiego jak ostre, mokre pieprzenie się i opóźnianie orgazmu. Niemniej to właśnie mnie spotkało. I on o tym wie.

– Lucy. Wyluzuj.

– Jestem wyluzowana – protestuję, ale w rewanżu za moje kłamstwo on tylko zdwaja wysiłki. Bełkoczę jakieś niezrozumiałe podziękowania.

– Proszę cię bardzo – mówi i unosi moje biodra jeszcze wyżej.

Nie mam pojęcia, jak mógł się dotąd nie zmęczyć. Powinnam chyba wysłać pisemne podziękowania jego osobistemu trenerowi. O ile zdołam utrzymać pióro w ręku. Przygryzam wargę. Za nic nie chcę, żeby to się skończyło. I mówię mu o tym.

– Zawsze, zawsze tak mi rób – błagam. Oczy mam pełne łez. – Nie przestawaj.

– Uparta jesteś, no powiedz, Babeczko.

– Niech to się nie kończy. Proszę, Josh. Proszę, proszę...

Cudownym, czułym gestem przytula policzek do mojej łydki.

– Nie skończy się – zapewnia mnie.

Widzę, że w końcu on też powoli zatracą się w tym, co robimy. Rozjarzone oczy zasnuwa mu mgła, w pewnej chwili unosi wzrok, jakby się modlił. Światło lamp zza okna kładzie się na jego skórze złotym poblaskiem.

I w końcu nadchodzi kolejne głębokie, posuwiste pchnięcie, właściwie nieodróżnialne od wcześniejszych, ale dla mnie oznacza szczyt.

Fala, która mnie porywa, nie jest słodziutkim, łagodnym kołysaniem. Zgrzytam zębami, wpijam palce w ciało Josha i próbuję się wyrwać z jego uścisku. Krzyk bolesnej rozkoszy, który dobywa się z mojego gardła, budzi zapewne większość hotelowych gości. Pierwotne rozprężenie w najczystszej postaci. O mało co nie kopię Josha w szczękę, ostatecznie jakoś udaje mu się przytrzymać moją stopę i obezwładnić mnie. A potem już tylko rozkosz kołysze się we mnie, a wraz z nią moje ciało wygina się, napręża, drży, aż zupełnie tracę zmysły opętana na punkcie Joshui Templemana. Miał rację. To się tak szybko nie skończy. Będę chciała, żeby trwało całymi dniami.

Tygodniami. Latami. Milionami lat.

Odlatuję, kompletnie odlatuję, a kiedy na niego spoglądam, widzę, że on też.

Kładzie się na mnie, czuję, jak jego ciało drży. Nachyla się, patrzy zniecierpliwionym wzrokiem, a ja unoszę rękę i głaszczę go po policzku.

Ostrożnie opuszcza moje ciało na materac. Prawie sobie nie wyobrażam, żebym go miała z siebie wypuścić. Otaczam jego ramiona rękami, wciskam usta w jego czoło, w płucach czuję pustkę, jakbym przebiegła właśnie pięć kilometrów. Josh pewnie musi się czuć jak po triathlonie.

Zagląda mi w oczy.

– I Co Tam U Ciebie? – szepcze cicho.

– Czuję się jak zjawia samej siebie. Jakbym już nie żyła.

– Zawsze mi się wydawało, że od tego się nie umiera – mówi i zaczyna się ode mnie odsuwać, boleśnie powoli.

A ja proszę, błagam, protestuję. Jestem jak narkomanka, ten jeden raz sprawił, że stałam się całkowicie uzależniona, chcę, pragnę następnej dawki, mimo że pierwsza jeszcze krąży w moich żyłach. Moje ciało samo się klei do niego, w końcu jednak Josh całuje mnie w czoło.

– Przepraszam, naprawdę muszę – mówi i znika w drzwiach łazienki.

Przez moment przyglądam się jego plecom, zaraz potem opadam na poduszkę.

„Najlepszy seks w życiu. Najpiękniejsze plecy, jakie u kogokolwiek widziałam”.

– Naprawdę? – dobiega do mnie pytanie zza drzwi.

Wychodzi na to, że myślałam na głos.

Skrywam twarz w zgięciu łokcia, próbuję uspokoić oddech. Po chwili czuję, jak materac się ugina, Josh przykrywa kocami moje już nie tak gorące ciało.

– Teraz już pewnie będziesz całkiem nieznośny. Ale niech cię cholera, Josh. Niech cię cholera. – Paplam to wszystko bardzo niewyraźnie.

– Sama idź w cholerę – odpowiada, a potem wciąga mnie w kołyskę swoich ramion.

Przytulam policzek do jego piersi, cudownie spoconej.

– Ułożmy jakiś plan gry na czas, kiedy się obudzimy. Obawiam się, że nie dam sobie rady, jak zaczniesz mi świrować.

– Plan gry wygląda tak: mówimy sobie grzecznie „dzień dobry”, a potem robimy to znowu. – Mam kłopoty z wymawianiem słów, jakbym była po udarze. Zasypiam z uchem przytulonym do piersi Josha, wsłuchana w jego śmiech.

Jakimś cudem budzę się rano żywa. Idę umyć ręce, ale tam czeka na mnie widok mojej twarzy w lustrze.

– O cholera.

– Co jest?

Uchylam lekko drzwi. Półmrok pokoju rozświetlają jedynie pojedyncze smugi światła sączące się przez ciężkie zasłony.

– Zapomniałam zmyć makijaż. Znowu wyglądam jak Alice Cooper.

Makijaż z oczu rozmazał się aż na skroniach, przez co moje oczy nabrały bladobłękitnego, trupiego wyrazu.

– Znowu? Wcześniej też zdarzało ci się wyglądać jak Alice Cooper?

– No, następnego ranka po tym, jak się wtedy porzygałam, o mało co nie dostałam ataku hysterii na widok swojej twarzy. – Myję zęby, a potem ściągam włosy w kok.

– Podobasz mi się, kiedy wyglądasz na trochę zużytą.

– Dobra, teraz będziesz urzeczony.

Jestem pod prysznicem i bezskutecznie próbuję otworzyć opakowanie zawierające maleńkie mydło, gdy słyszę skrzypnięcie drzwi, a za moment Josh wchodzi obok mnie pod prysznic, spokojnie, jakbyśmy kąpali się razem każdego ranka od lat. Wstrząsa mną przeszywające pragnienie: najdziwniejsza mieszanka radości i strachu.

– Mydełko w rozmiarach Babeczki – rzuca, biorąc je z moich rąk i pakując róg opakowania między zęby. Potem wyciska drobinę mydła i rozciera między palcem wskazującym a kciukiem.

– Chyba mi się spodoba.

Jestem tak oszołomiona widokiem jego aksamitnej złotej skóry pokrytej strumyczkami spływającej wody, że przez kilka minut potrafię tylko się gapić, z językiem wywalonym z kącika ust jak u głodnego psa. Kontempluję strumienie wody, które opływają krzywizny, po czym rozlewają się po lśniących płaszczyznach jego ciała.

Linia włosów zaczyna się u Josha pośrodku piersi, a potem rozkłada wachlarzem, żeby objąć sutki i spłynąć w dół cienkim pasmem aż do pępka. Od lat bombardowana milionami billboardów, na których młodzi mężczyźni prezentowali swoje błyszczące ciała w bieliźnie, prawie zapomniałam, że mężczyźni są obrośnięci. Łapczywie śledzę spojrzeniem strumyk wody spływający tam, gdzie włosów jest cała gęstwina, a pod nią imponująca erekcja. Lśniąca od tej wody. Artystycznie niemal poprzecinana ślicznymi żyłkami – widok, od którego miękną mi kolana. On już raz był we mnie. Ale ja chcę jeszcze. Jeszcze, jeszcze, nawet nie zliczę, ile razy jeszcze.

– Jesteś... – Potrząsam głową. Muszę zamknąć oczy, bo inaczej nie przypomnę sobie żadnego ludzkiego słowa. On mnie przerasta. Nie wiem, jakim cudem udało mi się złapać to złotoskóre stworzenie w szklaną pułapkę hotelowego prysznica, które na domiar wszystkiego patrzy na mnie teraz tymi oczami. Jak ja kocham te oczy...

– Ależ skąd. Tak naprawdę jestem potworny – szepcze, udając ton najgłębszego smutku, a ja czuję nacisk kostki mydła na obojczyku. A potem to mydło zatacza niewielki krąg, z początku lepkie, a po chwili śliskie. – To tylko mój osobisty trener przekonał mnie, że kamuflaż przyda się w kontaktach z kobietami. I co? I nic, wszystko do bani. Strata czasu i energii.

Z wysiłkiem unoszę powieki i pewnie moje oczy wyglądają jak po wizycie w palarni opium, bo on śmieje się w głos.

Przyciskam kciuk do zmarszczki żłobiącej uśmiech na jego policzku.

– Jesteś obłądny. Taki piękny. Nie potrafię uwierzyć, że istniejesz naprawdę.

Zderzając się plecami ze ścianką kabiny, cofam się, by móc lepiej widzieć, i teraz on wpatruje się w każdy skrawek mojego ociekającego wodą ciała.

Ręce aż mi sztywnieją z wysiłku, żeby się za nimi nie chować. W porównaniu z jego perfekcyjną sylwetką wyglądam pewnie jak stara babcia. A on tymczasem nadal wodzi po mnie spojrzeniem od stóp do głów i z powrotem; widzę, jak ciemnieją mu oczy.

– Chodź tu – mówi ochryplym głosem. Wyciąga ku mnie rękę, podaję mu swoją.

Nie ma co, ciekawy początek dnia. Wspólny prysznic z kumplem z pracy, który jednocześnie jest moją nemezis.

Gdy tylko ta myśl materializuje się w mojej głowie, dociera do mnie, że nie mam co się dłużej oszukiwać: to mocno przestarzała myśl. A on tymczasem odciąga mnie od zimnych płytek i ustawia twarzą w stronę kaskady wody, sprawdzając najpierw, czy jej temperatura jest właściwa. A potem opasuje mnie od tyłu ramionami i po prostu przytula: innego określenia nie da się tu zastosować. Ja z kolei wciskam się mocniej w jego erekcję, bo chcę usłyszeć jęk z jego ust.

– I jak tam z tobą? Nie będziesz świrować? Nie odleczysz mi tu? – Rozprowadza pianę pod moimi piersiami i na żebrach. Podnosi moją rękę, ogląda ją i potem porównujemy nasze dłonie.

– Po co, skoro mi dobrze? Jak to jest, że twój świr to jakoś nie jest temat? Nie jest tak, że to dziewczyny mają problem z facetami, którym odbija na punkcie rannych treningów, bo za wszelką cenę chcą się wyrwać z domu? Patrząc, jak jesteś zbudowany, myślę, że może jest tu nawet coś na rzeczy.

– Byłem na to gotowy znacznie wcześniej niż ty – mówi Josh. Nie wiem, skąd to wie, ale wie, że nie chciałabym zmoczyć włosów, i dlatego obraca nas oboje nieznacznie. Jego śliskie dłonie suną teraz po moich biodrach.

– No nie.

– No tak.

– To znaczy od kiedy?

– Od bardzo, bardzo dawna.

– Nigdy bym nie zgadła.

– Potrafię być bardzo skryty.

Słyszę, że jest rozbawiony.

Przechwytnę mydło, które lada chwila przeobrazi się w przezroczysty płatek. Przyklejam je do wnętrza dłoni i już mam doskonały pretekst, by gładzić jego ciało, gdy tymczasem jego język zlizuje kropelki wody ściekające z mojego podbródka.

Stoimy twarzą w twarz, z oczami na poły przymkniętymi, i wszystko już tak jakby wymyka się spod kontroli. Otacza nas skorupa z zimnego powietrza, a jednak pod tą kaskadą jest nam coraz goręcej, aż wreszcie czuję, że chyba zalewa mnie pot. To przez ten pocałunek.

Całe minuty, całe godziny roztapiają się w niebycie, kiedy całuję Josha Templemana. Nie ma tego łuku, po którym słońce wspina się na nieboskłon, zbiornik na gorącą wodę nie robi się pusty, nieważne, że trzeba się wymeldować z hotelu. I Josh też się nie spieszy. To niezwykle człowiek; osiąga coś niemal niemożliwego. Wcałowuje mnie w terażniejszość.

W poprzednich związkach zawsze miałam problem z tą jedną rzeczą: najzwyczajniej w świecie wyłączałam mózg. Tymczasem tu i teraz jesteśmy tylko my. Nasze wargi znajdują właściwy rytm; delikatny ruch wahadła, które to wznosi się, to leciutko opada, zataczając nieznaczny łuk, i tak raz za razem, aż wreszcie na całym świecie dla mnie nie istnieje nic oprócz jego ciała, mojego ciała i tej wody, która leje się na nas w takich ilościach, że mógłby powstać z niej wielki obłok.

Przy nim słowa takie jak „intymność” wydają się żałośnie nieadekwatne. Może chodzi o to, jak kciukiem odchyła moją twarz, a pozostałe palce wsuwa we włosy za uchem? Może o to, że kiedy chcę zaczerpnąć powietrza, przysuwa usta i wdycha je prosto w moje usta? Głowa zaczyna mi się kołysać, śpiąca i ciężka, on podtrzymuje mój policzek dłonią. Zerkam na niego i w sercu wybucha mi supernowa emocji. To, co się ze mną dzieje, pewnie widać w oczach, ponieważ Josh się uśmiecha.

Żadne słowa nie opiszą, jak wielkie są jego dłonie, póki nie spoczną na moim ciele. Póki nie obejmie nimi moich żeber, żeby potem przesunąć je wyżej i pokazać mi, jak doskonale do niego pasuję. A kiedy nie mogę już dłużej wytrzymać, obraca mnie do ściany i drapie po plecach.

Jego paznokcie delikatnie wędrują w dół pleców, a on tymczasem szepcze

mi w kark.

Opowiada o tym, jaka jestem piękna. Najlepsza truskawkowa babeczka. Pozostawiająca w ustach smak niezapomniany. I że chciałby, abym była pewna, całkowicie pewna, zanim podejmę jakąkolwiek decyzję w sprawie „nas”.

Zlizuje krople wody z moich ramion, równocześnie wsuwając swoją silną dłoń między moje uda. Czuję, jak moje stopy ślizgają się lekko na płytkach. Później trochę mniej lekko. Przeszywa mnie dreszcz, gdy od tyłu obejmuje mnie ręką za szyję.

Pierwsze dotknięcie jego palców wyrywa z mojego gardła głos, który echem dźwięczy wśród ścian łazienki. On przytula mnie, a właściwie dusi coraz mocniej wraz z każdym ruchem palców, więc sięgam za siebie i w rewanzu również go chwytam. Nakładające się na siebie nasze jęki wypełniają wnętrze iście potępieńczym hałasem.

– Oddaj mi się cała – mówi Josh do mojego ucha.

Odwdzięczam mu się tą samą prośbą. Ale tymczasem cały świat znika i czuję tylko obok siebie jeden wielki, rozgrzany mięsień, jego usta kęsające płatek mojego ucha i silne pchnięcia w moją żałośnie małą dłoń. Ale jemu to najwyraźniej nie przeszkadza – z jego ust wyrywa się jęk.

Ze swej strony staram się bardzo, żeby nie robić zbyt dużo hałasu i żeby nie usłyszeli mnie goście z pokoi obok. Sprawia mi to zaskakujące trudności, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę niebiańskie porcje pieszczot, jakimi jestem obdarzana.

– Ciii – mówi w pewnej chwili Josh, na poły się śmiejąc.

Zaczynam tracić równowagę, jego zęby zaciśnięte na moim karku zaczynają wgryzać mi się w skórę, chwytam go mocniej. Praktycznie w jednej chwili sztywniejemy, a potem się rozluźniamy.

Orgazmy rozkwitają w nas powoli. Policzek Josha wciśnięty jest w płytki nad moją głową, przyglądamy się sobie bez słowa, drżąc. To dziwne: tak patrzeć na drugą osobę w takiej chwili. Ale myślę, że mogłabym to polubić.

Nie istnieje sposób, żeby jakoś właściwie kończyć takie chwile. Jak się wraca do rzeczywistości? Z pewnością przydałaby się tabliczka

upamiętniająca w naszym pokoju.

– O, cholera! Zaraz śniadanie. Musimy się pospieszyć. I jeszcze trzeba się spakować.

– Daruj sobie. – Jego dłoń wędruje po krzywiźnie mojej talii i bioder. W górę, w dół. Na zewnątrz, do środka.

– Twoja mama będzie na nas czekać. Chodź.

– Nie! – krzyczy, sunąc dłońmi po moich ramionach.

– A właśnie, że tak – informuję go i wychodzę spod prysznic, wyslizgując mu się z rąk. Owijam się ręcznikiem i sprawdzam godzinę na zegarku przy łóżku.

– No, dawaj. Mamy jeszcze piętnaście minut. Pospiesz się.

– Wynajmę pokój na kolejną dobę. Przed nami jeszcze wiele godzin. Właściwie możemy tu zamieszkać.

– Josh. Lubię twoją mamę. I nie obchodzi mnie, czy wyjdę na lizuskę, chcąc sprawić jej przyjemność... pewnie nie, bo być może już nigdy więcej się nie spotkamy. Ale wiem jedno: ona za tobą tęskni. Może więc taka rola mi na ten weekend przypadła: siły, która sprawi, że twoja rodzina znów będzie razem.

– Jakie to urocze. Zmuszasz mnie do robienia rzeczy, na które nie mam ochoty. A poza tym z pewnością spotkasz ją jeszcze nie raz.

– Świetnie. Wobec tego ujmę to w inny sposób. Zostałam zaproszona na to śniadanie i skorzystam z zaproszenia. Umieram z głodu. Za pomocą seksu podstępem wydarłeś mi resztki energii. Idę, a ty sobie rób, co chcesz.

Udaje mi się jakoś wytuszczać rzęsy i nałożyć odrobinę Miotacza Ognia na część górnej wargi. I wtedy Josh staje za moimi plecami, a potem przygląda się nam obojgu w lustrze.

To wszystko, co nas różni, nigdy jeszcze nie układało się w tak wyraźne – i tak erotyczne – kontrasty. Widok mojego ciała na tle jego wielkiej, cudownie umięśnionej sylwetki o mały włos nie stawia mojej decyzji pod znakiem zapytania. Josh tymczasem odsuwa włosy z mojego karku i całuje odsłoniętą skórę. Gdy nasze spojrzenia spotykają się w lustrze, wypuszczam urywany oddech.

Chciałabym mu powiedzieć: tak, wynajmijmy ten pokój na resztę naszego życia. Być może dysponując całym tym czasem, umiałabym wzbudzić w nim miłość do siebie... Uświadamiam sobie, co właśnie pomyślałam, i aż mnie coś ściska w gardle.

Musiałabym chyba być ślepa, żeby nie dostrzec ogników uczuć rozpalających się w jego oczach, gdy przytula mnie coraz mocniej i całuje w szyję. Musiałabym chyba być tysiącletnią staruchą, żeby zapomnieć, jak on potrafi całować. To, co między nami rozkwita, może pewnego dnia stać się wspaniałe, teraz jednak mam poważne wątpliwości, czy przetrwa w prawdziwym świecie. Ta tęczowa bańka mydlana, w której na moment ugrzęźliśmy? To nie jest rzeczywistość. Chciałabym, żeby nią była, chciałabym w niej żyć. O tym wszystkim powinnam mu powiedzieć na głos, ale nie mam odwagi.

Przymykam powieki.

– Możemy szybko zjeść śniadanie, a potem z nadświetlną prędkością wrócić do twojego mieszkania.

– Dobra. A tak na marginesie: fajna ta pomadka.

Jakimś cudem udaje mi się pomalować resztę ust i tylko raz się pobrudzić. Zanim zdążam sięgnąć po chusteczkę, Josh już mnie wyciera. Potem podnosi papier do oczu.

– Plamka w kształcie serca.

– Kup sobie białą bawełnianą chusteczkę, a odcisnę ci na niej całe usta. Będziesz miał po mnie pamiątkę.

Równocześnie mrugam do niego, żeby zbyt mocno nie wziął sobie moich słów do serca. Niemniej sarkastyczna replika, na którą liczę z jego strony, jakoś nie pada, a Josh tylko bez słowa wychodzi z łazienki. Kiedy parę minut później idę jego śladem z kosmetyczką pod pachą, on już czeka na mnie ubrany w dżinsy i czerwony T-shirt.

– Jeszcze nigdy nie widziałam cię w czerwonym. Jakim cudem pasują ci wszystkie kolory tęczy?

Kładzie mój telefon obok torebki, przy nich ląduje biała róża, którą wcześniej wyjął z butonierki.

– Tak ci się tylko wydaje. – Zapina swoją torbę, a potem staje przy oknie ze spojrzeniem wbitym w wodę.

Grzebię w mojej torbie w poszukiwaniu džinsów i czarnego kaszmirowego swetra, który na całe szczęście zapakowałam. Powietrze tutaj jest chłodniejsze i bardziej rześkie niż to, do którego przywykłam. Ubieram się, ale Josh nawet na mnie nie spogląda. W końcu podskakuję kilka razy, żeby dopiąć zamek jeansów, a on nawet wtedy nie reaguje. Zamaszyście opryskuję dekolt perfumami, a jemu nawet nozdrza nie zadrżą.

– Nie przejmuj się tym śniadaniem, będzie dobrze.

– O tak, nie wątpię – odburkuje.

Wsuwam pantofle i decyduję, że już nie będę nic robić z włosami, że musi pozostać taki nieporządny, mokry kok. Doganiam Josha i obejmuję go w pasie, opierając policzek o dolną krzywiznę jego łopatk.

– O co chodzi?

– Jestem dla ciebie przygodą na jedną noc. Czyli tym, czego przez cały czas tak bardzo starałem się uniknąć. Chciałem dzisiaj położyć fundamenty pod coś większego, a nie dawać ci tylko garść miłych wspomnień.

– Nie! Czekaj. Dlaczego tak mówisz? – Szarpię go za łokieć, aż wreszcie odwraca się w moją stronę.

– Bo ty mówisz takie rzeczy, jakby to już był koniec. Odcisk ust na chusteczce na pamiątkę? A tak w ogóle to na pamiątkę czego, jeśli wolno spytać?

– Już niedługo nie będziemy pracowali razem.

– Nie czekałem na to tak długo, nie przeszedłem tyle, ile przeszedłem, i nie poświęciłem tego wszystkiego, żeby skończyło się na jednej nocy. To dla mnie zdecydowanie za mało.

Oczywiście ma rację. Wyniki konkursu wiszą nad nami jak miecz Damoklesa. Czuję wzbierającą we mnie irytację.

– Mogę dzisiejszą noc spędzić u ciebie? – Żadne inne słowa jakoś nie przychodzą mi do głowy. – Mogę spać w twoim łóżku?

– Pewnie tak – mówi naburmuszonym głosem, więc ciągnę go za szlufki džinsów do jego torby.

Po drodze oglądam się na łóżko. Ile może się zmienić na tak małej przestrzeni? Niewykluczone, że w głowie Josha rodzą się podobne myśli, ponieważ całuje mnie w czoło tak delikatnie, że łzy natychmiast napływają mi do oczu.

Kiedy się wymeldowujemy, kątem oka zerkam na rachunek. Jedna magiczna noc w tym hotelu kosztowała tyle, co mój miesięczny czynsz. Josh podpisuje się zygzakiem w stylu Zorro, a potem przytula mnie. Mój policzek ląduje na perfekcyjnie ukształtowanym mięśniu piersiowym.

– Jak się państwu u nas podobało?

Recepcjonistka o nieskazitelnie eleganckiej fryzurze uśmiecha się odrobinę zbyt szeroko do Josha, który kończy formalności związane z wymeldowaniem się. Albo świadomie ignoruje moją obecność, albo po prostu jest nieco oszołomiona. Wzrokiem ogarniam jej fryzurę stworzoną z ciasno upiętego blond warkocza. Bładoróżowa szminka wyróżnia się zbyt jaskrawo na tle tej opalenizny. Hotelowa Barbie.

– Podobało się, dziękujemy – odpowiada Josh z roztargnieniem. – Znakomite ciśnienie wody pod prysznicem.

Zerkam na niego przelotnie; widzę, jak kącik ust podnosi mu się w uśmiechu i że po chwili ten uśmiech obejmuje już całe usta.

Recepcjonistka ewidentnie dała się ponieść wyobraźni i widzi Josha pod prysznicem. Jej oczy biegają od jego bicepsów do ekranu komputera i z powrotem. Grzebie w jakichś folderach i ulotkach, szukając idealnej koperty na rachunek, mimo że gość przy sąsiednim stanowisku nie dostał żadnej.

Szpera tu i tam, potem zajmuje się kolejnymi niepotrzebnymi drobiazgami, tylko po to, żeby móc mu się przyjrzeć. Rozsnuwa przed jego oczami oszałamiające perspektywy programu lojalnościowego hotelu, kusi wizją darmowej butelki wina przy następnej wizycie... tak, tak plus ona na dodatek, już rozebrana i w łóżeczku. Pyta o adres i numer telefonu.

Jestem tak rozzłoszczona, że chyba mogłabym zabijać wzrokiem. Josh jednak niczego nie dostrzega, tylko całuje mnie w skroń. A ona... czyż naprawdę można ją winić?

Taki mężczyzna, tak zbudowany, z taką twarzą, na dodatek tak absurdalnie uroczy i czuły? Sama zapewne rozkleiłabym się na taki widok, mimo że teoretycznie to przecież ja powinnam odbierać hołdy. Po prostu jest w tym coś takiego jak w tych obrazkach typu: pokryty bliznami ochroniarz z niemowlakiem w objęciach albo bokser na ringu posyłający buziaka swojej dziewczynie w pierwszym rzędzie. Brutalna, żywiołowa męskość w zestawieniu z delikatnością jest czymś najbardziej pociągającym na świecie.

Josh jest najbardziej pociągający na świecie.

Ona tymczasem zerka na mnie i widzę, jak jej wzrok tężeje z podejrzliwością. Układam dłoń na jego piersi. „On jest mój” – to właśnie oznacza ten gest. Mała, zazdrosna jaskiniowa kobieta we mnie nie potrafi się opanować.

– Mamy podprowadzić państwa samochód?

– Tak – mówi Josh w tej samej chwili, gdy ja mówię: – Nie.

– Nie, chcielibyśmy jeszcze zjeść śniadanie. Możemy tu zostawić bagaże?

– Oczywiście. – Przez moment jej spojrzenie zawisa na pozbawionych obrączki palcach Josha. Na pozbawionych jakichkolwiek ozdób moich palcach. – Dziękuję, panie Templeman.

– Jeżeli jeszcze kiedyś mielibyśmy tu nocować, chcę, żebyś miał na palcu fałszywą obrączkę ślubną – sarkam, gdy przemierzamy hotelowy hall w stronę restauracji.

Josh o mało się nie potyka o własne nogi.

– Czy ja dobrze słyszałem? Co też ci chodzi po głowie?

Mijamy salę balową, widzę sprzątaczkę usuwającą całe naręczna różowych baloników, bardzo w stylu Mindy.

– Recepcjonistka zachowywała się tak, jakby zaraz miała się na ciebie rzucić z łapami. Rozumiem ją, ale na litość boską! Przecież stałam tuż obok. Co ja jestem, jakaś niewidzialna czy jak?

Josh zerka na mnie z ukosa.

– Jakie to pierwotne i jaskiniowe.

Otwieramy szklane drzwi, ale on się tu zatrzymuje i odciąga mnie na bok.

Wykręcam głowę, próbując zajrzeć do środka. Na widok rodziny Josha unoszę rękę, żeby do nich pomachać, ale on ciągnie mnie z powrotem i karci nieartykułowanym pomrukiem.

– Jest bufet. – Podniecenie musi wyraźnie zaznaczać się w moim głosie. – Patrz, są croissanty, zwykłe i z czekoladą. Chodź szybko, już prawie nic nie zostało.

– Proszę cię po raz ostatni. Dajmy sobie z tym spokój. Każdy, kto zna moją rodzinę, powie ci, że jak na nas wszystko wczoraj poszło naprawdę nieźle. Czas ograniczyć straty.

– A potem co, uciekamy z piskiem opon jak Thelma i Louise?

– Przecież od wczoraj wszyscy cię tu uwielbiają.

– Ponieważ jestem do tego stworzona. Josh, przestań się wygłupiać. Pomyśl o croissantach. Jestem tu z tobą. Nie pozwolę, żeby ktoś zrobił ci coś złego na moich oczach. Mam przecież w torebce mój niewidzialny paintballowy karabinek. Więc zaprowadź mnie do tego bufetu, nakarm ciastem, a potem odwieź do swej pięknej błękitnej sypialni.

Czuję jego pocałunek na wargach. Oglądam się przez ramię na kontuar recepcji.

– No, dalej, bądź dzielny, zapomnij o tacie, pamiętaj o mamie. Bądź mężczyzną. W każdym razie ja idę.

I ruszam przez pomieszczenie, nie oglądając się za siebie. Jeśli Josh jednak nie zdecyduje się pójść za mną, sytuacja będzie co najmniej niezręczna.

Rozdział 27

Przy stoliku pod oknem siedzą Elaine z Anthonyem oraz Mindy z Patrickiem. Cała czwórka milknie na mój widok. A ja macham do nich jak głupek. Są wyraźnie zdziwieni.

– Cześć.

– Lucy! Witaj!

Elaine przytomnieje pierwsza i patrzy na stół. No tak. Nie ma wolnych krzeseł. Jesteśmy zaledwie pięć minut spóźnieni, ale najwyraźniej wcale nie spodziewali się naszego przyjscia. Na całe szczęście Josh się guzdrze i jeszcze go tu nie ma.

– Szybko, szybko! – Omiatam spojrzeniem inne stoliki.

– Potrzebujemy krzeseł! – rzuca bez tchu Elaine, bo doskonale rozumie sytuację. Jeżeli on tu przyjdzie i okaże się, że my dwoje nie mamy gdzie usiąść, to zaraz zamknie się w swojej skorupie.

Anthony siedzi u szczytu stołu i nie odrywa oczu od swojej gazety, tak poskładanej, żeby była mniejsza. Nie, zaraz, to jakiś periodyk medyczny. O matko... Kompletnie olewa pozostałe osoby w sali.

Wywiązuje się spore zamieszanie, ale ostatecznie udaje mi się pożyczyć dodatkowe krzesła od sąsiedniego stołu. Kiedy pojawia się Josh z talerzem pełnym croissantów i filiżanką herbaty, wszyscy siedzimy już, udając jak najbardziej swobodne pozy, i ukradkiem przesuwamy talerze przed ich pierwotnych właścicieli.

– Dzień dobry – ćwierkają wszyscy chórem.

– Cześć – odpowiada im Josh powściągliwym tonem, po czym stawia talerz i herbatę przede mną. – Zdobyłem dla ciebie ostatnie. – Na talerzu widzę nie tylko croissanty, ale także truskawki. Gładzi mnie dłonią po szyi.

– Jaki ty jesteś kochany. Dziękuję.

– Jeszcze tylko po coś pójdę – mówi i oddala się.

Elaine bacznie go obserwuje, po części smutna, po części rozbawiona, a w końcu przenosi spojrzenie na Anthony'ego.

Uśmiecham się do Mindy, żeby pokazać, że już nie jestem niczym zdenerwowana. Prawdopodobnie bije ode mnie postorgazmowa łuna o sile rażenia bomby atomowej. A ona odwzajemnia uśmiech, cokolwiek niepewnie.

– I jak się pani dziś czuje, pani Templeman?

Pytanie zadałam właściwie ot tak, a tymczasem ona aż podskakuje w miejscu, słysząc tę „panią Templeman”. Może jestem do przesady empatyczna, ale mam wrażenie, że odpaliłam jakiś pocisk. Te słowa dźwięczą mi w uszach, odbijają się od ścian i przenikają przez kości.

„Pani Templeman”. Zaiste, bardzo elementarna formuła.

– Padam z nóg. Mam wrażenie, że to mi się wszystko śni, taka jestem zmęczona. Ale nie ma w tym nic nieprzyjemnego. – Uśmiecha się i wbija spojrzenie w obrus. – Pani Templeman. To brzmi tak... – Ukrywa twarz w dłoniach, a potem jednocześnie wzdycha, śmieje się i robi głupią minę.

„Wypad z mojej głowy, Mindy, mam poważniejsze sprawy”.

– Szkoda, że usiedliśmy przy mniejszym stoliku – zaczyna Elaine, ale uspokajam ją.

– Jest OK. Musiałam schwytać go na łąso, żeby go tu ściągnąć. – Wykonuję gest naśladowy wymachiwanie powrozem i obie kobiety wybuchają śmiechem. Mężczyźni siedzą w milczeniu, zajęci czytaniem i jedzeniem.

– Doskonale to sobie wyobrażam. Mała kowbojka, która wlecze go za sobą, a on zapiera się i prycha.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego on robi z wszystkiego takie wielkie halo – wtrąca się łagodnym tonem Patrick, po czym upija łyk kawy tak prędko, że aż go wykrzywia.

Odnoszę wrażenie, że on jest pewnie wiecznie taki zapracowany, że pożera wszystkie swoje posiłki wielkimi kęsami i haustami, które potem błyskawicznie połyka, parząc się i ogólnie zadając sobie ból. Może tacy

właśnie są lekarze. Po prostu pochłaniają paliwo, zamiast się nim rozkoszować.

– Jest nieśmiały. Zostaw go w spokoju.

Patrick reaguje skrzywieniem, że zachowuję się jak bezczelna młodsza siostrzyczka, ale potem zaczyna się śmiać. I zerka na Josha.

– Nieśmiały. Dobre sobie!

Widzę po jego twarzy, że coś mu świta, podobnie jak mi wczoraj. Nieśmiałość przybiera tyle różnych form. Niektórzy ludzie są nieśmiali i delikatni. A niektórzy są nieśmiali i twardzi. Względnie, jak w przypadku Josha, nieśmiali i zakuci w zbroję.

– Josh, Lucy, dziękujemy wam za prezent – mówi Mindy, kiedy Josh siada na swoim miejscu. Łapie mój wzrok i uśmiecha się, najwyraźniej przekonana, że to ja go wybrałam.

– Niestety, nie miałam okazji zobaczyć, co on ostatecznie wybrał. – Odgryzam ogromny kawał croissanta.

Josh opasuje ramieniem oparcie mojego krzesła i czuję na swoim barku ciepło rozchodzące się od jego dłoni.

– Absolutnie przepiękne kryształowe kieliszki do szampana od Waterforda, z wygrawerowanymi naszymi inicjałami. I do tego dwie butelki szampana Moët.

– Postarałeś się, Josh.

– Przyjemny ślub – mówi jej na to Josh.

Patrzę na jego oczy, gdy tymczasem oni wzajemnie się szacują wzrokiem. Prawdopodobnie spotkali się po raz pierwszy od zerwania. Niemalże cała dygoczę, bo jestem taka skupiona, starając się wychwycić jakieś resztki tragedii sercowej, pożądania, odrazy, poczucia osamotnienia. Gdybym miała wibrysy jak kot, to pewnie by teraz podrygiwały.

– Dzięki – odpowiada Mindy. Kolejny raz patrzy na swoją obrączkę, potem na Patricka z tak bezgranicznym oddaniem, że spoglądam bacznie na Josha.

Jeżeli miałby zareagować źle, w jakimkolwiek momencie, zrobiłby to teraz. A tymczasem on się uśmiecha, patrzy na swój talerzyk, a potem na

mnie. Całuje mnie w skroń i już mam pewność.

– Jak ty to zrobiłeś, że udało ci się zachować istnienie Lucy w tajemnicy przed nami wszystkimi? – pyta Mindy, rozcinając na pół grejpfruta.

– Och, no wiesz. Trzymam ją w piwnicy.

– Ale wcale nie jest aż tak źle, jak to brzmi. Zapewnił mi wygody.

Wszyscy wybuchają śmiechem, z wyjątkiem Anthony'ego, oczywiście.

Odkrywam na swój temat coś, co mnie podnosi na duchu. Wcale nie staję na głowie, nie wychodzę ze skóry. Siedzę tu sobie i czuję się zupełnie swobodnie, jedząc śniadanie w towarzystwie, było nie było, obcych ludzi. Jeśli mnie lubią, to dobrze. Jeżeli nie, przeżyję. Ale czuję to samo miłe rozleniwienie jak wtedy, gdy siedzę w otoczeniu mojej rodziny. I wystarczy tylko odpowiednio przekrzywić głowę, a wtedy nie widzę Anthony'ego.

Mindy wymienia część innych prezentów, które dostali. Obrączka Patrica mruga w bladym świetle słońca przesączającym się przez chmury i Patrick co jakiś czas wykręca kciuk, żeby jej dotknąć. Mindy obserwuje go z czułością w oczach.

Śniadanie Josha składa się z dwóch sadzonych jajek, pszennego tosta i sterty zwiędniętego szpinaku. Swoją kawę wypija dwoma łykami. Ja patrzę na swój talerz i szczypię się pod stołem w brzuch. Jego ciało to świątynia. Moje stanie się zaraz chałupą z masła, jeżeli będę utrzymywała takie tempo.

– Jeszcze kawy? – Wstaję, bo postanawiam przynieść sobie więcej owoców. Nie mogę tak tu siedzieć i objadać się ciastem.

Josh chwyta mnie za nadgarstek i podnosi wzrok. „Zostań tu”, mówią jego oczy.

– Zaraz wracam. Ktoś jeszcze?

Nie spiesząc się, majstruję przy ekspresie do kawy.

Mimo wszystko atmosfera wydaje się odrobinę nienaturalna i przychodzi mi teraz do głowy, że jednak jestem tu intruzem. Tylko ja jedna przy stole nie jestem Templemanem.

W trakcie zmagania z długimi plastikowymi szczypcami, kiedy próbuję wziąć sobie jeszcze jeden plaster arbuza, docierają do mnie z daleka jakby ostrzejsze tony. Dokładam sobie jeszcze kiść winogron, kiedy to do mnie

dociera. O cholera, niedobrze.

Pospiesznie wracam, stawiam na stole swój talerz i filiżankę Josha. Mindy zastęła w bezruchu i ma przerażone oczy, a Patrick wygląda na zrezygnowanego.

– Ja tylko chcę wiedzieć, dlaczego rzuciłeś medycynę. MBA potrafi zaliczyć nawet małpa. – Anthony odłożył swoją śniadaniową lekturę i gapi się na Josha paciorkowatymi oczami.

Z ręką na sercu, odeszłam od stołu na jakieś dwie minuty. Jakim sposobem to eskalowało tak prędko? Podejrzewam, że do odpalenia bomby atomowej wystarczy nacisnąć jeden czerwony guzik, a to nie trwa długo. Kładę dłoń na karku Josha, jakbym trzymała za obrozę atakującego psa.

– Do jasnej cholery. Gdybyś się na tym choć trochę znał, tobyś wiedział, że ukończenie MBA z zarządzania jest praktycznie niemożliwe, jeśli się pracuje na pełen etat. I ja to zrobiłem. I znalazłem się w górnych dwóch procentach tych, którzy mieli najlepsze wyniki. Miałem cztery oferty pracy i dwie z tych firm do teraz do mnie wydzwanają.

– To dziwię się, że zdobyłeś ten dyplom, skoro było aż tak trudno – mówi Anthony. – Myślałem, że twoim ulubionym hobby jest rzucanie studiów.

– Chwileczkę! – wybucham. Cały czas stoję i teraz zauważam, że trzymam rękę na biodrze.

– Lucy, oni tylko... – Elaine nie bardzo wie, co robić. – Może powinieneś porozmawiać z Joshem na zewnątrz, Anthony.

Ludzie przy pobliskich stołach siedzą ze sztucami nisko opuszczonymi w rozmaitych stadiach żywego zainteresowania, względnie są skrępowani i wyraźnie woleliby tego nie słuchać.

Josh śmieje się złośliwie.

– A po co? Żebyśmy mogli odbyć przyjemną, staroświecką walkę na pięści? On byłby na pewno zachwycony.

Anthony przewraca oczami.

– Musisz...

– Zmęźnicę? To zamierzasz mi zaraz powiedzieć? To samo, co mi powtarzałeś od dziecka? – Josh zerka na mnie rozdrażnionym wzrokiem. –

Możemy już iść?

– A ja myślę, że powinniście się jednak rozmówić. Bo jak nie, to może upłynąć kolejne pięć lat.

– Zdaje się, że to jeszcze jedna nadmiernie uczuciowa panienka – mówi Anthony do Elaine. – Fantastycznie.

Josh groźnie mruży oczy.

– Ani słowa na jej temat.

– Sama się w to pakuje, nie potrafi się pohamować.

– Cicho bądź – rzuca Elaine, wyraźnie wściekła. – Ja tylko prosiłam, żebyś zachowywał się przyzwoicie. A teraz się zamknij.

Patrzę na Anthony'ego, a on na mnie. W oczach ma mnóstwo pogardy, kiedy lustruje mnie spojrzeniem od czubka głowy do samego dołu. Po czym pociąga nosem i wygląda za okno; usta ma zamknięte, tak jak mu przykazała żona.

O matko. Drugi raz w życiu tego nie zniosę, zwłaszcza ze strony jeszcze jednego Templemana. Tracę panowanie nad sobą.

– Twój syn jest nieprzeciętnie utalentowany. Wie, czego chce. Jest ogromnie inteligentny. Bez niego wydawnictwo nie byłoby w stanie funkcjonować, jak należy.

– A co on robi? Liże znaczki? Odbiera telefony?

Patrzymy sobie w oczy. Wybucham gromkim śmiechem.

– Naprawdę myślisz, że on robi takie rzeczy? Naprawdę?

– Nie będę tak tu siedział i pozwalał, żebyś przemawiała do mnie w taki sposób, młoda kobieto. Widziałem jego podpis elektroniczny. Asystent prezesa. Nie wiem, za kogo ty się masz.

Próbuje na nowo ustanowić swój autorytet. A wtedy ja może usiądę na krześle i stanę się grzeczną dziewczynką. Josh podnosi się, bo instynkt każe mu mnie bronić, ale odganiem go gestem ręki.

I wygłaszam tyradę.

– To ja lepiej znam twojego syna niż ty. To jemu działły księgowości i sprzedaży składają sprawozdania. I trzęsą przed nim portkami. Któregoś razu jeden czterdziestopięcioletni facet błagał mnie na korytarzu pod salą

konferencyjną, żebym przekazała mu dokumenty. Bo sam się bał. Widziałam całe działy, które uwijały się jak mrówki, sprawdzając swoje zestawienia po dwa albo i trzy razy. I nawet wtedy Josh zawsze znajduje błędy. I potem zazwyczaj ktoś bierze dzień wolnego, żeby odchorować stres.

Anthony zaczyna coś wywrzaskiwać, ale mu przerywam. Jestem taka nakręcona, że mogłabym go udusić. Autentycznie. Mogłabym opleść dłońmi jego szyję i ścisnąć z całej siły.

Jestem Larą Croft z wycelowaną bronią i oczami lśniącymi żądzą zemsty.

– Bexley Books nie rozpadło się przed fuzją tylko dlatego, że Josh zalecił redukcję etatów o trzydzieści pięć procent. Znienawidziłam go za to, zwłaszcza że zostało to dokonane z zimną krwią. Ty nawet nie wiesz, ale jego naprawdę stać na zachowanie zimnej krwi. A jednak dzięki temu posunięciu sto dwadzieścia innych osób utrzymało pracę. Mogli spłacać swoje hipoteki. Tak więc nie waż się o nim mówić, jakby był jakimś zerem. Aha, jeszcze jedno. Wiem z całą pewnością, że Josh okazał się niezastąpiony w negocjacjach związanych z połączeniem wydawnictw. Jeden z prawników korporacji powiedział mi w kuchni, że był „nie do przejścia”.

Gadam, gadam i jakoś nie potrafię przestać. Jakbym próbowała się z czegoś oczyścić.

– Jego szef, który jest jednym z dwóch prezesów wydawnictwa, ale tak naprawdę jest tym prezesem tylko na papierze, to tłusta, obleśna ropucha, tak ogłupiała od leków, że ledwie potrafi zawiązać sobie sznurowadło. To dzięki Joshowi interes jakoś się kręci. Dzięki nam obojgu.

Omiotam spojrzeniem wszystkich zgromadzonych. Josh wbija palce w pasek moich dżinsów.

– Przepraszam, że robię taką scenę. Zwłaszcza że bardzo was wszystkich lubię. Z wyjątkiem ciebie. – I tu spoglądam ostro na Anthony’ego. – Spędzam z nim więcej czasu niż ktokolwiek z was i muszę powiedzieć, że nie macie zielonego pojęcia, kim on jest. Kim jest Josh. Fakt, to palant, z którym ciężko się dogadać. Przez połowę czasu go nienawidzę i w ogóle doprowadza mnie do szału, co, zdaje się, jest w jego przypadku dziedziczne. Ty właśnie na mnie spojrzalesz dokładnie w taki sam sposób jak kiedyś Josh. Od góry do

dołu i już wszystko wiadome. Wiesz o mnie cokolwiek? Wiesz o nim cokolwiek? Nie wydaje mi się.

– Ja staram się go zmotywować. Niektórzy ludzie naprawdę potrzebują bodźca – mówi Anthony.

– Tak się tego nie robi. Nie wolno ci kompletnie go lekceważyć i traktować pogardliwie jego wybory.

Anthony przykłada rękę do czoła i pociera je takim ruchem, jakby bolała go głowa.

– Mój ojciec musiał sterować moim młodszym bratem.

– I bratu to się podobało?

Umyka spojrzeniem w bok. Czyli nie bardzo, domyślam się.

– Josh nie jest lekarzem. Pogódź się z tym.

Anthony wytrzeszcza na mnie oczy.

– Ale uświadom sobie jedno. Byłby lekarzem, gdyby tego chciał. Byłby kimkolwiek, gdyby tylko zechciał. Tu się nic nie stało przez jakąś pomyłkę. Ani dlatego, że nie okazał się dostatecznie dobry. Po prostu dokonał takiego a nie innego wyboru.

Siadam i głośno odsapuję. Mindy i Patrick patrzą na siebie z szeroko rozdziawionymi ustami. A właściwie to wszyscy w pomieszczeniu siedzą z szeroko rozdziawionymi ustami. Słyszę, że ktoś zaczyna klaskać, ale zaraz przestaje.

– Przepraszam cię, Elaine. – Upijam potężny łyk herbaty, omal nie zalewając przy tym bluzki. Strasznie trzęsą mi się ręce.

– Nie przepraszaj za to, że stajesz w jego obronie w taki sposób – odpowiada Elaine omdlewającym głosem.

Podejrzewam, że mówiąc „w taki sposób”, chętnie powiedziałyby: „jak lwica chora na wściekliznę”.

Znajduję w sobie odwagę, żeby spojrzeć na Josha. Sprawia wrażenie doszczętnie ogłuszonego.

– Ja... – zaczyna Anthony i zaraz zawiesza głos.

Wpijam w niego swoje modelowe spojrzenie. To samo piorunujące, pozbawione emocji spojrzenie, którym z tysiąc razy nagradzałam jego syna.

– Ja... eee... – Chrząka i wbija wzrok w szepto.

– Tak, doktorze Templeman? Zechce pan podzielić się z nami swoimi przemyśleniami? – Jestem tak bezczelna, że to aż zapiera dech.

– Niewiele wiem o twojej pracy, Josh.

Wszystkim jeszcze bardziej opadają szczęki. To znaczy wszystkim oprócz mnie. Ja mu nie dam takiej satysfakcji. Patrę Anthony'emu w oczy i mentalnie wkręcam w jego brzuch zardzewiały nóż do ryb. I unoszę brew.

– Ciekawi mnie... to znaczy... tego... chętnie bym porozmawiał z tobą o twojej pracy, Josh.

Oczywiście się wtrącam.

– Teraz, kiedy wiesz, że odnosi sukcesy? Teraz, kiedy wiesz, że Josh najprawdopodobniej zostanie dyrektorem do spraw operacyjnych jednego z czołowych domów wydawniczych tego kraju? No to z pewnością będziesz miał co opowiadać kumplom przy partyjce golfa.

– Squasha – poprawia mnie z boku Patrick. – On grywa w squasha.

Zafundowałam Anthony'emu największy opieprz życia. I teraz odebrało mu mowę. Bezczelne.

– Powinieneś go kochać i być z niego dumny, nawet gdyby pracował w dziale wysyłek. Nawet gdyby był bezrobotny, niespełna rozumu i mieszkał pod mostem. My teraz wychodzimy. Elaine, było wspaniale, naprawdę jestem zachwycona, że cię poznałam. Mindy, Patrick, jeszcze raz moje gratulacje i bawcie się dobrze w podróży poślubnej. I jeszcze raz naprawdę przepraszam za tę scenę. Anthony, to wszystko było na poważnie. – Wstaję. – A teraz zmykamy z piskiem opon jak Thelma i Louise.

Josh też wstaje i podchodzi do matki, żeby pocałować ją w policzek. A ona bezradnym gestem chwyta go za przegub dłoni.

– Kiedy cię znowu zobaczę? – Patrzy na Josha, ale także na mnie.

Widzę, że Josh zaciska szczęki, i niemal już słyszę te wymówki, które właśnie formułuje w głowie. Nie jest wykluczone, że na zawsze zniknie z radaru rodziny Templemanów. Następną rzecz, jaką mówię, zaskakuje nawet mnie samą. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że dopiero co pożegnałam się z nimi.

– Gdyby tak udało wam się wpaść w najbliższym czasie do miasta, to moglibyśmy spotkać się na lunchu. A potem iść do kina. Anthony, czuj się zaproszony.

Jego szczęka, do tej pory opadnięta dość luźno, teraz już chyba zaczyna się kołysać jak na wietrze.

– Ale tylko pod takim warunkiem, że będziesz się zachowywał jak należy i zaczniesz na nowo poznawać swego syna. Chyba już wiesz, że nie wolno ci wściekać się na Josha. To robić mogę tylko ja, bo on to uwielbia.

– Porozmawiamy sobie, Anthony. Na dworze. Teraz. – Elaine wstaje z krzesła i wskazuje podwójne drzwi, za którymi kryje się ogród.

Anthony ma teraz taką minę jak człowiek idący na szubienicę. Potrafię rozpoznać drugą łwicę cierpiącą na wściekliznę.

Ujmuję Josha za rękę i wychodzimy z sali jadalnej na oczach oczarowanej publiczności.

– Śniadanie na koszt firmy – mówi mi kasjer. – To było lepsze niż spektakl teatralny, szanowna pani.

Odbieram w recepcji nasze bagaże, zadowolona, że tym razem nie siedzi w niej ta pełna żądy blondynka. Prawdopodobnie zafundowałabym jej taki okrężny kopniak jak w karate. I teraz, zrównawszy krok, idziemy z Joshem, po czym opuszczamy hotel niczym para walczących o sprawiedliwość prokuratorów okręgowych z serialu telewizyjnego.

Proszę parkingowego, by sprowadził nasz samochód, i obracam się.

– OK, mów, chcę to mieć za sobą. – Chwilę temu zrobiłam niesamowicie zenującą scenę. Widzę, że ludzie czekający na swoje taksówki rozmawiają o mnie. Zdaje się, że zostanę gwiazdą co najmniej dwudziestu różnych wersji Incydentu w Restauracji.

Josh obejmuje mnie i podnosi z ziemi.

– Dziękuję ci – mówi. – Naprawdę bardzo ci dziękuję.

Kiedy się całujemy, słyszę, że ktoś nas oklaskuje.

– Nie jesteś wkurzony, że przysłałam ci na ratunek? Duzi chłopcy nie potrzebują, żeby ich ktoś ratował.

– Ten chłopiec potrzebował. I pozwolę ci wybierać, którą z nich wolisz

być: Thelmą czy Louise – dodaje i stawia mnie z powrotem na ziemi, bo właśnie pojawia się nasz samochód.

– Ty jesteś ten ładniejszy, więc chyba to ty jesteś Thelmą.

Odsuwa z powrotem fotel kierowcy. Pokonujemy mniej więcej połowę drogi do następnego skrzyżowania, kiedy Josh wybucha śmiechem.

– Powiedziałaś mojemu tacie, że to było „na poważnie”.

– Jak kiepski scenarzysta telewizyjny, któremu się wydaje, że tak rozmawiają nastolatki.

– Dokładnie tak. Dlatego to było takie kapitalne. – Ociera kciukiem załzawione oko.

– Ale jest mi nieprzyjemnie z powodu twojej mamy. Wyglądała na dobitą.

– O nic się nie martw, już ona mu dokopie za to wszystko.

– Nie wątpię. Dlatego obie tak dobrze się dogadujemy.

Josh prowadzi, jednocześnie nad czymś się zastanawiając.

– Właściwie to nie mam pojęcia, jak teraz ułożyć sobie stosunki z tatą.

– Nie ma rzeczy nie do pokonania. – Staram się uwierzyć we własne słowa.

Uchylam szybę, chcąc poczuć wiatr na twarzy. Słońce ogrzewa mi nogi, a Josh znowu się uśmiecha.

Nawet nie pozwalam sobie na myślenie o tym, jak się to wszystko skończy.

Jazda powrotna powinna potrwać pięć godzin, ale Joshowi jakimś cudem udaje się ją skrócić do trzech. A jednak te godziny nic dla nas nie znaczą, kiedy tak jedziemy krętą drogą przez wiejską okolicę, rozstając się ze słonym morskim wiatrem.

Zapamiętam te promienie słońca prześwitujące między drzewami, które zabarwiają nasze ręce na kolor cytryn i miedzi, które rozświetlają nasze oczy na niebiesko: jego na szafirowo, moje na turkusowo. Patrząc na swoją twarz w bocznym lusterku i ledwie siebie rozpoznaję.

Zmieniłam się. Jestem dzisiaj kimś nowym. To dla mnie dzień wielkiej wagi.

Na zawsze zapamiętam tę jazdę powrotną do domu jako serię zmontowanych kadrów filmowych – będę uwieczniona na jednym z nich. I wszystkie szczegóły będą się mieniły żywymi kolorami. Bo nadejdzie taki dzień, kiedy te wspomnienia bardzo mi się przydadzą.

Ten film reżyseruje jakiś Francuz. Pewnie wolałby samochód z podnoszonym dachem, ale szyby są opuszczone, więc to już coś. I jest jak na tę porę roku bardzo ciepło, w powietrzu unosi się zapach kapryfolium i świeżo skoszonej trawy.

Główną rolę w filmie gra piękna dziewczyna z ustami koloru Miotacza Ognia; ta dziewczyna uśmiecha się do urodziwego mężczyzny. Który wygląda tak fantastycznie w swoich okularach słonecznych, że natychmiast chcesz je mieć.

Mężczyzna przykładła dłoń dziewczyny do swoich ust i całuje ją. Mówi jej coś czarującego i doprowadza ją do śmiechu. To jest taki moment, że miałoby się ochotę wcisnąć przycisk pauzy i natychmiast kupić to, co oni tam reklamują.

Szczęście. Lepsze życie. Czerwoną pomadkę i te okulary.

A jaka ścieżka dźwiękowa? Najlepsze byłoby coś tęsknego, z gatunku indie; coś z jednej strony pełnego nadziei, a z drugiej z pokawałkowanym, gorzko-słodkim, lirycznym pazurem, który z niewytłumaczalnego powodu wywołuje ból w sercu. Ale ostatecznie decyduję się na utwór *Sitownia*, który znalazłam na swoim iPodzie, na mało nobilitującej playliście z glam-metalem z lat osiemdziesiątych.

– Z całą pewnością dorobiłeś się tych mięśni podczas słuchania Poison i Bon Jovi – pokrzykuję, a on nie zaprzecza. Jesteśmy tylko my dwoje, szyby odsunięte, muzyka nastawiona na pełen regulator, a droga wiję się i skręca przed nami jak wielki jezior.

I oboje śpiewamy. Teksty utworów, których nie słyszałam od lat, same wypadają z moich ust. A on bębni palcami o kierownicę. Życie stało się teraz łatwiejsze niż oddychanie.

Już nigdy nie zatrzymamy tego samochodu. Bo jest tak, że gdybyśmy się zatrzymali, choćby tylko dla rozprostowania kości, to wtedy dogoniłaby nas

rzeczywistość. Jesteśmy przestępcami, którzy obrabowali bank. Jesteśmy dziećmi, które uciekły ze szkoły z internatem. Jesteśmy parą zakochanych w sobie nastolatków, którzy potajemnie się pobrali.

W torebce mam butelkę z wodą i Josha pudełeczko z miętówkami. Dzielimy się tym i jest lepiej niż na jakimś bankiecie.

Kiedyś przyznam się samej sobie, dlaczego te zmontowane kadry mają aż takie znaczenie. Może dlatego, że wisiało nad nami widmo poniedziałku i że było nas dwoje, a nagroda tylko jedna. Albo dlatego, że czułam w sobie tyle życia. Że byłam taka bardzo jeszcze młoda i pełna tej przerażającej i ekscytującej pewności, że moje życie niebawem nieprawdopodobnie się zmieni.

Może chodziło o ten dreszcz podniecenia, że się komuś sprzeciwiłam, że stawiałam czoło przerażającemu człowiekowi. Dreszcz podniecenia, że przyszłam komuś na ratunek. Że okazałam się silna. Że wzięłam kogoś w opiekę, że przytuliłam go, ochroniłam, że broniłam go jak lwica.

A może to był ten zapach wiosny w powietrzu; te pola porośnięte koniczyną, które mijaliśmy po drodze. Czerwone róże rosnące pod płotem. Skórzane fotele auta i ciało Josha.

Nie, to było coś innego, ta nowo nabyta wiedza o istnieniu czegoś nieodwracalnego, stałego. Ta wiedza krążyła po mojej głowie wraz z każdym obrotem kół samochodu, wraz z każdym uderzeniem krwi w moich kruchych, cieniuteńkich żyłach. Lada chwila jedna maleńka zastawka mogła się wypaczyć od nacisku cholesterolu z croissantów. Mogłam lada chwila umrzeć.

A jednak nie umieram. Nie umieram, tylko zasypiam, z policzkiem wtulonym w ciepłe oparcie, z twarzą zwróconą ku niemu, jakby to było coś najnormalniejszego w świecie.

Uchylam powieki. Stoimy na podziemnym parkingu.

– Jesteśmy w domu – mówi on.

Nachodzi mnie niewyobrażalna myśl. Dopiero teraz, choć powinna mi była cały czas krążyć po głowie. Zamykam oczy i udaję, że śpię.

– Obudź się – szepcze.

Jego usta na moim policzku. Cud.
Kocham Joshuę Templemana.

Rozdział 28

W chodzimy do jego mieszkania; Josh zanosi nasze bagaże do swojej sypialni, jakbym rzeczywiście wróciła do własnego domu. Idę do łazienki, a po wyjściu widzę, że on szykuje już dla mnie herbatę. I skupia się na tej czynności jak naukowiec.

Rzuca jedno spojrzenie na moją twarz.

– No nie. Nie mów mi.

Mam wrażenie, że żołądek opuszcza moje ciało; chwytam się skraju kuchennego blatu, żeby nie stracić równowagi. On wie. Potrafi czytać w myślach. Zamiast oczu mam dwa serduszka.

– Przecież ty odlatujesz – stwierdza obojętnym tonem.

Nie jestem w stanie zrobić nic więcej, tylko ślizgam się spojrzeniem po otoczeniu i poruszam ustami jak ryba. Patrzą na jego drzwi. Nie uda mi się go obejść, jest za szybki.

– Nie ma mowy. Kładź się na kanapie – rozkazuje. – No już. Idź tam.

Zsuwam pantofle, a potem idę i zwijam się w kłębek na jego kanapie, przytulając do siebie poduszkę ze wstążek.

On ma rację, że zmęczenia odlatuję. Odlatuję jak nigdy. Kompletnie straciłam głos.

Rozmawiam z sobą w prywatności własnej głowy.

„Kochasz go. Kochasz go. Zawsze go kochałaś. Kochałaś go mocniej, niż nienawidziłaś. Kochałaś tego człowieka każdego dnia, patrząc na niego, zapamiętując wszystkie kolory, wyrazy twarzy, niuanse zachowania.

Wszystkie te gry, które z nim uprawiałaś, były po to, żeby się wikłać z nim w sytuacje. Żeby z nim rozmawiać. Czuć jego wzrok na sobie. Zmuszać, żeby cię zauważył”.

– Jestem straszną idiotką – mówię ledwie słyszalnie.

Otwieram oczy i w ostatniej chwili tłumię wrzask przerażenia. Bo on stoi nade mną z kubkiem i talerzykiem.

– Ja po prostu się nie godzę na takie odpały – mówi i podaje mi kanapkę. A kubek stawia na ławie. Znika na chwilę, a potem wraca z moim szarym, puszystym kocem.

Jakby wiedział, że przeżyłam coś w rodzaju szoku. Opatula mnie z wszystkich stron, przynosi dodatkową poduszkę. Kto wie, co ja teraz mam wypisane na twarzy. Na wszelki wypadek nie patrzyłam do lustra w łazience.

Zaczynam szczekać zębami, więc w końcu sięgam po kanapkę, która wygląda całkiem nieźle. Jest wręcz nie byle jaka. Została nawet przecięta na ukos – tak jak lubię.

Pochłaniam ją jak wiewiórka, używając swoich drobnych, chwytnych łapek do oddzierania skórki. Mam teraz błyszczące, rozbiegane, paciorkowate oczka i rozdęte poliki.

– Nie odezwałaś się do mnie ani słowem, odkąd się obudziłaś. Wyglądasz na zmordowaną. Trzęsą ci się ręce. Niski poziom glukozy? Złe sny? Choroba lokomocyjna?

Odsuwa talerzyk, nawet nie tknąwszy swojej kanapki.

– Nadal jesteś zmęczona. I brzuch cię boli. – Zaczyna rozcierać mi stopy przez koc. Kiedy znowu się odzywa, mówi tak cicho, że ledwie go słyszę: – Zrozumiałaś, że wiążąc się ze mną, popełniasz błąd.

– Nie! – wybucham z pełnymi ustami. Przymykam oczy. Ta zmarszczka niepokoju na jego czole mnie dobija.

– Nie?

Czuję się strasznie. Właśnie niszczę tę cudowną bańkę energii, którą w sobie wyhodowałam podczas naszej jazdy.

– Dzisiaj jest niedziela – odpowiadam w końcu po długim namyśle.

– A jutro poniedziałek – odparowuje.

Oboje pijemy herbatę. Znowu uprawiamy Grę w Spojrzenia, przy czym ja mam w sobie mnóstwo pytań, które bardzo chciałabym zadać, ale nie mam pojęcia, jak zacząć.

– Prawda czy wyzwanie? – rzuca Josh. Zawsze doskonale wie, co należy

powiedzieć w danej sytuacji.

– Wyzwanie.

– Tchórz. OK. Wyzywam cię, żebyś zjadła cały słoik pikantnej musztardy, znajdziesz go w mojej lodówce.

– Miałam nadzieję, że to będzie wyzwanie związane z seksem.

– Przyniosę ci łyżeczkę.

– Prawda.

– Dlaczego ty masz te odloty? – Odgryza kęs kanapki.

Wzdycham tak głęboko, że aż mnie bołą płuca.

– Nie byłam na to gotowa, a teraz nachodzą mnie różne przerażające myśli i uczucia.

Patrzy na mnie, szukając śladu kłamstwa. I żadnego nie znajduje. Ujęłam wszystko w skrócie, ale powiedziałam prawdę.

– Prawda czy wyzwanie?

– Prawda – mówi, nawet nie mrugając.

Przez okno wpadają strumienie przytłumionego popołudniowego światła i widzę kobaltowe fasety jego oczu. Muszę na chwilę przymknąć powieki i odczekać, aż przeminie ten ból, który czuję zawsze, gdy poraża mnie jego uroda.

– Co oznaczają te znaczki w twoim terminarzu? – To właśnie wpada mi do głowy. Ostatnim razem nie odpowiedział; wątpię, czy odpowie teraz.

Uśmiecha się i patrzy na swój talerzyk.

– Trochę to szczeniackie.

– Nie dziwi mnie to, nie spodziewałabym się po tobie niczego dorosłego.

– Zapisuję, w co jesteś ubrana. Jak w spódniczkę to S, a jak w sukienkę to K, jak kiecka. Robię też znaczek, jak się kłócimy, i kiedy widzę, że uśmiechasz się do kogoś innego. I kiedy mam straszną ochotę cię pocałować. A kropki to po prostu moje przerwy na lunch.

– Och. A dlaczego? – Czuję dreszcz w brzuchu.

Zastanawia się nad tym.

– Jak masz z kogoś tak niewiele, bierzesz, co możesz.

– Od jak dawna to robisz?

– Od drugiego dnia w B&G. Pierwszy wspominał jakby za mgłą. I zawsze chciałem podsumować te statystyki, ale jakoś mi się nie udało. Przepraszam. To brzmi wariacko, gdy mówię to na głos.

– Sama żałuję, że tego nie robiłam, jeśli od tego poczujesz się lepiej. Jestem identycznie walnięta.

– Szyfr koszulowy złamałaś dość prędko.

– A dlaczego ty je nosisz w określonej kolejności?

– Chciałem sprawdzić, czy zauważysz. A jak już zauważyłaś, to się wkurzyłaś.

– Zawsze zauważałam.

– Tak, wiem. – Uśmiecha się i ja też się uśmiecham. Czuję, że bierze moją stopę w dłoń i zaczyna ją masować.

– Te koszule na każdy dzień tygodnia osobliwie dodawały otuchy. – Układam się na plecach i wbijam wzrok w sufit. – Choćby nie wiem co się działo, wiem, że kiedy wejdem, zobaczę biel. Albo złamaną biel. Albo kremową koszulę. Bładożółtą. Musztardową. Błękitną. Turkusową jak twoja sypialnia. Gołębią. Granatową. Czarną. – Odliczam je kolejno na palcach.

– Zapominasz, że ta nieszczęsna stara musztardowa została zastąpiona przez inną. W każdym razie już niebawem przestaniesz oglądać moje głupie koszule. Pan Bexley powiedział komisji, że decyzję mają podjąć do piątku.

– Ale to będzie przecież dzień po rozmowach kwalifikacyjnych. – A ja myślałam, że zostawię sobie tydzień albo dwa na zastanowienie. Czyli w piątek okaże się, że wygrałam albo że idę na bezrobocie? – Już mnie zemdliło.

– Powiedział im, że jeśli po pierwszych pięciu minutach rozmowy nie stwierdzą, kto jest właściwym kandydatem, to znaczy, że są kretydami.

– Nie wiem, po co on naciska na komisję. Przecież ten konkurs powinien być sprawiedliwy. Ble, nie pomyślałam o tym, że będę musiała składać mu sprawozdania bezpośrednio, bez bufora w postaci ciebie. Powiadam ci, Josh, ten człowiek ma rentgen w oczach.

– Chętnie bym go oślepił kwasem.

– Trzymasz pojemnik z kwasem w biurku?

– Ty chyba wiesz najlepiej. Grzebałaś w moim biurku i w terminarzu. – Mówi to tonem przygany, ale patrzy nadal przyjaźnie, a przy tym jeszcze sunie kciukiem po moim kręgosłupie, sprawiając, że mruczę jak kotka. – Zwolnisz się, jeśli to ja dostanę to stanowisko? – pyta łagodnym tonem.

– Tak. Strasznie mi przykro, ale będę musiała. Na początku kazała mi tak mówić moja godność. Ale teraz widzę wyraźnie, że to jedyne wyjście. I chcę, żebyś wiedział jedno: jeśli stwierdzą, że ty nadajesz się lepiej do tej roli, to zrezygnuję z radością. Będę się cieszyła z twojego powodu, Josh, przysięgam. Wiem lepiej niż ktokolwiek, jak ciężko na to pracowałeś. –

Wyginam się w łuk i wzdycham. – Zostałbyś moim szefem. Byłoby to cholernie erotyczne, obmacywanie się z dyrektorem do spraw operacyjnych przy każdej możliwej okazji, ale z całą pewnością ktoś by nas na tym przyłapał.

– A jeśli to ty awansujesz?

– Nie mogę od ciebie oczekiwać, że odejdiesz, ale nie mogę zostać twoją szefową. Wyznaczałabym ci różne niestosowne zadania i Jeanette dostałaby zawału.

– A gdybym to ja został twoim szefem, tobym cię zajechał. Zajechałbym cię na śmierć.

– Mmm. Będę miała mokre sny przez całą noc.

– Powiedziałaś moim rodzicom, że prawdopodobnie to ja zostanę dyrektorem. Naprawdę tak myślałaś czy tylko to dodałaś do długiej listy laudacji na mój temat? Jeśli tak wcale nie myślałaś, to nie ma sprawy.

– Gdybym to ja zasiadała w komisji rekrutacyjnej, to porównałabym CV nas obojga i prawdopodobnie ty byś mnie wypchnął. Jesteś taki świetny w tym, co robisz. Zawsze cię podziwiałam.

Rozmasowuję sobie klatkę piersiową, próbując złagodzić ból.

– Niekoniecznie. Nie tylko CV się liczą. Są jeszcze rozmowy kwalifikacyjne. Ty masz w sobie tyle wdzięku. Nie ma na świecie takiej osoby, która by cię nie uwielbiała od pierwszego spojrzenia.

– Bo ty tak mówisz. Widziałam cię w akcji, kiedy się naprawdę starałeś. Jesteś jak polityk z lat pięćdziesiątych. Idziesz jak przecinak.

Josh śmieje się.

– Ale ty kochasz B&G. A mnie wszyscy tam nienawidzą. Na tym polega twoja przewaga nade mną. Poza tym masz tę swoją tajną broń, nad którą Danny spędza weekend.

– Owszem. – Uciekam przed nim wzrokiem.

– To ma coś wspólnego z e-bookami. Nie jestem idiotą – ciągnie Josh.

– Dlaczego chociaż raz nie mógłbyś być idiotą? Chociaż raz chciałabym utrzymać coś w tajemnicy przed tobą.

– W tej chwili trzymasz coś przede mną w tajemnicy. Nie doszliśmy jeszcze do źródeł tych twoich odlotów.

– I nie dojdziemy. – Naciągam sobie koc na głowę.

– Bardzo to dojrzałe – komentuje i opatula moje stopy, po czym ścisną je i masuje kciukami. – Długo nie utrzymasz przede mną tych swoich tajemnic. Za dobrze cię znam. Wyciągnę to z ciebie.

– No cóż, podobno jestem otwartym e-bookiem. – Z ust wyrywa mi się jęk. – Czy Bexley powiedział ci o moim projekcie digitalizacyjnym? Błagam, nie zepsuj mi tego, Josh. Cała moja prezentacja jest na tym oparta.

– Ty poważnie myślisz, że mógłbym to zrobić?

– Nie. A zresztą... Może...

Spodziewam się jakiejś wyjątkowo kąśliwej riposty. Tymczasem on nic nie mówi, tylko nadal masuje moje stopy.

Ściągam koc z twarzy.

– Dlaczego nie uśmiechnąłeś się do mnie, kiedy się poznaliśmy, dlaczego nie powiedziałeś: Miło mi cię poznać? Przez cały ten czas mogliśmy być przyjaciółmi. – To naprawdę zakrawa na tragedię. Tyle już straciłam, a teraz nasz czas dobiega końca.

– Nigdy nie zostalibyśmy przyjaciółmi.

Próbuję wyszarpnąć stopę z jego uścisku, ale trzyma ją mocno.

– A więc to jest to bolesne miejsce. – Naciska podbicie.

– Zawsze chciałam się z tobą zaprzyjaźnić. Ale ty ani razu nie odwzajemniłeś uśmiechu. Od samego początku starałeś się być górą.

– Nie mogłem. Gdybym się do ciebie uśmiechnął i zaprzyjaźnił z tobą, to

prawdopodobnie bym się w tobie zakochał.

Ten czas przeszły sprawia, że umiera we mnie wszelka radość. Bo skoro się nie zakochał, to znaczy, że nie kocha. Próbuję jakoś to zbyć.

– Powiedziałeś mi to po pocałunku w windzie. Że nigdy nie zostaniemy przyjaciółmi.

– Byłem wtedy wściekły. Wiozłem cię na randkę z Dannym, a ty wyglądałaś seksownie jak nigdy.

– Biedny Danny. Jest taki miły. Będziesz musiał go przeprosić za tę awanturę przez telefon. Jest dla mnie taki miły, a z mojej strony dostał tylko dwie beznadziejne randki i stracił sobotę.

– Pocałował cię. – Kiedy to mówi, ma taką minę, jakby chciał niszczyć planety. – I wcale nie wykonuje tej freelancerskiej roboty z dobroci serca.

– W innych okolicznościach byłby wspaniałym chłopakiem.

Josh patrzy teraz na mnie strasznymi czarnymi oczami seryjnego mordercy.

– W innych okolicznościach.

– No cóż, zakładam, że zamierzasz przykuć mnie łańcuchami w piwnicy i trzymać tam jako swoją niewolnicę seksualną.

Ta rozmowa przypomina chodzenie po linie. Jeden błędny krok i już będzie wiedział. Będzie wiedział, że jestem w nim zakochana: wtedy stracę równowagę i spadnę. A pod spodem nie ma żadnej siatki zabezpieczającej.

– Nie mam piwnicy.

– To niedobrze.

– Kupię dla nas dom z piwnicą.

– OK. A mogę ci towarzyszyć, kiedy będziesz sprawdzał oferty?

Uśmiecham się, mimo że do mojej krwi powoli sączy się poczucie, że wszystko stracone. Uwielbiam tę energię, którą oboje wytwarzamy, przekomarzając się. Towarzyszące temu uczucie przyjemności jest tak głębokie, bo wiem, że on zawsze ma w pogotowiu jakąś odpowiedź. W życiu nie poznałam kogoś takiego jak on; rozmowa z nim jest równie narkotyczna jak pocałunek.

– Prawda czy wyzwanie? – pyta po chwili.

– To nie moja kolej.

– A właśnie że tak.

– Prawda. – Nie mam wyboru. Bo inaczej znowu rzuci mi wyzwanie, że mam jeść musztardę.

– Ufasz mi?

– Nie wiem, chcę ci ufać. Prawda czy wyzwanie?

Mruga.

– Prawda. Od tego momentu sama prawda.

– Mieszkałeś kiedykolwiek z dziewczyną?

– Nie. Nigdy z nikim nie mieszkałem. A czemu pytasz?

– Masz dziewczynską sypialnię.

Uśmiecha się, jakby do siebie.

– Bywasz czasami debilna.

– Dzięki. Hej, może powinnam jechać do domu? Nie mam ciuchów na jutro.

– Może nie uwierzysz, ale mam pralkę i suszarkę.

– Jaki ty jesteś nowoczesny. – Idę do jego sypialni, klękam na podłodze i rozpinam swoją torbę. – Mam nadzieję, że Helene nie zauważy, że mam na sobie te same rzeczy co w piątek.

– Powiem ci na to, że jedyną osobą w B&G, która coś zauważy, będzie ta sama osoba, która wypierze ci te inkryminujące ciuchy.

Przysiadam na piętach i omiatam spojrzeniem jego sypialnię. Położył tego smerfa ode mnie obok łóżka. Są też białe róże, mocno już rozwinięte, przez co zgubiły część płatków. Nie miał wazonu, więc wsadził je do słoja. Zamykam oczy. Przez chwilę nie jestem w stanie się ruszyć.

Kocham go tak bardzo, że czuję się, jakby przeszyla mnie na wylot gruba nici. Przeszyła w jedną stronę i w drugą. Zrobiła we mnie szereg dziur, przeplatając się przeze mnie. Utworzyła szew, który umocował we mnie tę miłość. Nigdy nie będę w stanie wyplątać się z tego uczucia. Które z całą pewnością jest turkusowe.

Kiedy widzę na progu jego nogi, przyciskam moje brudne rzeczy do piersi.

– Tylko nie oglądaj bielizny.

– To byłoby chamstwo – zgadza się ze mną. – Zamknę oczy.

Siadam na jego łóżku. Wyglądam kołdrę, a potem biorę w palce satynowe fałdy. Wbijam pięść w jego poduszkę. On tu śni. On tu żyje. I będzie dalej to robił beze mnie. Znajduje mnie tam: siedzę z głową ukrytą w dłoniach.

– Babeczko – mówi i wiem, że autentycznie żałuje.

Nigdy nie zaznałam dziwniejszego uczucia. Muszę mu się zwierzyć. Jest tym jedynym człowiekiem, któremu nie powinnam ufać, ale ta głęboko skrywana miłość do niego wypełnia mnie całą po brzegi i to aż boli.

– Porozmawiaj ze mną. Chcę wiedzieć, dlaczego jesteś taka zdenerwowana. Pozwól, że jakoś ci pomogę.

– Ja się ciebie boję. – Boję się, że odkryje ten mój największy, najnowszy sekret.

Nie sprawia wrażenia urażonego.

– Ja też się ciebie boję.

Kiedy nasze usta się dotykają, jest tak, jakby robiły to po raz pierwszy. I jest w tym pocałunku namiętność tak głęboka, że ledwie potrafię to znieść, bo teraz mam w sobie tę niebieską miłość. Próbuję się odsunąć, ale on jednym gładkim ruchem układa mnie na plecach.

– Zdobądź się na odwagę – mówi do mnie. – No dalej, Luce.

Kiedy znowu się całujemy, usta mam pełne swego serca i jego oddechu. Czuję, że drzę, bo on poznaje teraz smak mojego strachu.

– Ach – szepcze do mnie. – Chyba powoli rozumiem, na czym polega problem.

– Nie, nic nie rozumiesz. – Odwracam twarz. Za oknem zachodzi już słońce, a zatem ten dzień pełen zamieszania dobiega końca, i światło przesącza się przez jego cienkie jak mgła zasłony, perłowe i piękne. Cała ta chwila zastyga nieruchomo w czasie: stempel z datą zostaje przybity i chwila wędruje do mojego skarbca pamięci.

A on całuje tak, jakby mnie znał. Jakby mnie rozumiał. Podnoszę rękę, chcąc go odepchnąć, ale on splata swoje palce z moimi. Gryzę go, a on

uśmiecha się do moich ust. Unoszę kolano, żeby móc się odepchnąć, ale wtedy on wciska dłoń pod moją nogę.

– Jesteś piękna, kiedy się boisz – mówi.

Nie jestem w stanie nic powiedzieć, gdy sunie wargami w stronę mojego ucha. Słyszę jego westchnienie. Mój świat zacieśnia się jeszcze mocniej. Kiedy całuje to miejsce, gdzie bije moje tętno, wiem, że myśli o tych wszystkich małych, cudownych zdarzeniach, jakie zachodzą w moim wnętrzu, i wtedy w moim oku pojawia się pierwsza łza. Ta łza stacza się po policzku, a potem po szyi.

– Zmierzamy już do czegoś – mówi, zlizując tę łzę.

Wsuwam dłonie w jego włosy i przyciskam go do siebie, a on znaczy moją szyję delikatnymi pocałunkami. Każdy taki pocałunek wpycha mnie coraz głębiej w tę miłość. A kiedy rozpląszcza dłoń na mojej piersi, krzywię się.

– Pozwól, że doktor Josh cię zbada – mówi i jednym ruchem zdejmuje ze mnie sweter i T-shirt.

Pewną ręką sunie po mojej szyi, biustonoszu, między piersiami, aż do brzucha. Dzięki temu, że światło jest rozproszone, widzi każdą żyłkę i wszystkie pastelowe już sińce, kiedy przygląda mi się z góry, a jego rzęsy układają się w dwa tak idealnie ukształtowane wachlarze, że czuję napływającą kolejną łzę.

Kocham go tak strasznie, że dłużej nie mogę tego wytrzymać. Cała wibruję od tej miłości. Sypię wręcz gradem iskier. I robi się jeszcze ciężiej, kiedy znowu zaczyna mówić, gładząc palcami moją poznaczoną skórę.

– Bardzo cię przepraszam, że z mojego powodu tak często jesteś posiniaczona. A należało cię chronić, chronić przede mną. Bo ja bardzo dawno temu tak jakby przyjąłem dla siebie domyślne ustawienia. A więc atakuję, zanim ktoś mnie zaatakuje. Ty byłaś tego ofiarą przez wiele dni, tygodni, miesięcy i znosiłaś to jak nikt inny. – Próbuję coś powiedzieć, ale on kręci głową i mówi dalej: – Każdego dnia, w każdej minucie ja tam tylko siedziałem i patrzyłem na ciebie. To, co ci zrobiłem, było moim najgorszym życiowym błędem.

– Nie ma sprawy – udaje mi się powiedzieć. – Nie ma sprawy.

– A właśnie, że jest. Nie wiem, jak ty mogłaś ze mną wytrzymać. I bardzo cię przepraszam. – Przykłada usta do sińca na moich żebrach.

– Wybaczam ci. Zapominasz, że sama traktowałam cię jak najpodlejsze babsko.

– Ale nie traktowałabyś mnie tak, gdybym tylko odwzajemnił twój uśmiech.

– Szkoda, że tego nie zrobiłaś. – Głos załamuje mi się zdradziecko. Równie dobrze mogłam powiedzieć: „Szkoda, że mnie nie pokochałaś”. Wstrzymuję oddech. Wiem, że on, z tym swoim wariackim, inteligentnym mózgiem, w kilka sekund potrafi dodać dwa do dwóch. Próbuję wykraść się z łóżka, ale on bez trudu wpełza na mnie i układa moją głowę na poduszce.

– To niczego nie zmieniało. Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia.

Lecę w tył, w otchłań, przelatuję przez jego łóżko. Ale on obejmuje mnie ramieniem w pasie. Miotam się teraz, jakby mnie uwięził.

– Kochasz... Co? Mnie?

– Kocham Lucinę Elizabeth Hutton. I żadnej innej.

– Czyli mnie.

– Lucy, dziedziczkę dynastii z farmy truskawkowej Sky Diamond.

– Mnie.

– Czy zechcesz mi pokazać jakiś dowód tożsamości, abym się mógł upewnić? – Jego oczy lśnią teraz i cała twarz rozpromienia się w tym uśmiechu, który tak uwielbiam.

– Ale ja cię kocham. – Słyszę to niedowierzanie w swoim głosie.

A on śmieje się.

– Wiem o tym.

– Jakim sposobem ty zawsze wszystko wiesz? – Bębnię piętami w materac.

– Domyśliłem się tego zaledwie kilka minut temu. Bo zaczęło ci pękać serce.

– Nie jestem w stanie niczego przed tobą ukryć. I to jest w tym wszystkim najgorsze. – Chowam twarz w poduszce.

– Nie musisz niczego przede mną ukrywać. – Ujmuje mój podbródek i całuje.

– Jesteś straszny. Zrobisz mi krzywdę.

– Chyba rzeczywiście jestem trochę straszny. Ale już nigdy nic ci nie zrobię. I każdy, kto spróbuje coś ci zrobić, dowie się, co to znaczy straszny.

– Nienawidzisz mnie.

– Nieprawda. Nigdy, nawet przez sekundę cię nie nienawidziłem. Zawsze cię kochałem.

– Udowodnij to. Nie dasz rady.

Jestem teraz bardzo z siebie zadowolona: rzuciłam mu prawdziwe wyzwanie. Tymczasem on przewraca się na bok i wspiera policzek na swoim ramieniu. Łomocze mi serce.

– Jaki jest mój ulubiony kolor?

– To łatwe. Niebieski.

– A jaki odcień?

– Sypialniany! – Wskazuję ścianę. – Jak na tych ścianach. Jak twoja koszula. Moja suknia. Turkus Tiffany’ego.

Pociąga mnie za rękę, żebym usiadła, a potem wstaje i podchodzi do szafy. Otwiera szeroko drzwi i widzę wszystkie koszule – wiszą w kolejności od najjaśniejszej do najciemniejszej.

– Josh, ty głupku. – Zaczynam się śmiać i pokazuję palcem te koszule, ale on chwyta mnie za kostki i ciągnie na skraj łóżka. Jest tam lustro naturalnej wielkości i widzę w nim siebie, taką siedzącą na łóżku, na tle jego turkusowej sypialni. Jego ściany mają kolor moich oczu. Ano tak, ja chyba trochę wolno myślę.

– Ale to przecież najpiękniejszy odcień niebieskiego na świecie!

– Wiem. Dobry Boże, Lucindo! A już myślałem, że zostanę rozszyfrowany w chwili, gdy zobaczyłem cię w tym pokoju.

Siada za mną na łóżku, z jednym kolaniem uniesionym: padam w tył, zatapiając się w tej najcudowniejszej kołysce utworzonej przez jego ciało.

– Nigdy nie zrozumieję, jak można nie rozpoznać koloru własnych oczu.

– Zdaje się, że to nie jedyna rzecz, której nie rozpoznałam. Hej, Josh.

– Tak, Babeczko?

– Ty mnie kochasz. – Widzę, jak się uśmiecha w naszym wspólnym odbiciu w lustrze, bo widzi, jaka jestem skołowana i zadziwiona.

– Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. Od chwili, kiedy się do mnie uśmiechnęłaś, czułem się tak, jakbym stanął tyłem nad przepaścią i potem w nią spadł. I to uczucie nigdy mi nie przeszło. I próbowałem pociągnąć cię z sobą w tę przepaść. W najgorszy, najpodlejszy i społecznie niedopuszczalny sposób.

– Byliśmy dla siebie okropni. – Czuję, że on się wzdraga, a po chwili jego ręce zaczynają mnie gładzić. – I czy teraz jest w ogóle możliwe, abyśmy zaczęli od nowa?

– Czas na nową grę. Na Grę w Nowy Początek.

Uśmiecham się. Z rozjaśnionymi oczami, pełnymi nadziei i pewności, że ta nasza fuzja będzie najbardziej podniecającą, namiętną i zarazem trudną rzeczą, jaka mi się w życiu przytrafiła.

– Miło mi cię poznać. Nazywam się Lucy Hutton.

– Joshua Templeman. Mów na mnie Josh, proszę.

Widzę jego olśniewający uśmiech i teraz już ryczę jak bóbr. Łzy spływają mi po policzkach.

– Josh.

– Mam wrażenie, że niebo wylewa się z twoich ust.

– Josh, proszę. Jesteśmy kolegami z pracy od minuty, a ty już mnie podrywasz. Daj mi chociaż powiesić płaszcz.

Rozpina mój biustonosz.

– Pozwól, że ja to zrobię.

– Serdeczne dzięki. – Uprawiamy teraz w lustrze Grę w Spojrzenia i jego oczy zaczynają ciemnieć. Jego dłonie suną po mojej białej skórze. – Wychowałam się na farmie truskawkowej. Została nazwana na moją cześć.

– Ubóstwiam truskawki. Jestem w nich taki zakochany, że jem ich całe mnóstwo. Czy mogę cię przezwać Truskawkową Babeczką? To będzie oczywisty dowód, że cię kocham.

– Ty mnie kochasz? Przecież poznaliśmy się minutę temu.

– A jednak cię kocham. Przykro mi, ale naprawdę pracuję szybko. Mam nadzieję, że to nie zabrzmie zbyt beczelnie, ale twoje oczy są niesamowite, Lucy. Umieram, kiedy mrugasz.

– Ty to masz gadane. I w ogóle co ty wiesz? Ja też cię kocham. Strasznie cię kocham. Za każdym razem, kiedy czuję na sobie spojrzenie tych twoich niebieskich oczu, mam wrażenie, że doznałam lekkiego elektrowstrząsu.

Sięgam ręką w tył, próbując zerwać z niego T-shirt. Pomaga mi i sam go ściąga.

– Odkąd cię poznałam, te kilka minut temu oczywiście, zastanawiałam się, co ty masz pod koszulą. To twoje ciało... o rany... Ale wiedz, że pragnę cię dla twojego umysłu i serca. A nie dla tego imponującego kamuflażu.

Josh wznosi wzrok do sufitu.

– Chyba w ten weekend przemaluję sypialnię. I prawdopodobnie przez cały czas tego malowania będę się wkurzał. I nareszcie rozstanę się z moją obecną dziewczyną, wysoką, nudną blondynką, która się nazywa Mindy Thailis. Ona nie jest tobą i to mnie gryzie. Sypiam sam, żyję w rozpaczliwym celibacie w tej sypialni barwy oczu Lucy, i jest to tym bardziej romantyczne, że wreszcie ci o tym mówię.

Okrywa mnie kołdrą, a potem sam wsuwa się tam za mną, otulając mnie swym ciałem od tyłu. Mój policzek leży na jego bicepsie jak na poduszce, a on całuje mnie w szyję. Cała drzę.

– Chyba niezły plan. Opłaci się. Rozpaczliwym, powiadasz? No to jaki jest cel Gry w Nowy Początek?

– Taki sam jak wszystkich innych naszych igraszek. Żebyś mnie kochała.

– Moim celem było wymuszenie na tobie uśmiechu. Jakie to beznadziejne.

– Codziennie, podczas jazdy powrotnej do domu, śmiałem się jak głupi, jeśli od tego poczujesz się lepiej.

– Chyba tak. Ale to ty wygrałeś. Odtąd będę ci zawsze powtarzała, że wygrałeś we wszystkich naszych grach. – Jestem pewna, że mam nadąsaną minę. A on przewraca mnie na brzuch i zaczyna całować po kręgosłupie.

– Ufasz mi teraz, kiedy już wszystko wiesz?

Przez chwilę trwamy przywarci do siebie; moja skóra drży od dotyku jego

warg.

– Tak, ufam ci. I naprawdę będę się bardzo cieszyła, jeśli to ty dostaniesz ten awans.

– Zrezygnowałem z pracy w B&G. W piątek byłem po raz ostatni. Jeanette wykonała już całą papierkową robotę. Obecnie jestem na urlopie.

– Co ty pieprzysz?! – wybucham.

– Nie chcę niczego, co mogłoby skutkować tym, że nie będę cię miał. Nic nie jest tego warte.

– Ale nawet nie miałam szansy się z tobą zmierzyć. – Nie wiem, czy się śmiać czy wrzeszczeć.

– Na razie czeka cię konkurs z innymi kandydatami. Z tego, co słyszałem, jeden jest naprawdę ostry. Niezależna komisja może stwierdzić, że jesteś totalnie niekompetentna.

Kuksam go łokciem, a on się śmieje.

– Ale zawsze będziesz miał tę świadomość, że mogłeś wygrać, a ja zawsze będę się bała, że wywleciesz mi to podczas kłótni.

– Znalazłem rozwiązanie. Coś tak makiawelicznego, że nawet ty przyznasz, iż to rozwiązanie doskonałe. Uwzględnia wszystkie te farmazony o rywalizacji, dzięki którym tak świetnie oboje prosperujemy.

– Boję się spytać.

– Zostałem szefem działu finansów w Sanderson Print. Czyli u największego rywala B&G.

– Josh. Co? Nie.

– Wiem! Jestem geniuszem zbrodni! – Całuje mnie w kark, ale wrywam się i odsuwam od niego.

– Na rany boskie, jak ci się to udało? – Mam wrażenie, że zaraz zemdleję.

– Zamęczali mnie od wieków, żebym do nich przyszedł na pogawędkę. No to poszedłem i oświadczyłem, że chcę popracować nad ich kompletnie popieprzoną sytuacją finansową, zanim się ostatecznie rozkraczą. Zgodzili się. Nikt nie był bardziej zdziwiony niż ja, ale dobrze to ukryłem.

– To dlatego wzięłeś dzień wolnego?

– Tak. No i jeszcze musiałem ci kupić samochodzik Matchboxa. Czekali

całą wieczność, aż wreszcie złożę im formalną propozycję. Dlatego właśnie nie potrzebowałem żadnego wsparcia, żeby cię pokonać. Bo ja po prostu nie chciałem cię pokonywać.

Gładzę go po ramieniu, po cudownej krzywiźnie jego barku.

– A więc tak się sprawy mają.

– Musiałem podpisać kilka oświadczeń w związku z konfliktem interesów.

– Na przykład jakie? – Przyglądam się, co teraz ma w oczach.

– Na przykład ujawniłem, że jestem zakochany w osobie, która niebawem zostanie dyrektorem do spraw operacyjnych B&G.

Wyobrażam go sobie, jak im to oznajmia, chłodny i opanowany.

– No co ty mówisz. I jak na to zareagowali?

– Moja nowa szefowa uznała, że to urocze. Ludzie już tak mają, że są romantyczni. Musiałem podpisać kilka papierów zobowiązujących mnie do zachowania poufności. Jeżeli zdradzę ci cokolwiek, to zostanę pociągnięty do odpowiedzialności. Na całe szczęście potrafię zachować pokerową twarz, kiedy jest mowa na twój temat.

– O cholera, a Bexley bardzo się wściekł? To zdecydowanie nie jest romantyk.

– Omal nie wyszedł ze skóry. Był prawie gotów wezwać ochronę. Na całe szczęście pojawiła się Helene, która jakoś załagodziła sprawy. Jak im wytłumaczyłem, jakie są powody mojego odejścia, to byli dość wyrozumiali. Helene nawet twierdziła, że cały czas o wszystkim wiedziała.

– Powody.

– Został mi tylko jeden weekend na to, żeby sprawić, abyś mnie pokochała.

Aż rozdziawiam usta z przerażenia.

– Nie powiedziałaś im tego.

– Powiedziałem. Szkoda, że nie widziałaś twarzy Jeanette.

– Niezły hazard, Josh. Naprawdę kręciłeś na siebie bicz.

– Na szczęście opłaciło się.

Przyciska usta do mojej skóry i wzdycha, jakbym była snem, z którego nie chciałby nigdy się obudzić. I wzdycha mnie jak najgorszy narkoman.

– Jesteś pewien, że któregoś dnia nie poczujesz do mnie urazy? Zrezygnowałeś z wielkiej szansy, Josh.

– Przez cały boży dzień będę tonął w liczbach. Mogę kontynuować swoją krucjatę ratowania wydawnictw przed ruiną finansową.

– Błagam, nie doprowadzaj więcej ludzi do płaczu. Najwyższy czas, żebyś wreszcie był sobą. Jesteś Miłym Facetem.

– Nie dam ci żadnych gwarancji. Ale szczerze powiedziawszy, ta moja rola w Sandersonie pasuje do mnie lepiej. Przynajmniej po powrocie będę cię codziennie widział na swojej kanapie. Choćbym nie wiem jak stawał na głowie, lepszej decyzji podjąć nie mogłem.

– Codziennie? No niestety, w długi weekend nie mogę. Jadę na tydzień na farmę. Zdaje się, że jeszcze wtedy nie będziesz pracował?

– Zabierz mnie z sobą – mówi, składając jednocześnie pocałunki na moich łopatkach. – Znam drogę. Sporządziłem mapę tej podróży. To znaczy trasy przelotów i gdzie można wynająć samochód. Będę się czołgał przed twoim tatą. Wiem dokładnie, co powiem.

– Zupełnie nie rozumiem, czemu tak ci odbija na punkcie tego miejsca.

– Muszę tam jechać, żeby móc zacząć od samego początku. Bo chcę wiedzieć o tobie wszystko.

– Ty rzeczywiście ubóstwiasz truskawki.

– Kocham cię, Lucy Hutton. Tak bardzo, że nie masz pojęcia. Proszę, zostań moją najlepszą przyjaciółką.

Jestem zakochana jak idiotka. Postanawiam wypróbować, jak to brzmi na głos.

– Kocham Joshuę Templemana.

A on w odpowiedzi szepcze mi do ucha:

– Nareszcie.

Odsuwam się.

– Będę musiała zmienić hasło w komputerze.

– Tak? A na jakie?

– KOCHAMJOSHA.

– AMEN – dopowiada.

– Rozszyfrowałeś moje hasło?

Przewraca mnie na plecy i uśmiecha się. W oczach ma psotny błysk.

Już nic więcej nie mogę zrobić. Kiedy biała flaga jego pościeli osiada na moim ciele, Gra w Nienawiść dobiega końca. I to jest najważniejsze. To jest cud. I tak już będzie zawsze. Amen.

– No dobra, niech ci będzie. Amen. To w jaką grę powinniśmy zagrać teraz? – Patrzę na jego twarz i podejmujemy Grę w Spojrzenia, aż w końcu w oczach rozbłyska mu iskra świadcząca o tym, że naszło go jakieś wspomnienie.

– A właśnie. Zaintrygowała mnie Gra w Czy Coś. Możesz mi pokazać, na czym ona polega?

Narzuca na nas kołdrę, odcinając od reszty świata. I śmieje się. A jego śmiech to mój najulubieńszy z wszystkich dźwięków.

A potem nie słychać już nic. Jest tylko cisza. Jego usta dotykają mojego ciała.

Tym razem zaczynamy grać na poważnie.

Spis treści

Podziękowania

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Tytuł oryginału: *The Hating Game*

Copyright © 2016 by Sally Thorne

Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All rights reserved.

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.

Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Urszula Gireń

Fotografie na okładce

© NIKITA TV / Shutterstock (szpilki)

© Martina_L / Shutterstock (krawat)

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Wredne igraszki*, wyd. I, Poznań 2018)

ISBN 978-83-8062-944-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**